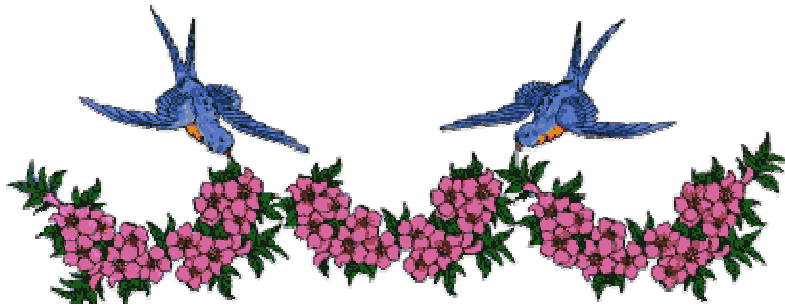




Jane Feather



Prawie poślubiona

Tytuł oryginału Almost a Bride



1

Szelest kart wykładanych na pokryty sukнем stół, pobrzękiwanie monet, gdy gracze ustalali wysokość stawek, dyskretne szepty obsługi ogłaszającej zakłady były jedynymi dźwiękami w wewnętrznej sali klubu gry Brooke'a. Sześciu mężczyzn siedziało wokół stołu do gry w faraona, a pięciu z nich grało przeciw bankierowi. Skórzane paski chroniły koronkowe mankiety ich koszul, a skórzane daszki osłaniały oczy przed blaskiem licznych świec rzucających migotliwą poświatę na stół. Bankier z nieprzeniknioną twarzą wykladał karty, sprawdzał wysokość stawek, wypłacał lub zgarniał pieniądze po zakończeniu kolejki. Widzom zebranym w pokoju mogło się wydawać, że ani wygrane, ani przegrane nie robią żadnego wrażenia na Jacku Fortescu, księciu St. Jules.

Niektórzy z nich wiedzieli jednak, że daleko temu do prawdy. W eleganckim salonie, mimo późnej pory wciąż jeszcze gorącym po upalnym dniu i przesyconym zmieszaną z zapachem potu wonią zwietrzałych perfum oraz rozlanego wina, gra toczyła się o coś więcej niż zazwyczaj. Napięcie pomiędzy bankierem a jednym z graczy stało się wręcz namacalne. Pozostali kolejno odpadali z gry, przestawali obstawiać, a ich zapamiętanie zastąpiła chęć obserwacji toczzonego między dwoma graczami pojedynku.

Frederick Lacey, hrabia Dunston, wciąż obstawiał karty, z gorączkową wręcz zapalczywością. Gdy przegrał, pchnął jedynie swoje pieniądze w stronę bankiera i ponowił zakład. Książę, beznamiętny jak zwykle, odwracał karty w stałym porządku, kładąc na przemian wygrane po prawej, przegrane po lewej. Tylko jeden raz badawczo spojrzął szarymi oczami na przeciwnika, a potem ponownie zwrócił wzrok na stół. Wszyscy milczeli.

– Na Boga, w Jacka chyba diabeł wstąpił tej nocy – mruknął Charles James Fox, który stał przy drzwiach, obserwując grę. Jak kilku innych mężczyzn w tym pokoju, miał na sobie ekscentryczny strój makaroniarza – niemożliwie obcisłą kamizelkę w szkarłatne i złote prążki oraz przepasany wstążką słomkowy kapelusz, który leżał na pokrytych jaskrawoniebieskim pudrem włosach.

– I jak się zdaje, diabelnie sprzyja mu szczęście – odparł, również półgłosem jego towarzysz, którego strój, choć pełny koronek, żabotów i złotego aksamitu, wydawał się ponury w porównaniu z ubiorem rozmówcy.
– Zresztą już od ładnych paru miesięcy.

– Jak zawsze, gdy gra przeciw Laceyowi – zauważył Fox i pociągnął potężny łyk burgunda. – Byłem świadkiem, jak zeszłej nocy wygrał od niego dziesięć tysięcy gwinei w kwindecza.

– A dwadzieścia tysięcy w poniedziałek. Zdaje mi się, że Jack nie gra dla samej gry, za tym kryje się jakiś diabelski cel – stwierdził George Cavanaugh. – Powiedziałbym, że chce zrujnować Lacey'a. Ale dlaczego?

Fox nie odpowiedział od razu, bo przypomniał mu się dawny skandal. Nikt dokładnie nie wiedział, o co właściwie poszło, a była to tak odległa przeszłość, że teraz nie miał chyba istotnego znaczenia. Pokiwał głową.

– Jack się zmienił, odkąd wrócił z Paryża – odparł, wzruszając nieznacznie ramionami. – Nie umiałbym dokładnie określić, o co tu chodzi, bo jak zawsze jest czarujący i beztroski, ale pod tym czai się jakaś osobliwa bezwzględność, której wcześniej nie było.

– Nic dziwnego. Każdy, kto zdołał wyjść cało z tego piekła morderczej anarchii, został nim jakoś napiętnowany – stwierdził pośepnie George. – Mówią, że ledwie uszedł z życiem, ale nie chce puścić pary z gęby, tylko jak

zwykle przewrotnie się uśmiecha i zmienia temat. – Wyciągnął kieliszek ku przechodzącemu obok lokajowi, który dolał mu wina.

Obydwaj śledzili w milczeniu grę. Przed Frederickiem Laceyem wznosił się już tylko jeden rulon monet. Jego dłoń zawisała nad nim przez chwilę, a mężczyzna po raz pierwszy tej nocy zdawał się wahać. St. Jules trzymał nóżkę kieliszka w dwóch idealnie wypielegnowanych palcach. Wielki szafir w pierścieniu błyszczał w blasku świec. Księżę czekał.

Lacey gwałtownie nabrał tchu i położył pieniądze na asa. Księżę odwrócił następną kartę w pudełku, pierwszą, a tym samym przegrywającą. Był nią as. Poczerwieniała od pijaństwa twarz Laceyego pobladła. Księżę z obojętną miną umieścił asa na zrzutkach i sięgnął po następną kartę. Odwrócił ją i odsłonił dziesiątkę pik, która zdawała się szydzić z pobladłego hrabiego. Księżę ułożył monety w stos, który zalśnił przy jego łokciu, i spojrzał w milczeniu na hrabiego. Do odsłonięcia pozostały już tylko trzy karty.

Frederick Lacey walczył z dusznością. W ciągu ostatniego miesiąca przegrał wszystko, co miał, z księciem, któremu w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób sprzyjało szczęście. St. Jules zawsze grał o wysoką stawkę. Jako młodzieniec stracił przy stołach gry fortunę; wyjechał potem za granicę, żeby ją odzyskać, i kilka lat później powrócił z dwukrotnie większym niż przedtem majątkiem. Tego już nie stracił, tylko pomnażał wytrwałą i zręczną grą. Był urodzonym graczem i nie powtórzył błędu z czasów młodości. Prawie nigdy pod koniec wieczoru nie wstawał od kart pokonany.

Lacey utkwiał wzrok w dwóch stosikach kart przed bankierem i w trzech kartach w jego pudełku. Wiedział, jakie to karty, jak każdy, kto przyglądał się grze i pamiętał zrzutki. Gdyby wezwał do ich odkrycia i

obstawił porządek, w którym będą odsłaniane, miałyby szansę na wygraną. Jeżeliby trafił, St. Jules musiałby wypłacić mu cztery do jednego. Wystarczyłaby jedna duża wygrana, a odegrałby się całkowicie. Uniósł głowę i napotkał spojrzenie człowieka, którego nienawidził tak bardzo, że brakowało mu słów. Wiedział, do czego St. Jules chce doprowadzić. I tylko on jeden w tym zatłoczonym, dusznym pokoju wiedział dlaczego. Lecz wystarczyłby łut szczęścia, aby mu się wymknąć. I nie tylko to. Wtedy pobiłby przeciwnika jego bronią. Gdyby St. Jules zaryzykował i przegrał, musiałby zapłacić cztery do jednego i byłby zrujnowany.

A St. Jules podejmie ryzyko. Lacey wiedział o tym.

Powoli zsunął z palców pierścienie, wyjął diamentową szpilkę z koronkowego żabotu i z wolna położył je na środku stołu. Tak samo powoli powiedział:

– Wzywam do odwrócenia kart.

– Czy to cała stawka? – W głosie księcia zabrzmiało lekkie niedowierzanie. W porównaniu z tym, co wygrano i przegrano tej nocy, wartość zakładu była żalosna.

Oblicze hrabiego poczerwieniało.

– Nie, to tylko zadatek. Stawiam wszystko, co mam, milordzie. Lacey Court i dom na Albermarle Street z całą ich zawartością.

W pokoju rozległ się szmer przyśpieszonych oddechów. Widzowie wymieniali spojrzenia.

– Z całą zawartością? – dociekał książę, delikatnie podkreślając każde słowo. – Z wyposażeniem i ludźmi?

– Ze wszystkim – padła stanowcza odpowiedź.

Jack Fortescu przesunął swoje pieniądze na środek stołu.

– Wątpię, czy to wystarczy w razie mojej przegranej, milordzie – powiedział po chwili namysłu. Rozejrzał się wokoło. – Co panowie sądzicie o zakładzie hrabiego? Jak oszacować jego stawkę? Jeśli mam go spłacić cztery do jednego, chciałbym dokładnie wiedzieć, jak wiele ryzykuję.

– Powiedzmy, że jego stawka to dwieście tysięcy funtów – zasugerował Charles Fox. Sam był nałogowym graczem, stracił w grze wszystko, co miał, i pożyczał pieniądze od przyjaciół z takim zapamiętaniem, że zrujnował wielu z nich. Wydawało się rzeczą właściwą, by ktoś taki jak on wystąpił z podobnym wyliczeniem. – To by obciążało Jacka na osiemset tysięcy.

Wszyscy w pokoju zamilkli. Nawet tym, dla których gra stała się obsesją, zdobywającym i tracącym fortuny w ciągu jednej nocy, stawka wydała się niebotyczna. Wszystkim z wyjątkiem Foksa, któremu aż rozbłyły oczy. Wszystkie spojrzenia spoczęły na księciu St. Jules. Odchylił się do tyłu na krześle, delikatnie głaszcząc palcami nóżkę kieliszka i nieznacznie unosząc kąciki ust. W jego oczach jednak nie było uśmiechu. Wpatrywały się w twarz przeciwnika.

– Zgadzasz się na tę sumę Lacey? – spytał bardzo spokojnie.

– A czy ciebie na nią stać? – spytał hrabia, zauważając z irytacją, że drży mu głos.

– Czyżbyś w to wątpił? – Chłodna pewność siebie księcia nie pozwalała na zwątpienie.

– Zgadzam się. – Hrabia pstryknięciem palców przywołał lokaja, który natychmiast przyniósł pergamin, pióro i kałamarz. Skrzypienie pióra, gdy hrabia spisywał warunki zakładu, było jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w pokoju. Lacey posypał rękopis piaskiem, żeby osuszyć atrament, a potem sięgnął po sygnet, podpisał się, odcisnął pierścień w roztopionym wosku i

bez słowa pchnął przez stół dokument w stronę księcia, który również złożył na nim podpis.

St. Jules rozejrzał się wokół i dostrzegł George'a Cavenaugh'a.

– George, czy potwierdzasz zakład?

Mężczyzna skinął głową, podszedł do stołu, wziął pergamin i przeczytał tekst na głos. Spojrzał pytająco na nieprzeniknione oblicze przyjaciela, a potem złożył pismo i wsunął je do wewnętrznej kieszeni surduta.

Księżę skinął głową, pociągnął łyk wina i powiedział oficjalnym tonem:

– Niech pan obstawi kolejność, milordzie.

Lacey odruchowo zwilżył językiem wargi. Pochylił się nad stołem, skupiając oczy na pozostałych w pudełku kartach, jakby chciał coś z nich wyczytać, a potem rzekł powoli:

– As kier... dziesiątka karo... piątka pik.

Wszyscy wstrzymali dech, a nagle syknięcie świecy zabrzmiało w tej ciszy z siłą gromu. St. Jules odkrył powoli pierwszą kartę. Był to as kier.

Cisza – jakby to było jeszcze możliwe – Stała się głębsza. Hrabia cofnął się nieco, ze wzrokiem wlepionym w podłużną, białą dłoń księcia, który z twarzą całkiem bez wyrazu sięgał po następną kartę. Odwrócił ją. Była to piątka pik.

Hrabia upadł na krzesło z zamkniętymi oczami, z twarzą niemal tak białą, jak jego starannie ufryzowane i upudrowane włosy. Nie patrzył nawet na następną kartę. Piątka pik przesądziła o jego przegranej. W końcu uniósł powieki i spojrzał przez stół na swego przeciwnika.

St. Jules wytrzymał to spojrzenie, a w jego szarych, zimnych oczach nie było ani satysfakcji, ani triumfu.

– A więc, *mon ami*, trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło – powiedział cicho.

Hrabia odepchnął gwałtownie krzesło, które zgrzytnęło na gładkiej dębowej posadzce. Gapię rozstąpili się przed nim w takiej samej ciszy jak przedtem, a on skierował się ku francuskiemu oknu, uchylonemu z powodu gorąca, i wyszedł na mały balkon, z którego rozciągał się widok na St. James Street. Ciężka zasłona zafalowała za nim.

Charles Fox krzyknął nagle i zrobił krok do przodu, lecz głośny wystrzał z pistoletu rozległ się, nim zdołał dotrzeć do okna. Fox rozsunął pośpiesznie zasłony i ukląkł przy bezwładnym ciele hrabiego. Nie musiał nawet szukać pulsu. Frederick Lacey nie miał już wierzchołka czaszki. Rosła pod nim kałuża krwi, która zaczęła ściekać z balkonu na ulicę.

Gracze cisnęli się jeden przez drugiego przy oknach, a potem obstąpili ciało. W opustoszałym pokoju książę St. Jules powoli zebrał karty, przetasował je i włożył do pudełka rozdającego.

– Go to za diabelska gra, Jack? – spytał głuchym głosem George Cavanaugh, gdy powrócił do pokoju.

– Gra już skończona. – Jack wzruszył ramionami, sięgnął po kieliszek i pociągnął łyk wina. – Lacey był tchórzem i zmarł jak tchórz.

– A cóż mu innego pozostało? – zdziwił się George. – Przecież go zrujnowałeś.

– To on podjął decyzję mój drogi, nie ja – odparł Jack, cedząc przeciągle słowa. – Grał na własne ryzyko.

Wstał, a lokaj pośpiesznie pomógł mu zdjąć satynowy płaszcz, uniform każdego poważnego gracza. St. Jules przebrał się we własny surdut z karmazynowego aksamitu i szafirową kamizelkę, zdjął skórzane ochraniacze z nadgarstków, ściągnął skórzany daszek z czoła. Kruczoczarne

włosy nie były upudrowane, tylko związane na karku szafirową aksamitną wstążką. Nad samym środkiem czoła połyskiwało w nich dziwne, siwe pasmo. George wiedział, że St. Jules miał je zawsze, co nie ułatwiało mu w dzieciństwie życia wśród brutalnych kolegów z Westminster School. Rówieśnicy szybko się jednak przekonali, że Jack Fortescu nie da sobie w kaszę dmuchać i potrafi bić się bez żadnych skrupułów. Nigdy nie zostawiał zaczepek bez odpowiedzi i zazwyczaj wychodził z tych potyczek z krwawiącym nosem, ale zwycięsko.

A Frederick Lacey, hrabia Dunston, nie wiadomo dlaczego wdał się w śmiertelną potyczkę z Jackiem Fortescu, księciem St. Jules.

– Czy to było konieczne, Jack? – spytał go George bez ogródek.

Jack po raz wtóry strzepnął koronkowe mankiety, jakby był z nich niezadowolony.

– Mój drogi, chodziło o osobiste sprawy, ale wierz mi, to było konieczne. Dobrze, że taka kanalia, jak Frederick Lacey, nie chodzi już po tym świecie.

– A ty zawładnąłeś wszystkim, co miał – stwierdził George, opuszczając pokój razem z nim. – Majątkiem, służbą. Co z tym poczniesz? Co zamierzasz z tym zrobić? Dwa domy, stajnie, psy, służba, dzierżawcy i...
– Urwał na chwilę, a potem ciągnął dalej:

– No i, oczywiście, jest jeszcze siostra.

Jack zatrzymał się nagle u szczytu schodów wiodących do westybulu na parterze.

– A, tak. Siostra. Zapomniałem o niej. – Pokiwał głową, jakby z zakłopotaniem. – Co za zdumiewające przeoczenie, zważywszy okoliczności.

– Jakie znów okoliczności? – spytał George, lecz za całą odpowiedź otrzymał wzruszenie ramionami i zagadkowy uśmiezek.

– Przecież została bez grosza. Chyba że odziedziczyła coś po matce. Zdaje się, że ta zmarła, kiedy córka była jeszcze dzieckiem.

– O ile mi wiadomo – powiedział Jack, odsuwając się od towarzysza – matka zostawiła jej grosze, nic wielkiego. – Mężczyzna zaczął schodzić w dół.

George szedł za nim, głowiąc się, w jaki sposób Jack może znać finansową sytuację nieznaną mu kobiety, która tylko raz pojawiła się wśród londyńskiej socjety, by potem całkowicie wycofać się na wieś. Pokiwał głową, przeklinając w duchu enigmatycznego przyjaciela, który czasem potrafił powiedzieć coś lub zachować się tak bezwzględnie, że zdumiewało to najbardziej nawet cynicznych ludzi z towarzystwa. A jednak nie było lepszego od Jacka przyjaciela ani też bardziej lojalnego stronnika. Oddałby ostatni grosz komuś, kogo lubił. Nigdy też nie kłamał ani nie był obłudny, lecz tylko ostatni głupiec chciałby mu wejść w paradę. Jedynie ktoś, kto zupełnie nie dbał o swoją skórę, mógł robić sobie wroga z Jacka Fortescu.

– No i co zamierzasz począć z tą siostrą? – spytał George, gdy wyszli już na ulicę. Nie padało od trzech tygodni i choć była czwarta nad ranem, ciągle jeszcze trwał ciężki, bezwietrzny upał, pełny odoru rynsztoków, końskiego nawozu i fekaliów.

Jack przystanął, odwrócił się ku swemu towarzyszowi i po raz pierwszy tej nocy szczerze się uśmiechnął. Uśmiech rozświetlił mu oczy i wygiął pełne, zmysłowe usta.

– Nic się jej złego nie stanie, dam ci słowo. – A potem poklepał George'a po ramieniu i powiedział: – Wybacz, ale chciałbym teraz zostać sam.

George spojrzął w ślad za przyjacielem, gdy ten powoli odchodził. Ręka Jacka spoczywała na rękojeści szpady. Pogwizdywał beztrąsko jakąś melodię, ale był czujny, obserwując mroczne zaułki, zakamarki i niebezpieczne uliczki Londynu.

George wzruszył ramionami i wrócił do klubu Brooke'a. Trzeba się było zająć człowiekiem, który już nie żył.

Arabella Lacey była tak pochłonięta swymi bezcennymi orchideami w cieplarni za domem, że nic nie usłyszała. Nie dotarł do niej ani tętent końskich kopyt, ani skrzywienie powozu, ani głos woźnicy, który wzywał stajennego, ani nawet stuk kołatki w kształcie lwiego łba wiszącej na drzwiach frontowych.

Orchidee zaabsorbowały ją do tego stopnia, że nie zauważyła, iż psy zerwały się ze słonecznego zakątka cieplarni i podbiegły ku szklanym drzwiom prowadzącym do tylnego holu. Stały przy nich z czujnie postawionymi uszami i uniesionymi ogonami.

Nie słyszała, że otworzyły się drzwi, bo oglądała właśnie liście jednego z rzadkich okazów, marszcząc brwi na widok małej, czarnej plamki, której nie było, gdy poprzednio oglądała roślinę.

– Przepraszam za najście, madame.

Arabella podskoczyła, upuszczając sekator, i okręciła się wkoło, a potem uniosła rękę ku szyi.

– Przestraszył mnie pan – oznajmiła z nutą irytacji.

– Owszem, ale proszę mi wybaczyć. Nie wiedziałem, w jaki sposób mam oznajmić o swojej obecności.

Gość wszedł głębiej do cieplarni, a wtedy dostrzegła z zaskoczeniem i rozdrażnieniem jednocześnie, że trzyma on dłonie na łbach obu rudych seterów, one zaś znoszą to z takim samym posłuszeństwem, jakby chodziło

o jej ręce. A przecież i Borys, i Oskar nie ufały obcym i mogła mieć pewność, że uprzedzą ją o obecności każdego człowieka, czy to znanego, czy też nie. Mógł to również zrobić Franklin, jej kamerdyner. Gdzież on się podziewa tego pięknego poranka?

Przyglądała się nowo przybyłemu ze szczerą ciekawością. Włosy miał nieupudrowane i związane wysoko na karku czarną wstążką. Przez dłuższą chwilę nie mogła oderwać oczu od siwego pasma nad środkiem szerokiego czoła. Nieznajomy, w stroju do konnej jazdy, w jednej ręce trzymał trójgraniasty kapelusz ze złotą lamówką, w drugiej – szpicrutę ze srebrną rękojeścią. Uderzał nią lekko po cholewie wysokiego buta i wpatrywał się w Arabelle przenikliwymi szarymi oczami.

– Chyba nie byliśmy sobie przedstawieni – zaczęła nieco wyniosłym tonem, pytająco przechylając głowę. Czowała dyskomfort świadoma, że na czole występują jej krople potu, a włosy ma sklezione z powodu panującej w cieplarni wilgoci.

Gość złożył jej elegancki ukłon, przy którym rozchyliły się poły jego czarnego, aksamitnego surduta.

– Jack Fortescu, do usług, milady.

Po czym wyprostował się i wyciągnął ku niej rękę.

Arabella odruchowo spojrzała na własną. Nie cierpiała wykonywać prac ogrodniczych w rękawiczkach i miała teraz pełno brudu za paznokciami. Zignorowała więc wyciągniętą dłoń i dygnęła, żałując, że ma na sobie jedynie znoszoną muślinową suknię, tak spłowiała, że trudno było wręcz określić jej pierwotny kolor. Poczwała się tym zakłopotana w obecności nieskazitelnie ubranego gościa, co ją jeszcze bardziej zdenerwowało. Przypomniała sobie jednak jego tytuł.

– Jego wysokość książę St. Jules?

– We własnej osobie, madame. – Znowu się skłonił, a potem podniósł upuszczony przez nią sekator i położył go na wysokim stoliku.

– Obawiam się, że brata nie ma teraz w domu. Sądzę, że znajdzie go pan w Londynie.

Nie wzbudziło to w nim najwyraźniej zainteresowania. Powiedział jedynie:

– Śliczne orchidee.

– To moje hobby – odparła. Skoro nie miał zamiaru wyjaśniać powodu nagłej wizyty, niech ją diabli, jeśli okaże zaciekawienie. Pstryknęła palcami na psy, które raczej niechętnie, jak się jej wydało, odstąpiły od księcia, żeby podejść do niej i ułożyć się posłusznie koło jej nóg.

– Piękne psy – zauważył.

– Owszem. – Odgarnęła wilgotne pasmo włosów z czoła, wiedząc dobrze, że jej twarz jest cała czerwona od gorąca.

– Może byśmy poszli gdzieś, gdzie jest chłodniej? – zaproponował z troską. – Chyba się pani... ee... trochę zgrzała, proszę mi wybaczyć.

– W końcu robiłam coś w cieplarni, a mamy teraz połowę sierpnia – zauważyła cierpko. Gość był jednak nieskazitelnie wytworny, a jego koronkowe mankiety wyglądały, jakby je przed chwilą wyprasowano, choć stał właśnie tam, gdzie słońce najsilniej prażyło przez szklany dach.

Skłonił głowę i cofnął się ku drzwiom, otwierając je przed nią zachęcającym gestem. Arabella przesunęła się koło niego, chwytając zapach świeżej bielizny i lawendy. Ona sama pewnie cuchnęła jak koniuszy. Odruchowo odetchnęła z ulgą, czując chłód kamiennej posadzki w korytarzu. Psy parsknęły i zaczęły wywijać ogonami.

– Milady czy wszystko w porządku? – Kamerdyner wyłonił się z półmroku nieco zaniepokojony. – Wyjaśniłem jego wysokości, że lorda

Dunstona nie ma, a pani jest zajęta, ale... – Franklin nie dokończył zdania, lecz jasne było, że książę St. Jules nie dał mu sposobności do wykazania się zwykłymi regułami postępowania.

– Prawdę mówiąc, ja też nie bardzo wiem, co robić w tej sytuacji – odparła, spoglądając na gościa. – Franklinie, może zaprowadzisz jego wysokość do salonu? Z pewnością nie odmówi kufła mocnego piwa w tym upale, a ja chciałabym prosić o dzbanek lemoniady. Jeśli pan pozwoli, milordzie, przyjdę tam za kilka minut. – Po chwili wahania dodała: – Chyba że chce pan od razu wyjaśnić cel swojej przemylej wizyty, bo zapewne ma ona jakiś konkretny cel, prawda? Może dałoby się całą sprawę szybko załatwić?

Uśmiechnął się pełny uznania, wyczuwając w jej głosie wyraźne wyzwanie.

– Obawiam się, że niełatwo będzie ująć to w paru słowach. Poczekam na panią.

Zmarszczyła brwi zaskoczona, zainteresowana, pełna niejasnych przeczuć. Potem jednak wzruszyła ramionami, pstryknęła palcami na psy, odwróciła się i poszła do sypialni. Borys i Oskar biegły tuż za nią.

– Przynieś mi ciepłej wody, Becky – poprosiła, ściągając wilgotną przepaskę z włosów. – Cała się pobrudziłam, a mamy gościa.

– Och, milady, wszyscy już o tym wiemy. – Służąca nie kryła ciekawości. – Pewnie jakieś wieści od milorda, prawda?

– Chyba tak – odparła z roztargnieniem Arabella, podchodząc do lustra. – Słyszałam, jak brat wspominał o księciu. – Spojrzała niewesoło na swoje odbicie. Było jeszcze gorzej, niż sądziła. Miała całe pasma brudu i potu na twarzy, a włosy przypominały zakurzoną miotłę.

– Pośpiesz się z tą wodą, Becky, ale najpierw rozepnij mi suknię. – Odwróciła się plecami do służącej, a ta zrećźnie poradziła sobie z guzikami. – Dziękuję ci... a teraz woda.

Usiadła na krześle w samej halce, przejechała szczotką po gęstych ciemnobrązowych włosach i zmarszczyła mocno brwi.

Prawda, że Frederick niejednokrotnie wspominał o Jacku Fortescu, księciu St. Jules, ale zawsze z niechęcią. Tylko że – jak się zaraz zreflektowała – jej przyrodni brat mało kogo lubił, a podczas swojej jedynej bytności wśród londyńskiej socjety zdołała się zorientować, że jego niechęć była odwzajemniona. Prawdę mówiąc, ona również go nie lubiła. Brat był człowiekiem słabego charakteru, złośliwym, mściwym i nie zrobił nic, aby wzbudzić w niej siostrzane uczucia.

Cóż jednak sprowadziło St. Julesa do Lacey Court, położonego trzydzieści mil od Londynu, wśród wiśniowych sadów hrabstwa Kent?

Becky powróciła z miedzianym dzbanem ciepłej wody i wlała ją do miski. Arabella opłukała twarz, umyła gąbką ramiona i szyję, a potem wyszorowała paznokcie.

– Podaj mi jasnozieloną dzienną suknię, tę z indyjskiego jedwabiu. Za gorąco dziś na gorsety i turniury. – A jej elegancki gość, choć w czarnym aksamitnym surducie i spodniach do konnej jazdy, nie był wytwornie ubrany i nie nosił upudrowanej peruki, stosownej na oficjalne, przedpołudniowe wizyty.

– Jakież okropne mam dziś włosy – jęknęła, walcząc z nieposłusznymi puklami. – Wilgoć w cieplarni sprawiła, że całkiem się poskręcały.

– Może ja to zrobię, milady? – Becky ujęła za szczotkę i zrećźnie rozczesła długie, ciemne, falujące pasma, układając je tak, by okalały twarz. – Jak pani włoży ten ładny francuski czepek z koronkami, będą

ślicznie wyglądać – oznajmiła, przypinając go na czubku głowy Arabelli. – O, tak. –I odstąpiła w tył, żeby podziwiać swoje dzieło.

– Jesteś po prostu wspaniała, Becky – uznała Arabella, wstając i wkładając prostą, dzienną suknię, którą podała jej służąca. – Jeszcze tylko trochę różanej wody – dodała, skrapiając nią nadgarstki, łokcie i miejsca za uszami. Nie wiedziała wprawdzie, po co zadaje sobie tyle trudu dla nieoczekiwanego gościa, lecz nie mogła się pozbyć złych przeczuć i wydawało się jej ważne, by zrobić na nim jak najlepsze wrażenie podczas rozmowy.

Zeszła na dół, zdając sobie sprawę, że zostawiła mężczyznę samego na dłużej niż pół godziny. Pazury psów stuknęły o nawoskowane tafle posadzki, kiedy zwierzęta postępowały za nią. Franklin stał już we frontowym holu, gdy zeszła elżbietańskimi schodami na dół.

– Jego wysokość jest w bibliotece, milady. Wolał pójść tam niż do salonu.

Zdziwiło ją to.

– Czy był we wszystkich pokojach na parterze, Franklinie?

– Zajrzał do jednego czy dwóch, milady–odparł zrezygnowany sługa, jakby chcąc się usprawiedliwić.

Arabella zmarszczyła brwi. Goście zazwyczaj udają się tam, dokąd kieruje ich gospodarz, zamiast pętać się po domu w poszukiwaniu najodpowiedniejszego pomieszczenia. Było to zachowanie grubiańskie i impertynenckie. Zaczęła się zastanawiać, kogo właściwie u siebie przyjmuje. Złe przeczucia jeszcze mocniej dały o sobie znać,

– Czy podałeś mu piwo?

– Poprosił o burgunda, madame. Przed chwilą zaniósłem mu karafkę.

A także lemoniadę dla pani.

Arabella skinęła głową i poszła ku bibliotece. Był to dużo mniejszy pokój niż ogromny salon, ciemniejszy i bardziej kameralny. Pachniał książkami, starą skórą i woskiem do posadzek.

St. Jules stał przy oknie i z kieliszkiem wina w dłoni przyglądał się ogrodowi. Trójgraniasty kapelusz i szpicruta leżały na siedzeniu krzesła. Po raz pierwszy dostrzegła wąski rapier w pochwie u jego boku. Nie spada noszona jako uzupełnienie stroju, lecz broń. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

Gość odwrócił się, gdy weszła z psami, które ją wyprzedziły.

– Czy to, że orchidee są pani hobby, oznacza zainteresowanie ogrodnictwem?

Zamknęła bezszelestnie drzwi za sobą.

– Tak.

– Widzę dobrze rozplanowany ogród. – Uśmiechnął się, odszedł od okna i przysunął sobie krzesło, które stało przy pustym kominku. – Ogródek skalny wygląda wręcz wspaniale.

– Dziękuję – odparła zwięźle, nalewając sobie szklanekę lemoniady z dzbanka na połączanym stolyczku. – Jak pan znajduje wino?

– Z dobrego rocznika. Pani brat miał znakomitą piwnicę.

Dłoń Arabelli, unosząca do ust szklanekę, zamarła bez ruchu w powietrzu.

– Miał?

Patrzył na nią przez chwilę, nim powiedział cicho:

– Obawiam się, że przynoszę złe wieści, lady Arabello.

Z początku nic nie powiedziała. Odstawiła nietkniętą lemoniadę na stół i odruchowo skrzyżowała ręce, chwytając się kurczowo za łokcie. Patrzyła gdzieś przed siebie.

Jack czekał, obserwując jej reakcję. Złapał się na myśli, że loki, które okalały jej twarz, mają soczysty odcień czekolady, a oczy – fascynujący złotawy kolor. Nie mógł się zdecydować, czy są bardziej złote, czy też bardziej brązowe. Karnacja przypominała gęstą śmietankę. Jednakże mimo atrakcyjnej kolorystyki Arabelli nie można było w konwencjonalnym sensie nazwać piękną, ładną czy nawet przystojną. Nie była zresztą najmłodsza. Rysów twarzy, zbyt wyrazistych, zdominowanych przez wysoko osadzone kości policzkowe i kanciasty podbródek, dopełniał prosty nos. Ciemne brwi były grubsze, niż nakazywała moda. Miała jednak piękne, zmysłowe usta, a wydatna górna warga zdawała się unosić w kącikach.

Wreszcie przestała trzymać się za łokcie. Ręce opadły bezwładnie po bokach.

– W jaki sposób zmarł?

Otwartość pytania zaskoczyła go, lecz potem zdał sobie sprawę, że nie powinien się temu dziwić. Arabella nie zrobiła na nim wrażenia kobiety, która wolałaby uniknąć przykrości czy chciała owijać coś w bawełnę.

– Z własnej ręki – odparł, starając się, żeby głos mu nie zadrżał.

Nie zaszokowała jej przedwczesna śmierć Fredericka. Zawsze wydawało się jej, że takie musi być następstwo jego skłonności do rozpusty i zadawania się z podejrzanymi ludźmi, którymi się otaczał. Wiedziała, do czego mogą być zdolni, kiedy piją, a trzeźwi bywali rzadko. Mógł umrzeć z przepicia lub jakiegoś gwałtownego, fatalnego zdarzenia. To by jej nie zaskoczyło. Ale samobójstwo? Nigdy by nie uwierzyła, że jej przyrodni brat jest do niego zdolny.

– Dlaczego się zabił? – Skierowała to pytanie prawie tak samo do siebie, jak do gościa.

– Stracił wszystko podczas gry.

– Wszystko? – Arabella przygryzła dolną wargę.

– Obawiam się, że tak.

Jej nozdrza rozszerzyły się lekko. Dotknęła ust końcami palców. To by wyjaśniało podobną śmierć. Frederick mógłby zapewne żyć bez honoru, ale nie w nędzy. Usiłowała litować się nad nim, lecz po chwili dotarło do niej, w jakim położeniu się znalazła. Rzecz jasna Frederick pozostał wierny swoim zwyczajom i nawet o niej nie pomyślał.

Spojrzała na człowieka, który okazał się posłańcem złych wieści. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, lecz szare oczy czujnie ją obserwowały. Czemu właśnie on ją o tym informował? Nie był przecież przyjacielem ani nawet dobrym znajomym Fredericka. Ach tak, przecież to oczywiste.

– Przypuszczam, że Frederick przegrał w tej grze, a pan, wasza wysokość, wygrał?

– Pani przypuszczenie jest prawidłowe. – Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął dokument, który jej brat podpisał przy stole gry w faraona. Wstał i podał jej papier.

Arabella wzięła go i odwróciła się w drugą stronę, rozkładając pismo. Przeczytała je w milczeniu, po czym złożyła, z powrotem się odwróciła i wręczyła mężczyźnie.

– Moje gratulacje, wasza wysokość – powiedziała bezbarwnym głosem. – Kiedy każe mi pan opuścić mój dom?

St. Jules wsunął dokument z powrotem do kieszeni i powiedział spokojnie:

– Choć to dość dziwne, moja droga, nie przybyłem tu wcale, żeby panią wyrzucić. Przybyłem, aby zaoferować pani moją opiekę.

Ze słabym uśmiechem niedowierzania odparła, nie kryjąc wzgardy:

– Jakie to uprzejme z pańskiej strony. Obawiam się jednak, że muszę odrzucić ten wspaniałomyślny gest.

Uniósł dłoń, powstrzymując jej słowa, i pokręcił głową.

– Proszę nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków, lady Arabello. Mam już kochankę i jestem z niej najzupełniej zadowolony, nie chcę też ani nie potrzebuję innej. Potrzeba mi natomiast żony.

RS

2

Arabella się zaśmiała. Był to spontaniczny wybuch szczerego rozbawienia, który zaskoczył zarówno ją, jak i księcia. Utkwił w niej wzrok, daremnie szukając słów. Prawie nigdy nie był zakłopotany, i to był jeden z tych rzadkich momentów.

Arabella spoważniała, zdając sobie naraz sprawę, że jej śmiech mógł brzmieć nieco histerycznie.

– Ma pan nadzwyczajne poczucie humoru, wasza wysokość. A także, śmiem powiedzieć, trochę niestosowne. Jednocześnie przynosi mi pan wieść o śmierci brata i za chwilę żartuje, składając propozycję małżeństwa. Niesłychane!

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– To nie był żart — oznajmił sztywno. Teraz z kolei Arabella utkwiała w nim wzrok.

– Chyba nie mówi pan serio. Przyznaje pan, że przywiódł mego brata do śmierci, i proponuje mi małżeństwo?

Jack pociągnął łyk wina, żeby odzyskać spokój, i namyślał się nad odpowiedzią.

– Proszę uważać moją ofertę za formę rekompensaty – powiedział wreszcie spokojnym, zrównoważonym tonem. – Niewątpliwie pozbawiłem panią opieki brata, ofiarowuję więc moją. Szczerze mówiąc, mam na myśli małżeństwo z wyrachowania, ale całkowicie zgodne z obyczajem i godziwe. Radziłbym zastanowić się nad tym, nim pani wyśmieje moją propozycję.

Tym razem nie wybuchnęła śmiechem. W jej oczach błysnął gniew, wargi się zacisnęły. Psy, leżące dotąd na dywanie, zerwały się z miejsca i

groźnie zmierzyły księcia wzrokiem. Arabella uspokoiła je, kładąc im ręce na głowach, i powiedziała z lodowatym sarkazmem:

– Jakaż to uprzejmość z pańskiej strony. Proszę mi jednak wybaczyć, że nie widzę zalet w poślubieniu człowieka całkowicie mi obcego i zdolnego doprowadzić kogoś do samobójstwa, aby zgarnąć jego majątek. Musi pan też zrozumieć, że nie jestem tak żalostną istotą, bym musiała dopraszać się opieki ze strony jakiegokolwiek mężczyzny. Może to pana zaskoczy, mi-lordzie, lecz niektóre kobiety mogą polegać na własnych zasobach.

I założyła energicznie ręce na piersiach, jakby chcąc zaznaczyć, że to jej ostatnie słowo.

Księżę upił nieco wina, patrząc na nią w zamyśleniu, ale z pewnością siebie. Jakby wierzył, że nieuchronnie przyjdzie jej pożałować własnych słów, on zaś jest na tyle rozsądny, by dać jej czas na cofnięcie ich po głębokim namyśle. Przymknięte powieki nadawałyby mu wyraz rozleniwienia, gdyby nie przenikliwe spojrzenie szarych oczu. Było w nich coś niebezpiecznego, kontrastującego z ciemnymi brwiami i pojedynczym pasmem siwizny nad czołem.

– Przygotowania do odjazdu zajmą mi godzinę – powiedziała tak samo ozięble jak przedtem. – Nie mogę zabrać stąd dzisiaj wszystkiego, ale polecę Franklinowi, żeby złożył moje osobiste rzeczy na strychu, i przyślę po nie, gdy tylko uporządkuję własne sprawy. Sądzę, że to panu wystarczy, wasza wysokość.

– Nie. Wcale mi nie wystarczy. – Ujął za karafkę i ponownie napełnił kieliszek. – Nie mam zamiaru wyrzucać pani z jej domu. Może pani w nim zostać tak długo, jak zechce.

– Nie rozumiem. Czy to oznacza, że pozwoli mi pan tu przebywać?

Gdy się ku niej zwrócił, w szarych oczach widniał uśmiech, a ciemne brwi i siwe pasmo włosów nie wyglądały już tak posepnie.

– Oczywiście. Nie jestem potworem, za jakiego mnie pani uważa, lady Arabello.

W jego uśmiechu było coś zaraźliwego i Arabella poczuła, że jej twarz też się rozpogadza. Z pewnością oceniła go trafnie. Jasno powiedział, co uczynił, a choć Frederick był tylko jej przyrodnim bratem i nie darzyła go uczuciem, książę nie mógł wiedzieć o graniczącej z otwartą wrogością obojętności, jaką względem niego czuła. Jego relacja o śmierci Fredericka świadczyła w najlepszym razie o tym, że traktował sprawę powierzchownie, w najgorszym razie zaś – że jest gruboskórnym człowiekiem. Nie dbał ani trochę o jej uczucia. A jednak ten uśmiech zdawał się wskazywać na istnienie jakichś sympatyczniejszych cech.

Wybrała neutralność.

– Proszę mi wybaczyć moją nieuprzejmość. Nowiny, jakie pan przyniósł, wstrząsnęły mną. Muszę jednak podziękować za pańską ofertę.

– Cała przyjemność po mojej stronie, madame. – Uniósł jej dłoń do ust, jego wargi lekko do niej przywarły, co nie było zupełnie stosowne przy tak krótkiej znajomości i wystarczyłoby nieznaczne muśnięcie. Uznała jednak, że nie jest to odpowiednia chwila na skrupuły. Jeśli miał jej pozwolić na pozostanie w domu, póki nie ukończy przygotowań do odjazdu, rozsądniej byłoby go do siebie nie zrażać.

– Może pozwoli się pan czymś poczęstować przed powrotem do Londynu? – spytała, cofając dłoń, gdy tylko puścił jej palce. – Już prawie południe, a pan pewnie nic nie jadł od wczesnego rana.

– Wyruszyłem o świcie z Londynu – powiedział swobodnie – ale nie wracam tam wcale.

– O? – Arabella uniosła wyraziste brwi. – Czyżby miał pan przyjaciół w Kent?

Zaprzeczył ruchem głowy, a błysk jego oczu znów sprawił, że poczuła gęsią skórkę zwiastującą jakieś niebezpieczeństwo.

– Nie, ale mam w Kent dom. Bardzo piękny, jak mi się zdaje. – Wskazał ręką otoczenie. – Zamierzam zatrzymać się tu na dłużej. Muszę pomówić z rządcą i mam nadzieję spotkać się z dzierżawcami, a także, oczywiście, ze służbą. Na wsi jest o wiele przyjemniej niż w Londynie podczas letnich upałów. Na pewno pani się ze mną zgodzi.

Arabella poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

– Wydaje mi się, że jestem dziś rano nieco otepiała – rzekła powoli. – To pewnie z tego upału. Miałam wrażenie, że pozwolił mi pan tu przebywać, nim wszystko załatwię.

– Jak najbardziej. Może pani zostać w tym domu tak długo, jak pani odpowiada.

– Czy to znaczy, proszę mi wybaczyć, jeśli coś źle zrozumiałam, że ma pan zamiar mieszkać ze mną pod jednym dachem?

– Znowu uniosła brwi.

– Ależ tak. Nie jest pani ani trochę otepiała, milady. Doskonale pani wszystko rozumie.

Posłał jej serdeczny, przyjacielski uśmiech, tym razem jednak nie rozwiązał on jej obaw.

W jej brązowych oczach znowu błysnął gniew.

– Świetnie się pan bawi moim kosztem, wasza wysokość. Nie rozumiem tylko, czym sobie na to zasłużyłam. Proszę mi wybaczyć. – Arabella ruszyła ku drzwiom.

Jack zastąpił jej drogę i położył dłoń na framudze. Obydwa psy warknęły jednocześnie i zjeżyły grzbiety.

– Leżeć – rozkazał im, a psy, ku żalowi Arabelli, usłuchały, choć nadal wlepiały w niego ślepia.

– Wcale nie bawię się twoim kosztem, Arabello. Proszę mi wierzyć, nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Mieszkałaś pod jednym dachem z przyrodnim bratem, prawda?

Postanowiła zignorować tę poufałość, podobnie jak przedtem zignorowała ucałowanie jej dłoni, i znów skrzyżowała ręce na piersi, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, że panuje nad sytuacją i że nic jej nie zaskoczy. Nerwy jednak miała napięte do ostateczności, gotowa zareagować na wszystko, do czego mogło dojść w tym dziwnym starciu.

– Rzadko tu zaglądał – odparła, niechętnie wracając myślą do jego okropnych przyjazdów, kiedy wraz z bandą hałaśliwych rozpustników panoszyli się w całym domu. Wycofywała się wówczas do własnych pokojów po prostu w odruchu samoobrony i nie wychodziła stamtąd, póki on i jego kompani się nie wynieśli.

– No i nikt w tym nie widział niczego niestosownego.

– Oczywiście, że nie – zaprzeczyła zniecierpliwiona. – Frederick był moim bratem, a ja znajdowałam się pod jego opieką. – Raczej cierpiała z powodu tej wątpliwej opieki, pomyślała ponuro, lecz wolą zachować tę refleksję dla siebie.

– A więc chciałbym zająć teraz jego miejsce. Pani brat powierzył mi opiekę nad panią. – Poklepał się po kieszeni, w której spoczywało pismo. – Wyraźnie ustalono, że hrabia Dunston przekazał mi zarówno wszystkie swoje obowiązki, jak i rzeczy wartościowe. – Uśmiechnął się dyskretnie. – Uważam panią, lady Arabello, za cenny nabytek.

Arabella nie zmieniła wyrazu twarzy i nieznaczny uśmiech zniknął z warg Jacka, który nie miał zamiaru marnować osobistego uroku, jeśli ktoś na niego nie reagował. Ciągnął dalej już dość obojętnym tonem:

– Uważam ponadto, że winienem objąć panią opieką niejako w zastępstwie brata. Jeśli nie budziło niczyich sprzeciwów to, że mieszkała pani pod jednym dachem z Frederickiem, jakże można sprzeciwiać się temu, że mieszka pani pod jednym dachem z jego następcą?

Absurdalna logika tego rozumowania oznaczała zgubę Arabelli. Odwróciła się nagle, wydając dziwny, zduszony dźwięk i podeszła do okna. Stała tam, zasłaniając ręką usta i patrząc na ukochany ogród. Jack, zaniepokojony drganiem jej ramion, podszedł do niej kilkoma szybkimi krokami.

– Arabello...

Odwróciła się ku niemu i ze zdumieniem zrozumiał, że ona trzęsie się ze śmiechu, a jej oczy błyszczą jak topazy.

– Najwyraźniej nigdy nie miał pan przyjemności spotkać lady Alsop – rzuciła z rozbawieniem.

Pokręcił głową i z kolei w jego oczach rozbłysła wesołość, choć nie miał pojęcia, co zrobił, wywołując taką reakcję.

– Lady Alsop jest żona wicehrabiego Alsopa z Alsop Manor – oznajmiła uroczyście Arabella. – To bardzo konsekwentna osoba o niezłomnej wręcz moralności, powszechnie uważana za wyrocznie w sprawach dobrego prowadzenia się na jakieś dwadzieścia mil wokoło. Nikt nie chce się narazić na jej potępienie.

Jack powoli pokiwał głową, a błysk w jego oku stał się jeszcze wyraźniejszy.

– Wyczuwam w pani słowach ton dezaprobaty madame. Czy wzmiankowana dama nie jest czasem zbyt czuła na punkcie swego autorytetu?

– Jak najbardziej. Lavinia Alsop jest córką prowincjonalnego prawnika, lecz zdołała przesłonić swe niezbyt wysokie pochodzenie nadmierną pewnością siebie i potrafi jednym zmarszczeniem brwi sterroryzować socjetę całego hrabstwa – odparła Arabella, z większą dozą pogardy niż rozbawienia. – Gdy tylko usłyszy o śmierci Fredericka i pańskim przybyciu do Lacey Court, zaatakuje mnie bez wahania. Przybędzie tu najpóźniej jutrzejszego ranka.

– Z chęcią ją poznam i wyjaśnię całą sytuację – odparł poważnie Jack.

Arabella nie potrafiła się opanować. Zawsze miała wyostrzone poczucie humoru, które dawało znać o sobie w najmniej odpowiednich momentach. Był to zapewne jeden z nich. Nie umiała się oprzeć pewnemu pomysłowi. Sama nie poradziłaby sobie z Lavinią Alsop, ale gdyby tak połączyć siły z Jackiem Fortescu... cóż by to była za wspaniała batalia!

– Wie pan co – powiedziała z kwaśnym uśmiechem – już bym się chyba zgodziła na ten pański plan, żeby ujrzeć jej twarz, kiedy będzie pan wyjaśniał, że właściwie nie ma różnicy między samotną kobietą żyjącą pod jednym dachem z bratem a taką, która żyje pod opieką obcego mężczyzny.

– No, to... – Rozłożył zachęcająco ręce.

Wahała się, bo wcale nie miała ochoty opuszczać domu, ogrodu, orchidei, a już na pewno nie bez uprzednich przygotowań. Orchidee wymagały codziennych starań, choć Weaver, główny ogrodnik, zająłby się nimi według jej wskazówek, ale bez czulej uwagi, która pomagała im się rozwijać. Wiedziała, że zawsze może liczyć na życzliwość Barrattów. Meg Barratt była jej najlepszą przyjaciółką od czasów dzieciństwa, a sir Mark i

lady Barratt traktowali Arabelle jak własną córkę. Było to jednak tymczasowe rozwiązanie, gdyż mieli oni mocno ograniczone środki. No i plebania. David i jego żona przyjęliby ją z otwartymi ramionami na pewien czas, ale przy sześciorgu dzieciach niewiele było miejsca dla gości. Prócz tego sama idea pozostawania na łasce przyjaciół jawiła się jej jako coś okropnego.

Z brutalną szczerością uświadomiła sobie, że poszukiwanie rozwiązania teraz, kiedy straciła ziemię i dom, zajmie jej trochę czasu i nieuchronnie będzie wymagać kompromisów. Dalecy krewni matki mieszkali w Kornwalii, lecz od jej śmierci kontakty z nimi bardzo się rozluźniły. Należy napisać listy... listy pełne prośb. Skrzywiła się z niesmakiem.

Jack wsparł szerokie plecy o gzyms kominka i patrzył na nią, pogrążoną w rozterce. Z jej twarzy dało się wyczytać, o czym myśli. Spodziewał się, że będzie przypominać z wyglądu Fredericka, lecz nic nie świadczyło o tym pokrewieństwie. Niemalże sobie życzył, by się okazała uderzającego podobna do Lacey'a. Łatwiej byłoby mu wtedy utrzymać dystans i traktować w czysto pragmatyczny sposób zaproponowany układ. Powitał jednak raczej z ulgą niż konsternacją jej zupełny brak podobieństwa do brata. Co, jak uznał, nie było najrozsądniejszą reakcją.

Myśl ta pchnęła go do raczej gwałtownie zadanego pytania:

– Więc jak?

Poniechała rozmyślań lekko zaskoczona. Blask jego oczu przygasł i wydawały się teraz bardziej grafitowe niż szare, a przy tym zimne i przenikliwe. Potem jednak, jakby wyczuł, że takie spojrzenie nie pomoże mu w jego zamiarach, uśmiechnął się, a oczy ponownie zabłysły.

– No, Arabello, stawimy razem czoło tej lady Alsop. Wie pani, że to, co proponuję, nie jest precedensem. Gdybym był pani prawnym opiekunem, nie byłoby tu mowy o żadnej niestosowności. A w domu ma pani mnóstwo przyzwoitek. Gospodyni, pokojówki, może i stara niania?

– Jestem zbyt dorosła na opiekunów czy nawet przyzwoitki – upomniała go. – Mam dwadzieścia osiem lat, to już prawie starość, nie jestem do wzięcia.

Wydawała się tak zadowolona z tego oświadczenia, że z trudem stłumił rozbawienie.

– Z czego wynika, że sama może pani o sobie decydować. Jeśli pani uzna, że nie ma tu mowy o żadnej niestosowności, któż może robić z tego kwestii?

– Lady Alsop – odparła, marszcząc brwi – lecz skoro nie jestem już, jak powiedziałam, w najodpowiedniejszym wieku do małżeństwa, moja reputacja się nie liczy.

Postanowiła już, co zrobi. Postawiła na niekonwencjonalne rozwiązanie, lecz nigdy nie trzymała się niewolniczo konwenansów, a dom był dość obszerny, by pomieścić dwie osoby i nie narazić ich na ciągłe wchodzenie sobie w drogę. Robiłaby po prostu to, co wcześniej podczas wizyt Fredericka: siedziałyby we własnych pokojach.

– Niech tam sobie plotkują. – Wzruszyła ramionami.

– Zapewniam pana jednak, że nie będę nadużywać pańskiego czasu ani uwagi i natychmiast zacznę przygotowywać się do odejścia. Może to zająć parę tygodni, bo poczta zwykle wolno kursuje.

Zwróciła się ku drzwiom, myśląc o niedogodnościach wynikłych z jej obecnej sytuacji. A w najbliższych tygodniach jeszcze ich przybędzie, kiedy

przyjdzie się jej zmierzyć się z rzeczywistością, pomyślała z przygnębieniem.

– Skoro mego brata już nie ma... czy byłby pan tak dobry, wasza wysokość, żeby wysłać listy?

– Może pani pod każdym względem liczyć na moją pomoc.

– Dziękuję – odparła i rzeczywiście była mu wdzięczna. Kładła już rękę na klamce, psy czekały tuż przy niej.

– A czy ja też mógłbym na coś liczyć? – spytał, powstrzymując ją przed otwarciem drzwi.

Odwróciła się nadal z dłonią na klamce.

– O co chodzi?

Odpowiedział jej w sposób równie formalny, jak ona jemu.

– Nie znam tego domu, madame. Czy mogłaby mi pani wskazać moje apartamenty? Moje konie powinny się znaleźć w stajni, woźnice w odpowiednich kwaterach, mego lokaja trzeba przedstawić gospodyni i kamerdynerowi.

– Z pewnością pańskie konie są już w stajni, wasza wysokość. Mój dom prowadzą... – Urwała, a potem poprawiła się:

– Ten dom prowadzą Franklin i pani Elliot. Nie sądzę, by musiał pan na nich narzekać.

– Wcale nie chcę narzekać – zaprotestował łagodnie. — Proszę jedynie o oprowadzenie po domu. Może po południu zechce mi pani towarzyszyć w objeździe posiadłości?

Plany te nie pasowały do jej wyobrażeń o dwojgu ludziach dzielących wprowadzić dom, ale utrzymujących między sobą dystans. Trzeba było z miejsca jasno postawić tę sprawę.

– Pani Elliot pokaże panu dom – odparła chłodno – a Franklin pośle po Petera Baileya, rządcę, i on pana obwiezie. Pokaże też panu wszystkie księgi, będzie panu towarzyszył i powie wszystko, co tylko zechce pan wiedzieć.

– Rozumiem. – Fortescu odstąpił od kominka. – Przypuszczam zatem, że wie pani niewiele o tym, co się dzieje z majątkiem.

Jak się spodziewał, poczerwieniała lekko po tej uwadze.

– Przeciwnie. Mój brat wcale się nim nie interesował. Bardzo blisko współpracowałam z Peterem... – Urwała, zrozumiawszy, że zastawiał na nią zręcznie pułapkę. – Z pewnością udzieli on panu wszelkich objaśnień. Mam sporo do roboty dzisiejszego popołudnia... myślę o swoim planowanym odjeździe.

– Ach, tak. – Skinął głową, jakby się z nią zgadzał. – Ale może znajdzie pani parę chwil, żeby pokazać mi dom i moje apartamenty...

Arabella pragnęła mu odmówić, lecz nie mogła się zdobyć na taką nieuprzejmość. W końcu było czymś naturalnym, że jest gospodynią, ale czuła się nieswojo na myśl o pokazywaniu nowemu właścicielowi domu, gdzie spędziła całe życie, a po śmierci ojca uważała go za własną siedzibę, mimo że oficjalnie należał do Fredericka. Prośba księcia nie była jednak czymś bezzasadnym, nawet jeśli Arabella kwestionowała jej motyw. Całkiem jakby chciał ją przekonać, że ma najlepsze zamiary. Nie mogła się jednak pozbyć podejrzeń, że prawda może wyglądać odwrotnie. Książę St. Jules nie miał żadnego powodu do okazywania jej względów.

Ogarnęły ją wątpliwości. Czyżby igrała z ogniem? Gdyby nawet tak było, upomniała się w duchu energicznie, to przecież ma dość oleju w głowie, żeby nie poparzyć sobie palców. A poza tym, czyż miała jakiś wybór?

Uśmiechnęła się więc do niego z dystansem.

– Ależ jak najbardziej. Proszę za mną. – Opuściła bibliotekę, a psy dotrzymywały jej kroku.

Kwadratowy hol był pusty, choć zdawało się jej, że jest obserwowana z ukrycia. Cała służba pragnęła wiedzieć, co się stało, i ta ciekawość wisiała w powietrzu. Musi pomówić z Franklinem i panią Elliot, gdy skończy niemiły obowiązek oprowadzania nowego właściciela po Lacey Court. Stawiała już nogę na pierwszym stopniu, gdy poczuła, że księżę nie idzie za nią. Stał w otwartych drzwiach, na tle smugi słonecznego światła, która padała na dębową posadzkę.

– Chyba mojej służbie też się to należy – zauważył, odwracając się w stronę holu.

– Przecież zapewniłam pana, że tak będzie – odparła cierpko.

– Owszem – zgodził się z uśmiechem – ale ja zawsze chcę się upewnić.

Arabella szczerze zapragnęła rzucić się w ramiona kornwalijskim krewnym z okrzykiem radości.

– Zapewne chciałby pan mieszkać w apartamentach mego brata? – spytała, siląc się na obojętny ton, całkiem jakby chodziło o coś bez znaczenia.

– Należą pewnie do pana domu?

– Tak – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

– W takim razie będą dla mnie najodpowiedniejsze – odparł uprzejmie, zbliżając się do schodów szybkim, swobodnym krokiem, który przypominał jej czającego się jaguara. Wprawdzie nigdy nie widziała tego zwierzęcia, ale wyobrażała sobie, że wielki kot poruszałby się równie pozornie swobodnymi ruchami, jak księżę St. Jules. A także miałyby równie nieokreśloną groźbę

czającą się w oczach. Wyciągałby powoli pazury i ziewał, ukazując mocne białe zęby...

Od strony schodów rozległo się dyskretne kasznięcie. Arabella poniechała rozmyślań na widok Franklina.

– Milady, sądząc z tego, co mówił służący jego wysokości, księżę chciałby się zatrzymać na noc w Lacey Court. Polecono mi poczynić do tego przygotowania.

Wszystko w pozie Franklina świadczyło, że czuje się urażony i zaniepokojony. Rozmowa z lokajem księcia najwyraźniej go wzburzyła, a poczucie przyzwoitości kamerdynera uraził fakt, że obcy człowiek będzie spał w tym domu pod nieobecność hrabiego Dunston.

– Owszem – odparła spokojnie. – Jestem pewna, że wiesz, jak zapewnić jego służbie wygodę.

Wsparała rękę na słupku poręczy, którego znajoma krągłość pomogła jej oznajmić opanowanym tonem:

– Lord Dunston zmarł kilka dni temu w Londynie. Lacey Court należy teraz do jego wysokości. Z pewnością pomówi on ze służbą przy najbliższej sposobności i wszystko dokładnie wyjaśni.

Spojrzała na księcia.

Jack schylił głowę w geście potwierdzenia i odparł uprzejmie:

– Byłbym ci wdzięczny, Franklinie, gdybyś zechciał razem z panią Elliot, bo tak się ona chyba nazywa, przyjść do biblioteki o trzeciej po południu. Omówimy wtedy wszystkie zmiany, jakie zamierzam tu wprowadzić, jeśli w ogóle okażą się potrzebne.

Franklin wlepił wzrok w Arabellę z półotwartymi ustami. Twarz miał ściągniętą.

– Lord Dunston nie żyje? – wyszeptał.

– Tak.

– Żałoba – mruknął Franklin tym samym, pełnym oszołomienia tonem. Jak zawsze podczas kryzysu, szukał ulgi w detalach. – Zaraz wywieszę czarne szarfy na drzwiach. Dom musi być w żałobie... Ludzie będą pani składać wizyty z kondolencjami, milady... A co z pogrzebem? Czy się odbędzie tu, czy w Londynie?

Arabella wzięła głęboki oddech. W całym tym zamieszaniu zapomniała o wszystkich nakazanych zwyczajem rytuałach. Co miała powiedzieć o śmierci Fredericka? Samobójcy nie można przecież pochować w poświęconej ziemi. Wyjawienie prawdy skazałoby całą rodzinę na infamię, lecz jak to ukryć?

Księżę odchrząknął. Spojrzała na niego pytająco.

– Pani brat... lord Dunston... zostawił mi, jako swemu dziedzicowi, wyraźne instrukcje co do pogrzebu i żałoby, lady Arabello. Nie życzył sobie, by pani dźwigała jej brzemię. Pragnął cichego pogrzebu natychmiast po śmierci i wypełniłem jego wolę w Londynie, nim jeszcze tu przybyłem. Zażądał, żeby nie nosić po nim żałoby, a ja jestem pewien, że nie uchybi pani jego ostatniej woli.

Franklin spoglądał oszołomiony na nowego właściciela Lacey Court.

– Jaką śmiercią zmarł lord, wasza wysokość?

– W pojedynku – wyjaśnił pośpiesznie Jack. – Zmarł z odniesionych w nim ran. Zostawił bardzo wyraźne instrukcje co do pogrzebu.

– Rozumiem – mruknął Franklin, patrząc w ziemię. Oboje z panią Elliot przepowiadali po cichu hrabiemu podobną śmierć, lecz mimo wszystko należało przestrzegać pewnych reguł. Pokręcił głową.

– To nie w porządku, milady.

– W rzeczy samej, lecz musimy uszanować jego życzenie – odparła. Oczywiście Frederick nie zostawił wcale żadnej ostatniej woli, ale nie zamierzała bynajmniej kwestionować prawdziwości historyjki księcia.

Franklin nie wyglądał na przekonanego. Spojrzał w stronę St. Julesa i cokolwiek miał na myśli, wolał to zamilczeć. Skłonił się.

– Witam w Lacey Court, wasza wysokość – powiedział drewnianym głosem.

– Dziękuję, Franklinie – odparł Jack i dodał bardzo uprzejmie: – Zapewniam, że działam w całkowitej zgodzie z prawem i nikt w tym domu nie musi się lękać utraty pracy. Proszę powtórzyć to całej służbie, kiedy będziesz im wszystko wyjaśniał.

Franklin skłonił się ponownie z wyraźną ulgą.

– Pani Elliot i ja będziemy czekać na waszą wysokość punkt o trzeciej.

Jack potwierdził raz jeszcze swoje słowa i poszedł za Arabellą. Położył dłoń na jej talii, jakby chciał dodać kobiecie odwagi, lecz ona nieomal podskoczyła, tak bardzo zdumiała ją poufałość tego gestu. Cóż on sobie myślał? Znowu naszły ją wątpliwości i niemal biegiem dotarła do podestu. Księżę podążał za nią swobodnie, gdy szła pośpiesznie korytarzem prowadzącym do wschodniego skrzydła pałacu.

– Pokoje Fredericka są tu, wasza wysokość. – Otworzyła podwójne drzwi. – Mam nadzieję, że będzie panu w nich wygodnie.

– Pani pierwsza – odpowiedział z uprzejmym gestem.

– Wyobrażam sobie, że wprowadzi pan w sypialni swoje zwyczaje – stwierdziła, a potem pożałowała, że nie ujęła tego inaczej. – Jeśli czegoś będzie trzeba, przy kominku jest sznur od dzwonka. Przyślę tu pańskiego sługę z bagażami.

– Proszę mi powiedzieć – zagaił tonem uprzejmej rozmowy, wchodząc do sypialni – czy pani zdaniem lady Alsop i jej podobni zaakceptują przedśmiertną wolę brata?

Arabella nadal stała w drzwiach. Był to bezpieczny temat poruszany z bezpiecznej odległości, a jej serce było już normalnie.

– Tak, ale może ona narobić plotek. Odda się temu zresztą z zapalem.

– Będziemy się jednak dobrze bawić, wprowadzając tu nieco zamieszania, nieprawdaż? – spytał z nieco przewrotnym uśmiechem.

– Nie mam ochoty, żeby plotki powędrowały za mną do Kornwalii – oświadczyła. Nie odpowiedziała mu równie konspiracyjnym uśmiechem, bo rosło w niej przeświadczenie, że cały jego urok jest jedynie maską. Książę był niebezpieczny. Tak niebezpieczny jak rapier, który nosił u boku. Chciała się oprzeć jego wdziękowi z równą energią, z jaką odrzuciła jego niestosowną poufałość.

– Do Kornwalii? – spytał zaskoczony.

– Mieszka tam rodzina mojej matki – odparła z rezerwą.

– Pojadę tam, gdy tylko wszystko uporządkuję. – Siliła się, żeby zabrzmiało to jak coś nieodwołalnego.

– Niewesołe perspektywy – zauważył, obchodząc pokój.

– Czy nie wolałaby pani znaleźć się w Londynie? Stolica jest bardzo interesującym miejscem. Można tam sobie świetnie wyostrzyć umysł.

– Nie stać mnie na życie w Londynie. A już z pewnością nie teraz.

– Jako moja żona mogłaby pani żyć, gdzie tylko by chciała i jak tylko by chciała.

– Dziękuję, ale Kornwalią bardziej mi odpowiada. Ma lepszy klimat dla orchidei.

– Mogłaby pani mieć cieplarnię i w Londynie – stwierdził, przestając obserwować ogród za oknem, lecz w drzwiach nie było już nikogo. Wzruszył ramionami i zacisnął wargi. Nie spodziewał się takiego oporu ze strony siostry Fredericka. Miał wszelkie powody sądzić, że skwapliwie przyjmie jego oświadczenia, czy się jej to będzie podobało, czy nie. Cóż jej innego pozostało? Ile kobiet, a już zwłaszcza starych panien bez grosza przy duszy, odrzuciłoby rękę księcia... w dodatku jednego z najbogatszych ludzi w kraju?

Kornwalia. Też coś! Skrzywił się. Jakaż to musi być nudna prowincja. Londyn, jego Londyn, byłby idealnym miejscem dla tej niezwykłej kobiety. Tam jej bystry umysł i niekonwencjonalny wygląd mogłyby zabłysnąć w pełni.

Cóż ona sobie u diabła myśli? Pokiwał głową z niedowierzaniem. Widok Arabelli Lacey brylującej wśród socjety był ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. Zdobycie jej uważał jedynie za środek do celu, za ostateczne dopełnienie zemsty. Zamierzał poślubić tę skromną, nieciekawą starą pannę, która mogłaby przecież pozostać z dala od niego, gdzieś na wsi w Kent, co mu odpowiadało, i wypełniałaby małżeńskie obowiązki bez zastrzeżeń, gdyby mu to również odpowiadało, a przy łacie szczęścia i cierpliwości dałaby mu dziedzica. Z pewnością nie miał zamiaru sprawić jej w ten sposób jakiegś szczególnej przyjemności i nie spodziewał się też żadnej doznać. Z wyjątkiem satysfakcji, jaką sprawiała mu świadomość, że zawłaszczył właśnie ostatnią część schedy po Fredericku Lacey. A tylko siostra zmarłego mogła mu tę satysfakcję zapewnić.

Czemu więc starał się ją oczarować? Żeby szybciej przyjęła jego oświadczenia, które – jak się szybko o tym przekona – będzie musiała przyjąć? Nie potrzebował tego robić.

W pokoju było gorąco. Uchylił jedną z kwater okna, ściągnął czarny surdut i poluzował obszyty koronką halsztuk, nim jeszcze odpasał rapier. Ostrożnie położył go, razem z pochwą, na parapecie i spojrzął na sad, rozciągający się za ogrodem. Hrabstwo Kent nazywano ogrodem Anglii. Było rzeczywiście żyzne, drzewa uginały się pod ciężarem owoców, a na polach złociło się dojrzewające zboże.

Charlotte tak lubiła wieś... wołała ją o wiele bardziej od Londynu. Kragłe wzgórza Burgundii też odpowiadały jej łagodnej i pogodnej naturze, ale mąż, hrabia Villefranche, był związany z dworem Ludwika XVI. Charlotte zajęła tym samym należne jej miejsce w otoczeniu królowej Marii Antoniny.

Villefranche pojechał na tym samym wózku, co księżę Orleanu, kiedy nadszedł czas jego spotkania z Panią Gilotyną, a Frederick Lacey zadbał, by Charlotte spotkał podobny los, jak jej męża.

Jack rzucił się na łóżko i założył ręce pod głowę. Kiedy nachodziły go wspomnienia i wzbierała w nim wściekłość, pozwalał im się ogarnąć, bo inaczej dusił go ponury nastrój i nie był w stanie ani jasno myśleć, ani działać. Przymknął oczy i raz jeszcze przeżywał wszystko, co stało się tego gorącego popołudnia. Znow to widział, znow podsycił w sobie pragnienie zemsty, umacniał swoją decyzję.

Spragniony krwi motłoch tłoczył się wokół furmanek wiozących skazańców na plac Bastylli. Stare więzienie było już tylko kupą gruzu, na którą wspinał się wyjący tłum, żeby lepiej widzieć egzekucje. Ostrze sunęło w dół, wydając mdlący odgłos, gdy wrzynało się w ciało. Głucho dudniły odcięte głowy, wpadając do kosza, lecz to słyszeli tylko ci, którzy stali blisko zalanego krwią szafotu.

Jack miał na sobie ubiór sankiuloty, z trójbarwną kokardą przypiętą do czapki, gdy torował sobie drogę w ciżbie, z dala od gilotyny, kierując się w stronę narożnika placu. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że ten sankiulota jest Anglikiem, który codziennie przychodzi pod gilotynę, żeby się przekonać, który z jego przyjaciół i znajomych zginął, a potem wysyła listy do zatrwożonych krewnych w Anglii, rozpaczliwie wyczekujących wieści. Nie wyróżniał się niczym z tłumu, przez który się przepychał, starając się oddalić od odoru krwi. Gdy zdołał się wydostać z ciżby, wziął głęboki oddech. Powietrze było tu ciężkie od woni potu, cebuli, stęchłego wina, ale przynajmniej nie czuł tego smrodu krwi.

Dostrzegł trzech członków *securite* stojących na rogu. I mężczyznę, który był z nimi, modnie co prawda ubranego, ale z przekrzywioną peruką, podartymi koronkami mankietów i bez halsztuka, bo zdarto mu go z szyi. Nietrudno się było domyślić dlaczego. Jeden z *securite* wydarł mu szmaragdową szpilkę i wraz ze swymi kompanami zaśmiewał się, popychając nieszczęśnika ku gilotynie.

Jack patrzył przez chwilę na tę scenę, nie zmieniając wyrazu twarzy, ale z dłonią bezpiecznie wspartą na rękojeści sztyletu ukrytego pod brudną kamizelką. Zatrzymany był Anglikiem, a członkowie *securite* nie powinni się nim raczej interesować. Jednakże większość paryskich Anglików w tych strasznych czasach wolała się trzymać z dala od ulic. Nie obnosili się też ze szmaragdami i koronkami. Tylko głupiec, krańcowo arogancki głupiec, mógł się w ten sposób narażać na niebezpieczeństwo. Ale Frederick Lacey, hrabia Dunston, zawsze był krańcowo aroganckim głupcem i cokolwiek robił w Paryżu, nie było to nic dobrego.

Gdyby Jack przyszedł mu z pomocą, zginąłby na pewno razem z nim, a jakież byłby pożytek ze śmierci obojwóch? Zrobił krok ku tej grupie, a

zatrzymany spojrział dzikim wzrokiem wprost na niego. St. Jules dostrzegł w jego oczach błysk rozpoznania. Nic dziwnego, pomyślał. Zawsze można rozpoznać kogoś, kto nawet pod przebraniem nieomal nas zabił.

Dunston, który wił się w uścisku strażników, zaczął bełkotać, gorączkowo wymachując ręką. Najwyraźniej przyciągnął czymś uwagę swoich prześladowców, bo przestali go popychać w stronę szafotu i gwałtownie zaczęli wypytywać. Potem zaś, trzymając wciąż ofiarę mocno za łokcie, zawrócili i wyciągnęli ją z placu.

Jack wśliznął się po cichu w pobliski zaułek. Cokolwiek Dunston im powiedział, udało mu się przynajmniej uzyskać zwłokę, on zaś miał co innego do roboty w tym mieście.

O zmierzchu powrócił do Marais i wąskiej uliczki, gdzie miał sklep pewien handlarz wina. Drzwi były zamknięte i zaryglowane, okiennice zatrzęsnięte. Przez chwilę stał, patrząc na front sklepu ze zgrozą. Potem spojrział wyżej, ku małemu okienku na poddaszu. Również i ono było zatrzęsnięte. Jakieś drzwi otwarły się z hałasem po przeciwnej stronie uliczki. Odwrócił się. Staruszka w zaniedbanym, czarnym stroju wdowy stała, wpatrując się w niego. Podszedł do niej powoli, a ona wśliznęła się przez wąskie drzwi do wnętrza. Podążył za nią w mroku. Beładnie gestykulowała wykrzywionymi rękami, mówiąc o *securite*, którzy przyszli do sklepu z winem, o mężczyźnie, który im towarzyszył, o tym, że wszystkich zabrali. Kobiety również.

Jack otworzył oczy. Wspomnienia zbladły, zniknęła woń krwi, przedtem wyraźnie wyczuwalna. Nadal czuł jednak taką samą zgrozę, jak wtedy, gdy patrzył na zatrzęsnięte okienko poddasza.

A był już tak bliski wywiezienia Charlotte z Paryża. Za dwa dni kornwalijska łódź rybacka przybiłaby do dzikiego, skalistego wybrzeża

Bretanii. Wszystko było przygotowane do ich ucieczki. Mieli tylko czekać jeszcze jeden dzień.

Na razie nic im nie groziło, choć byli w samym środku piekła, ukrywając się na poddaszu nad sklepem kupca winnego w Marais. Dla wszystkich byli obywatelem i obywatelką Franche, lojalnymi sankiulotami, równie jak inni gotowymi tańczyć wokół furmanek i szydzić z arystokratów, którzy na nich jechali ze związanymi rękami – kobiety w samej bieliźnie, mężczyźni w rozpiętych koszulach, odsłaniających szyje przed czekającym je ostrzem.

I tego właśnie ostatniego popołudnia, kiedy Jack wyszedł, żeby zebrać wiadomości o ostatniej masakrze więźniów w Chatelet, członkowie *securite* przyszedli do sklepu handlarza winem. Wiedzieli, kogo szukają i gdzie mają znaleźć Charlotte. Gdy wrócił, już jej nie było. Wyśledził, że zabrano ją do więzienia La Force, lecz tej samej straszliwej wrześnie nocy straż napadła na więźniów i wszystkich zmasakrowała. Na dziedzińcu więziennym piętrzyły się okaleczone, sponiewierane zwłoki zalane krwią.

Jack za wszelką cenę chciał zapomnieć sceny, które na zawsze utrwaliły się w jego pamięci. Szukał wtedy ciała Charlotte pomiędzy ofiarami rzezi i rozpaczliwie ją nawoływał, póki jakaś starucha, jedna z trykociarek*, z nieskrywanym zadowoleniem powiedziała mu o kobiecie z dziwnym pasmem siwych włosów nad czołem. Wyciągnięta z celi jako jedna z pierwszych, została zakłuta przez strażników.

** Kobiety, które przyglądały się egzekucjom, robiąc przy tym na drutach (przy. tłum.).*

Jack chętnie by sam zakłutł staruchę swoim sztyletem, gdyby przyjaciele, ryzykując własne życie, go nie odciągnęli. Niewiele pamiętał z ucieczki z Paryża i podróży przez francuską prowincję. Rybacka łódź

wysadziła go na wybrzeżach Kornwalii. Wiedział jednak, kto wydał Charlotte w ręce *securite*. Frederick Lacey. Ocalił jej kosztem własną skórę, mszcząc się ponadto za dawną zniewagę, której doznał od Jacka.

Lacey zapłacił jednak za to swoim życiem, a wszystko, co miał – prócz jego przyrodniej siostry – należało teraz do St. Julesa. Lacey był winien śmierci Charlotte, pozbawił Jacka ukochanej siostry. Księżę pragnął zawładnąć siostrą Lacey'a, a ta miała mu dać ostatnią rzecz, dzięki której jego zemsta na Laceyu będzie kompletna. Dunston smażył się teraz w piekle, lecz cały ogień piekielny był niczym wobec tego, że doprowadził go do zguby człowieka, którego Frederick nienawidził przez większą część swojej nędznej ziemskiej egzystencji.

Jak zawsze, ta myśl dała Jackowi niemal dziką satysfakcję. Arabella Lacey nie była taka, jak się spodziewał, ale skąd mógł wiedzieć, że ta prowincjonalna stara panna okaże się odważna i pewna siebie? I taka wojownicza... Nic to jednak nie zmieniało. Poślubi ją tak czy owak. Będzie cierpliwy i osiągnie swój cel.

3

Tak więc wygląda sytuacja – powiedziała Arabella, uśmiechając się do gospodyni w sposób, który – jak uważała – miał jej dodać odwagi.

– Proszę o wybaczenie, milady, ale to nie wydaje się w porządku. Aż mi się w głowie kręci – dodała pani Elliot. – Tak nagle straciliśmy jego lordowską mość, a był jeszcze całkiem młody. – Pociągnęła nosem. – Oczywiście, żył jak żył... nie mnie o tym mówić. – Spojrzała porozumiewawczo na Franklina, który kiwnął głową.

Arabella wołała nic więcej nie mówić. Gwałtowna i przedwczesna śmierć brata z pewnością będzie głównym tematem rozmów i rozważań służby przez najbliższe tygodnie, jeśli nie miesiące.

Stanowczo postanowiła skierować rozmowę na to, co działo się teraz.

– Jego wysokość mówi, że nie życzy sobie żadnych większych zmian co do służby, nikt więc nie powinien się obawiać, że straci pracę.

– Na pewno nastąpią jakieś zmiany, madame – oświadczyła pani Elliot, wycierając ręce w fartuch. – Całkiem to zrozumiałe.

– Pewnie tak. – Arabella westchnęła. – Książę nie będzie jednak chyba spędzał wiele czasu na wsi. Myślę, że Londyn bardziej mu odpowiada. Możliwe, że rzadko będziecie go tu widywać.

– Jaki wytworny z niego dżentelmen – ciągnęła gospodyni. – Prawie tak jak tamten, nasz! – Znów pociągnęła nosem. – Strasznie grymaśny, będą z tego kłopoty. Jego wysokość musi mieć to albo tamto, a to znów musi być tak, a nie owak, bo jego wysokość innych rzeczy zwyczajny... Sama nie wiem, jak to wytrzymam. Czy nie tak, panie Franklinie?

– A jakże, pani Elliot. – Kamerdyner przytaknął równie ponurym tonem. – Nastaną nowe porządki, pewne jak amen w pacierzu.

Zmęczona Arabella stłumiła kolejne westchnienie. Ku niezadowoleniu brata, zawsze starała się o jak najlepsze, życzliwe i otwarte relacje ze służbą, bo odpowiadało to jej usposobieniu. Nie była jednak teraz w nastroju do wysłuchiwania ich narzekań. Miała dość własnych zmartwień.

– Wszystko się jakoś w końcu ułoży. – Starła się wszystkich uspokoić. – Jak już mówiłam, nie sędzę, żeby księżę pozostawał tu długo, i jestem pewna, że zabierze ze sobą swoją służbę, kiedy będzie wyjeżdżał.

– Ale co z panią, milady? – spytała gospodyni. – Gdzie się pani podzieje?

– Jeszcze sama nie wiem – przyznała Arabella. – Myślę, że pojedę do krewnych w Kornwalii, ale pozostanę tu jeszcze przez jakiś czas, a księżę był na tyle dobry, że pozwolił mi na tę zwłokę, póki nie uporządkuję moich spraw.

– Nie wygląda to właściwie, milady. – Pani Elliot pokiwała głową. – Niezameżna niewiasta... – Pokiwała nią jeszcze raz. – Że też lord Dunston nie pomyślał o jakimś zabezpieczeniu... – Urwała zaczerwieniona i nie dokończyła. Nie do niej należało krytykowanie tego, co jej państwo robili.

Arabella milczała, lecz potem powiedziała energicznie:

– Księżę i ja będziemy żyć osobno. Ja pozostanę w moich apartamentach, we własnym skrzydle. Wy będziecie, rzecz jasna, nakrywać mu do stołu w jadalni, ale ja będę jadła w moim saloniku. Odtąd macie słuchać poleceń jego wysokości i kierować gości bezpośrednio do niego, jako panu domu. On wam zresztą wszystko wyjaśni. Och, ale nie dotyczy to moich przyjaciół – dodała. – Na przykład, jeśli zajrzy tu panna Barratt, nie trzeba niepokoić księcia.

– Rozumiem, madame – odparł kamerdyner po kolejnym ukłonie. Gospodyni dygnęła i obydwójce wycofali się, zamykając za sobą drzwi.

Arabella przyjęła to z ulgą. Starła się być jak najbardziej rzeczowa, ale bez trudu wyobrażała sobie popłoch i zamieszanie, jakie wśród służby wywołała zmiana właściciela. Z dzierżawcami będzie podobnie. Każdy w majątku zależał od dobrej woli i szczodrości właściciela Lacey Court, a jego kaprysy mogły uczynić życie nie do zniesienia. Frederick był niedbały, nie troszczył się o dobrobyt dzierżawców i obchodził go tylko zysk, jaki ciągnął z ziemi. Peter Bailey był jednak bardzo sprawnym rządcą, Arabella zaś dbała o bardziej pastoralne aspekty zarządzania. Miała nadzieję, że Jack Fortescu doceni wartość Petera i zatrzyma go. Mógł jednak równie dobrze zastąpić go własnym człowiekiem, a była to funkcja o kapitalnym znaczeniu.

Głowa rozbolała ją od tych myśli. Dzień zdawał się ciągnąć bez końca. Usiadła przy biurku z lakierowanego dębu i sięgnęła po pergamin. Jakże ma zacząć pełny próśb list do krewnych, których ledwie znała? Zwłaszcza że nie prosiła o błahostkę, jaką byłaby mała pożyczka lub nocleg. Chodziło o stały pobyt, rzecz ogromnej wagi.

Zanurzyła pióro w kałamarzu i zaczęła pisać. Przekreśliła pierwsze słowa i spróbowała od nowa. Borys i Oskar warowały pomiędzy biurkiem a drzwiami saloniku. Zazwyczaj Arabella o tej porze wychodziła z nimi na przejażdżkę, żeby pozbyły się nadmiaru energii, biegnąc przy koniu...

Jej koń... Czy Zaprzaniec wciąż jeszcze do niej należy, czy też do Jacka Fortescu? Pióro Arabelli zawisło w powietrzu. Zaprzaniec urodził się i wychował tutaj, a więc w jakimś sensie należał do majątku. Ściśle biorąc, udostępniono go jej jakieś... pięć lat temu.

Pióro spadło na pergamin, rozbryzgując atrament. Co jeszcze do niej nie należało? Stroje z pewnością były jej. Kupiono je za dochód z majątku,

oczywiście, ale... nie, to absurd! Psy zaskomliły. Uciszyła je z nietypowym u niej zniecierpliwieniem. Przynajmniej one są na pewno jej. Podarował je Arabelli na urodziny Mark Barratt. Pochodziły z miotu jego ukochanej suczki, Czerwonej Lady.

Nieliczne precjoza z pewnością były jej. Kilka sztuk odziedziczyła po matce, a perłowy komplet pochodził od ojca. Dostała go z okazji debiutu na londyńskim dworze. Uznał, że to strata pieniędzy, kiedy wróciła do domu bez żadnego adoratora. Nie odebrał jej ich jednak, choć teraz przypuszczała, że można by je uznać za coś należącego do majątku. Oczywiście, miała też skromny dożywotni dochód po matce. Mógł posłużyć jako zapłata za jej utrzymanie u krewnych, ale nie pozwoliłby jej samej się utrzymać.

Och, do licha z tym wszystkim! Kręciło się jej w głowie, a w pokoju było nieznośnie gorąco. Zerwała się na nogi.

– W porządku, idziemy na spacer! – Psy z entuzjazmem zakręciły ogonami młynka. Poszła do sypialni i zdjęła z siebie dzienną suknię. W jednej chwili włożyła wygodną spódnicę z zielonego sukna. Wyciągnęła jeszcze pasującą do niej kamizelkę, lecz rzuciła ją potem na łóżko i tylko wetknęła prostą, białą bluzkę za pas spódnicy. Było zbyt gorąco na żakiety i kamizelki, a ona nie wybierała się na towarzyską przejażdżkę. Nie oddali się nawet poza granice majątku. Kiedy wciągała buty, psy drapały już w drzwi. Schwyciła rękawiczki, szpicrutę, wzięła kapelusz, ale potem też cisnęła go na łóżko. Zapragnęła poczuć wiatr we włosach.

– No, idziemy! – Otworzyła drzwi. Psy wypadły przed nią na schody. Zbliżała się trzecia, a że książkę miał teraz spotkać się w bibliotece z Franklinem i panią Elliot, było mało prawdopodobne, że się na niego natknie. Niemniej jednak zeszła na dół tylnymi schodami i wyszła z domu przez pomywalnię.

– Zaprzaniec jest nieco osowiały, milady – oznajmił masztalerz, gdy weszła na dziedziniec przed stajnią. – Pewnie przez ten upał. Wszystkim chce się spać.

Arabella uśmiechnęła się na znak zrozumienia i przysiadła na odwróconej beczce do deszczówki, czekając na osiodłanie konia.

– Wspaniałe okazy przybyły dziś rano – zauważył niby to przypadkowo stajenny, wyprowadzając konia ze stajni. – Piękny zaprzęg. Cztery pierwszorzędne konie. – Spojrzał na nią pytająco spod oka, przerzucając siodło przez grzbiet Zaprzańca.

– Jego wysokość St. Jules ma wszystko, co najlepsze – odparła chłodno. – Myślę, że na koniach zna się pierwszorzędnie.

– Z pewnością. Powinna pani na nie spojrzeć. Wałach stoi w czwartym boksie... a reszta na końcu drugiego rzędu.

Arabella podniosła się z beczki i weszła do stajni, usiłując zrobić wrażenie, że chce tylko rzucić przelotnie okiem na konie, co mijało się z prawdą. Niespokojny gniadosz był wspaniałym okazem, ale wymagał mocnych rąk i jeszcze silniejszej woli, aby nim pokierować. Pomyślała o długich wytwornych dłoniach księcia i ze zdumieniem stwierdziła, że bezwiednie je zapamiętała. Ze wszystkimi szczegółami, od wypielegnowanych gładkich paznokci do bladej skóry na palcach i smukłych nadgarstków widocznych spod pienistej masy koronek. Smukłość nie oznaczała jednak słabości. Mogła sobie wyobrazić siłę ich chwytu, siłę mężczyzny, który potrafił posługiwać się rapierem.

Wycofała się ze stajni, nakazując sobie zaprzestanie śmiesznych myśli, i podeszła do Zaprzańca, który potrząsnął łbem na jej widok. Borys i Oskar biegały wokół brukowanego dziedzińca. Stajenny podprowadził konia i Arabella wsiadła na niego, klepiąc go po szyi.

– Obudź się teraz, Zaprzańcu.

Wierzchowiec parsknął i znów wstrząsnął łbem, a potem powoli wyszedł na zewnątrz.

Arabella skierowała go na padok, później zaś ku rzece płynącej brzegiem pól. Orzeźwił ją jego spokojny trucht, ucieszył wiatr, który zwiewał jej włosy na twarz. W jakiś dziwny sposób rozwiął też ciężące jej troski.

Pewnie u krewnych w Kornwalii znajdzie się jakiś pusty domek. Nie musi być duży, wystarczą dwie izby. To by jej odpowiadało. Dochód po matce wystarczy na podstawowe potrzeby, mogłaby także uprawiać własne warzywa. Chciałaby też mieć ogródek, może kilka drzew owocowych. Własne zbiory mogłaby wymieniać na mięso czy mąkę, nie musiałaby wówczas żyć na czyjejs łasce. Jakoś zarobi na siebie, żeby tylko miała dach nad głową. Mogłaby tam przewieźć orchidee i sprzedawać je, jak robi teraz. Dotąd było to tylko hobby, teraz stałoby się zajęciem przynoszącym zysk.

Niemal całkiem uspokojona, jakby przyszłość rysowała się przed nią wcale korzystnie, zawróciła Zaprzańca ku domowi. Borys i Oskar biegły razem z nim; zdołały wreszcie wyładować swoją energię. Gdy wjechali na dziedziniec stajni, Arabella zakłęta jednak pod nosem. Książę i Peter Bailey stali na samym środku podwórza, najwyraźniej pogrążeni w rozmowie.

Obaj odwrócili się w jej stronę. Peter Bailey uchylił kapelusza. Na jego życzliwej, mądrej twarzy malowało się głębokie przygnębienie, gdy do niej podszedł.

– Lady Arabello, przykro mi słyszeć o śmierci jego lordowskiej mości
– powiedział, kładąc rękę na uprząży.

Skinęła głową z bladym uśmiechem.

– To była nagła śmierć, Peter. Czy książkę wspominał ci o jej okolicznościach?

– Co nieco, madame. – Peter zrobił jeszcze bardziej zboląłą minę i dodał niemal szeptem: – Powiedziałbym, że lord Dunston dość dziwnie rozporządził swoimi ziemiami i fortuną.

Arabella znów skinęła głową.

– Nie wiem, jak do tego wszystkiego doszło, ale mój brat był panem samego siebie i miał pełne prawo rozporządzić swoją własnością.

Peter przyjął to do wiadomości z nieznacznym ukłonem. Nie chciał mówić źle o zmarłym, ale jak wszyscy w majątku nie miał złudzeń co do charakteru Fredericka Lacey'a, a okoliczności jego śmierci, o których usłyszał od księcia, nie łagodziły ani trochę jego zdania o byłym właścicielu.

Jack czekał dyskretnie przez minutę lub dwie, nie chcąc przerywać tej przyciszonej wymiany zdań. Nie sądził jednak, by kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć młodą damę mniej dbającą o swoją powierzchowność. Bez zakietu, bez kapelusza, z włosami rozwianymi przez wiatr, ze smugą brudu na nosie i spoconym czołem, Arabella prezentowała się na stajennym podwórku jak byle farmerska córka po powrocie z sianokosów. Przyszła mu na myśl chłodna elegancja Lilly, jego kochanki, która nawet w chwilach największych uniesień miała każdy włoszek na właściwym miejscu. Ten kontrast wywołał na jego twarzy mimowolny uśmiech.

Wreszcie odkaszlnął ostentacyjnie i podszedł do nich.

– Myślałem, madame, że jest pani dzisiejszego popołudnia zbyt zajęta na przejażdżkę – stwierdził z cierpkim uśmiechem. Zmierzył ją wzrokiem, zatrzymując się przez chwilę na zarysie biustu pod cienką bluzką. Wypukłość ta interesująco kontrastowała z wcięciem w pasie i krągłością bioder pod zieloną spódnicą.

– Jednym z moich obowiązków jest to, żeby pozwolić się psom wybiegać – odparła, a świadomość jego taksującego spojrzenia sprawiła, że poczuła się nieswojo. Szkoda, że nie miała teraz na sobie żakietu czy przynajmniej kapelusza. Pewnie przypomina Cygankę, rozczochrana i spocona, całkiem jak rankiem w cieplarni. A książę nadal wyglądał irytująco nieskazitelnie. Była pewna, że zmienił koszulę, odkąd widzieli się po raz ostatni.

Położył dłoń na miękkich jak aksamit chrapach konia i pogładził jego szyję.

– I nie można tego robić w towarzystwie. – Jego stwierdzenie zabrzmiało jak pytanie.

– Jadę wtedy zbyt szybko, żeby sprzyjało to konwersacji – stwierdziła i uderzyła kolaniem w bok Zaprzańca, kierując go ku podestowi do wsiadania. Im szybciej skończy tę niezręczną rozmowę, tym lepiej. Była już w wystarczająco kłopotliwym położeniu.

Jack odsunął się wprawdzie od konia, ale szedł tuż obok.

– Piękny wałach – rzucił mimochodem.

– Owszem, piękny. – Arabella zsunęła się z siodła i odwróciła się od księcia.

– Peter, kiedy już skończysz rozmowę z jego wysokością, prosiłabym cię o wizytę. Mam kilka rzeczy do omówienia z tobą.

– Z przyjemnością, madame. – Rządca skłonił się raz jeszcze.

Arabella podziękowała mu uśmiechem, rzuciła lejce stajennemu, gwizdnęła na psy i opuściła dziedziniec, nie zaszczycając ani jednym spojrzeniem księcia St. Jules.

Jack spojrział w ślad za nią, gładząc się po podbródku. Patrzył, jak kołysze biodrami, idąc szybkim, pewnym krokiem. Potem pokiwał głową, jakby bezskutecznie starał się rozwikłać jakąś zagadkę.

Peter przerwał pełną napięcia chwilę.

– Lady Arabella jest lubiana wśród dzierżawców. Te nowiny złamią im serca. Wszystkich zna z nazwiska, a także ich dzieci. Ludzie wiedzą, że mogą do niej przyjść z każdą trudną sprawą, a ona im pomoże, czy to chodzi o żywność, czy pieniądze, czy też przedłużenie czasu na spłaty. Nie wiem, co bez niej poczną.

Jack nic nie odpowiedział.

– Kiedy stało się jasne, że lady Arabella nie zamierza wcześniej wychodzić za męża, próbowałem namówić jej ojca, żeby przepisał na nią choć część majątku, ale...

– Odmówił? – spytał Jack, zerkając na rozmówcę.

– Niezupełnie. Raczej tego zaniedbał. Pewnie sobie nawet nie wyobrażał, że może dojść do takiej sytuacji. Myślał, rzecz jasna, że kiedy lord Frederick odziedziczy wszystko, zatroszczy się o siostrę.

– A on się nie zatroszczył.

– Próbowałem przekonać go do tego, ale... – Peter pokiwał głową i znów nie dokończył zdania, lecz potem podjął je mimo wszystko – Szczerze mówiąc, wasza wysokość, lady Arabella i lord Frederick nie bardzo się lubili.

– Rozumiem. – Jack przytaknął mu nieznacznie, ale bez żadnego zdziwienia. Teraz, kiedy poznał już siostrę, nie mógł sobie wręcz wyobrazić kogoś bardziej niepodobnego do brata.

Peter odchrząknął i ciągnął dalej.

– Lord Frederick mało co albo i wcale nie dbał o swoje dziedzictwo. Proszę mi wybaczyć, wasza wysokość, ale to prawdziwa hańba, żeby jedyna osoba, której leżał na sercu dobrobyt dzierżawców i dobry stan majątku, odchodziła z niczym. – Popatrzył na księcia, a w jego spojrzeniu można było wyczytać i niepokój, i wyzwanie. – Wybaczy mi pan moją szczerość.

– Oczywiście. Mam jednak coś na swoją obronę. Pragnę się z nią ułożyć, ale ona pozostaje głucha na moje argumenty.

Nie chciał dawać jej alternatywy do swoich oświadczeń. Nie zgadzało się to z jego planem.

Peter wzdrygnął się lekko, słysząc chłodne, rzeczowe oświadczenie, i uznał, że ten nowy pan podoba mu się jeszcze mniej od poprzedniego. Hrabia miał przynajmniej niepodważalne prawo do swoich ziem.

– Przekona się pan jednak, że nie jest mi obojętny dobrobyt dzierżawców, doceniam sumienne zarządzanie posiadłością i wierzę, że będzie pan tak uprzejmy, by pozostać na stanowisku.

Znów zerknął z boku na rozmówcę, bez trudu odgadując prawdę z jego chłodnej miny. Najwyraźniej rządcą szczerze lubił lady Arabelle.

– Pozostanę na nim tak długo, jak się spodoba waszej wysokości – odparł sztywno Peter.

– Dziękuję. – Księżę uśmiechnął się, a Bailey ze zdumieniem poczuł się tak, jakby nagle stanął wobec całkiem innego człowieka. – Może też pan być pewien, że nie zamierzam skrzywdzić lady Arabelli. Nie chcę wyrzucić jej z domu, póki sama nie postanowi go opuścić.

Peter rozchmurzył się nieco.

– W takim razie zatrzyma się pan w miejscowej oberży. To całkiem przyzwoity zajazd.

– Nie – zaprzeczył Jack. – Pozostanę w Lacey Court.

– Ale, ale... – Rządca spojrział na niego ze zdumieniem. – Wasza wysokość, to nie uchodzi.

– Lady Arabella uważa inaczej – odparł uprzejmie Jack. – W końcu zająłem miejsce jej brata. – Zmienił jednak z miejsca temat. – A teraz proszę mi łaskawie wyjaśnić, w jaki sposób pobiera pan opłaty.

Kiedy Jack wrócił do domu, było już po piątej. Peter oszczędził nieco wcześniej, zapewne po to, by nie spóźnić się na spotkanie z Arabellą, i księżę musiał kontynuować objazd ziem w samotności. Wszędzie dostrzegał rezultaty starannej gospodarki. Ogród był przepiękny, co dowodziło zręczności i szczerego zamiłowania, a folwark zastał we wręcz kwitnącym stanie. Po sadzawce pływały kaczki, w kurnikach było pełno kurcząt, ptactwa – w gołębniku, pszczoł – w ulach. Drzewa w sadzie ugięły się pod ciężarem owoców, łąki czekały na sianokosy, krowy – na wieczorny udój.

Zdawał sobie sprawę, że jego objazd budzi zaciekawienie. Dziewczęta przerwały ubijanie masła, kiedy wstąpił do chłodnej mleczarni, ale rumiana kobieta zbierająca maślanek upomniała je ostro i wróciły do roboty. Podkuchenna w warzywniku podniosła się znad groszku i z otwartymi ustami spojrzała na tego eleganckiego gościa wśród grządek kapusty i ziemniaków. Jack skłonił się jej lekko, a ona poczerwieniała i wróciła do obrywania strąków.

Jeśli wierzyć Peterowi, owo gładkie i skuteczne prosperowanie gospodarstwa było zasługą Arabelli. Jack wiedział, że choć majątki ziemskie mogą dość dobrze funkcjonować bez starannego nadzoru, nie osiągną jednak szczytowych wyników, jeśli ktoś nie weźmie za nie odpowiedzialności. Peter Bailey był najwyraźniej dobrym rządcą, ale był jednak tylko pracownikiem najemnym. Stan Lacey Court zdradzał czyjeś osobiste, nawet wręcz emocjonalne zaangażowanie.

Przywiązanie do domu powinno było skłonić Arabelle do przyjęcia propozycji, która pozwoliłaby jej tu zostać. Jemu jednak chodziło o coś innego, jak uznał, wracając na obiad. Zgłódniał, gdyż nie jadł nic od samego rana. Przypomniawszy sobie wprawdzie, że Arabella proponowała mu coś w południe, kiedy jeszcze zamierzał wracać do Londynu, lecz od czasu pełnej kontrowersyjnej rozmowy kwestia jedzenia zeszła na dalszy plan. Nie spytał, o której Arabella zwykła siadać do obiadu. W Londynie jadał go zwykle koło szóstej wieczorem, domyślił się jednak, że jego gospodyni, jeśli można ją tak nazwać, zapewne stosuje się do wiejskich tradycji. Pozwolił jej więc na siebie czekać.

Pospiesznie wszedł do cienistego holu. Franklin wynurzył się nie wiadomo skąd na sam dźwięk jego kroków. Skłonił się z szacunkiem i spytał:

– O której wasza wysokość życzy sobie jeść obiad?

Jack uśmiechnął się do niego przyjaźnie, spodziewając się złamać sztywną powierzchowność kamerdynera.

– Jak tylko się przebiorę. Najwyżej za kwadrans.

Franklin nie dał się wzruszyć, jedynie powtórnie się uklonił.

– Dobrze, wasza wysokość. Obiad będzie podany w jadalni za piętnaście minut. – Po czym odwrócił się i zniknął w półmroku.

Jack wzruszył ramionami i pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zazwyczaj nie zastanawiał się, czy służba go lubi, czy nie. Było mu to obojętne, jeśli wywiązywała się z obowiązków, za które jej płacił. Sytuacja była teraz jednak bardziej delikatna. Ci ludzie nie wybrali sobie służby u niego, zostali do tego zmuszeni, on zaś wolałby, aby chcieli mu służyć z własnej chęci, a nie dlatego, że nie mieli dokąd pójść.

Jego lokaj czekał na niego w obszernym pokoju, należącym przedtem do hrabiego Dunstona.

– Wybrałem turkusowy aksamit, jaśnie panie. Ze złotą kamizelką. – Gestykulował ze szczotką w ręce i czyścił surdut obszyty złotą koronką.

– Tak, to będzie odpowiednie – mruknął Jack, zdejmując strój do konnej jazdy. Rozebrał się do bielizny i zmył pot i kurz wodą z miednicy. Zamierzał spędzić miły wieczór w towarzystwie Arabelli, a gdyby kazał jej zbyt długo czekać na obiad, byłby to zły początek.

Dziesięć minut później stał przed wielkim lustrem, poprawiając koronkowy żabot. Jak zwykle nie upudrował włosów, lecz tylko pod tym względem nie stosował się do ścisłych reguł wieczornych przyjęć. Ciekaw był, jakie starania poczyni Arabella. Wyglądała dość porządnie w bladozielonej dziennej sukni, lecz przedtem i po tym krótkim epizodzie można było określić jej wygląd w najlepszym razie słowem „niedbały”. Zdobędzie się chyba na pewien wysiłek, siadając do obiadu.

Wpiął diamentową szpilkę w żabot, myśląc i lekko się przy tym uśmiechając, że chętnie by się zajął garderobą Arabelli. Niezwykła karnacja i rysy w typie Junony były jej atutami i same w sobie inspirowały pełny nowości, odważny styl. Mógł sobie wyobrazić z tuzin krawcowych, bijących się wręcz o zaszczyt ubierania księżny St. Jules.

– Coś pana rozbawiło, wasza wysokość? – Lokaj podał mu srebrną tabakierę.

– Coś sobie przypomniałem, Louis – powiedział książę, wsuwając tabakierę do kieszeni surduta. Dlaczego, do licha, zaczął myśleć o swoim przyszłym małżeństwie z przyjemnością, całkiem jakby to był zupełnie normalny związek? Zmarszczył się i rozbawienie zniknęło, gdy skierował się ku drzwiom.

– Przy okazji, czy zadowolony jesteś z kwatery?

– Starali się, jak mogli – odparł sługa, lekko prychnąwszy – lecz ośmielię się zauważyć, że niewiele tu na wsi wiedzą o tym, co powinna umieć służba w prawdziwie pańskiej siedzibie.

Jack zatrzymał się z ręką na klamce i obdarzył lokaja chłodnym spojrzeniem, które wystarczyło, by Louis przełknął nerwowo ślinę.

– Zapamiętaj sobie dobrze, przyjacielu, że ci ludzie nienagannie prowadzili ten dom, nim tu zjechaliśmy. Chcę, żeby tak pozostało.

Louis skłonił się tak głęboko, że niemal zawadził nosem o kolana.

– Oczywiście, jasnie panie. To była jedynie uwaga.

– Nie rób więcej takich uwag – poradził mu książę i wyszedł.

Wkroczył do holu dokładnie kwadrans po swoim powrocie. Drzwi do salonu były otwarte. Zatrzymał się na chwilę, by sprawdzić, czy Arabella nie czeka tam na niego. Pokój był wprawdzie pusty, ale wyczuwało się tam jej obecność. Wielkie wazy pełne róż przesycały pokój swoją wonią, przez okna wpadało chłodne powietrze wieczoru i zapachy ogrodu. Wszystko tu zdradzało kobiecą rękę i było miłe.

Charlotte też miała kobiecą rękę, pomyślał z bólem, który zawsze odczuwał na myśl o siostrze, ale Lilly ani trochę. Dom Lilly, a właściwie jej męża, błyszczał elegancją, był bezlitośnie modny i nic nie naruszało jego nieskazitelności. Te róże, na przykład, zostałyby z niego usunięte, bo wyglądały trochę nieporządnie. Podobnie jak i sama ogrodniczka. Zdał sobie sprawę z tego, że znowu się uśmiecha.

– Wasza wysokość.

Słyszając głos Franklina, Jack wycofał się z salonu. Kamerdyner otwierał przed nim drzwi do jadalni, znajdujące się po drugiej stronie holu.

– Obiad podano.

– Dziękuję Franklinie. – Księżę przeszedł przez hol i wkroczył do jadalni z życzliwym uśmiechem powitania.

Cały pokój był skąpany w łagodnym świetle wczesnego wieczoru, przez otwarte okna wpadał ptasi śpiew i zapachy ogrodu. Rząd zapalonych świec stał na wielkim mahoniowym stole, kryształy migotały, srebra połyskiwały. Woń pieczonego mięsiwa tylko zaostrzyła jego apetyt.

Zauważył jednak tylko jedno nakrycie. Na samym szczycie stołu, w ostrołukowej niszy, stało rzeźbione krzesło, a przed nim, na blacie, szkło, sztucce i porcelana. Wszystko przygotowane do obiadu. Wyglądało na to, że będzie jeść go sam.

Franklin stanął za krzesłem, mówiąc coś o czerwonym winie, które wybrał w nadziei, że będzie księciu smakowało. Jack zamrugał tylko i powiedział:

– Poczekam na lady Arabelle.

– Ona jest piętro wyżej, w swoim salonie. Chciała, żebym otworzył...

– Czy wie, że podano obiad? – Księżę mu przerwał. – Proszę ją powiadomić. Poczekam na nią w salonie.

Odwrócił się, chcąc odejść, gdy Franklin powiedział prędko:

– Wasza wysokość, milady już jadła. Jack odwrócił się gwałtownie.

– Już jadła?

– Tak, wasza wysokość. Wolą zjeść w swoim saloniku. Milady zawsze jada o piątej i nie chciała, żeby... – Inwencja kamerdynera się wyczerpała. Lady Arabella pozwoliła służbie odnieść wrażenie, że jej zamiar prowadzenia niezależnego życia został doskonale zrozumiany przez księcia, ale najwidoczniej tak nie było, bo Franklin nie zniósłby spojrzenia szarych oczu księcia ani chwili dłużej.

Po chwili irytujące iskry w oczach St. Julesa przygasły, gdy powiedział spokojnie:

– Proszę powiedzieć lady Arabelli, że chciałbym, aby dotrzymała mi towarzystwa przy winie, kiedy będę jadł obiad. – Książę obszedł dookoła stół, żeby zasiąść na krzesła, które kamerdyner nadal mu podsuwał.

Franklin przez sekundę wahał się, czy wyjść za drzwi. Już miał to zrobić, kiedy Jack powiedział:

– Nie, poczekaj. Franklin zatrzymał się z ulgą.

– Wasza wysokość.

Jack odsunął krzesło i wstał.

– Pomyślałem sobie, że sam ją tu zaproszę. Gdzie jest ten salonik?

Franklin zatrzymał się tuż przy drzwiach, a na jego twarzy malowało się oburzenie.

– Wasza wysokość, to są prywatne pokoje lady Arabelli.

– Zapomniałeś, że okoliczności się nieco zmieniły. Lady Arabella jest teraz moim gościem – zauważył uprzejmie Jack. – Jedyne prywatne pokoje w tym domu to moje apartamenty.

Podszedł do kamerdynera, a Franklin odruchowo cofnął się o krok, choć w zachowaniu księcia nie widać było złych zamiarów.

– Bądź łaskaw zaprowadzić mnie do tego saloniku.

Przez chwilę Franklin wahał się, gotów stanąć w obronie swojej pani, lecz rozum podpowiedział mu, że to daremne wyzwanie. Bez słowa odwrócił się i podszedł do schodów. Przynajmniej zapowie gościa, jak należy, stanąwszy w drzwiach saloniku.

Jack szedł za nim długim korytarzem przez skrzydło przeciwne niż jego. Zauważył, że pokoje Arabelli leżały tak daleko, jak tylko było to możliwe, od pokoi brata. Właściwie można byłoby tu wieść całkiem

odrębne życie pod jednym dachem. Zaczął rozumieć, dlaczego bez większych sprzeciwów zaakceptowała jego propozycję.

Franklin zapukał w podwójne drzwi, takie same jak w pokoju Jacka, a słysząc łagodny głos ze środka, otworzył tylko jedno skrzydło i stanął w nim, blokując wejście.

– Milady, jego wysokość pragnie, by dołączyła pani do niego w jadalni.

Arabella odłożyła pióro.

– Czyż nie wyjaśniłeś mu, że już zjadłam obiad?

– Tak, Arabello, zrobił to. – Jack nie przedostał się do środka siłą, lecz w stanowczy sposób wyminął kamerdynera i wszedł do saloniku. Arabella siedziała przy biurczku, ubrana bardzo nieformalnie, jak dama, która jest u siebie, w biały lniany szlafrok haftowany w róże. Włosy miała rozpuszczone, a kiedy odwróciła się w krześle, aby na niego spojrzeć, zauważył z lekkim rozbawieniem, że siedziała tam boso.

– To jest mój salonik – oznajmiła zdumiona jego niespodziewanym wtargnięciem. – Nie przypominam sobie, bym pana zapraszała.

– Chciałbym podkreślić, madame, że jako pan tego domu nie potrzebuję pozwolenia, by wchodzić do jego pokojów. – Mówił tonem łagodnym, rozsądnym, całkiem jakby to było coś zupełnie zwykłego.

Arabella lekko pobladła. Jack powiedział właśnie coś, co było niepodważalną prawdą. Nie miała absolutnie żadnych praw do pomieszczenia, które zawsze do niej należało. Nigdy już nie zamknie tych drzwi ze świadomością, że nikt tu nie wejdzie bez zaproszenia. Nie mogła dłużej uważać, że wolno jej tu siedzieć przy biurczku boso, w negliżu i mieć pewność, że nikt jej nie będzie nachodził.

Bez słowa powróciła do listu, posypała piaskiem pergamin, chcąc wysuszyć atrament i złożyła kartkę. Ujęła za stojącą obok świecę i kapnęła roztopionym woskiem, pieczętując pismo, a potem napisała na odwrocie adres. Podniosła się z krzesła i przeszła przez pokój.

– Był pan łaskaw zaoferować mi wysłanie poczty. – Wręczyła mu list.

Spojrzał na niego. Był adresowany do jej krewnych w Kornwalii. Wsunął go do kieszeni, a następnie spytał, kłaniając się.

– Z przyjemnością, madame. Czy mogę odprowadzić panią do jadalni?

– Proszę mi wybaczyć, ale czuję się bardzo znużona tego wieczoru i wolałabym pójść do łóżka.

Uniósł brwi, zerkając na porcelanowy zegar stojący na kominku.

– Jest ledwie wpół do siódmej, Arabello – mruknął. – Nawet dzieci nie chodzą tak wcześnie spać.

Nie wiedziała, jak z tego wybrnąć. Mogłaby co prawda stać tam i robić coraz bardziej żalosne wrażenie, a on zapewne nie ruszyłby się z miejsca i nalegał. Nic by w ten sposób nie zyskali. Zdała sobie sprawę, że nie dość dokładnie wyjaśniła mu, jak też mają żyć niezależnie od siebie, choć pod tym samym dachem. Najwyraźniej niewłaściwie ją zrozumiał i lepiej byłoby wyprowadzić go z błędu jak najprędzej. Dobrze, wypije razem z nim kieliszek wina na neutralnym terytorium jadalni i wyłoży całą rzecz jeszcze raz, już na dobre.

Dokładnie zmierzyła go wzrokiem, zauważając turkusowy aksamit i złotą koronkę. Strój, jaki miała na sobie, dobry był tylko na wieczór spędzony we własnym zaciszu i nie mógł się równać z jego wytwornym ubiorem.

– Za pięć minut dołączę do pana w jadalni – powiedziała ze szczyptą sarkazmu w głosie. – Nie jestem odpowiednio ubrana. Niech mi pan pozwoli choćby włożyć przynajmniej pantofle.

Jack skłonił się i wyszedł. Na korytarzu zatrzymał się, nasłuchując chrobotu klucza w zamku. Nic nie usłyszał. Nie, pomyślał, Arabella Lacey nigdy nie zachowałaby się jak tchórz. Spotka się z nim na jego terytorium i zapewne pobije go jego bronią.

Nie zszedł jednak od razu na dół. Najpierw wstąpił do swojej sypialni i zamknął list w żelaznej szkatułce. Nie miał zamiaru dawać kornwalijskim krewnym sposobności do przyjęcia Arabelli z otwartymi ramionami. Nie przyrzekł wcale, że wyśle pocztę Arabelli natychmiast, co nie znaczy, że wcale nie miał takiego zamiaru.

Jeśli to nie był przykład pokrętej sofistyki, nic nim nie było, powiedział sobie, czując się godny pożałowania, i zszedł na dół.

W jadalni usiadł za stołem i pozwolił Franklinowi nalać sobie kieliszek czerwonego wina. Rozsiadł się w rzeźbionym krześle i czekał na swego gościa.

4

Jack czekał pół godziny, nim usłyszał jej lekkie, szybkie kroki w holu. Wstał z krzesła, gdy weszła, i spojrzał na nią z uznaniem. Dobrze wykorzystwała te pół godziny. Miała teraz na sobie suknię z kremowego muślinu na ciemnozielonym, atlasowym spodzie i szal z białego batystu spięty na szyi ametystową broszką. We włosy wplotła zieloną atlasową wstążkę, a na stopy włożyła delikatne pantofelki z giemy na obcasikach. Najwyraźniej nie zawsze zaniedbywała swój wygląd.

Uklonił się i podsunął jej krzesło po swojej prawej stronie. Przyjęła je, również z ukłonem, i powiedziała:

– Nie powinien pan być czekać z obiadem. Ja nie będę jadła, a pani Elliot się zmartwi, jeśli jej praca pójdzie na marne. – Spojrzała ku drzwiom, gdzie stał sztywno kamerdyner. – Franklinie, proszę bez zwłoki obsłużyć jego wysokość.

Jack nalał jej do kieliszka wina i zauważył dyskretnie:

– Nie chciałem zaczynać obiadu bez pani. Już przecież popełniłem jedną dużą nieuprzejmość.

– W jaki sposób? – Nie mogła ukryć zdumienia. Uśmiechnął się i usiadł.

– Zapomniałem zapytać, o której godzinie jada pani obiad, i tym samym zmusiłem panią do zjedzenia go w samotności. Proszę o wybaczenie.

– Uniósł kieliszek i pociągnął łyk wina.

Zobowiązywało ją to do odpowiedzi na toast, co uczyniła, nim powiedziała:

– Nie było w tym żadnej nieuprzejmości, wasza wysokość. Nie oczekiwałam, że oboje zasiądziemy do stołu, a nawet wcale się tego nie

spodziewałam. Powinien pan być tylko powiedzieć Franklinowi, kiedy chce pan jeść obiad, a on by się dostosował. Ja żyję wedle własnego rozkładu dnia i nie zamierzam bynajmniej narzucać go panu.

Franklin postawił przed nim wazę z zupą i wycofał się pod drzwi. Jack zanurzył w niej łyżkę i zwrócił się do kamerdynera:

– Nie trzeba na mnie czekać. Zadzwoń, kiedy będę gotów do następnego dania.

Franklin spojrział z powątpiewaniem na Arabellę, lecz skoro nie wyraziła sprzeciwu, skłonił się i wyszedł.

– Mam nadzieję, że zupa będzie panu smakowała, wasza wysokość – powiedziała uprzejmie Arabella. – Pani Elliot jest równie dobrą kucharką, jak gospodynią. Jestem pewna, że będzie pan z niej zadowolony.

Jack nie powiedział nic, póki nie skończył zupy, a potem odłożył łyżkę i wyprostował się na krześle.

– Zupa była znakomita i jestem przekonany, że wszystkie aspekty prowadzenia domu będą przeze mnie akceptowane. A w takim razie, przejdźmy do naszej sprawy.

– Naszej sprawy? – Zdumiała się i pociągnęła większy niż przedtem łyk wina. Słońce zniżało się już nad widnokregiem i wypełniało okno za plecami księcia tak silnym, pomarańczowym blaskiem, że zbladło przy nim światło świecy. – Jakiż interes nas łączy, książę?

Ujął nóżkę kieliszka w dwa smukłe palce. Uwagę Arabelli przykuł rubin na jednym z nich, a szmaragd na drugim. Były to wspaniałe kamienie. Po cóż temu człowiekowi potrzebny był majątek jej brata? Dlaczego chciał jego śmierci?

Wzdrygnęła się gwałtownie. Nie zadawała mu do tej pory żadnych pytań, lecz za haniebną śmiercią Fredericka kryło się chyba coś więcej niż zwykła gra w karty.

– Cóż to za sprawa, wasza wysokość? – powtórzyła, gdy było jasne, że nie ma zamiaru jej odpowiedzieć.

– Moja droga, nie wierzę, aby była pani tak naiwna, jak chce mi wmówić. Po pierwsze, mam imię i cieszyłoby mnie, gdyby zechciała pani go używać. „Wasza wysokość to” czy „wasza wysokość tamto” już mnie drażni. Odtąd stanę się dla pani Jackiem, jeśli pani pozwoli. A po drugie, pani uprzejme towarzystwo nie jest nadmierną rekompensatą za to, by mogła pani nadal traktować ten dom jak własny. – Zadzwoił małym dzwonkiem, trącając nim o swój talerz, jakby stawiał kropkę po swoim stanowczym zdaniu.

Arabella nic nie odpowiedziała, póki Franklin nie zabrał wazy, zastępując ją pasztetem z przepiórek, pieczonym kurczakiem, dwoma pstrągami oraz półmiskiem karczochów z grzybami.

– Czy na pewno nie spróbuje pani tego znakomitego pasztetu? – Jack spytał troskliwie, kiedy Franklin znów grzecznie się ulotnił.

– Nie, nie. Dziękuję – dodała pośpiesznie. – Jak już mówiłam, jadłam obiad. – Był on jednak dużo mniej wystawny, pomyślała. Pani Elliot przygotowała dla księcia takie jedło, jakiego zażyczyłby sobie Frederick, podczas gdy ona zadowoliła się dwoma daniami.

– W takim razie proszę się napić wina. – Pochylił się i uzupełnił jej w połowie pełny kieliszek.

Arabella nabrała gwałtownie tchu.

– Wasza wysokość...

– Jack, jeśli pani będzie tak uprzejma – przerwał jej urażony, marszcząc brwi.

– Jeżeli dotrzymanie panu towarzystwa ma być ceną, jaką muszę zapłacić za pozostanie w domu, nim uporządkuję wszystkie moje sprawy, to obawiam się, że będę wolała jej nie płacić. Wyniosę się stąd w godzinę.

Już miała odsunąć krzesło i wstać, lecz w tym momencie przytrzymał jej rękę. Wyglądało to tak, jakby po prostu położył ją na jej dłoni, lecz w istocie uwięził niczym motyla przebitego szpilką i Arabella musiała pozostać na miejscu.

– Bardzo przepraszam – rzekł, nie łagodząc bynajmniej uścisku – ale nie myśli pani jasno, Arabello. Proszę jedynie o pani towarzystwo przy stole oraz przy objeździe majątku, podczas którego, mam nadzieję, udzieli mi pani wszelkich objaśnień oraz przedstawi mnie dzierżawcom. Bailey mówił mi, że wszyscy oni panią lubią i pomogłoby mi to zapewne nawiązać z nimi życzliwą znajomość. Rozumie pani chyba, że byłoby to w interesie zarówno moim, jak i tych ludzi.

Arabella spróbowała uwolnić swoje palce, a on zdjął z nich dłoń. Złożyła obie ręce na kolanach.

– Co pani ma przeciwko mnie? – spytał tonem czysto towarzyskiej rozmowy, napoczynając filet z pstrąga.

– Doprowadził pan mego brata do śmierci. Zagarnął cały jego majątek. Pozbawia mnie pan...

Uniósł dłoń, żeby przerwała.

– Nie, tego ostatniego mi pani zarzucić nie może, Arabello. Zaproponowałem pani małżeństwo. Nie tylko zachowałyby pani wówczas dom, ale zyskałyby również wszystko, co ja posiadam. Dałbym pani do wyboru spokojne, wiejskie życie wraz z orchideami albo Londyn. Wzięłyby

go pani szturmem. Nie narzucałbym żadnej z tych możliwości. Gdyby zechciała pani prowadzić salon i wspierać politykę torysów, nie sprzeciwię się, chociaż jako zaprzysięgły wig czułbym się tym dotknięty. Jestem na tyle zamożny, by mogła pani żyć, jak tylko się jej podoba. Czyż to można nazwać pozbawieniem wszystkiego? – Ze spokojem wrócił do filetu z pstrąga.

Arabella wpatrywała się bezmyślnie w błyszczący, mahoniowy stół. Nie była głupią gąską. Ofiarowywał jej cały świat na srebrnej tacy, ale dlaczego? Przecież jej nie znał. Choć to zresztą nie było koniecznym warunkiem oferty małżeńskiej. Wiele związków zawierano między ludźmi, którzy niewiele o sobie wiedzieli, tylko że zyskiwali na tym coś albo oni, albo ich rodziny. Cóż mógł zyskać Jack Fortescu? I tak posiadał już wszystko, co miała, prócz jej skromnej renty po matce.

– Dlaczego? – powiedziała wreszcie. – Czemu wystąpił pan z tą propozycją? Cóż takiego mam, czego by pan mógł zapragnąć?

– Potrzebuję żony – odparł po prostu, nakładając sobie na talerz grzybów. – I dziedzica. Z prawego łóża.

– Mógłby pan mieć każdą młodą kobietę, jakiej by zapragnął. Przemawia za panem urodzenie, bogactwo, brak jakiegokolwiek widocznej wady... – Przyjrzała mu się uważnie, jakby pod nieskazitelnym strojem mogła wyśledzić jakąś ułomność.

Jack się zaśmiał.

– Przerażam debiutantki – wyjaśnił rozbawiony. – A ich matki mają mnie za wcielonego diabła.

– Cóż, to nie powstrzymałoby żadnej z nich od złapania pana na zięcia – odcięła się. – Mógłby pan sobie być nawet Sinobrodym, byle tylko córuchna została księżną.

– Właśnie to w pani lubię. Gra pani w otwarte karty. Mężczyzna nie jest w stanie zbyć pani byle pochlebstwem, lady Arabello.

– Jak pan może mnie lubić, skoro nic o mnie nie wie? – wytknęła mu, machając pogardliwie ręką.

– Powróciliśmy zatem do punktu wyjścia – stwierdził, odkładając sztucce. – Proponuję, abyśmy spędzali razem nieco więcej czasu, żeby móc się nawzajem poznać. Czy to nie brzmi rozsądnie?

Ujął za kieliszek i skinął triumfująco głową, co pobudziło ją nie wiadomo czemu do śmiechu. Szybko się jednak opamiętała.

– Nie odnoszę wrażenia, że pan mi to proponuje. Wyraźnie czuję, że chce pan wymusić na mnie, abym mu dotrzymywała towarzystwa, jako warunek mego pozostania w Lacey Court.

– Wymusić? Cóż to za brzydkie słowo! Nigdy bym się nim nie posłużył.

– A jakim?

– Zachęcić. Całkiem szczerze – odparł natychmiast. – Jestem też pewien, że gdyby pani zechciała rozważyć moją sugestię, zamiast pochopnie mnie osądzać, uznałaby pani jej zalety.

Słońce już zaszło i świece odzyskały blask. Siwe pasmo nad jego czołem załśniło srebrzyście, gdy znów pochylił się nad talerzem.

Cóż właściwie miała do stracenia? Musiała przecież pozostać w Lacey Court, dopóki nie nadejdzie odpowiedź z Kornwalii, a przynajmniej tak będzie jej wygodnie. Książę St. Jules mógł się zaś okazać ciekawym i elokwentnym towarzyszem. Był światowcem, człowiekiem wyrafinowanym oraz – jak się domyślała – bywałym w sferze polityki i życia towarzyskiego. Ona zaś bardzo pragnęła dowiedzieć się czegoś o świecie poza jej oazą pośród sadów Kentu. Usiłowała uzyskać informacje o nim od sąsiadów,

którzy od czasu do czasu wyprawiali się do Londynu i wracali stamtąd, przywożąc gazety i periodyki, zawsze jednak nieaktualne. Frederick też nie był dla niej żadną pomocą. Nie interesował się polityką, a jeszcze mniej obchodziły go pytania siostry.

– Mówił pan, że jest wigiem? – spytała od niechcienia, sięgając do koszyka po bułeczkę.

Podniósł wzrok, lekko rozbawiony nagłą zmianą tematu.

– Tak.

– Czy zatem jest pan przyjacielem księcia Walii?

– Można tak powiedzieć. – Jack odsunął talerz i znów ujął kieliszek.

– W takim razie król nie traktuje pana zbyt życzliwie – zauważyła Arabella, skubiąc pieczywo.

– Istotnie – przytaknął, przypatrując się jej znad kieliszka z tym samym rozbawieniem.

– Ani królowa Charlotte – ciągnęła Arabella. – Słyszałam, że nie przyjmuje już w swoich salonach stronników wigów.

Skinał głową.

– To krótkowzroczna polityka z jej strony, ale ona i jej mąż nie widzą nic poza swoimi królewskimi przywilejami. – Lekkie zmarszczenie brwi zajęło miejsce poprzedniego rozbawienia. – Czy jednak warto wszczynać teraz polityczną dyskusję, Arabello?

– Niech pan zadzwoni. Pani Elliot zacznie się niepokoić, czy podać następne danie. Nie, rzeczywiście nie warto wszczynać takiej dyskusji, ale przyszło mi na myśl, że mógłby pan zaspokoić moją ciekawość i opowiedzieć mi co nieco o polityce. To wydaje się sprawiedliwą wymianą za moje informacje o majątku.

Jack uznał, że osiągnęli porozumienie. Polityka, co prawda, nie była tematem, który sam by wybrał, ale nie będzie się sprzeczać o drobiazgi.

– Sprawiedliwa wymiana. – Zgodził się i posłusznie zadzwonił.

Franklin zmienił talerze i przyniósł koszyczek tartuletek z serem oraz cytrynowy syllabub*.

– Pani Elliot przeprasza za skromny wybór, wasza wysokość. Gdyby wcześniej wiedziała o pańskim przyjeździe...

– Ależ on wcale nie jest skromny! Proszę podziękować za starania. Doceniam je. A może coś dla lady Arabelli?

– Nie, dziękuję. – Arabella zmiotła odruchowo okruchy chleba na bok, jakby nie wiedziała, skąd się tu wzięły.

Jack wziął jedną z tartuletek.

– Skoro tak panią interesuje polityka, zjemy pewnie razem wiele miłych obiadów.

– Z pewnością będziemy mieli o czym rozmawiać – uznała Arabella. – Teraz jednak, jeśli pan pozwoli, wzywają mnie inne sprawy. – Odsunęła krzesło i tym razem książkę jej nie zatrzymał.

– Spodziewam się, że moglibyśmy zagrać w tryktraka albo pozwolić sobie na partyjkę pikiety?

Arabella spojrzała na niego ze zdumieniem, a potem roześmiała się, lecz jej śmiech zabrzmiał ponuro.

– Chyba pan nie przypuszcza, że siądę do kart albo do gry w kości z kimś, kto namówił mego brata do postawienia na kartę całego majątku i swojego życia.

* *Syllabub – tradycyjny angielski deser, składający się z bitej śmietany, ubitego białka, soku z cytryny, cukru i alkoholu (przyp. red.).*

Jack sposepniał. Odparł bardzo cicho:

– Proszę się nie łudzić, Arabello. Pani brat zrobił to z pełną świadomością. Wiedział, co ryzykuje... i dlaczego. – Ostatnie słowa niemal wyszeptał i Arabella nie była pewna, czy usłyszała je dokładnie. Była jednak pewna, że nie warto zadawać więcej pytań Jackowi Fortescu. Jego oczy straciły wszelki wyraz, kiedy siedział bez ruchu, wyglądając niczym widmo siejące zgrozę wśród tych, którzy będą chcieli mu się lepiej przyjrzeć.

Zaprzagnęła wstać od stołu, wyjść z tego pokoju, ale jego ponure oblicze, widoczne w słabym blasku świec, sprawiło, że nie mogła się poruszyć.

Jack widział przed sobą Charlotte, tak jak wyglądała tamtego ostatniego ranka. Słyszał, jak śpiewała. Ogromnie lubiła śpiewać jasnym, wysokim sopranem, który zawsze przywodził mu na myśl ptasi świergot. Potem dostrzegł nagle złotawe smugi światła na wypolerowanym stole, czerwone wino w kryształowym kieliszku, trzymanym w palcach. Spojrzał na kobietę siedzącą obok niego.

W jej oczach dostrzegł pytanie, ale nie mógł ani nie chciał na nie odpowiedzieć.

Arabella, jakby wyzwoliła się spod zaklęcia, odsunęła krzesło.

– Życzę panu dobrej nocy.

Tym razem jej nie zatrzymywał, lecz wstał również i odprowadził ją do drzwi. Położył dłoń na klamce, ale nie otworzył ich od razu. Wolną rękę uniósł do ust jej dłoń i musnął ją wargami, patrząc jej w oczy. Nie miał już w sobie nic groźnego ani obcego. A potem pochylił się i lekko pocałował ją w sam kącik ust. Gdy się wyprostował, nadal trzymając jej dłoń, spojrzał z uśmiechem prosto w jej zdumioną, uniesioną ku górze twarz. Zgorszenie szybko zajęło miejsce zaskoczenia i zmieszania, a jej złote oczy zapłonęły.

Uprzedził gniewne słowa, które zaraz miała wypowiedzieć.

– Trudno mi uwierzyć, że w dwudziestym ósmym roku życia nikt pani jeszcze nie pocałował, Arabello – powiedział, uśmiechając się i spoglądając na nią pytająco.

– Nigdy bez mojej zgody. Za kogo się pan właściwie uważa? Może pan sobie być właścicielem domu, ale to nie daje panu prawa pierwszej nocy. Proszę się odsunąć i pozwolić mi odejść. Zagradza mi pan przejście

Zaśmiał się i otworzył drzwi szerokim gestem. Przeszła szybko obok niego, ignorując jego pożegnalny ukłon.

– Dobranoc, Arabello – pożegnał ją miękko. – Cieszę się na myśl o jutrze.

Odwróciła się, stojąc już na pierwszym stopniu schodów.

– Dziwne, bo ja ani trochę.

Udzielwszy tej mało wyszukanej riposty, wmaszerowała na górę.

Arabella, ku swemu zdziwieniu, spała spokojnie, bez żadnych przykrych snów, i obudziła się o zwykłej porze, w świetle wczesnego poranka. Psy, które uważały stanowczo, że czas już rozpocząć dzień, trącały wilgotnymi nosami jej gołe ramię.

– Dobrze, dobrze – mruknęła, ziewnęła szeroko i siadła na łóżku. Psy czekały już przy drzwiach, więc wyskoczyła z łóżka, żeby im otworzyć. Popędzą teraz do kuchni, ktoś wypuści je na dwór, a Becky, wiedząc, że jej pani już nie śpi, przyniesie gorącą czekoladę i gorącą wodę. Tak zawsze wyglądał jej początek dnia.

Położyła się z powrotem i wsparła na poduszkach, rozmyślając o swoich innych codziennych czynnościach. O porankach spędzonych w cieplarni, o popołudniowych przejażdżkach z psami, o wtorkowych porankach z Peterem Baileyem, z przyjaciółmi. Meg... och, będzie jej brakowało Meg. Były sobie bliskie jak siostry, może nawet bliższe. Życie,

przyszłość jawiły się jej teraz jak układanka, którą ktoś rozsypał. Brakowało w niej kilku kawałków, bez których nigdy już nie uda się ułożyć ponownie całego obrazka.

Becky zapukała i weszła do pokoju z tacą.

– Dzień dobry, milady – powitała ją serdecznie, stawiając śniadanie na nocnym stoliczku. – Wszystko gorące. Czy mogę nalać?—Becky ujęła srebrny dzbanuszek.

– Jak najbardziej, Becky.

Arabella ujęła filiżankę z holenderskiej porcelany, napelnioną aromatyczną czekoladą.

– Dziś rano pójde do Barrattów, wyjmij mi więc tę suknię z indyjskiego muślinu w paski.

– Tę pomarańczowo –brązową, madame?

– Tak. Jest lekka i przewiewna.

Arabella upiła trochę czekolady, planując, co robić tego dnia i jak najlepiej uniknąć gościa. Jeśli spędzi rano u Barrattów, psy mogą się wybiegać po drodze i nie będzie musiała udać się z nimi na popołudniową przejażdżkę. Może spędzić ten czas w cieplarni. Nikt przy zdrowych zmysłach, nawet tak uparty i zdeterminowany jak książę, nie chciałby się prażyć w oranżerii przez całe popołudnie tylko po to, by dotrzymać jej towarzystwa. Pozostanie tylko obiad. No cóż, zdoła zjeść z nim przyzwoity posiłek raz dziennie, jak się umówili. Dopóki tylko będzie trzymać się od niej na dystans, dodała w myślach i skrzywiła się.

– Coś nie tak, milady? – Becky przyjrzała się jej z troską.

– Nie boli panią ząb? – Becky sama tego niedawno doświadczyła i nie mogła sobie wyobrazić niczego gorszego.

– Ani trochę, Becky. – Arabella zmusiła się do uśmiechu.

– Myślałam tylko o czymś, co muszę zrobić, a wcale nie mam na to ochoty.

Becky przyjrzała się krytycznie muślinowej sukni.

– Przeprasuję ją trochę, madame. Wydaje się nieco pognieciona.

– Och, nie trzeba – rzuciła niedbale Arabella. – Kiedy będę szła przez pola, i tak zakurzy się i pogniecie w tym gorącu.

– Cóż, nie wiem, milady – odparła z powątpiewaniem Becky – ale jeśli tak pani stawia sprawę...

Arabelle rozbawiły rozterki służącej, lecz potem pomyślała o księciu. Zawsze nieskazitelny, w śnieżnobiałych koronkach, wykrochmalonych i wyprasowanych, nawet po jeździe konnej, nawet w skwarze cieplarni. Każdy włos na swoim miejscu. A tymczasem ona wczoraj wyglądała niczym szmaciana lalka porzucona na deszczu. Nic dziwnego, że traktował ją z taką poufałością, całkiem jakby chodziło o jakąś mleczarkę. Nie miała ochoty natknąć się na niego przed wieczorem, lecz gdyby tak się stało, nie powinna wyglądać niekorzystnie.

To jeszcze jedna niedogodność wynikająca z pobytu pod jednym dachem, pomyślała, odrzucając kołdrę energicznym kopnięciem. Nie może się już nawet ubierać tak, jakby chciała.

– Dobrze, Becky, wyprasuj ją, jeśli uważasz, że to konieczne.

Ściągnęła przez głowę koszulę i podeszła do miednicy. Powinna umyć włosy, zdecydowała po przejrzeniu się w lustrze za dzbanem.

– Becky, wykąpię się przed obiadem. Upewnisz się, że wystarczy wody?

Becky, która właśnie przyciskała żelazko do sukni, mruknęła słowa potwierdzenia.

– Będę też potrzebować soku z cytryny do płukania włosów – ciągnęła Arabella, wyciskając wodę z gąbki na piersiach.

– Dobrze, milady. A do kąpieli lawendy i wody różanej.

– Becky z uwagą przyjrzała się sukni i rozwiesiła ją starannie na krześle.

– Doskonale. – Arabella naciągnęła na siebie koszulę.

– Weźmie pani gorset, milady? – spytała służąca, pokazując najeżony fiszbinami strój.

– W taki upał? – krzyknęła Arabella, wkładając batystową halkę. Becky odłożyła gorset do bielizniarki i wyjęła bawełniane pończochy. Te również zostały odrzucone szybkim ruchem głowy i powróciły do bielizniarki. Becky podała jej wreszcie muślinową suknię ze spódnicą usztywnioną tarlatanem, który nadawał jej bardziej reprezentacyjny charakter nawet bez wciętej w pasie sylwetki, którą zapewniał gorset. Arabella, rzuciwszy w lustro jedno krótkie spojrzenie, uznała, że poświęciła dość wygody na rzecz elegancji jak na jeden dzień.

– Czy ułożyć pani włosy? — Becky chwyciła za srebrną szczotkę.

– Nie, ja to zrobię. – Arabella odebrała jej szczotkę. – Zjem śniadanie w saloniku, będę tam za pięć minut.

– Dobrze, madame. – Becky wybiegła, Arabella siadła zaś przy gotowalni. Po kilku szybkich ruchach szczotki zawiązała gęste włosy w kok na czubku głowy, zostawiając odsłoniętą szyję na ewentualne podmuchy wiatru. Włożyła parę skórzanych sandałów, odpowiednich do przechadzki przez pola, choć niezupełnie pasujących do sukni, ale za to odsłaniających nogi. Uznała, że jej wygląd będzie prezentować się dobrze, gdy w przelocie natknie się na księcia.

Posiliła się w saloniku przylegającym do sypialni. Było to jej sanktuarium od czasu, gdy wyrosła z pokoju dzieciennego i lekcyjnego. Trzymała tam ulubione książki... zabierze je ze sobą, gdziekolwiek się uda. Orchidee na parapecie okiennym należały jak najbardziej do niej, podobnie jak dwa akwarelowe widoki Wenecji. Meg przywiozła je dla niej ze swojej wielkiej podróży.

Arabella, uśmiechając się do samej siebie, posmarowała chleb masłem i ukroiła sobie plaster szynki. Zaskoczyło ją zuchwalstwo Meg. Mimo bystrego i żywego umysłu przyjaciółka zawsze robiła wrażenie osoby prawomyślnej i posłusznej konwenansom. Tylko jaskraworude włosy przeczyły tej pozornej układności. Z nich dwóch to Arbellę zawsze uważano za osobę łamiącą zasady, która nie chce się podporządkować. A jednak właśnie Meg zakochała się w gondolierze grającym na mandolinie.

Z pośpiechem ją więc pozbawiono mimo jej łez uroków Canal Grande i tylko Arabella wiedziała, że chodziło tu o coś więcej niż rozgwieżdzone weneckie niebo oraz słodkie szeptki przystojnego gondoliera. Zaoferował on jej znacznie więcej niż serenady. Na szczęście, lord i lady Barrattowie wiedzieli tylko, że ich córka uległa zrozumiałemu, lecz niemądrym zauroczeniu czymś, czemu szybko, choć z typową dla nich łagodnością, położyli kres. Stateczni Anglicy z prowincji, jakimi byli, nigdy sobie nie wyobrażali, nawet w najgorszych snach, że ich jedyna córka przeżyła krótki, lecz namiętny romans. Szczęśliwie nie pociągnął on za sobą żadnych fatalnych konsekwencji i jedynie Arabella rozumiała, że dawna Meg zniknęła na zawsze.

I tylko przyjaciółka mogła w obiektywny, uczciwy sposób ocenić sytuację, w jakiej znalazła się Arabella. Meg pomoże jej ocenić ten śmieszny pocałunek z odpowiedniej perspektywy.

Arabella wysączyła ostatnie krople herbaty. Wciąż jeszcze było wcześnie, lecz w domostwie Barrattów wszyscy już od dawna wstali, a dzieliło ją od niego dobre czterdzieści pięć minut marszu przez pola. Na koniu zajęchałaby tam dwa razy prędzej, lecz była akurat w nastroju do spaceru.

Jack obudził się przed świtem. Pokój był pełen mlecznobiałej poświaty. Odrzucił kołdrę niemal natychmiast po otwarciu oczu. Poszedł do uchylonej kwatery w oknie i spojrzał na ogród, który nadal tonął w księżycowym świetle. Za pół godziny gwiazdy zaczną blednąć, lecz o tej porze cały świat, a przynajmniej ta jego część, wciąż był pogrążony we śnie. Gdyby był teraz w Londynie, zapewne grałby ostatniego robra w jakimś zadymionym pomieszczeniu, pośród porozlewanego wina i zataczających się karciarzy, zbyt pijanych na przyzwoitą partyjkę. Ulice parowałyby, rozsiewając odór nieczystości i szedłby po nich, świadomy czających się rzezimieszków. Tutaj miał przed sobą zalany światłem księżycy ogród i świeże powietrze, dalekie pohukiwanie sowy i całkowity spokój.

Była to rodzinna kraina Charlotte, miejsce jej urodzenia, które tak głęboko kochała. Lecz ten spokój i brak jakiegokolwiek działania niecierpliwiły go. Jego zachwyty wiejską sielanką miał swoje granice. Narzucił na siebie koszulę i bryczesy i po cichu wyszedł z domu kuchennymi drzwiami. Zegar stajenny wskazywał wpół do piątej, gdy opuścił dziedziniec i udał się ku rzece, płynącej na granicy posiadłości Lacey Court. Chętnie by powitał obecność psów, lecz nigdzie nie było ich widać. Wątpił zresztą, by sypiały w stajni; pewnie leżały skulone w nogach łóżka Arabelli.

Arabella. Cierpka, niełatwa w obejściu, uparta, samowolna. Ale niezwykle intrygująca. Charlotte miała charakter i własne zdanie, ale była

posłuszna konwenansom. Wyszła za mąż z obowiązku i sumiennie zajęła miejsce na francuskim dworze. Lilly była wcieleniem konwenansu/Kiedy spełniała swoje zachcianki, zawsze dbała, by nie zagroził jej nawet cień skandalu. Trwała przy wyrozumiałym, choć nudnym mężu, lecz miała kochanka, który zaspokajał jej pragnienie przeżywania czegoś podniecającego i niezwykłego. Jackowi było z nią dobrze. Obojgu było im ze sobą dobrze. Był to układ, którego nie chciałby niszczyć. Nie miał też zamiaru tego robić, niezależnie od zawarcia małżeństwa.

Zatrzymał się nad rzeką. Chodził bez celu przez całą godzinę, aż słońce pojawiło się na horyzoncie. Mógł już dostrzec cętkowatego pstrąga leżącego w cieniu płaskiego kamienia. Doceniał niektóre z bukolicznych uroków i pożałował, że nie pomyślał o zabraniu ze sobą wędki. Najlepiej łowi się ryby o świcie.

Frederick Dunston z pewnością miał wędki. A także strzelby. Chyba lubił łowić ryby i polować. Jack jednak wiedział, że nigdy by nie potrafił użyć jego wędek czy strzelać z jego broni. Radowało go wprawdzie zagarnięcie własności wroga, ale nie było to nawet częścią ceny, którą Frederick zapłacił za śmierć Charlotte.

Ale siostra Dunstona? Tak, ona była częścią tej ceny. Jack odwrócił się, chcąc wrócić po własnych śladach. Była ostatnią ratą zemsty, lecz byłaby także żoną, zależną od swego dobroczyńcy

I zarazem męża, który ratując ją przed nędzą, obciążył ją jednocześnie długiem nie do spłacenia. Myślał z ironią, że zabierze jej wolność w odwecie za Charlotte, lecz teraz nie był już tego taki pewien.

Zbliżył się do domu, skąpanego w blasku wstającego słońca, rozmyślając nad jednym, nieoczekiwanym problemem w jego starannie

uknutym planie. Osoba, którą sobie upatrzył na żonę, nie wydawała się skłonna zaakceptować ani zależności, ani samego dobroczyńcy.

Arabella gwizdnęła na psy, kiedy zbiegała ze schodów, zdecydowana pójść do Barrattów. Oskar i Borys pojawiły się przy niej natychmiast, ich pazury zazgrzytały na wypolerowanej posadzce. Zlizywały z wąsów resztki mleka. Lubiano je w kuchni, a one dobrze wiedziały, jak się przypodobać. Arabella dawno już poniechała wysiłków, żeby należycie wychowywać i karmić obydwu urocze setery. Dodatkowa miseczka mleka nie mogła im zaszkodzić, miały dość dużo ruchu, żeby spalić całą energię.

– Do Barrattów – rzuciła, otwierając frontowe drzwi. Zakreśliły młynka ogonami i zbiegły przed nią ze schodów. Suka, która je urodziła, żyła w domu Barrattów, podobnie jak kilkoro rodzeństwa. Dobrze było udać się tam wczesnym rankiem.

– Dzień dobry, Arabello.

Melodyjne pozdrowienie kazało się jej zatrzymać u podnóża schodów. Powoli się odwróciła. Co on tu robił, w dodatku tak wcześnie? Przecież był mieszkańcem miasta i powinien o tej porze leżeć w łóżku, a nie wytrącać ją z równowagi, idealnie porządny, nieskazitelnie uczesany i taki światowy w tym swoim czarnym aksamicie i srebrnych koronkach, perfekcyjny w każdym szczególe, z rapierem u boku.

– Dzień dobry, wasza wysokość – odparła bez uśmiechu. Zbiegł lekko ze schodów i stanął przy niej.

– Sądziłem, że zrezygnowaliśmy z tej wyjątkowo absurdalnej formalności zeszłego wieczoru.

– Wolałabym z niej nie rezygnować.

– Ach, tak? – Zdawał się nad tym zastanawiać, obrzucając ją długim spojrzeniem, od koka na czubku głowy do sandałów na bosych nogach. – Rozumiem.

– Niech pan wybaczy – rzekła wyniośle – ale wzywają mnie pilne sprawy.

– O, w takim razie będę pani towarzyszył – odparł z łagodnym uśmiechem.

– Pani Elliot przygotowuje panu śniadanie.

– Jadłem je przed godziną – zauważył, ciągle się uśmiechając. – Znakomite zresztą. A więc jakie sprawy panią zajmują?

– Takie, które nie wymagają towarzystwa.

– Jeśli ma to coś wspólnego z majątkiem, z pewnością jest inaczej. – Jego uśmiech miał teraz pewien odcień wyzwania, a spojrzenie szarych oczu było nieprzyjemnie przenikliwe.

– Nie ma to nic wspólnego z majątkiem – oznajmiła, czując się jak mysz w pułapce. – Chodzi o sprawę czysto osobistą, niech mi więc pan wybaczy.

– Pójdę razem z panią – zdecydował, doganiając ją bez trudu. – Może mi pani wskaże jeden czy dwa słupki graniczne posiadłości przy drodze.

Arabella zrozumiała, że nie potrafi się pozbyć księcia, chyba żeby go poszczuła psami, lecz biorąc pod uwagę radość, z jaką wokół niego skakały, wydawało się to mało wykonalne. Podniósł z ziemi patyk i rzucił go psom. To było niewykonalne. Nie pozostało jej więc nic innego, jak iść obok niego w milczeniu i ignorować jego obecność, jak tylko się dało.

– Jak sobie przypominam, miała pani raz sezon w Londynie.

Nie mogła milczeć wobec równie zwyczajnego i całkiem rozsądnego pytania.

– Tak, dziesięć lat temu. – Podniosła zaśliniony patyk, który Borys upuścił u jej stóp, i odrzuciła go.

– Nie podobało się tam pani? – Książę rzucił Oskarowi kolejny patyk.

– Nie.

Jack pomyślał o tej krótkiej odpowiedzi. Nie dawała ona szans na rozwój swobodnej konwersacji. Spytał więc bez ogródek:

– Dlaczego?

Arabella spojrzała na niego po raz pierwszy od początku całego spaceru, unosząc gęste brwi:

– Co za niemądre pytanie. Niech pan tylko spojrzy na mnie, a potem na siebie. Jakże pan sobie wyobraża, że mogłabym żyć w tamtym, pańskim świecie? Nie obchodzi mnie moda, plotki, intrygi z całym ich fałszem... To odpowiadało memu bratu i z pewnością odpowiada panu. Nie zna mnie pan wprawdzie, ale ostatnie dwadzieścia cztery godziny powinny pana przekonać, że to nie dla mnie.

– W tym świecie jest też miejsce dla innych rzeczy, Arabello. Dla innowatorów.

– Jestem kobietą – oznajmiła w taki sposób, jakby to kończyło całą dyskusję.

– Kobiety też mogą wprowadzać zmiany – odparł uprzejmie, rzucając kolejny patyk psom.

– Sądząc z mojego doświadczenia, nie jest to możliwe. – Rozmowa zaczęła ją zajmować, co bardzo ją zirytowało.

– Chciałbym zasugerować, że pani doświadczenie jest nieco ograniczone, skoro sprowadza się do jednego sezonu, i to w dodatku z obciążeniem, jakim był debiut.

Może i trafił w sedno. Musiała jej wystarczyć cierpka replika:

– Miałam tego całkiem dość.

– A co z pani zainteresowaniem polityką? Czy wpłynął na nie ten krótki pobyt w Londynie?

– Być może. – Zaczęła iść nieco szybciej. On również przyspieszył kroku.

– A sztuka, Arabello? Teatr, opera, muzyka... Czy jest pani obojętna na te doświadczenia?

– Na nic nie jestem obojętna – rzekła, nie siląc się już na skrywanie irytacji, a kołowrót pytań i odpowiedzi drażnił ją coraz bardziej.

– Proszę mi wybaczyć, ale tak właśnie jest – powiedział łagodnie. – Zamyka pani umysł przed możliwością doznania różnych ciekawych doświadczeń... przed pełnią życia. Dlaczego miałyby to pani robić? – Wydawał się szczerze zainteresowany jej odpowiedzią.

Arabella zatrzymała się nagle i odwróciła twarzą do niego.

– Wasza wysokość, zapomina pan, że otwarcie mojego umysłu na te doświadczenia wymagałoby zawarcia z panem małżeństwa. To właśnie odrzucam.

5

Arabella znów przyśpieszyła kroku. Suknia zafalowała w rytm jej energicznych ruchów. Jack uniósł brwi. Najwyraźniej miała zamiar uzyskać jak największy dystans między sobą a niechcianym towarzyszem drogi. No cóż, jego też było stać na taki upór! Pośpieszył jej śladem i zrównał się z nią bez trudu, choć starała się iść najprędzej, jak mogła, nie puszczając się jednak biegiem.

– Peter Bailey mówił mi, że jacyś sąsiedzi kłócą się o kawałek ziemi na skraju wioski – zaczął, całkiem jakby ich poprzedniej wymiany zdań wcale nie było. – Czy właściciel Lacey Court zazwyczaj rozsądza takie spory, czy też pozostawia je sędziemu pokoju?

— Właściciel Lacey Court jest sędzią pokoju – odparła, zwalniając tempo. Było za gorąco na szybki marsz, nawet o tak wczesnej porze, a zrozumiała, że książę będzie jej towarzyszył niezależnie od tego, co ona powie lub zrobi. Pozostała jej tylko rezygnacja, jedyne honorowe wyjście.

– Rozsądza spory wraz z Markiem Barrattem i lordem Alsopem.

– Rozumiem. W takim razie dobrze bym zrobił, zawierając z nimi znajomość – zauważył.

– Proszę się nie martwić, wkrótce pana odwiedzą – odparła cierpko. – Założę się, że Lavinia Alsop zażądała, by jej chory już od dłuższego czasu mąż, który zapewne leży w łóżku, wstał i natychmiast towarzyszył jej do Lacey Court.

– A czy on jej usłucha?

Arabella nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– O tak, może się pan o to nie martwić. Wystarczy jej pstryknąć palcami, żeby ten nieszczęśnik zaraz podskoczył.

– W takim razie to pantoflarz.

– Jak już mówiłam wczoraj, jeszcze nie poznał pan Lavinii Alsop. – Arabella zboczyła ze ścieżki i podeszła do przełazu, który wypełniał lukę w wysokim żywopłocie. – Ja wchodzę tędy. Pan może iść dalej ścieżką.

– Dlaczego miałbym tak robić?

– Pański strój nie jest odpowiedni do spacerowania polami ani do wchodzenia na przełazy, ani do przeskakiwania przez rowy – wyjaśniła rzeczowo.

– A pani ubiór tak?

– Ja jestem do tego przyzwyczajona – stwierdziła, stawiając nogę na przełazie.

– Niech mi pani pozwoli przejść pierwszemu. – Ujął ją w pasie i zdjął z pierwszej poprzeczki, a potem z podziwu godną zręcznością przeskoczył przez przełaz, przy czym ani trochę nie przeszkodził mu w tym długi rapier. – A teraz – powiedział, odwracając się do niej przodem – jeśli pani tutaj stanie, to ja ją zdejmę.

– Bardzo pan jest szarmancki, ale to całkiem niepotrzebne. Proszę się odsunąć. – Postawiła obutą w sandał stopę na z gruba ciosanej belce.

– A jeśli tego nie zrobię? – spytał z leniwym uśmiechem.

– Wtedy pójdę dalej ścieżką, a pan będzie miał okazję podziwiać piękne widoki – prychnęła.

Jack roześmiał się i zeskoczył z przełazu.

– Jak pani woli.

Musiał przyznać, że wspięła się na przełaz z gracją, unosząc zreźnie suknię, która odsłoniła na moment kształtne kostki.

Arabella zeskoczyła i pośpiesznie poszła polem wśród dojrzewającego zboża, które sięgało jej do pasa, kołysząc się w lekkich powiewach wiatru.

Psy, w siódmym niebie, rzuciły się przed siebie z przenikliwym szczekaniem, machając ogonami i płosząc króliki.

– Niedługo chyba żniwa – rzucił Jack, doganiając ją.

– Za tydzień. Powinien pan wydać uroczysty obiad, jeśli nadal pan tu będzie.

– Z czym to się wiąże?

Przez całą resztę drogi Jack zadawał jej absolutnie bezosobowe, rozumne pytania dotyczące wiejskiego życia i zarządzania dobrami ziemskimi, Arabella zaś udzielała mu rzeczowych odpowiedzi. Nie wkraczał już więcej na prywatny grunt i tylko raz jej dotknął, podtrzymując ją, gdy o mało się nie wywróciła na króliczej norze. Nie mogła się w tym dopatrzeć żadnych niestosowności.

Dotarli w końcu do zbudowanego z czerwonej cegły domu Barrattów, o ścianach zakończonych szczytami. Stał tuż przy wąskiej ścieżce, którą szli, a od bramy pomiędzy dwoma niskimi, kamiennymi filarami wąski chodniczek wiódł prosto ku frontowym drzwiom. Szerszy podjazd prowadził do stajni i wozowni na tyłach domu. Była to skromna rezydencja kogoś o niewyszukanym guście i bez większych pretensji, jak uznał Jack.

– Zostawię pana tutaj – odezwała się Arabella, stojąc przed bramą. – Jeśli pójdzie pan dalej tą ścieżką, dojdzie pan do rozstajów. Proszę skrócić w lewo, a trafi pan z powrotem do Lacey Court. Droga w prawo prowadzi do wioski.

– Aha. – Jack wsparł się leniwie o jeden z filarów. – Jak długo pani będzie załatwiać swoje sprawy?

– Nie mam pojęcia. Może cały dzień. – Było to możliwe. Często spędzały z Meg cały dzień razem.

– Czy w takim razie mam pozwolić się wybiegać psom? – spytał uprzejmym tonem, choć było jasne, że Borys i Oskar, które wspięły się na tylne łapy, usiłując pchnąć drzwi, również uznały, że dotarły do celu.

– Mają tam swoją rodzinę – wyjaśniła Arabella. – Musiałby je pan odciągnąć siłą.

– Właśnie widzę – odparł z lekkim uśmiechem.

Arabella otworzyła bramę i psy pobiegły na tyły domostwa. Pojawiły się dwa inne i cała ruda czwórka zaczęła skakać wokoło, szczekając z podniecenia.

– To ich siostry — powiedziała Arabella — a tam ich matka. Właśnie wydała na świat kolejny miot.

Suka z nabrzmiętymi, obwisłymi sutkami wypęzła z kąta, żeby przywitać swoje poprzednie szczenięta.

– Czy pani psy powiększą może tę hodowlę? – spytał Jack dociekliwie.

– Nie, sir Mark nie wierzy w chów wsobny. Trzyma je raczej dla przyjemności, nie dla zysku.

Tak więc wyglądała rezydencja jednego z trzech sędziów pokoju. Ktoś inny czerpałby niezłe zyski z chowu psów myśliwskich, uznał Jack. Tylko świadomy hodowca zrezygnuje z łatwej okazji powiększenia chowu w obrębie spokrewnionych ze sobą psów.

– Żegnam, wasza wysokość – powiedziała Arabella uprzejmie, lecz zdecydowanym tonem.

– Sądziłem, że przedstawi mnie pani sir Markowi. – Jack się zdziwił.

– Nie – odparła stanowczo. – Przyszłam tu, żeby odwiedzić moją przyjaciółkę, Meg. Nie wiem nawet, czy sir Mark jest w domu, a jeśli nawet, to nie powinnam mu wyjaśniać, że pan sobie uzurpuje... – Urwała, unosząc dłoń w geście pełnym frustracji z powodu sytuacji, w jakiej się znalazła. –

Musi pan pójść własną drogą. – Odwróciła się od niego i pobiegła ku frontowym drzwiom.

Jack z ironią skłonił się jej plecom, nim poszedł ku rozstajom i wiosce.

Arabella pozdrowiła kamerdynera, który otworzył jej drzwi.

– Dzień dobry, Harcourt. Czy panna Barratt jest na górze?

– Wciąż jeszcze je śniadanie, lady Arabello. Z sir Markiem i lady Barratt.

Zaniepokoiła się. Przyszła trochę za wcześnie. A miała nadzieję, że wyjaśni wszystko Meg, nim dojdzie do rozmowy z sir Markiem i jego żoną. Nic już jednak nie można było zrobić. Kamerdyner właśnie otwierał drzwi do małego pokoju śniadaniowego za schodami.

Wszystkie trzy siedzące przy stole osoby spojrzały na nią z zaskoczeniem, które jednak przerodziło się – jak zwykle zresztą – w serdeczne powitanie. Arabella była tu traktowana tak samo, jak córka państwa Barrattów.

– Cóż cię tu sprowadza o tej porze, Bello? – wykrzyknęła lady Barratt, a na jej rumianej twarzy pod wykrochmalonym, koronkowym czepkiem pojawił się szeroki uśmiech. – Siądź i napij się z nami kawy – dodała, wskazując jej krzesło tuż przy córce.

– Czy jadłaś już śniadanie?

– O tak, co najmniej godzinę temu. – Arabella nachyliła się, by ucałować lady Barratt, a potem obeszła dokoła stół i stanęła przed sir Markiem, przygarbionym jak ktoś, kto z przyczyny wysokiego wzrostu zawsze się pochyla, by uniknąć zderzenia z belką nad drzwiami. Podłużną twarz poznały mu już bruzdy, lecz zielone oczy spoglądały bystro spod krzaczastych, szpakowatych brwi. Gęstość ich urągała przerzedzonym, siwiejącym pasemkom ledwie okrywającym potężną, błyszczącą czaszkę.

Sir Mark uważał, że we własnym domu nie musi kryć łysiny pod pudrowaną peruką, obowiązkowo za to nosił ją na zewnątrz. Podniósł się z krzesła i złożył na czole Arabelli ojcowski pocałunek.

– Dzień dobry kochana Bello. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku?

Pod dobrotliwym pozdrowieniem kryło się pytanie, co zresztą nie zaskoczyło Arabelli. Sir Mark, podobnie jak jego córka, zauważył, że jej wyjątkowo wczesna wizyta musi mieć ważny powód.

– Raczej tak – odparła powściągliwie.

Meg wymownie uniosła brwi i również wstała, żeby uściskać przyjaciółkę.

– Mądrzy ludzie też tak myślą – powiedziała, jak zwykle pogodnie uśmiechnięta, zakładając niesforny kosmyk jaskraworudych włosów za ucho. – Wybierałam się właśnie do Lacey Court po śniadaniu... żeby zdążyć przed większym upałem. – Napełniła filiżankę Arabelli kawą.

– Cóż się takiego stało, moja droga? – spytał prosto z mostu Mark, gdy tylko upiła pierwszy łyk. – Musi to być coś niezwykłego, skoro zmusiło cię do równie wczesnej wizyty.

Arabella zastanawiała się, co ma powiedzieć. Sir Markowi i jego żonie dadzą dużo do myślenia same fakty. Lepiej teraz nie wspominać o oświadczeniach. Chciała o nich mówić wyłącznie z Meg.

– Sama nie wiem, od czego zacząć. – Pokiwała głową. – Frederick nie żyje. – Zabrzmiało to wyjątkowo bezwzględnie w dusznym pokoju, lecz Arabella niczym nie mogła złagodzić okrutnego faktu. Poczula, że Meg ścisnęła ją pod stołem za kolano.

– Och, moja droga – wyszeptała lady Barratt, ocierając usta serwetką.
– Moje biedne dziecko. – Poklepała ją po ręce, leżącej bez ruchu na blacie z różanego drzewa.

Sir Mark odchrząknął. Nie lubił niczego rozsądzać pod wpływem emocji.

– W jakich okolicznościach to się stało, Bello?

Czy ma mydlić im oczy historyjką o pojedynku, czy powiedzieć prawdę? Spojrzała na ich zatroskane twarze i zrozumiała, że nie potrafi okłamywać tych ludzi. Przez całe życie traktowali ją przyjaźnie i byli blisko związani z jej rodziną już od czasu jej wczesnego dzieciństwa. Nie pamiętała matki, a ojciec był wobec niej dość obojętny, zawsze więc zwracała się o radę i pociechę do Marka. A on nigdy jej jeszcze nie zawiódł.

Wyjaśniła więc wszystko bardzo spokojnie, wśród głuchego milczenia. Jedzenie stało nietknięte, a kawa stygła w filiżankach.

– Och, moja droga. – Lady Barratt powtórzyła, kiedy wreszcie Arabella skończyła. Spoglądała na nią ze smutkiem. – Po prostu... trudno w to uwierzyć.

– Niekoniecznie. – Sir Mark odsunął nerwowo krzesło.

– Frederick nie był pierwszym durniem, który stracił wszystko w grze, ani też nie ostatnim. Hazard to przekleństwo naszego społeczeństwa – dodał, a potem wstał od stołu i zaczął krążyć między oknem a kominkiem z rękami założonymi za plecy. – Musimy się teraz zająć Arabellą.

– Oczywiście – uznała lady Barratt, pełna współczucia.

– Cóż ty poczniesz sama, biedne dziecko? Jak można cię było zostawić bez żadnego zabezpieczenia? – Urwała, ale w jej głosie słychać było więcej niż zwykle rozżalenie.

Meg potarła spiczasty podbródek i podrapała go palcem, jak zawsze, gdy zaczynała się głęboko namyślać.

– Może uda się namówić tego księcia, żeby ustanowił na ciebie jakiś fundusz?

– Od tego bym zaczął – przyznał sir Mark. – Jeśli to uczciwy człowiek, zachowa się należycie. Muszę z nim zaraz pomówić. Gdzie on się zatrzymał, Bello?

– W Lacey Court – oznajmiła nieco zdenerwowana i czekała, co będzie dalej.

Sir Mark zatrzymał się raptownie, w połowie drogi między oknem a kominkiem.

– Nocował tam? – spytał i spojrzał na nią bacznie.

– Tak. W apartamentach Fredericka, we wschodnim skrzydle.

– A ty? – Pytanie pełne było niedowierzania, całkiem jakby miała po nim nastąpić jakaś wręcz niewiarygodna odpowiedź.

– Ja spałam w moim pokoju, w zachodnim skrzydle.

Arabella splotła ciasno ręce na podolku, choć trochę jej drżały palce. Znadto jej zależało na dobrej opinii Barrattów, by ze spokojem przyjąć ich zgorszenie.

– Dobry Boże! – Sir Mark na chwilę zaniemówił. Przesunął dłonią po błyszczącej łysinie, nim zapytał: – Co ty sobie myślałaś, Arabello? Powinnaś była natychmiast się tu przenieść.

Lady Barratt odzyskała mowę.

– Ależ tak, nie możesz wrócić do tego domu – oznajmiła z całą mocą, ujmując za wachlarz. – Wszystko będzie w porządku, jeśli od tej chwili zostaniesz tutaj. Powiemy, że przyszedłaś do nas późnym wieczorem, kiedy ten... ten... och, wprost brak mi słów... gdy ten książę przybył i zmusił cię do

opuszczenia domu. Cóż to musi być za brutal? – zawodziła, podkreślając słowa energicznymi ruchami wachlarza. – Poślemy po twoje rzeczy... Franklin i pani Elliot będą wiedzieli, jak się tym zająć.

– Nie ma potrzeby – odparła Arabella, waząc słowa. – Księżę wyjaśnił mi, że teraz, skoro Fredericka już nie ma, on jest moim opiekunem. Któż może się tym gorszyć, skoro mieszkamy w odrębnych skrzydłach? Nawet się nie musimy mijać na korytarzu. A prócz tego – dodała, kiedy było już jasne, że jej rozmówcy nadal są tej sytuacji przeciwni – mam aż za dużo przyzwoitek. Pani Elliot, moja niania...

– Twoja niania jest już taka stara, że nie dostrzegłaby nawet, gdyby cały dom zajął się ogniem – parsknął Mark – a gospodyni nie sposób uważać za przyzwoitkę. Gdybym cię tak dobrze nie znał, uznałbym, że wieść o śmierci Fredericka odebrała ci rozum. – Pokręcił gwałtownie głową. – Żadnych sprzeciwów! Natychmiast musisz się przenieść do nas. – Ruszył do drzwi. –

Niezwłocznie muszę temu księciu St. Jules złożyć wizytę, żeby wszystko ustalić.

– Czy znasz go osobiście? – zapytała lady Barratt,

– Nie, z pewnością nie obracamy się w tych samych kręgach – powiedział krótko sir Mark. – Wyprzedza go jednak reputacja zuchwalca i rozpustnika. Żadnej szanującej się kobiecie nie wolno pozostawać z nim w jednym pokoju.

– Interesujący... Nie ma tego złego... – szepnęła jej do ucha Meg. Arabella stłumiła uśmiech, słysząc tę uwagę. Zawsze mogła liczyć na przyjaciółkę. W każdej sytuacji potrafiła ona podnieść ją na duchu. A poza tym, niezależnie od tego, co sobie o księciu myślała, był on z pewnością interesujący.

– Obawiam się, że nie zastanie go pan w domu – powiedziała, gdy baronet ujmował już za klamkę i pozwoliła sobie na małe kłamstewko. – Widziałam go na koniu, kiedy wychodziłam.

– W takim razie pojedę do Alsopa i razem się zastanowimy nad tą nieszczęsną kwestią. – Drzwi zamknęły się za nim z głośnym trzaskiem.

– Tak, zostaw to sir Markowi. Już on wkrótce zrobi z tym porządek, droga Arabello – powiedziała lady Barratt, jak zawsze pełna zaufania do męża. – A ty, oczywiście, zostajesz tutaj.

Arabella nie miała najmniejszej ochoty denerwować przyjaciół, tak jak wiedziała, że nie powinna rzucać się im w ramiona, tracąc panowanie nad własną przyszłością. Choć rysowała się ona ponuro, dotyczyła w końcu jej samej. Musi teraz podejmować własne decyzje, niezależnie od tego, jak trudne mogą się okazać. Nie chciała być dla nikogo ciężarem.

– To bardzo miłe z pani strony, madame — zaczęła ostrożnie – ale ja teraz muszę pozostać w domu. Lada dzień nadejdzie transport orchidei z Surinamu. To bardzo wrażliwe... i niezwykle cenne rośliny. Muszę tam być, żeby je osobiście odebrać. Bardzo dużo kosztują. – Uśmiechnęła się przepraszająco i dodała, chcąc uprzedzić ewentualny sprzeciw: – Muszę też dopilnować własnych krzyżówek, które obiecałam wysłać najprędzej, jak tylko będzie to możliwe. Jedyne ja mogę się tym zająć.

– Orchidee! – wykrzyknęła lady Barratt. – Jak możesz cenić je bardziej od własnej reputacji?

Pojednawczy uśmiech przestał maskować determinację Arabelli.

– Mojej reputacji nic nie grozi. Dawno już przestałam być panną na wydaniu, chyba się pani zgodzi.

– Moja droga, nie o to chodzi. – Lady Barratt zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem, w jaki sposób może mi uwłaczać fakt, że mieszkam pod jednym dachem z następcą mego brata – upierała się Arabella. – On zresztą też jest już dojrzałym mężczyzną.

Chętnie by go przedstawiała jako siwiejącego dżentelmena w starszym wieku, lecz czuła, że ten argument nie przekonałby lady Barratt. Jak by zareagowała, gdyby go ujrzała na własne oczy?

Ciągnęła więc stanowczym tonem:

– A poza tym to nie potrwa długo. Napisałam już do krewnych matki w Kornwalii. Mam nadzieję, że mają tam jakiś domek, w którym będę mogła zamieszkać.

– Och, co by na to powiedziała twoja matka? – Lady Barratt poruszyła gwałtownie wachlarzem, cała zaczerwieniona.

Arabella zastanowiła się, czy znalazłaby się w tej kłopotliwej sytuacji, gdyby matka nie umarła w piątym roku jej życia? Z pewnością okazałaby córce pomoc i nalegała, by zapewnić jej jakieś środki do życia. Gdybanie nic tu jednak nie mogło zmienić. Nie wiedziała, jaką właściwie kobietą była jej matka. Silną i niezależną? Słabą i potulną wobec męża? Lady Barratt nigdy nie zdołała jej powiedzieć, jaka naprawdę była Virginia Lacey.

Stłumiła więc westchnienie i powiedziała:

– Zapewniam, madame, że będę się prowadzić nienagannie.

– Och, ty oczywiście... ale ten człowiek... rozpustnik... arogant... Ach, cóż my poczniemy? – Lady Barratt pokręciła głową tak mocno, że aż podskoczyły wstążki jej koronkowego czepka.

Meg dotknęła ust smukłym palcem. Wyczuwała atmosferę walki, a wiedziała lepiej od rodziców, jak stanowcza może być Arabella, kiedy się uprze. Czy jednak nie za wcześnie jej przyjaciółka powzięła niezłomne przekonanie?

– Nie sądzę, byśmy mogli coś postanowić, póki nie dowiemy się czegoś więcej – odezwała się. – Należałoby chyba poczekać i zastanowić się, żeby potem podjąć lepsze decyzje. – Wstała i cmoknęła matkę w policzek.

– W każdym razie musimy poczekać do powrotu ojca. – Lady Barratt westchnęła ciężko.

Meg mruknęła uspokajająco, że się zgadza, i wraz z Arabellą w milczącym porozumieniu poszły na górę do dawnego pokoju lekcyjnego, który teraz służył jej za bawialnię. Wiele pokoleń dzieci uczyło się w tym niedużym, wykładanym boazerią pomieszczeniu z dębową posadzką oraz odrapaną ławką w oknie. Wciąż jeszcze słabo załatywało tam kredą i atramentem. Mimo zużytych mebli, wypłowiałych poduszek, wytartego dywanu i książek w wyświechtanych oprawach było tu przytulnie i wygodnie. Na palenisku nieczynnego teraz kominka stała miedziana waza pełna stokrotek, a jedna z orchidei Arabelli, niezwykle egzotyczna – na stolyczku z opuszczanym blatem. Zamknęły za sobą drzwi z westchnieniem ulgi.

Meg usiadła na wytartej poduszce w wykuszu i spojrzała na przyjaciółkę pełnymi ciekawości, zielonymi oczami, przekrzywiając nieco głowę.

– No, a teraz, Bello, powiedz mi wszystko, co opuściłaś.

Arabella dotknęła ucha. Spodziewała się tego pytania, nie pragnęła zresztą niczego ukrywać. Obydwie miały tę samą guwernantkę, a potem nauczycielkę, gdy tylko sir Mark zrozumiał, że powinny otrzymać coś więcej niż zwykłą edukację przewidzianą dla panienek na wydaniu. Lata wspólnej nauki sprawiły, że mogły niemal czytać w swoich myślach.

– Mówże coś, Bello – powtórzyła Meg, kiedy przyjaciółka nadal milczała.

Arabella zaczęła z wahaniem:

– Byłam właśnie w oranżerii, zgrzana, spocona i brudna, kiedy wszedł tam bez słowa, a w dodatku wyglądał nieskazitelnie – oznajmiła z lekkim niesmakiem. – Możesz sobie wyobrazić, jak ja wyglądałam!

– Bez trudu – współczująco powiedziała Meg, która podobnie jak Arabella niezbyt dbała o powierzchowność. – Skoro jednak pracowałaś we własnym domu, cóż mu było do tego?

Arabella uśmiechnęła się, słysząc tę energiczną obronę, typową zresztą dla Meg.

– Nic nie powiedział, ale za to jak na mnie spojrzał.

– Przyjrzał ci się, zauważył, że czekasz, aż on zacznie mówić, a potem wyjaśnił, że zabił twojego brata i wyrzuci cię z domu? – spytała z niedowierzaniem Meg.

– Istotnie, był trochę bezceremonialny, ale nie powiedział, że mnie wyrzuci. Przeciwnie, stwierdził, że mogę zostać w Lacey Court tak długo, jak tylko zechcę. – Wolą nie patrzeć w bystre, zielone oczy przyjaciółki i zarumieniła się nieco.

– Wygląda mi to na jakąś nieprzystojną propozycję — mruknęła Meg, mrużąc oczy.

– Tak właśnie sobie z początku pomyślałam. – Arabella odchyliła się do tyłu z pełnym zażenowania uśmiechem. – Okazało się jednak, że ta propozycja jest całkiem innego rodzaju. – Urwała, jakby się nad nią nagle zaczęła zastanawiać.

Meg czekała, wstrzymując oddech.

– Bello, na litość boską – zaprotestowała wreszcie. – Zawsze to robisz, coś zaczynasz i przerywasz w najmniej odpowiednim momencie. No, mówże!

– Przepraszam. – Arabella drgnęła i ciągnęła: – Kończąc, powiem tylko, że mi się oświadczył.

Meg otworzyła szeroko oczy.

– Uklęknął na jedno kolano i powiedział, że chce cię poślubić?

Arabella pokiwała głową i parsknęła śmiechem na samą myśl, że elegancki, wymuskany książę St. Jules mógłby przyklęknąć w cieplarni.

– Nie, nic takiego nie zrobił, po prostu z miejsca mi wyjaśnił: ja potrzebuję żony i dziedzica, a pani – domu.

– Czy cię kiedykolwiek przedtem widział? To znaczy, czy ty go w ogóle znasz? – Meg nie mogło się to pomieścić w głowie.

– Nie. A w dodatku z całą uprzejmością wyjaśnił, że ma najzupełniej go satysfakcjonującą kochankę i chodzi mu tylko o prawowitego syna.

– Ależ to jakiś fanfaron – uznała Meg z niesmakiem. – Mam nadzieję, że dałaś mu należyłą odprawę?

– Oczywiście – odparła Arabella tym samym tonem. – Za kogo mnie masz?

Meg powiodła końcem palca po kwiatowym wzorku na swojej muślinowej sukience.

– Rzecz jasna – zaczęła powoli – w innych okolicznościach taki mariaż miałby pewne zalety.

– Musiałyby one być bardzo inne – zgodziła się zgryźliwie Arabella. – Przecież wiem, że całkiem dobrze byłoby wyjść za bogatego księcia. Wolałabym tylko poznać go w bardziej konwencjonalny sposób.

– No i w dodatku doprowadził twego brata do śmierci – mruknęła Meg. – Nie przepadałam za Frederickiem, a on zamieniał ci życie w piekło, kiedy tu przyjeżdżał, ale mimo wszystko... – Wzdrygnęła się lekko. – Taka śmierć ma w sobie coś diabelskiego.

– Jestem tego samego zdania – przytaknęła pośepnie Arabella. – Prawdę mówiąc, książę St. Jules też ma w sobie coś diabelskiego.

Meg uniosła znad sukni oczy, w których pojawił się lekki błysk.

– Zawsze lubiłam igrać z ogniem.

– Wiem. – Arabella podniosła się szybko z niskiego fotelika bez poręczy. – Jest jednak różnica między igraniem a pozwoleniem, aby on cię spalił. – Zaczęła krążyć po pokoju. Suknia z muślinu w prążki zakołysała się gwałtownie w takt jej kroków.

Meg odczekała trochę, a potem spytała chytrze:

– Czy już nie zostałeś trochę poparzona?

Arabella zatrzymała się, mówiąc powoli, ale stanowczo:

– Meg, on wtargnął do mojego domu, z miejsca się w nim rozpanoszył, nalegał, żebym jadła z nim obiady, a potem mnie pocałował! Co o tym myślisz?

– Myślę, że trafiłaś w sedno – odparła z wolna Meg, a błysk w jej oku stał się jeszcze wyraźniejszy. – A czy dobrze całuje? – spytała ze szczerą ciekawością.

Arabella rzuciła w nią poduszką. Meg zaśmiała się i złapała ją, nim zdołała uderzyć w szybę.

– Och – westchnęła, ciągle odwrócona w kierunku okna.

– Zdaje się, że twój książę przyszedł tu za tobą.

– Co? – Arabella rzuciła się ku oknu. St. Jules stał sobie w swobodnej pozie przy bramie, z twarzą uniesioną ku słońcu. Wszystko w nim tchnęło szczerym zadowoleniem.

– Bello, to niezwykle elegancki i przystojny książę – oznajmiła Meg.

– Wcale nie mówiłam, że jest inaczej. – Arabella zaczęła się bronić. – To jednak niczego nie zmienia. Jest rozpustnikiem i zuchwalcem. Słyszałaś chyba własnego ojca? Jest też nałogowym karciarzem, który z zimną krwią umie doprowadzić kogoś do śmierci...

– Owszem, ma w sobie coś diabelskiego – przerwała jej Meg z rozmarzeniem w głosie. – Trudno to opisać.

– To groźba – stwierdziła stanowczo Arabella. – Ona po prostu z niego emanuje.

– Rozumiem, co masz na myśli. – Meg przytknęła czoło do szyby, żeby lepiej widzieć. – Co za dziwne, siwe pasmo włosów! Fascynująco z nim wygląda.

– Wydaje mi się równie niebezpieczny, jak noszony przez niego rapier, a za jego postępowaniem... za doprowadzeniem Fredericka do śmierci... coś się kryje. Jestem o tym przekonana.

– Na pewno masz rację. Ach – dodała nagle Meg – to zaczyna być bardzo interesujące.

– Co? – Arabella uklękła w wykuszu obok przyjaciółki. Sir Mark Barratt zbliżał się właśnie ku gościowi. Dwa mastify z najeżonymi grzbietami następowały mu na pięty. Arabella, zgnębiona, patrzyła, jak książę pstryka palcami na oba wielkie psy, a one podbiegają ku niemu, nadstawiając łby do pogłaskania.

– Boże, miej nas w opiece – szepnęła Meg. – Przecież tych bestii wszyscy się boją prócz ojca.

– Meg, jeśli Jack Fortescu zawróci w głowie także i jemu, to naprawdę jest diabłem wcielonym – uznała Arabella. – Te psy prawie nie widzą już własnego pana!

Meg parsknęła śmiechem, nadal wpatrzona w scenę na ganku. Nie mogły słyszeć słów, ale widziały, że księżę uśmiechnął się z zadowoleniem. Wyjaśniał coś Markowi, a ten słuchał go uważnie i nawet nie próbował mu przerywać. Mastify leży na trawie, spokojne i niegroźne niczym para małych pudelków. Sir Mark raz czy dwa spojrzął ku nim, wyraźnie zaintrygowany ich niezwykle potulnością.

– Biedny papa, całkiem go to zbiło z tropu – zauważyła Meg. – Cóż ten twój księżę mu wyjaśnia?

– On nie jest wcale moim księciem – zaprzeczyła odruchowo.

– No, spójrz tylko! – wykrzyknęła Meg. – Miałaś rację. Wcielony diabeł.

Sir Mark serdecznie ścisnął dłoń gościa i zapraszał go do środka.

– Papa już je mu z ręki – stwierdziła ze zgrozą Meg. – Nie uwierzyłabym w coś takiego, gdybym nie widziała tego na własne oczy.

– Nie przeczę: księżę, jeśli tylko chce, potrafi być czarujący

– dodała Arabella. – Czy jednak możesz mi powiedzieć, dlaczego miałabym wychodzić za kogoś, kto koniecznie chce mnie poślubić? No i dlaczego właśnie mnie? Co Jack Fortescu we mnie widzi?

– Chce ci wynagrodzić stratę – podsunęła jej Meg.

– Tak właśnie powiedział, ale ja w to nie wierzę. Chodzi mu o coś innego. – Arabella znów zaczęła krążyć po pokoju. – Prócz tego wcale mi nie odpowiada status biednej kobiety, która pozbawiona opieki bliskich musi się o nią zwrócić do kogoś, kto ją jej pozbawił.

– Oczywiście, że nie. – Meg zgodziła się prędko. – To okropna perspektywa. Dawno już wyszłybyśmy za mąż, gdybyśmy godziły się na podobne kompromisy. Rzecz jasna, nie możesz tracić niezależności, ale czy znasz jakieś inne wyjście, które ci pozwoli ją zachować?

– Nie jestem pewna. Widocznie muszę wyrazić zgodę na zwykłą transakcję zamienną i być wyrozumiałą żoną, pozwolić mu robić, co tylko chce, i iść z nim do łóżka na każde zawołanie – stwierdziła z goryczą.

– Ja tylko tak mówię – rozważała na głos Meg – ponieważ obie wiemy, że nie przyjmiesz jego oświadczyn... ale zdaje się, że mogłabyś jednak odplacić mu taką samą monetą, skoro on ma już jakąś przyjaciółkę. – Spojrzała na nią w zadumie. – Zakładając, że chciałabyś wziąć sobie kochanka.

– Brak mi twojego doświadczenia, Meg – odparła Arabella z cierpkim uśmiechem. – Wszystkiego o tych sprawach dowiedziałam się przecież od ciebie.

Meg westchnęła drwiąco.

– Już prawie zapomniałam, to się działo tak dawno temu.

– Może się jeszcze powtórzyć, jeśli zyskasz sposobność.

– A kogóż mogłabym tutaj znaleźć? Miałam raz sezon w Londynie i nic z tego nie wyszło, musiałabym więc być skazana na któregoś z tych przyszczatych młodzików i zapijaczonych ziemian z hrabstwa Kent.

– Albo też na takie życie, jakie zawsze nam odpowiadało. Przecież przysięgłyśmy sobie, jak miałyśmy dziesięć lat, że najbardziej nam zależy na naszej wolności i mężczyźni będą ją nam musieli przyznać.

– Bello, to było dobre, kiedy byłyśmy małe, ale nie spotkałam nikogo, który by się na coś podobnego zgodził, ty zresztą też nie. Nie jestem jednak

pewna, czy mam ochotę spędzić resztę życia jako cnotliwa stara panna. A ty?

– Ja też nie – odparła Arabella z przygnębieniem. Jako uboga krewna musiałaby do końca życia tkwić w kornwalijskiej chatce. Niezbyt pogodna wizja przyszłości.

Ciszę przerwało stukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołała Meg.

Weszła służąca.

– Przepraszam, panno Meg – oznajmiła, dygając – ale sir Mark pyta, czy panienka i lady Arabella dołączą do niego w bibliotece.

Przyjaciółki wymieniły spojrzenia. Jeśli ksiązę ledwie w pół godziny zdołał sobie zapewnić poparcie sir Marka, to był jeszcze bardziej zdumiewającym człowiekiem, niż sądziły.

– Zaraz tam zejdziemy, Madge – powiedziała Meg. Gdy tylko za pokojówką zamknęły się drzwi, przyznała: – Papa rzeczywiście je mu z ręki. Co on takiego mógł powiedzieć?

– Pewnie wyliczył mu wszystkie dobrodziejstwa, jakich zaznam, jeśli przyjmę jego oświadczyzny – odparła sucho Arabella. – Twój ojciec zawsze uważał, że powinien mi zastąpić własnego, nawet gdy on jeszcze żył. A po jego śmierci sir Mark nawet nie usiłował skrywać, że gardzi Frederickiem. Pewnie razem z twoją matką nabrali przekonania, że doskonale to rozwiąże wszystkie moje kłopoty, a ksiązę zapewni mi wspaniałe koneksje.

– Może sobie być nawet rozpustnikiem i zuchwalcem – mruknęła Meg, stojąc na palcach przed lustrem i poprawiając fryzurę.

– Z pewnością Jack przekonał już twoich rodziców, że prawdziwy z niego archanioł Gabriel – zgryźliwie dodała Arabella.

Meg, słysząc, że przyjaciółka swobodnie używa imienia księcia, spojrzała na nią bystro, ale nic nie powiedziała. Arabella sama powinna była dokonać wyboru. Meg mogła ją jednak podtrzymać na duchu wobec nacisku ze strony Barrattów, a tego wsparcia z pewnością będzie potrzebowała, i to niemało. Obie o tym wiedziały.

Objęła więc Arabellę, ucałowała ją w policzek i obie wyszły na korytarz.

RS

6

Moje drogie, chodźcie tu. – Sir Mark powitał je ciepło, kiedy weszły do biblioteki. Pani Barratt siedziała na krześle z wysokim oparciem, trzymając złożony wachlarz na podołku, z lekko oszołomioną miną kogoś, kto nagle znalazł się na obcej planecie.

Jack odstawił kufelek piwa i wstał.

– Moja córka, Margaret – powiedział sir Mark. – Meg, kochanie, pozwól sobie przedstawić jego wysokość księcia St. Jules.

Jack nachylił się nad dłonią Meg.

– Miło mi panią poznać, madame.

– Witam pana. – Meg dygnęła, przyglądając mu się uważnie, gdy cofała rękę.

Jack odwzajemnił jej spojrzenie nieznacznym uśmiechem. Przyjaciółka Arabelli była jej fizycznym przeciwieństwem szczupła, kanciasta, z ostrymi rysami, drobnokoścista i nieduża, podczas gdy panna Lacey odznaczała się wysokim wzrostem, łagodniejszymi rysami, figurą wciętą w pasie. Arabella miała cerę wręcz śmietankową, Meg natomiast bardzo bladą, nakrapianą gdzieniegdzie piegami, a włosy jaskraworude. Ciekaw był, czy ten kontrast cechuje też ich temperamenty. Wątpił w to jednak, zważywszy na nieco zuchwały charakter oglądu, jakiemu został poddany. Podobne, odważne spojrzenia posyłała mu wcześniej Arabella. Zerknął na nią teraz i zauważył, że zdołała zachować niewzruszone oblicze.

– Siadajcie, moje drogie. – Sir Mark wskazał im sofę w stylu chippendale. – Wiem, że nie przepadasz za piwem, Arabello, ale może napijesz się kawy... albo lemoniady?

– Nie, dziękuję. – Siadła przy Meg, która również odmówiła poczęstunku.

Sir Mark stanął przed pustym kominkiem, z rękami założonymi za plecy i bardzo poważną miną.

– Książę właśnie wyjaśnił mi okoliczności związane ze śmiercią twego brata, Arabello.

– Doprawdy? – Arabella spojrzała na niego niewinnym wzrokiem. – Bo mnie ich nie wyjaśnił. Nikt nie wtrąca bliźniego do grobu bez wyraźnego powodu.

Sir Mark zmarszczył brwi, a książę ujął swój kufelek z piwem i podszedł do dużego, francuskiego okna, otwartego na ogród. Lady Barratt obracała w ręku wachlarz.

– Arabello, wiem, że kobiecie trudno to zrozumieć, lecz długi karciane traktuje się inaczej niż pozostałe. – Sir Mark powiedział to tonem kogoś, kto wyjaśnia oczywistą prawdę. – Nikt nie może się od nich uchylić, a jeśli nie jest w stanie ich spłacić, nie ma wielkiego wyboru... – Urwał, a w pokoju zapadła cisza. Potem sir Mark dodał głucho: – Pozostaje mu wygnanie albo śmierć. Wybacz, że mówię tak otwarcie, moja droga, lecz cokolwiek by się myślało o niepisanych prawach dobrego towarzystwa, trzeba być im posłusznym. Twój brat o tym wiedział.

– Doskonale to rozumiem. Nie pojmuję tylko, dlaczego jedynym wierzycielem mego brata miałby być właśnie jego wysokość – odparła, wskazując na księcia, który patrzył na nią sponad kufla. – Nie dziwiłoby mnie, gdyby Frederick zaciągnął długi wobec połowy londyńskich karciarzy i lichwiarzy. A jednak najwyraźniej winien był coś tylko księciu St. Jules. Czy nie uważa pan tego za dziwne?

Jack odstawił kufel i powiedział sucho:

– W takim razie niech pani pozwoli sobie wszystko wytłumaczyć. Wyjaśniłbym to wcześniej, gdyby tylko pani mnie spytała.

Arabella kiwnęła głową jakby w ironicznej zachęcie i złożyła ręce na kolanach. Sir Mark usiadł i uniósł do ust szklanę jak ktoś uwolniony od ogromnego ciężaru.

Jack ciągnął tym samym oschłym tonem:

– Przejąłem wszystkie długi pani brata wiele miesięcy wcześniej, Arabello. Byłem jego jedynym wierzycielem i spłaciłem je całkowicie.

Arabella zmarszczyła brwi.

– Dlaczego mój brat pozwolił je panu przejąć? Czyżby żył pan ze zdzierstwa, milordzie? Ile pan na tym zyskał?

– Arabello! – Sir Mark nie zdołał powiedzieć nic więcej w proteście przeciw tej zniewadze. Lady Barratt gwałtownie wciągnęła powietrze. Arabella zignorowała ich i nadal patrzyła księciu w oczy.

Jack Fortescu wzruszył ramionami.

– Pani brat nie wiedział, że przejąłem jego długi. Powiedziano mu tylko, że zrobiła to jakaś nieznana osoba. Sprzedaż długów nie jest niczym niezwykłym u lichwiarzy, uważa się to za bardzo lukratywną praktykę. Pani brat nie zdołał nawet spłacić od nich procentów, ale ja nie byłem zainteresowany ich ściąganiem.

– Czemu wyświadczył mu pan taką przysługę? Wspominał o panu, ale rzadko, i odniosłam wrażenie, że nie był pan jego przyjacielem. – Nadal nie spuszczała z niego oczu, jakby w obawie, że przegra tę słowną utarczkę, gdy ucieknie wzrokiem.

– Zналиśmy się. Poruszaliśmy się w tych samych kręgach...

– W karcianych kręgach – przerwała mu. Skłonił się z pełnym ironii uznaniem.

– Ależ, oczywiście. W klubach nieraz się pomaga znajomemu graczowi. – Oczy mu się nagle zamgliły, jakby ponownie doświadczył

przewrotnej satysfakcji, która towarzyszyła mu podczas starannie zaplanowanego dzieła zrujnowania Fredericka Lacey; Każdy wykupiony dług był kolejną częstką jego zemsty, a Lacey nie widział miecza, póki ten go nie dosięgnął.

– I upewnił się pan w końcu, że na tym zyska? – spytała z cynicznym uśmiechem.

– Taka jest natura gry, madame – odparł i wzruszył ramionami. – Siada się do niej i albo wygrywa, albo przegrywa. – Spokojny ton jego słów sprawił, że w pokoju nagle zrobiło się chłodno. Szare oczy księcia nie były już zamglone, ich spojrzenie stało się ostre jak jego rapier.

Sir Mark odchrząknął i napięcie między dwojgiem przeciwników jakby trochę zelżało. Obecni w pokoju oprzytomnieli.

– Niestety, taka jest prawda – powiedział sir Mark. – To była niebezpieczna gra, a twój brat pogrążył się w niej z kretesem, Arabello. Wiedział, co robi.

Arabella nic nie odpowiedziała. Podejrzewała, że Frederick myślał tylko, że wie, co robi, lecz grał z kimś, kto prowadził z nim całkiem inną grę, według odmiennych reguł. Biedny głupiec, pomyślała o bracie z pełnym rezygnacji współczuciem. Nie mogła już w nim dłużej widzieć bezlitosnego brutala. Owszem, myślał tylko o sobie i był ograniczonym durniem, ale zapłacił za to chyba zbyt wysoką cenę.

Spojrzała na księcia. Był tak spokojny, nieskrepowany, budzący tyle zaufania... bezgranicznie groźny. Tylko głupiec mógłby wejść w drogę Jackowi Fortescu.

Czy ona też okaże się tak głupia? Myśl ta uderzyła w nią z całą siłą. Skąd się właściwie wzięła? Czyżby zaczął ją bawić pomysł o przyjęciu

oświadczyn księcia? Dobry Boże, musiała chyba oszaleć! Bezwiednie pokręciła mocno głową.

– Bello? – Meg chwyciła ją za rękę. – Wyglądasz, jakbyś się z kimś kłóciła.

Arabella spojrzała niezbyt przytomnie na przyjaciółkę, a potem wzruszyła ramionami i posłała jej przepraszający uśmiech.

– Wybacz, ale mam wiele do przemyślenia. Przebywałam przez chwilę w jakimś innym świecie.

– To zrozumiałe, moja droga – powiedziała ze współczuciem pani Barratt. – Nie zapominaj jednak, że znajdujesz się wśród przyjaciół.

– Wiem i jestem wam bezgranicznie wdzięczna. – Arabella mocno uścisnęła dłoń lady Barratt.

– Zastanówmy się nad tym, co mamy teraz robić – pośpiesznie dodał sir Mark, nim żona zdążyła uronić kilka łez. Pociągnął solidny łyk piwa, patrząc w zamyśleniu na Arabellę. – Księżę podsunął nam rozwiązanie tego smutnego dylematu, moja droga. – Spojrzał na nią wyczekująco.

Arabella chętnie by się dowiedziała, w jaki sposób Jack wyjawiał swoje zamiary Barrattom. Nic jednak nie powiedziała i tylko patrzyła na sir Marka z zaciekawieniem.

Meg zajęła się układaniem róż na niskim stoliku obok sofy. Jak też Arabella rozegra tę scenę? Najwyraźniej nie miała zamiaru ułatwiać sprawy księciu. Meg uznała, że to niezły pomysł. Patrzyła na niego z podejrzliwością, niezdolna ignorować jego charyzmatycznej osobowości. Dysponował siłą, która mogła obrócić w perzynę sprzeciw. Czy Arabella przyjmie w końcu jego oświadczyń, czy też nie, będzie jej trzeba wszelkiej możliwej pomocy, by utrzymać nad sobą kontrolę, której obie od dawna

postanowiły się nie wyrzekać, niezależnie od okoliczności. Arabella potrzebowała, aby Meg trwała u jej boku od samego początku i wspierała ją.

Lady Barratt rozłożyła wachlarz wśród głuchoj ciszy. Wreszcie sir Mark, marszcząc brwi, spytał:

– Wierzę, że jego wysokość rozmawiał już z tobą, Bello?

– Oczywiście, rozmawialiśmy ze sobą – odparła najniewinniejszym tonem. – Trudno, żeby się bez tego obyło, gdy całkiem obcy człowiek wchodzi nagle do twojego domu i cię go pozbawia.

Jack stulił usta i bezgłośnie zagwizdał. Odstawił pusty kufelek i wsparł się o framugę okna. Sir Mark spojrzał ku niemu głęboko zmieszany.

– Fortescu, zrozumiałem, że omówiłeś już tę sprawę z Arabellą.

– Jak najbardziej. – Jack zaczął się uważnie przyglądać swoim dłoniom. Odwrócił je do góry, potarł kciukiem jednej o wnętrze drugiej, obracając w zamyśleniu szmaragdowy pierścień na lewej ręce. Wszyscy w pokoju zrozumieli, że jest w stanie głębokiego wzburzenia, którego nie chce uzewnętrzniać.

Arabella nie mogła rozstrzygnąć, czy znalazł się na skraju wybuchu gniewu, czy też hamuje parsknięcie śmiechem. Uznała jednak, że czas skończyć tę farsę.

– Chyba nie ma pan na myśli tych groteskowych oświadczeń, sir Marku? Nawet o nich nie pomyślałam. Co za absurdalny pomysł.

– Arabello, moja droga, zechciej się zastanowić. – Lady Barratt wtrącała się, nim mąż zdążył cokolwiek powiedzieć. – Byłby to bardzo korzystny mariaż. A w tych okolicznościach... no cóż, jest zapewne jedynym rozwiązaniem. – Uśmiechnęła się słabo. – Niezwykle wręcz szczodłą propozycją, pojmujesz chyba.

– Sądzę, że mogę się obejść bez tej szczodrości, madame – odparła Arabella z pewną wyższością. – Napisałam już do krewnych w Kornwalii i nie wątpię, że mnie przygarną. Mogę zarobić nieco pieniędzy dzięki moim orchideom i uprawie warzyw, zyskując w ten sposób całkowitą niezależność i zadowolenie.

Książę wydał dźwięk, który mógł oznaczać zarówno kpinę, jak i zduszony śmiech.

– Czy jego wysokość coś powiedział? – Arabella utkwiała w nim wzrok.

– Nie — odparł z niebezpiecznym błyskiem w oku. – Ani słowa.

– Jakież to wszystko kłopotliwe. – Sir Mark westchnął. – Chyba nie możemy się spodziewać, Arabello, byś natychmiast podjęła jakąś decyzję. Powinnaś jednak dokładnie sobie przemyśleć tę propozycję. Jest w niej sporo zalet. — Podeszedł do niej i poklepał ją po ramieniu. – Sądzę, podobnie jak moja żona, że trzeba ci na to nieco czasu. Pomyśl nad jakąś alternatywą. Jesteś nieco zdenerwowana... – Sir Mark odwrócił się, słysząc kolejny zduszony dźwięk; tym razem wydała go jego córka. – Czy masz coś do powiedzenia, Margaret?

– Ojczy, czy ci się kiedyś zdarzyło widzieć Arbellę zdenerwowaną? Ona ma nerwy ze stali.

Sir Mark spiorunował córkę wzrokiem, lecz znał Arbellę od małego i nie mógł odmówić Meg słuszności. Odchrząknął kolejny raz i powiedział cierpko:

– Tak czy inaczej, śmierć Fredericka była dla nas wszystkich wielkim szokiem.

Spojrzał na księcia, który wciąż jeszcze stał przy oknie i obserwował całą scenę z lekko ironicznym rozbawieniem. Było coś nie w porządku w

człowieku, który mógł spokojnie ciągnąć korzyści z czyjejś śmierci. Była to niemiła myśl i sir Mark wolał odsunąć ją od siebie. Miał obowiązek obmyślić plan jak najbardziej korzystny dla Arabelli, a małżeństwo, z księciem St. Jules byłoby najlepszym, jeśli nie jedynym wyjściem z tej fatalnej sytuacji. Zwrócił się do Arabelli:

– Moja droga, musisz się do nas przenieść i przemyśleć propozycję księcia. Potrzebujesz macierzyńskiej pomocy i rady. Moja żona zapewni ci i jedno, i drugie.

Arabella przygryzła dolną wargę. Za nic nie chciała okazać niewdzięczności, lecz pragnęła sama uporać się ze wszystkim.

Serdeczność i przywiązanie do Barrattów okazały się nagle presją nie do zniesienia.

– Jesteście państwo bardzo dobrzy – odparła, ujmując znów lady Barratt za rękę – i to obydwójce, zostaną jednak w Lacey Court, dopóki nie nadejdzie odpowiedź z Kornwalii. Nie sądzę, by książę chciał tu długo zabawić. – Spojrzała na niego kolejny raz z wyzwaniem.

– Przeciwnie – powiedział, wygładzając koronkowy mankiet. – Zamierzam pozostać w tej uroczej części Kent do końca lata. Uważam, że ma niezwykle zdrowy klimat.

Arabella mocniej przygryzła wargę.

– To wszystko wyjaśnia, moja droga – uznała lady Barratt.

– Musisz się zaraz sprowadzić do nas. Od rana ci przecież powtarzamy, że nie możesz przebywać w jednym domu z jego wysokością bez przyzwoitki.

– Pani Elliot i niania doskonale mi wystarczą. – Arabella przemówiła tonem, który Barrattowie dobrze znali. – Nie chcę być niewdzięczna ani obojętna na wasze rady, ale postanowiłam, że nie odejdę z mego domu, póki

nie będą całkiem gotowa go opuścić. – Wstała z sofy i wyciągnęła dłoń do sir Marka.

– Dziękuję panu szczerze.

– Zawsze chciałaś chodzić własnymi drogami, Bello –stwierdził, kręcąc jednak głową.

Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Życzę państwu miłego dnia. – Nachyliła się, by ucałować lady Barratt, która zrezygnowana skinęła głową, lecz odwzajemniła pocałunek.

– Pójdę z tobą do psów. – Meg zerwała się na nogi. – Powinnaś zobaczyć, jak bardzo podrosło potomstwo Czerwonej Lady.

– Dygnęła szybko przed Jackiem. – Życzę panu miłego dnia, wasza wysokość.

– Ja pani również, panno Barratt. – Skłonił się. – Poczekam na panią przed gankiem, Arabello.

– Nie trzeba. – Machnęła lekceważąco ręką. – Znam drogę do własnego domu.

– Poczekam na panią mimo wszystko. Towarzyszyłem pani tutaj i odprowadzę panią z powrotem. – Było w tym stwierdzeniu coś nie do odparcia.

Arabella nie bawiła się w zbyteczne dyskusje, więc odwróciła się tylko i odeszła w ślad za Meg.

– Co za walka tytanów – zauważyła ze śmiechem Meg, kiedy wyszły z domu tylnymi drzwiami i skierowały w stronę podwórza przy stajni.

– Co masz na myśli?

– Starcie dwóch niewzruszonych potęg. Nie wiem, na czyje zwycięstwo bym stawiała.

– Nie nazwałabym tego starciem – powiedziała Arabella, gdy weszły do chłodnej, pachnącej sianem stajni, gdzie leżała suka ze szczeniętami. A może jednak? Raz jeszcze przypomniwała sobie osobliwy moment, kiedy bezwiednie rozważała, czy przyjąć oświadczyzny. Z pewnością doznała wówczas zaćmienia umysłu.

Meg uniosła kratę ze skrzyni, w której sześcioro włochatych szceniąt leżało tuż przy sobie, i spojrzała sceptycznie na przyjaciółkę.

– Bzdura – uznała. – Nie potrafisz być z nim w jednym pokoju, żeby go nie zaatakować. – Sięgnęła ręką po szczenię i położyła je na kolanach.

Arabella siadła na sianie i wzięła w objęcia drugie. Nie zaprzeczyła słowom Meg, spytała tylko:

– A co ty o nim myślisz? Teraz, kiedy go już poznałaś?

Pogładziła pieska po długich, kudłatych uszach i poczuła jego szorstki języczek na palcu. Reszta szceniąt, rozbudzona, czołgała się nieporadnie. Borys i Oskar wpadły do stajni i w zabawny sposób stanęły przez moment jak wryte, a potem zaczęły baraszkować ze skomlącą gromadką. Pochylały się nad nią, wachały szczenięta, przewracały je na wznak i trącały nosami.

Meg uśmiechnęła się sztucznie.

– Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Nie jest kimś, kogo dałoby się lubić, choć to o wiele za łagodna ocena. – Spojrzała z ukosa na Arabellę. – Mogę sobie jednak wyobrazić jego siłę przyciągania. Ma w sobie coś magnetycznego.

– Hm, powinnam już iść. Nie zajrzałam dziś do orchidei. – Położyła szczenię przy pozostałych i wyszła. Borys i Oskar skakały już wyczekująco na zalanym słońcem dziedzińcu.

Meg objęła ją, kiedy wyszły ze stajni w ślad za psami. Czuła wyraźnie, że Arabella bije się z myślami, niemalże mogła to słyszeć, lecz nie

wymuszała na przyjaciółce zwierzeń. Przyjdzie na nie czas, kiedy Bella do tego dojrzeje. Za rogiem pożegnały się i ucałowały. Meg wróciła do domu, wiedząc dobrze, że czeka ją długa rozmowa z matką na temat przyszłości Arabelli.

Jack stał dokładnie tam, gdzie miał być, cierpliwy i najwyraźniej zadowolony. Psy podbiegły do niego, a on podrapał je za uszami, potem zaś zaczął rzucać im patyki. Pognały za nimi z hałasem, a on wyprostował się i pozdrowił Arabellę ze spokojnym uśmiechem.

– Czy znów pójdziemy przez pola? – spytał. – Ścieżka wiodąca tu od rozstajów wydaje mi się całkiem miła i cieniasta.

– Co pan wybierze?

Jack spojrział na nią, udając zdziwienie.

– Czy pani mnie o to pyta?

– Dlaczego nie? Jak najbardziej chciałabym uwzględnić pański wybór. Nie chcę być zanadto nieuprzejma.

– Po co więc cała ta komedia u Barrattów? Po co było udawać, że nie ma pani pojęcia, o czym mówi sir Mark?

Coś w jego głosie powiedziało jej, że przedtem w bibliotece powstrzymał gniewne parsknięcie, a nie śmiech.

– Nie miałam ochoty, żeby o mojej przyszłości dyskutowali ludzie, którzy nie mogą pomóc mi w podjęciu własnej decyzji. Sir Mark i jego żona traktowali mnie życzliwie od dzieciństwa, ale nie są moimi prawnymi opiekunami. Nie mam zresztą żadnego opiekuna, wasza wysokość, ani go też nie potrzebuję... Och, pójdźmy teraz ścieżką do rozstajów, skoro ją pan woli. – Wyprzedziła go, schylając się, żeby odebrać zaśliniony patyk Oskarowi i przerzuciła go z rozmachem przez żywopłot. Psy zaczęły się

przez niego przeciskać i zniknęły im z pola widzenia. Jack dogonił ją i chwycił za ramię.

– Jedną chwilę, Arabello. Nastąpiło chyba nieporozumienie. Ja po prostu wyjaśniłem ludziom, którzy będą kiedyś moimi sąsiadami, dlatego tu przybyłem. A jeśli przy okazji uznałem za stosowne wyjaśnić moje zamiary względem pani osobom, którym najwyraźniej leży na sercu jej dobro, było to z pewnością całkiem rozsądne.

Arabella oswobodziła ramię.

– Proszę sobie darować tę obłudę. Nie ma pan zamiaru pozostać w Lacey Court i zostać ich sąsiadem. Kiedy będzie już po wszystkim, wróci pan do jaskini gry w Londynie. Chodziło tu tylko o poparcie pańskich oświadczeń przez ludzi, którzy – jak pan trafnie odgadł – chętnie by go udzielili.

Jack przytrzymał znów jej ramię, gdy zamierzała odwrócić się, by ruszyć dalej. Stał, patrząc w jej złote oczy przypominające czujnego kota. Arabella zacięła usta i uniosła podbródek.

– Próbuje mnie pani za wszelką cenę rozgniewać – powiedział, bardzo powoli wymawiając każde słowo. – Ostrzegam, że to niemądre. Kiedy jestem zły, bywam bardzo przykry, a tymczasem wolałbym się prezentować wyłącznie w jak najlepszym świetle. Chcę, żeby mnie pani polubiła.

Już sama myśl o czymś podobnym rozśmieszyła ją, ale nie czuła wesołości. Jak słusznie zauważyła Meg, nie dało się go lubić i było to o wiele za słabe określenie jak na uczucia, które mógł wzbudzić.

– To z pewnością minimalne wymagania wobec na wpół przyzwoitego małżeństwa – odcięła się.

Czuła, że jego ostrzeżenie nie było bezpodstawne, i uznała, że lepiej byłoby zakończyć tę konfrontację. Nie trzymał jej za ramię zbyt mocno, a

dotyk dłoni i bliskość jego ciała powstrzymały ją przed strząśnięciem jego ręki i cofnięciem się. Mężczyzna zdawał się nie odczuwać żadnego dyskomfortu z powodu słońca. Arabella nie wzięła kapelusza i miała wrażenie, że ktoś położył na jej głowie gorący talerz.

– Tak, chcę, żeby mnie pani polubiła, ale jest coś jeszcze, Arabello. – Ujął ją pod brodę, uniósł jej twarz ku górze i pocałował. Nie było to już muśnięcie wargami kącika ust, jak zeszłego wieczoru, ale głęboki pocałunek. Odruchowo zamknęła oczy nie czując nic poza wonią jego skóry, smakiem jego języka i ciepłem ciała, do którego nieświadomie przywarła. Wolną ręką objął ją w pasie, podczas gdy ich języki oddawały się tańcowi. Znalazła się w świecie, w którym nie było niczego poza zmysłami, a jedynym kolorem była czerwień pod jej przymkniętymi powiekami.

Powoli uniósł głowę, nadał ją obejmując w talii, a drugą ręką podtrzymując podbródek. Spojrzał na nią przeciągle.

– Coś jeszcze. Właśnie to, moja droga. Małżeństwo bez namiętności jest smutne.

Namiętność? Arabella przełknęła ślinę. Uniosła dłoń i założyła niesforny kosmyk włosów za ucho. Brakło jej słów.

– Nie powinnaś tak stać w pełnym słońcu – odezwał się innym już tonem. – Nie powinnaś wychodzić z domu bez kapelusza. – Ujął ją za rękę z niewymuszoną czułością, którą uznała teraz za coś całkiem naturalnego, i skierował się ku ścieżce, nie mówiąc ani słowa więcej. Sam nie pojmował, w jaki sposób to, co go tu sprowadziło, stało się czymś dogłębnie osobistym w ciągu ledwie paru godzin. Nie była to już tylko kwestia dopełnienia zemsty. Im bardziej Arabella stawiała mu opór, tym bardziej chciał ją zdobyć.

Spojrzał na nią. Szła wciąż u jego boku, rzucając patyki psom, które biegły radośnie przed nimi. Raz, jakby czując na sobie jego wzrok, rzuciła mu szybkie spojrzenie, lecz potem nadal patrzyła przed siebie.

Próbowała przekonać samą siebie, że jeśli przestanie myśleć o tym pocałunku i nigdy już do tych rozmyślań nie wróci, będzie tak, jakby wcale do niego nie doszło. Niestety, nigdy nie była dobra w okłamywaniu samej siebie.

Zbliżyli się do Lacey Court od strony kępy drzew za głównym podjazdem. Arabella zatrzymała się, gdy widać już było dom.

– Tego się właśnie spodziewałam. – Westchnęła.

Jack zobaczył, że przed frontowymi drzwiami stoi powóz. Kobieta w sukni usztywnionej gorsetem i z przesadnie wielką turniurą właśnie z niego wysiadła, podtrzymywana przez rumianego mężczyznę w peruce, białego w surdut z wiśniowego aksamitu.

– Założę się, że to lady Alsop z mężem przyjechali złożyć wizytę.

– W rzeczy samej. – Arabella gwizdnęła na psy. – Jeśli schowamy się za drzewami, to może odjadą – powiedziała z nadzieją w głosie.

– Myślałem, że ucieszysz się z tej wizyty. Obiecałeś mi znakomitą zabawę.

– Owszem, tak było wczoraj. Wtedy ta perspektywa mnie cieszyła, rzeczywistość, niestety, już nie.

– Cóż, powinienem w końcu poznać mego kolegę, jednego z trzech sędziów pokoju, i jego żonę. – Przyjrzał się Arabelli

I pokiwał głową.

– Czy możesz wejść do domu niepostrzeżenie?

– Tak, ale po co miałabym to robić? – spytała zaskoczona.

– Moja droga, masz na sukni słomki lub może źdźbła siana, psią sierść na przodzie, a obuwie całkiem niestosowne jak na przedpołudniową wizytę. Mogłabyś też chcieć coś zrobić z włosami. – Delikatnie przeczesał je ręką, wyliczając te mankamenty.

Arabella pamiętała, co robiła w stajni. Strzepnęła długi, rudy włos ze spódnicy.

– Bawiłam się ze szczeniętami.

– To widać. Kiedy będziesz się przebierać, ja powitam lady Alsop i jej męża.

– Jak im pan wszystko wyjaśni?

– Nie potrzebuję niczego wyjaśniać.

– Jeśli masz zamiar utrzyć nosa Lavinii Alsop, Jack, koniecznie chcę przy tym być. – Jej oczy się zaświeciły.

– Tak już lepiej. – Uśmiechnął się leniwie.

Zdała sobie sprawę, jak się do niego zwróciła, ale postanowiła nie przywiązywać do tego wagi.

– Żądam, byś na mnie poczekał i nie witał się wcześniej z Lavinią. Proszę powiedzieć Franklinowi, że ma zanieść zimne napoje do salonu i wyjaśnić, iż wkrótce tam przyjdziemy.

– Daję ci na to dwadzieścia minut.

– Spotkamy się w bibliotece za kwadrans – powiedziała i zebrała suknię, a potem puściła się pędem między drzewami ku tylnym drzwiom.

Jack zatrzymał się tylko na tyle, by móc poprawić swój miecz, otrzepać pył z surduta i wstrząsnąć koronkami mankietów oraz żabotu, a potem główną drogą przeszedł do bocznych drzwi. Wyglądał jak mężczyzna świadomy faktu, że wszystko dokoła jest jego własnością.

Jack wszedł do domu bocznymi drzwiami i z miejsca natknął się na wystraszonego Franklina.

– Goście przyszli, wasza wysokość. Lord i lady Alsop. Próbowałem im wytłumaczyć, że nie ma pana domu, ale lady Lavinii... – Rozłożył szeroko ręce.

– Raczej trudno się pozbyć – dokończył za niego Jack. – Tak, już o tym słyszałem od lady Arabelli. – Uśmiechnął się do kamerdynera. – Lady Arabella poszła na górę się przebrać. Kiedy zejdzie, powitamy ich razem. A tymczasem zechciej im podać napoje chłodzące i wyjaśnij, że dopiero co wróciliśmy do domu, dołączymy więc do nich za chwilę.

– Oczywiście, wasza wysokość. – Franklin uspokoił się i poszedł spełnić swój obowiązek z większą pewnością siebie.

Jack zajrzał do biblioteki i nalał sobie kieliszek madery z karafki na kredensie, a potem czekał. Arabella wróciła, jak obiecała, po niecałych dwudziestu minutach.

Przyjrzał się jej uważnie. Miała znów na sobie bladozieloną dzienną suknię, a włosy nakryte ładnym koronkowym czepkiem.

– Czy wyglądam dość porządnie, wasza wysokość? – spytała z ironią i dygnęła przed nim.

– Całkiem nieźle, ale bardzo bym chciał zająć się twoim ubiorem. Marnujesz się w tej prowincjonalnej dziurze.

– Cóż to ma znaczyć? – spytała, nie wiedząc, czy usłyszała uszczypliwą uwagę, czy też nieco osobliwy komplement.

– To, że w należyтым stroju i z fryzurą od dobrego fryzjera wyglądałabyś tak, że ludzie odwracaliby za tobą głowy – odparł,

odstawiając kieliszek. – Trochę to dziwne, ale chciałbym być tego świadkiem. Chodźmy poznać tę nieznośną babę.

Otworzył drzwi, przepuszczając ją przed sobą. Arabella głowiła się, co miał na myśli, wchodząc jako pierwsza do holu. Franklin stał już przed zamkniętymi drzwiami salonu i na ich widok otworzył je szeroko.

– Dziękuję, Franklinie – powiedziała z uśmiechem, a po wejściu do salonu złożyła gościom ukłon.

– Lady Alsop, milordzie, co za niespodzianka. Miło mi, że zechcieli nas państwo odwiedzić.

Lady Alsop podniosła się z wyściełanego adamaszkiem fotela, z dłonią przyciśniętą do piersi. Podwójny podbródek zatrzęsł się jej ze zgorzenia, wysokie obcasy zachwiały, a wypchany gołąb na czubku spiętrzonej, wymyślnej fryzury pokrytej pudrem zakołysał się niebezpiecznie.

– A więc to prawda. – Głos zadrżał jej przy tych słowach.

– Nie mogłam wręcz uwierzyć, lady Arabello. Przyjmuje pani mężczyznę we własnym domu pod nieobecność brata!

– Nowiny rozchodzą się bardzo szybko – odparła z ironią Arabella – lecz zapewne nie wie pani jeszcze, że mój brat... lord Dunston... zszedł z tego świata. – Wskazała na Jacka, który stał bez słowa za nią. – Pozwolę sobie przedstawić państwu jego wysokość księcia St. Jules, spadkobiercę Fredericka.

Jeśli nawet lady Alsop usłyszała, że przedstawia się jej właśnie księcia, nie zareagowała.

– Umarł! – wykrzyknęła. – Hrabia nie żyje. Jak to możliwe?

– Odwróciła się ku mężowi. – Alsop, jak mogłeś o tym nie słyszeć?

Jack, wciąż stojąc za Arabellą, zażył nieco tabaki, wpatrując się ze spokojem w gości. Wicehrabia desperacko, ale daremnie szukał słów, żeby odpowiedzieć żonie na pytanie, na które właściwie nie było odpowiedzi.

– Kim jest ten mężczyzna? – Lavinia wskazała wachlarzem na księcia.

– Co on tu robi, lady Arabello?

– Proszę wybaczyć, ale przed chwilą przedstawiłam go pani – odparła bezbarwnym głosem Arabella. – To spadkobierca mego brata, nowy właściciel Lacey Court. – Oczy jej rozblęły na widok przerażonej Lavinii, która nie wiedziała, czy najpierw okazać szok, czy dać wyraz domysłom. Powtórzyła więc jeszcze raz:

– Jego wysokość, książę St. Jules.

Po tych słowach nastąpiła chwila głuchego milczenia. Jack skorzystał z niej, by schować tabakierę do kieszeni, i ukłonił się.

– Jego wysokość... – wymamrotała lady Alsop. Najwyraźniej rzadko miała sposobność widywania książąt. – A więc jest pan księciem St. Jules...

– Wyciągnęła powoli rękę i poprawiła gołębia na włosach, jakby chcąc się upewnić, że wciąż jeszcze tam tkwi. Uśmiechnęła się niepewnie i przymilnie.

– We własnej osobie, madame. – Jack skłonił się ponownie.

– Jesteśmy zachwyceni. To dla nas zaszczyt. Alsop, ukłoń się jego wysokości. – Upomniała nieszczęsnego męża.

Alsop złożył Jackowi niski ukłon z kapeluszem tuż przy piersi.

– Wasza wysokość.

Jack zrewanżował mu się czymś, co przypominało raczej kiwnięcie głową, i spojrzał na niego chłodno. Lady Alsop zafurkotała wachlarzem.

– Nie miałam pojęcia, że waszą wysokość łączy jakieś pokrewieństwo z hrabią Dunston. Oczywiście, w tych okolicznościach jest najzupełniej na

miejscu, że lady Arabella przebywa z panem pod jednym dachem. Czyż nie tak, Alsop? – dodała władczo.

– Cóż, tak, w tych okolicznościach – wyjąkał jej mąż i dodał: – Nie wiedziałem, że istnieje jakieś pokrewieństwo między tymi rodzinami.

Lady Alsop spojrzała ostro na Arabelle.

– Jego wysokość, jak sędzę, jest pani krewnym?

– Bynajmniej – odparł spokojnie Jack. Lavinia odzyskała wygląd osoby zgorszonej.

– A więc... jakże może być pan jego spadkobiercą?

– A czy to pani interes, madame? – spytał Jack z dyskretnym, chłodnym uśmiechem.

Lady Alsop oblała się rumieńcem od karku aż po mocno uróżowane i wypudrowane policzki. Była teraz wyraźnie zbulwersowana.

– Z pewnością tak, skoro reputacja naszej małej miejscowości jest narażona na szwank, jedna zaś z naszych sąsiadek zhańbiona, zniesławiona, a jej reputacja – zniszczona. Obojętne, czy przez księcia, czy też kogoś innego!

– Dobry Boże, czyżbym był w stanie dokonać dzieła kompletnej ruiny w ciągu ledwie dwudziestu czterech godzin? – spytał Jack ze zdumieniem. – Lady Arabello, czy tak jest w istocie?

Wargi Arabelli drgnęły, lecz zdołała opanować śmiech, choć nie bez wysiłku. Odparła pojednawczo:

– Lady Alsop, mój brat ustanowił księcia swoim spadkobiercą i tym samym oddał mu mnie pod opiekę. Jego wysokość St. Jules znajduje się tu w zastępstwie mego brata.

– Nie widzę żadnej różnicy – oświadczyła bez ogródek Lavinia. – Chyba że schował gdzieś tutaj swoją żonę. Czy zrobił pan tak? – spytała, wymierzając prosto w niego palec.

Arabella poczuła nagły przyływ litości. Lady Alsop nie miała pojęcia, w co się wpakowała. Powiedziała pośpiesznie:

– Madame... lady Alsop... to całkiem niepotrzebna troska. Osobiste sprawy jego wysokości obchodzą tylko księcia... podobnie jak mnie moje.

– Nie ma pani pojęcia, jaką szkodę wyrządza swojej reputacji – obwieściła Lavinia ostrym tonem. – Nie pozwolę, aby pani tu pozostała. Alsop, zawezwij powóz. Lady Arabella jedzie z nami.

Wicehrabia spojrział na pannę Lacey, lecz ona pokręciła przecząco głową. Poprawił więc perukę, odchrząknął i znów zaczął szukać odpowiednich słów. Jack odwrócił się, by nalać sobie kieliszek madery z karafki na konsolce. Zaoferował ją też bez słowa Alsopowi, który z pomrukiem uznania podsunął mu pusty kieliszek.

– Alsop! – wykrzyknęła jego żona. – Nie możesz pić alkoholu z tym człowiekiem! Nie dbam, czy jest księciem, czy nie! A teraz powiedz lady Arabelli, żeby wzięła płaszcz i zabrała się z nami.

Jack uniósł kieliszek do ust. Wicehrabia wymamrotał:

– Moja droga, nie mogę tego zrobić. To nie nasze sprawy... a lady Arabella nie jest naszą krewną. Doprawdy nie mogę.

– Pani mąż ma całkowitą rację, lady Alsop – odpowiedział Jack. – A choć uważam pani troskę o reputację i moralność lady Arabelli za godną pochwały, uważam, że jest ona w stanie sama się o siebie zatroszczyć. Zapewniam też, że wszelką troskę o moją moralność uważam za stanowczo niepożądaną i krańcowo niemądrą.

Lavinia gwałtownie zamrugała. Powoli zaczęła do niej docierać groźba obecna w szarych oczach księcia. Nie była zresztą pierwszą osobą, która zaniemówiła na jej widok. Zdecydowanie ruszyła w stronę Arabelli i trąciła obszerną turniurą o poślacany stoliczek z porcelanową wazą, który zakołysał się niebezpiecznie, po czym wykrztusiła z trudem:

– Pożałuje pani tego, lady Arabello! – Więcej nie potrafiła z siebie wydusić. – Chodźmy stąd, Alsop. Przyszłam tutaj w dobrej wierze, a zyskałam tylko zniewagi!

Ponownie zafalowała suknią, a spiętrzona fryzura zachwiała się gwałtownie, gdy Lavinia wypadła z salonu. Alsop spojrzął żałośnie na Arabellę i księcia, następnie opróżnił kieliszek, ukłonił się pośpiesznie i poczłapał w ślad za żoną, mruczając nieskładnie słowa pożegnania.

Arabella padła na sofę w paroksyzmie śmiechu.

– Och, Meg będzie wściekła, że nie było jej przy tej rozmowie.

Jack uśmiechnął się tylko i pociągnął łyk wina.

– Czy to wyciszy plotki?

– Gdzież tam. – Arabella otarła oczy chusteczką. – Powinnam tego z pewnością żałować. Złośliwość Lavinii nie ma granic. Ona nie rzuca słów na wiatr. Rozniesie po całym hrabstwie, że jestem rozwiązła i żyję w grzesznym związku z diabłem we własnej osobie. Założę się, że w rezultacie padnę ofiarą całkowitego ostracyzmu,

– Barratt wszystko wyjaśni.

– Wątpię, czy protesty sir Marka wiele by tu pomogły. Ale moi przyjaciele będą trwać przy mnie. O resztę ludzi nie dbam.

– Kimże są ci przyjaciele? – Jack przyjrzał się jej uważnie.

– Poza Meg i Barrattami David Kyle z żoną. Jest tu pastorem. To najmłodszy syn hrabiego Dunleavy bardzo zacny człowiek, który nawet o

Lucyferze gotów byłby się życzliwie wyrazić. A Mary jest po prostu cudowna. Są parą tak dobrych ludzi – powiedziała z naciskiem – że czuję się przy nich jak nędzny robak.

Wstała z sofy i naszła ją myśl, że następnym gościem okaże się zapewne David. Lavinia nie będzie tracić czasu i niewątpliwie poskarży się w pierwszej kolejności duchownemu.

– Pójdę do cieplarni – rzuciła przez ramię, zmierzając ku drzwiom.

– Oczekuję ciebie w jadalni o piątej. Tak się chyba umawialiśmy.

– Jak pan sobie życzy – odparła, zamykając za sobą drzwi.

Pracowała tam, wśród brudu i gorąca, przez całe popołudnie. Jak zawsze, hodowla orchidei sprawiała, że myślała jaśniej, gdy jej ręce sadziły, uklepywały ziemię, przycinały rośliny i przywiązywały je do podpórek. Po popołudniu wyszła do ogrodu, żeby oberwać zwiędłe róże i wyplewić skalny ogródek. I tam właśnie, na czworakach, czując zapach ziemi, z brudem za paznokciami, rozmyślała nad kwestią, która nurtowała ją przez cały dzień. Czy poślubienie Jacka Fortescu byłoby naprawdę czymś gorszym od tego, co ją czekało, jeśli za niego nie wyjdzie?

Często dyskutowały z Meg o małżeństwie jako instytucji, której celem było gnębienie kobiet. Nie mogła tu nic zmienić. Przynajmniej póki prawa dyktowali mężczyźni. Niektórym kobietom udawało się jednak urządzić życie według własnych życzeń. Brały sobie kochanków, przewodziły literackim i politycznym salonom, patronowały sztuce i miały nawet wpływ na królów. Księżę Walii był przyjacielem Jacka, a zatem księżna St. Jules nieuchronnie musiałaby go poznać i gościć u siebie na proszonych obiadach. A gdyby zaprzyjaźnił się również z nią?

Czemuż nie miałaby słuchać wtedy jej rad? Oczywiście dyskretnych.

Miała dwadzieścia osiem lat i była niezamężna, co oznaczało staropanieństwo. Samo w sobie nie było ono takie straszne, ale bez niezależności finansowej stałoby się nie do zniesienia.

Przysiadła na piętach, nie dostrzegając, że rydel zsunął się jej na podolek. Kornwalia, domek, ogród warzywny, życie na łasce krewnych... o czymże ona marzyła? Jak mogła wymyślić coś podobnego? Nie byłaby samodzielna jako uboga krewna zależna od życzliwości i miłosierdzia ludzi, których przedtem nie spotkała. Czy nie lepiej obrać los, który mogłaby jakoś kształtować?

Jack Fortescu wiedział aż za dobrze, że nie miała wielkiego wyboru poza małżeństwem, które zaproponował. Irytowało ją to, ale nie tak bardzo jak świadomość, że nie wie, dlaczego chciał jej zaofiarować ten rodzaj ratunku. Ani przez chwilę nie wierzyła, by miało to coś wspólnego z chęcią wynagrodzenia jej straty. Miał swoje powody, a póki ich nie znała, pozostawała na słabej pozycji.

Coś by jej to jednak wynagrodziło. Borys trącił ją nosem, a ona pociągnęła go łagodnie za uszy. Nie chciała tracić tego, co zawsze było jej życiem. Psów, ogrodu, domu i drobnych radości, których nigdy wcześniej nie kwestionowała.

Zyskałaby również sposobność do poszerzenia swoich horyzontów o obszary, które – jak instynktownie czuła – by ją ekscytowały. Małżeństwo z Jackiem Fortescu było ceną, którą musiałyby za to zapłacić. Jak wysoką?

Znów chwyciła za rydel i zaczęła energicznie wrywać zielsko, które wcześniej przeoczyła. Z większą niż zwykle satysfakcją rzucała je za siebie, na stertę innych chwastów.

Czy to symboliczne pożegnanie przeszłości? Arabella pokiwała głową zirytowana własnymi rojeniami. Stanowczo musiała się na coś zdecydować.

Uniosła twarz ku słońcu, poczuła jego żar na powiekach, policzkach i wargach.

Namiętność. Ofiarowywał jej także i to.

Och, nie! Wysunęła dłonie przed siebie, jakby odpychając tę myśl. Nie teraz... stanowczo nie teraz. Nie mogła jednak zapomnieć, co Meg mówiła o jałowości życia w staropanieństwie. Czy chcąc uniknąć tego losu, warto wziąć pod uwagę oświadczyzny Jacka?

Westchnęła głęboko i opuściła ramiona. Psy leży na ziemi tuż przy niej i dyszały głośno, co tylko wzmagało poczucie nieznośnego upału. Frederick stracił życie, fortunę i zapewne również duszę z przyczyny Jacka Fortescu. Dlaczego? Księżciu St. Jules nic by nie przyszło z jej życia, a fortuny nie miała wcale.

Jej dusza, natomiast, to coś całkiem innego.

Z lekkim okrzykiem uniosła dłoń po dotknięciu ostu, który zamierzała wyrwać. Źle zrobiła, nie zwracając uwagi na jego kolce. Znow przysiadła na piętach, patrząc, jak krwawi jej palec. Oczywiście, gra szła o jej duszę. Czowała, że jeśli nie będzie ostrożna, Jack Fortescu pochłonie ją z krete sem.

Wysała krew, a potem włożyła rydel do kieszeni fartucha i wstała spod różanego krzewu. Odgarnęła włosy lepiące się do czoła. Prosiła Becky, żeby jej przygotowała kąpiel. Musiało już być koło czwartej. Obiad miał być o piątej, co nie dawało jej zbyt wiele czasu.

Pstryknęła palcami na psy i poszła ku domowi. Czowała, że nieco jej ulżyło, jakby powzięła dawno oczekiwane postanowienie. A potem znow się jej przypomniał tamten żaloszny sezon w Londynie. Czy naprawdę wyobraża sobie, że mogłaby zostać częścią tego próżnego, godnego pogardy światka, gdzie jedynym ważnym zajęciem było patrzeć i być widzianym?

Co jednak mogło ją spotkać gorszego od spędzenia reszty życia na łasce kornwalijskich krewnych?

Jaką decyzję ma podjąć? Przesunęła dłonią po wilgotnych, splątanych włosach i poczuła, że głowa jej pęka.

Becky czekała na nią w sypialni z wanną pełną pachnącej lawendy, parującej wody i kubkiem soku z cytryny.

– Może suknia z różowego adamaszku, milady? – spytała, wskazując rozłożony na łóżku, świeżo wyprasowany strój. – Jego wysokość zawsze tak dobrze się prezentuje!

– To prawda. – Arabella zgodziła się z nią, choć nieco oschłym tonem, patrząc na swoje odbicie w dużym lustrze. Wyglądała żałośnie.

– Włóży pani gorset, madame? A może turniurę? – podsunęła jej z nadzieją w głosie Becky.

Gorset był niezbędny, żeby zapewnić sukni odpowiedni kształt, ale Arabella nie zamierzała czynić więcej ustępstw na rzecz elegancji. Nie potrzebowała turniury. Przyszły jej na myśl słowa księcia, że chciałby się zająć jej ubiorem. Uznała tę uwagę za raczej protekcyjną. Garderoba Arabelli była zapewne niemodna i prowincjonalna, lecz doskonale pasowała do jej trybu życia. I dlaczego właściwie dodał potem słowa: „trochę to dziwne”? Zabrzmiały jak zniewaga.

– Tylko gorset – stwierdziła stanowczo.

Becky wyglądała na rozczarowaną, Arabella wyjaśniła więc, żeby ją udobruchać:

– Za gorąco dziś nawet na gorset, ale włożę go, a ty ułóż mi włosy, jak ci się żywnie podoba.

Oczy Becky rozbłysły.

– Czy mam je upudrować, milady? Zaraz przyniosę pudełko.

– Nie – odparła Arabella, ostrzej niż zamierzała. – Tylko nie puder. – Wzdrygnęła się na myśl o monstrualnej fryzurze Lavinii Alsop. – Lepiej będzie, jeśli użyjesz soku z cytryny. Jesteś bardzo zręczna i wiem, że świetnie sobie poradzisz.

Becky uśmiechnęła się radośnie, pomagając jej zdjąć zabrudzoną podczas pracy odzież.

– O tak, milady. Ale pani ma śliczne włosy! Aż miło z nimi pracować.

Arabella z satysfakcją usiadła w miedzianej wannie i zanurzyła się w wodzie z podkulonymi nogami, odchylając do tyłu głowę, a Becky poląła ją wodą z dzbanka i namydliła włosy.

– Czy chciałabyś mieszkać w Londynie, Becky? Służąca znieruchomiła.

– Och, milady, nie mogłabym żyć w stolicy.

– A gdybym tam pojechała? Zostałabyś ze mną? – spytała od niechcienia Arabella. Becky miała ledwie szesnaście lat i jak dotąd żadnych adoratorów.

– Nie wiem sama, milady. – Becky spłukała jej włosy wodą. – A czy pani się tam wybiera?

– Właśnie nad tym rozmyślałam. A gdybym tak zrobiła, chciałabym cię wziąć ze sobą. Jeśli, rzecz jasna, nikt cię tu nie trzyma. Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez ciebie.

– Och, milady... ale moja mama... – Becky zmartwiła się, lejąc jej na głowę cytrynowy sok.

– Wracałybyśmy tu na Boże Narodzenie i każdego lata – wyjaśniła Arabella. – A w Londynie jest wielu lokajów, stajennych i mnóstwo różnych możliwości ożenku. Nie sądzę, żeby pani Fith chciała cię ich pozbawić. – Arabella zaczęła mówić w taki sposób, jakby chciała przekonać samą siebie.

– Nie wiem, milady – powtórzyła Becky, lecz już z mniejszymi oporami.

– Pomyśl o tym, Becky. – Arabella stanęła w wannie i sięgnęła po ręcznik. – Pomówimy o tym za parę dni.

Była gotowa na kilka minut przed piątą. Becky ułożyła jej włosy w kok z tyłu głowy nad karkiem, a pociągnięte pomadą pasma włosów o barwie gęstej czekolady umiejętnie przeplotła jedwabnymi wstążkami w kolorze ciemnej czerwieni. Gorset uwydatnił piersi pod wydekoltowaną suknią z różowego adamaszku i podkreślił wąską talię, kontrastującą z pełnymi biodrami.

– Ślicznie pani wygląda, lady Arabello – uznała z podziwem Becky. – Włożyła pani perły? – spytała, podając jej szkatułkę.

Arabella otworzyła ją i wyjęła pojedynczy sznur idealnie dopasowanych perełek. Ojciec zaniedbywał wprowadzić córkę, ale kiedy decydował się już coś jej kupić, wybierał zawsze rzeczy najlepsze. Włożyła naszyjnik, który nabrał różowego odcienia od adamaszku i zabłysnął łagodnie na jej skórze. Zapinając kolie, uznała, że zbyt wiele sobie zadaje fatygi jak na zwykły, domowy obiad. Nie powinna współzawodniczyć z księciem, jednak zaniechanie starań wcale by jej nie pomogło. Wzięła od Becky chiński wachlarz z malowanego jedwabiu, wsunęła haftowaną chusteczkę pod koronkowy mankiet, który osłaniał jej przedramię, i uznała, że wszystko jest w porządku, po czym zbiegła na dół.

Jack czekał przy drzwiach salonu. Słyszając stukot obcasów, przeszedł przez hol, żeby spotkać się z nią u stóp schodów. Ukłonił się nisko, kiedy stanęła przed nim. Przyjrzał się jej z uznaniem, zatrzymując przez chwilę wzrok na gorsie widocznym ponad dekoltem.

– Dobry wieczór, madame. Moje gratulacje.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale nic w wyrazie jego twarzy nie świadczyło o czymś niestosownym. W formalnym, wyszukanym powitaniu nie było ani śladu szyderstwa. Postanowiła pójść w jego ślady.

– Dobry wieczór, wasza wysokość – odparła śmiało, kłaniając mu się nisko.

Wyglądał wyjątkowo elegancko. Miał na sobie żakiet w jasne i ciemne zielone prążki, z dużymi, srebrnymi guzikami, wysokim kołnierzem i sztywno wykrochmalonym halsztukiem. Włosy, jak zawsze, były nieupudrowane i związane na karku. Mimo woli zauważyła, prostując się po ukłonie, że żakiet odsłania kształt jego mocnych ud w ciemnozielonych spodniach zapinanych pod kolanem. Przynajmniej raz nie miał u pasa broni.

– Możemy już pójść na obiad? – spytał, podając jej ramię.

Franklin zastawił długi stół z tą samą ostentacyjną formalnością jak wtedy, gdy rodzina jadła jeszcze razem. Dwa nakrycia leżały na krańcach błyszczącego blatu. Pośrodku, zasłaniając widok, srebrne, wieloramienne świeczniki rywalizowały z wieczornym światłem. Kamerdyner, w swej najlepszej liberii, stał u szczytu stołu, gotów podsunąć Arabelli krzesło. Za krzesłem księcia po drugiej stronie stołu tkwił z kolei lokaj.

Arabella zajęła swoje miejsce, dziękując Franklinowi półgłosem, i sięgnęła po serwetkę, z niejakim rozbawieniem patrząc na dzielącą ich odległość. Chyba nie to miał na myśli książę, kiedy się upierał przy obiedzie we dwoje, bo w rezultacie będą go jedli jak najdalej od siebie. Nie zajął zresztą miejsca i stał z ręką na oparciu krzesła, nie zwracając uwagi na lokaja.

– Nie – stwierdził – to stanowczo nie to. – Przeszedł wzdłuż stołu, zmierzając do końca, przy którym siedziała Arabella. –Przenieś tu moje nakrycie, Franklinie – nakazał zdecydowanie kamerdynerowi, zajmując

miejsce po jej prawej stronie. – Nie zamierzam wołać do pani ponad całym stołem.

Franklin spojrział na Arabelle.

– Jak jego wysokość sobie życzy – zgodziła się.

– Ależ milady, lord Dunston, pani ojciec, zawsze nalegał, żeby...

– Te uwagi są nie na miejscu, Franklinie – upomniał go Jack, całkiem zresztą niepotrzebnie, jak z irytacją pomyślała Arabella.

– Rzeczywiście, wasza wysokość – powiedział oschle kamerdyner i dał znak lokajowi, żeby przeniósł nakrycia.

– Możesz już nas zostawić, obsłużymy się sami – dodał Jack uprzejmiejszym tonem.

Franklin wyglądał na jeszcze bardziej wytrąconego z równowagi, lecz tylko się skłonił i postawił między nimi wazę z zupą. Uniósł pokrywę, znów się uklonił i dostojnie wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Och, Boże – jęknęła Arabella. – Biedny Franklin. On ma mocne poczucie tego, co jest słuszne i właściwe. Mój ojciec zawsze kładł nacisk na absolutnie formalny charakter obiadu.

– A pani brat?

– To co innego – odparła zwięźle. – Franklin trzyma się staroświeckich standardów.

– No cóż, wszyscy tu będą musieli przywyknąć do nowych zasad – odparł niedbale Jack. Zanurzył chochlę w zupie i napełnił jej talerz.

Arabella milczała, choć buntowała się w duchu przeciw bezdusznemu potraktowaniu służby. Franklin chciał zapewne przekonać samego siebie, iż nie ma nic złego w zjedzeniu przez nią obiadu razem z obcym przybyszem, który nie był jej krewnym. Gdyby się jej udało pozostać we własnych apartamentach, służba miałaby wrażenie, że przynajmniej zachowano

pewien stopień stosowności. Po porannej wizycie Lavinii po całym hrabstwie zaczęły jednak krążyć plotki.

Arabella zmarszczyła czoło, wpatrując się w swój kieliszek.

– Czy coś jest nie w porządku z twoim winem? – zdziwił się Jack.

– Nie, skądże – odparła, chwytając za łyżkę. – Proszę mi wytłumaczyć, co zasadniczo różni wigów od torysów.

Jack przystał na temat rozmowy, choć wolałby poruszać inny.

– W zasadzie torysi są partią króla, podtrzymują potęgę monarchy i parlamentu. Wigowie natomiast wierzą raczej w potęgę ludu. – Tu przerwał, żując kęs jedzenia, jakby chciał podkreślić w ten sposób treść swego komentarza.

Arabella zmarszczyła czoło.

– A więc wigowie powinni sympatyzować z rewolucją we Francji... z buntem przeciw tyranii kleru i szlachty. Pan, zdaje się, wspominał, że jest wigiem? Co pan sądzi o rewolucji? – spytała, patrząc na niego z żywym zainteresowaniem.

Jack namyślał się długo nad odpowiedzią. Było to inteligentne pytanie. Arabella nie wiedziała, jak dotkliwą stratę poniósł w piekle rewolucji, i potrzebował kilku długich minut, by się opanować.

– Niewielu wigów popiera morderczą władzę motłochu, którą zapoczątkowała rewolucja. Żaden zaś z nich nie pochwała królobójstwa.

Arabella skinęła posepnie głową. Egzekucje Ludwika XVI i Marii Antoniny rozpętały we Francji rządy terroru. Cały kraj ogarnęła anarchia i jak mogła się dowiedzieć z nielicznych gazet, które wpadły jej w ręce, emigranci francuscy, wynędzniali uciekinierzy, zapełniali teraz londyńskie ulice.

– Czy zna pan kogoś, kto był w Paryżu, kiedy to wszystko się zaczęło?

Pytanie brzmiało całkiem naturalnie. Francuska i angielska arystokracja były skoligacone ze sobą. Niewielu członków angielskiej elity nie miało jakichś bliskich po tamtej stronie kanału La Manche.

– Zdaje się, że Frederick był we Francji jakiś czas temu – powiedziała w zamyśleniu. – Kiedy go ostatni raz widziałam, wspominał, że ma tam jakieś interesy. – Pokiwała głową. – Nie mogę sobie wyobrazić, co to mógł być za interes poza hazardem. – Chyba że chciał umknąć przed wierzycielami, rzecz jasna.

Jack uniósł kieliszek do ust.

– Nie wierzę, że ktokolwiek mógłby się okazać na tyle głupi, by teraz jechać do Francji. – Upił nieco wina. – Ale pani brat, moja droga, zawsze był głupcem.

Głos miał teraz chrapliwy, a spojrzenie szarych oczu stało się przez chwilę zimne niczym lód. Wychylił kieliszek jednym haustem i nappełnił go ponownie winem z karafki stojącej koło jego łokcia.

Chłód w pokoju stał się niemal dotykalny, mimo pomarańczowej kuli zachodzącego słońca widocznej w jednej z kwater okna.

Co takiego Frederick zrobił, by zasłużyć na dozogoną wrogość Jacka Fortescu? Arabella już otwierała usta, żeby go o to spytać, lecz zaraz je zamknęła. Nie umiała sformułować należycie tego pytania. Nie w tej lodowatej atmosferze. Nadal więc jadła w milczeniu, usiłując ignorować ciszę. Gdy skończyła zupę, zadzwoniła po służbę.

Powrót Franklina, który wszedł do jadalni wraz z lokajem, uginającym się pod ciężarem tacy z dziczyzną, ziemniakami i karpem w pietruszkowym sosie, położył kres niezręcznej sytuacji. Na stole rozstawiono półmiski i przyniesione kolejne dania: fasolę na maśle, karczochy i kryształową salaterkę pełną galaretki porzeczkowej.

– Pani Elliot ma nadzieję, że to wystarczy, lady Arabello – powiedział Franklin. – Gdyby jego wysokość życzył sobie drobiu, jest też gotowana kura z kaparami.

– Ależ doprawdy... proszę podziękować pani Elliot, jest tego nawet więcej, niż trzeba, to istna uczta. – Jack zdobył się na serdeczny uśmiech, który jednak nie spotkał się z ciepłym przyjęciem kamerdynera.

– Zapewne w Londynie przywykł wasza wysokość do większego wyboru – wycedził Franklin, stawiając gwałtownie wazę na tacy z odgłosem podobnym do mocnego trzaśnięcia. – Czy mam pokroić dziczyznę, milady?

– Tak, proszę – odparła, biorąc sprawy w swoje ręce. Być może księżę wolałby jeść obiad bez asysty kamerdynera, lecz czyjaś obecność w pokoju zmusiłaby ich przynajmniej do obrania bardziej neutralnego tematu rozmowy. – Ciekawe, czy też pogoda się utrzyma – zaczęła żywo. – Zazwyczaj taka fala upałów nie trwa długo. Jak pan sądzi, wasza wysokość, czy nadejdzie burza?

Jack spojrział na nią sponad kieliszka. Nie dojrzała już w jego oczach pustki, a na jego wargach błąkał się delikatny uśmiech.

– Chyba nie, madame, lecz pani ogrodowi przydałby się deszcz.

– Z pewnością – zgodziła się i odchyliła do tyłu, gdy Franklin postawił przed nią talerz z pokrojoną dziczyzną. – Trawniki wyglądają żałośnie.

– W takim razie powinniśmy życzyć sobie ulewy – odparł z powagą Jack, przed którym też postawiono talerz. – Dziękuję, Franklinie, możesz już nas zostawić.

Kamerdyner skłonił się i wyszedł.

– Nałożyć panu galaretki porzeczkowej, wasza wysokość? – spytała Arabella, sięgając po kryształową salaterkę.

– Masz rację, czas ogłosić zawieszenie broni – oświadczył, biorąc od niej naczynie. – Pewnie już zdołałaś sobie uświadomić, że nie kochałem specjalnie Fredericka ani on mnie – ciągnął, nakładając galaretkę na dziczyznę. – Z trudem toleruję głupców i nie zamierzam się wcale z tym kryć. – Popatrzył na nią przenikliwie. – Nie wierzę też, żebyś i ty poświęcała im zbyt wiele czasu, Arabello.

– Istotnie – przyznała.

– A czy kochałaś brata i on ciebie? – spytał z pozornym spokojem, lecz ręka, w której trzymał łyżkę, zamarła bez ruchu, gdy czekał na jej odpowiedź.

– Nie – odparła ledwo dosłyszalnie.

– Czy możemy zatem nie poruszać więcej tego tematu?

Skinęła nieznacznie głową, a on uznał, że to najlepsze, co go spotkało tego wieczoru.

8

Odgłos mosiężnej kołatki przy drzwiach frontowych przerwał Arabelli. Był to głośny, agresywny łomot, niecierpiący zwłoki. Spojrzała z ukosa na księcia, który powiedział spokojnie:

– Dziwna pora jak na gości.

– Goście zazwyczaj nie dobijają się do drzwi z taką gwałtownością – odparła gotowa wstać od stołu.

– Proszę nie odchodzić. – Jack gestem nakazał jej, żeby pozostała na miejscu. – Mieliśmy już dziś jedną impertynencką wizytę. Jeśli ta ma być do niej podobna, lepiej, żeby otworzył Franklin. Chyba nie chce się pani pokazać nowo przybyłym winna i zdenerwowana?

Arabella pozostała więc tam, gdzie była, i ponownie ujęła widelec. Księżę miał słuszość. Skoro zgadzała się na obecną sytuację, jakkolwiek niestosowną, musiała jej odważnie stawić czoło. Nasłuchiwała jednak odgłosów z holu, a gdy po zdjęciu ciężkiego rygla dobiegły ją stamtąd głosy, powiedziała:

– Och, to David.

Drzwi otworzyły się i Franklin oznajmił:

– Milady, przyszedł pastor. Lord David Kyle – dodał niepotrzebnie, lecz z emfazą, jakby ta nowa wizyta oznaczała powrót do normalności w domu, w którym wszystko stanęło na głowie.

Arabella poderwała się, żeby powitać przyjaciela, gdy David minął Franklina i pośpiesznie wszedł do jadalni.

– Arabello, moja droga, co się stało? Czy Frederick rzeczywiście nie żyje? – spytał ją, ale patrzył przy tym prosto na księcia, który wstał również, aby powitać gościa.

– Tak, ale... to dość zawiła historia, Davidzie—odpowiedziała. – Może zjesz z nami obiad? Franklinie, proszę położyć nakrycie dla pastora.

– Nie, nie... dziękuję, Arabello, nie przyszedłem na obiad.

– David nadal nie spuszczał wzroku z księcia. – Wszyscy już powtarzają plotki rozpuszczone przez Lavinie Alsop. Zdołałem odeprzeć półgodzinny atak tej kobiety i nie mam ochoty na jedzenie. – Zbliżył się do stołu. – Może mnie przedstawiś? –W jego głosie można było wyczuć nutkę wrogości.

Jack zrobił to sam.

– Jestem Jack Fortescu – oznajmił i ukłonił się pastorowi poprzez stół.

– St. Jules?

David odklonił mu się wprawdzie, ale dopiero po chwili.

– We własnej osobie. Zdaje mi się, że nasi ojcowie się znali

– stwierdził Jack spokojnie, niczym nie dając po sobie poznać, że uważa najważniejszych przyjaciół Arabelli, Meg Barratt i Davida Kyle'a, za ludzi, których przychylność należało sobie zaskarbić. Potrzebne mu było wsparcie ze strony tego człowieka.

– Davidzie, proszę cię, usiądź i przynajmniej napij się z nami wina. – Arabella chciała go udobruchać, dając znak Franklinowi, żeby napełnił gościowi kieliszek. – Dlaczego Mary nie przyszła razem z tobą?

– Wolałem przyjść sam – odparł David, nadal z bardzo poważną miną i nieufnym spojrzeniem. – W jaki sposób zmarł Frederick?

– Czy mam to wyjaśnić? – zapytał Jack.

– Nie, ja to zrobię. Naprawdę nic nie zjesz, Davidzie? Wiem, że masz słabość do dziczyzny.

David miał w ogóle słabość do uciech kulinarnych, o czym wyraźnie świadczył wydatny brzuch. Nadal jednak nie chciał zająć miejsca przy stole i wciąż wpatrywał się w księcia.

– Nie mam ochoty na jedzenie, Arabello – powtórzył. –Może mi powiesz, o co tu właściwie chodzi?

Arabella za całą odpowiedź wskazała mu krzesło i David wreszcie usiadł na nim, choć niechętnie, a potem przyjął kieliszek wina, który Franklin przy nim postawił. Jack i Arabella ponownie zajęli swoje miejsca.

Arabella wyjaśniła rzecz możliwie najzwięźle, w nadziei, że robi to po raz ostatni. W ten sposób wszyscy, na których jej zależało, usłyszeli całą historię właśnie od niej.

David słuchał, nie przerywając, a jego spojrzenie spoczywało na przemian na Arabelli i na księciu. Kiedy skończyła, siedział przez minutę czy dwie w milczeniu, popijając wino. Wreszcie się odezwał:

– Przykro mi z powodu śmierci Fredericka, Bello. Chciałbym ci złożyć wyrazy współczucia.

Uśmiechnęła się do niego, choć raczej blado. David nie miał złudzeń co do charakteru hrabiego Dunston i upominał go niejednokrotnie, wytykając mu hulaszcze życie oraz zaniedbywanie dzierżawców. Wiedziała też, że wyrazy współczucia dotyczą raczej położenia, na jakie Frederick ją skazał, niż samej jego śmierci. David znów zaczął wpatrywać się w księcia, który akurat polewał karpia sosem pietruszkowym, całkiem jakby rozmowa wcale go nie dotyczyła. Nagle pastor położył dłonie na stole i odsunął krzesło.

– Bello, chciałbym pomówić z tobą w cztery oczy.

– Chodźmy w takim razie do biblioteki. Proszę nam wybaczyć, Jack – powiedziała pospiesznie.

– Ależ nie ma za co. – Uprzejmie wstał od stołu i nie usiadł, póki nie wyszli. Potem zaś siadł ponownie i dokończył obiad, jak gdyby nigdy nic. Nie miał ochoty robić sobie wroga z Davida Kyle'a.

David wszedł za Arabellą do biblioteki, zamknął drzwi i zaczął mówić bez żadnych wstępów.

– Czy ty znasz reputację tego człowieka?

– Podobno straszny z niego rozpustnik i zuchwalec, a już na pewno karciarz. – Arabella usiadła na szezlongu. Suknia z adamaszku utworzyła wokół niej wdzięczną, różową chmurę. – Ale potrzeba mi twojej rady, Davidzie. Książę poprosił mnie o rękę.

David sapnął donośnie.

– Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że ty go znasz.

– Dopiero od wczoraj.

– W takim razie jakże, na miły Bóg... – Pastor spojrział na nią oszołomiony. – Dlaczego ci zaproponował coś podobnego?

– Nie wiem – odparła całkiem szczerze. – Meg uważa, że chciał mi w ten sposób wynagrodzić stratę. Byłoby to chyba dość przyzwoite z jego strony.

– Chciałbym temu wierzyć. – Głos pastora świadczył jednak o czymś przeciwnym. – Rzecz jasna, odmówiłaś mu?

– Z początku tak... a potem... ee... nie. – Uniosła dłoń, chcąc mu przerwać, gdy zaczął robić jej wymówki. – Davidzie, pozwól mi skończyć. Rozmyślałam nad tym przez całe popołudnie. Szukałam innego wyjścia. Cóż mi jednak pozostaje?

– Masz przyjaciół, którzy z radością udzielą ci gościny i przyjmą do rodziny.

– Wiem o tym, mój drogi. – Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Nie mogę jednak i nie chcę korzystać z ich łaski. Wiem, że chętnie podzieliłbyś się ze mną swoim skromnym dobytkiem, ale nie mogłabym wtedy mieszkać sama.

– Moja droga, nie możesz poświęcić siebie dla tego człowieka! – wykrzyknął wzburzony, w zaaferowaniu drapiąc głowę pod peruką.

– To nie musi być poświęcenie – powiedziała z naciskiem.

– Zwłaszcza gdy się pomyśli o alternatywie. Mogłabym tylko zwrócić się z prośbą o pomoc do rodziny mojej matki. Nie mogę tego zrobić, Davidzie. Już raczej wolałabym podciąć sobie gardło... och, przepraszam – dodała, widząc, jak na nią spojrział.

– Nie mówiłam tego dosłownie. Nie potrafię jednak żyć bez niezależności.

– A ile jej zyskasz, poślubiając go?

– Mogę ją sobie w jakimś stopniu zapewnić. Kontrakt przedślubny daje mi na to szansę. Znam reputację Jacka, ale nie wierzę, żeby był diabłem wcielonym, chociaż czasem wręcz się prosi, żeby go za takiego uważać.

Spojrzała Davidowi prosto w oczy. Przez chwilę nic nie mówił, stojąc z rękami założonymi za plecy. Jedną z jego wielkich zalet była zdolność i chęć do przemyślenia i zmiany raz powziętego zdania. Poprawił starannie utrefioną i upudrowaną perukę, którą przekrzywił, drapiąc się w głowę, a potem powiedział:

– Jak możesz ufać mężczyźnie, którego nawet nie znasz? Wzruszyła lekko ramionami.

– Davidzie, mnóstwo kobiet wychodzi za całkiem im nieznanymi mężczyznami, bo ktoś inny uznał, że będzie to korzystny mariaż. Ja przynajmniej sama zdecyduję, czy tak się stanie.

David Kyle, duchowny, był też człowiekiem bywałym w świecie. Wiedział, że Arabella powiedziała prawdę i że wiele z tych zaaranżowanych małżeństw okazuje się potem całkiem udanymi związkami. Arabella nie była wcale naiwna.

– Może.

– W ten sposób zachowam mój dom, moje orchidee, wszystko, Davidzie.

– Ale dlaczego on chce cię poślubić? – spytał prosto z mostu David. – Wybacz mi, Bello, nie chciałbym być nieuprzejmy, bo każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, mając cię za żonę, ale nie pasujesz na księżną.

Roześmiała się na te słowa i napięcie w pokoju zelżało.

– Wiem, ale nie sądzę, by dla Jacka miało to jakieś znaczenie.

– W takim razie czego on się po tobie spodziewa? – Zmarszczka między oczami Davida pogłębiła się, gdy patrzył na nią z przejęciem.

Arabella wciągnęła na chwilę policzki, po czym powiedziała:

– Powody jego postępowania są bardzo proste i Jack nie próbuje ich wcale upiększać. Ma kochankę, ale chce też mieć żonę pochodzącą z dobrego, starego rodu, która da mu prawowitego potomka. Do tego celu całkiem dobrze się nadaje.

David wpatrywał się w ogród, który tonął w półmroku.

– Nie będę się z tym spierał. Kobieta powinna mieć męża i dzieci. Wolałbym jednak o wiele bardziej, żebyś znalazła sobie mężczyznę, którego mogłabyś lubić i szanować, a z czasem może i pokochać.

– Nie czuję do niego niechęci.

– A co z tą jego kochanką?

– Przecież to nic wyjątkowego, Davidzie. – Arabella wzruszyła ramionami. – O tych związkach wszyscy w dobrym towarzystwie wiedzą, choć się o nich nie mówi.

– Może i tak – przyznał niezbyt chętnie. – A jeśli on cię unieszczęśliwi?

– Nie sędzę, żeby tego chciał – odparła, dziwiąc się, skąd czerpie tę pewność. – A gdyby tak się stało, opuszczę go.

– To nie takie łatwe – stwierdził z powagą. – Mężatka jest w świetle prawa własnością męża. Może on z nią zrobić wszystko, co zechce, może z wyjątkiem morderstwa.

Arabella się skrzywiła. Owszem, była to przykra prawda i tylko z tego powodu tak długo się wzdragała przed małżeństwem.

– Zamierzam obstawać przy spisaniu korzystnej dla mnie intercyzy. Wystarczy mi, jeśli uzyskam pewną niezależność finansową.

– Po cóż miałyby się na nią godzić? Nic mu przecież nie wnosisz w małżeństwo, co miałyby jakąś wartość.

– Prócz tego, że z jakiegoś powodu on naprawdę chce się ze mną ożenić. To właśnie moja karta przetargowa.

Wstała z szeszlona i podeszła do niego.

– Davidzie, mój drogi, potrzebuję twego wsparcia... i błogosławieństwa.

Objął ją i ucałował w policzek.

– Pragnąłbym przyczynić się do twojego szczęścia, wiesz o tym, ale nie zniósłbym, gdyby cię ktoś unieszczęśliwił.

– Mam dwadzieścia osiem lat, czyli dość, żeby móc popełniać błędy na własny rachunek, a z pewnością jestem już dość dorosła, aby sama podejmować pewne decyzje.

– No, dobrze. – David westchnął, a potem uśmiechnął się, ale dość smutno. – Mary, rzecz jasna, uzna to za krańcowo romantyczne. Możesz być pewna, że ujrzy twoje przyszłe życie usłane różami.

– Zrobię, co będę mogła, aby uniknąć kolców – odparła, odwzajemniając jego uścisk. – Czy mógłbyś zamiast mnie wyjaśnić wszystko sir Markowi? Nie zdziwi się znanadto, a mnie potrzeba jego pomocy i rady przy załatwianiu wielu spraw. No i – dodała z rozmarzeniem – mam nadzieję, że właśnie on poprowadzi mnie do ołtarza.

– Pójdę już. Jego prawnik, Trevor, jest porządnym człowiekiem. Sporządzi kontrakt, który będzie dla ciebie korzystny. – David spojrział na nią, wciąż jeszcze z zakłopotaniem i niepokojem. – Chciałbym, żeby wszystko się szczęśliwie ułożyło, Arabello, ale wciąż wydaje mi się to mocno nieprzemyślane. Czy jesteś pewna, że miałaś dość czasu, żeby się dokładnie zastanowić?

– Tak. Zapewniam cię, że przemyślałam to pod każdym względem i wzięłam pod uwagę różne możliwości. Muszę to zrobić. – Spojrzała na niego ze spokojem i zdecydowaniem, aż w końcu kiwnął głową.

– Przyjdę tu jutro rano z sir Markiem i Trevorem. Powiedz księciu, żeby nas oczekiwał. – Arabella zrozumiała, co chciał powiedzieć. Znajdzie się wśród dwóch przyjaciół, a książę nie odniesie wrażenia, że jest pozbawiona obrony i można ją bezkarnie ranić.

Uśmiechnęła się dyskretnie.

– Myślę, że byłoby dobrze poinformować księcia, że postanowiłam przyjąć jego łaskawą ofertę.

– Jeszcze mu nie powiedziałaś? – David się zdumiał.

– Jak dotąd nie. – Zaśmiała się. – Najpierw chciałam wypróbować na tobie siłę moich argumentów. Uznałam, że jeśli nie uda ci się przekonać mnie, iż robię źle, to są one mocne.

– Gdybym o tym wiedział, próbowałbym energiczniej odwieść cię od twoich zamiarów.

– Tylko byś mnie wtedy utwierdził w moich postanowieniach. – Cmoknęła go w policzek. – Pozwól, że cię odprowadzę.

Wyszła z nim na próg. Koń Davida był przywiązany tuż przy frontowych schodach. Arabella poczekała, póki David go z niejakim wysiłkiem nie dosiadł, i pomachała mu na pożegnanie w zapadającym mroku, nim wróciła do jadalni.

Jack obierał właśnie gruszkę, kiedy weszła.

– Czy zacny pastor już odjechał? – spytał, unosząc brwi. Rozkroił owoc na cztery części.

– Tak – odparła i siadła spokojnie za stołem. – W nie najlepszym nastroju. – Wsparła podbródek na dłoni i przypatrywała się Jackowi w zamyśleniu.

– Doprawdy? – Spojrzał na nią bacznie, a dłoń mu znieruchomiała. – Poczul się, jak sędzę, urażony pod względem moralnym?

– Niezupełnie. – Arabella nadal patrzyła na niego tak, jakby coś ważyła w myślach. Teraz, kiedy podjęła najtrudniejszą decyzję w całym życiu, ta gra ją dosyć bawiła, choć już wkrótce miała się skończyć.

– Czy jestem skazany na domysły? – Oczy Jacka się zwięziły.

Arabella uznała, że gra przestała być zabawna, i straciła do niej chęć.

– Nie był specjalnie zachwycony tym, że pragnę uczynić cię najszcześniejszym mężczyzną w całej Anglii – odparła, siląc się na lekki ton.

Pragnęła tylko dać mu do zrozumienia, że nie uważa, by tylko dla niej ten mariaż był korzystny.

Jack nic nie odpowiedział i kontemplował jej słowa, kładąc jedynie przed nią talerz z poćwiartowaną gruszką. W żaden sposób nie okazywał, że czuje ogromną satysfakcję z powodu wygranej. Dopełnił w końcu dzieła zemsty.

Wstał od stołu i ujął ją za rękę.

– Istotnie, uczyniłaś mnie najszcześliwszym z mężczyzn i najbardziej zaszczyconym – oznajmił, unosząc jej dłoń do ust. Spotkał jej wzrok. W jego spojrzeniu widać jednak było cień niedowierzania. Coś się kryło za tą jej nagłą kapitulacją.

– Dziękuję – szepnęła. Zbyt słodkim tonem. Jack puścił jej dłoń i powrócił na swoje miejsce.

– Czy zechciałabyś ustalić datę, moja droga?

– Nie przed spisaniem kontraktu przedślubnego. David przyjdzie jutro z sir Markiem i jego prawnikiem, Trevorem, żeby omówić intercyzę i ustalić wszystko, co jeszcze będzie trzeba.

Jack przechylił karafkę, żeby ponownie napełnić kieliszek.

– Kontrakt przedślubny – mruknął.

– Chyba tak się zwykle robi. – Arabella napoczęła gruszkę. Jack spojrzał na nią znad kieliszka.

– Temat mnie ciekawi. Zechcesz zaspokoić moją ciekawość?

– Oczywiście. – Zgodziła się, unosząc do ust kolejny kawałek gruszki.

– Myślę, że potrzebna będzie mi pensja wynosząca jakieś dwanaście tysięcy funtów rocznie. Czy będzie ona odpowiednia dla damy, która zamierza zająć miejsce w eleganckim świecie? – Uśmiechnęła się błogo.

– Nawet więcej niż odpowiednia – odparł oschle, dochodząc do wniosku, że Arabella Lacey pod względem tupetu nie ma sobie równych. – Chciałbym jednak zastrzec, że będziesz musiała przysyłać rachunki bezpośrednio do mnie, a ja osobiście będę je regulował.

– Nie – oznajmiła stanowczo. – Straciłabym wówczas wszelką niezależność. Nie mogę się na to zgodzić. Lepiej byłoby mi pojechać do Kornwalii.

– Wątpię.

– Nie poniesiesz żadnej szkody, przyznając mi tę sumę – ciągnęła tonem rzeczowego rozumowania. – Z naddatkiem ją pokryją przychody z majątku Laceyów.

– Doprawdy? – W jego spojrzeniu był rodzaj fascynacji, z jaką królik przygląda się boa dusicielowi. – Zanim się na cokolwiek zgodzę, może powinnaś przedłożyć mi pełny bilans. Jakie są twoje pozostałe wymogi?

– Własny powóz i zaprzęg. Myślę, że najlepszy byłby landolet. Czytałam w pismach, że to obecnie najmodniejszy pojazd. No i, oczywiście, potrzebny mi będzie woźnica. A także stajnia i stajenny dla Zaprzańca. Chciałabym zabrać go ze sobą do Londynu.

– Ależ to cały katalog żądań, moja droga. Powinienem powiedzieć, że mogę zapewnić więcej nawet niż trzeba stajennych oraz miejsc dla konia. Mam zresztą powóz i zaprzęg, stoją tu właśnie, w stajniach. Zawiozą cię do Londynu i będą tam do twojej dyspozycji.

– Nie przeczę, ale uważam, że muszę mieć własny powóz i konie. Byłoby kłopotliwie, gdyby okazało się, że nie mogę ich akurat użyć, kiedy przyjdzie mi ochota z nich skorzystać, nieprawdaż?

– Jeszcze jedno pytanie... dlaczego miałbym się na to wszystko godzić, Arabello? – Jack odstawił kieliszek.

– Ponieważ uważasz, że okażę się odpowiednią żoną i matką twoich dzieci. Obiecuję starać się ze wszystkich sił, aby zadowolić cię pod tymi względami – odparła energicznie. – Nalegam jednak, by coś mi przysługiwało w zamian.

Jack w zadumie przesunął dłonią po siwym paśmie włosów nad czołem.

– Uważasz, że moje nazwisko nie wystarczy? A także pozostawienie ciebie we własnym domu?

– Nie. Chciałabym zachować choćby częściową niezależność. To właśnie jest moja cena. – Głos jej nie zdrzął, potrafiła też ukryć napięcie. Po kilku minutach milczenia jednak żołądek podszedł jej do gardła. Czy przegrała w tej grze?

Jack sącył powoli wino, gotów do rezygnacji. W końcu była to jedynie drobna cząstka jego od dawna snutego planu, a dostał już, czego chciał.

– Zamierzasz więc zająć miejsce w eleganckim świecie? – spytał z pewnym zaciekawieniem.

– To była twoja sugestia. A poza tym jest coś jeszcze. Wspominał pan, jak sobie przypominam, że mogłabym mieć w Londynie cieplarnię. Przypuszczam, że twoja posiadłość w stolicy jest na tyle duża, by można tam dobudować oranżerię. Przeniesienie orchidei będzie dość trudne, ale nie niemożliwe.

– Coś jeszcze?

– Tylko jedno. – Arabella zastanawiała się wprawdzie, czy nie lepiej byłoby poruszyć ten temat po ślubie, ale traciłoby to fałszem, a ona chciała postawić sprawę jasno.

– Proszę mów. – Jack obrócił nóżkę kieliszka w palcach i przyglądał się odbłaskom świec w rubinowym płynie.

– Masz kochankę – stwierdziła.

Zacisnęła palce na nóżce kieliszka.

– Tak – przyznał z obojętną miną.

– I nie chcesz, by małżeństwo zmieniło coś w tym układzie? – Arabella wzięła lukrowany migdał z cyzelowanego srebrnego koszyka i nadgryzła go. Twarda skorupka lukru chrupnęła głośno pod jej zębami.

Jack nadal przyglądał się jej obojętnie.

– Owszem. Nie mam takiego zamiaru.

Arabella, zajęta migdałem, nie odpowiedziała, póki nie przeżuła i nie połknęła ostatniego kawałeczka. Potem stwierdziła.

– Tak właśnie myślałam.

– Nie uważam, aby to był odpowiedni temat do dyskusji. Przekonasz się, że w eleganckim świecie każda wzmianka o tym wiodłaby w najlepszym razie do ośmieszenia się, w najgorszym do ostracyzmu.

– Och, nie miałam na myśli publicznej dyskusji. – Arabella sięgnęła po czarkę z orzechami włoskimi i wybrała sobie jeden z nich. – Nie chcę się wtrącać w twoje prywatne życie, nie wątpię też, że twoja kochanka jest uroczą damą i z pewnością nasze stosunki ułożyłyby się znakomicie. Zapewne ona też wywodzi się z towarzystwa?

Jack wyjął orzech z palców Arabelli, rozłupał go i położył jądro na jej talerzu.

– Dokąd ta rozmowa, jeśli można tak ją określić, zmierza, Arabello?

– Chciałam się tylko przekonać, czy obie poruszałybyśmy się w tych samych kręgach – odparła niewinnym tonem, gryząc orzech.

– Zależy to od tego, w jakich ty będziesz się obracać.

– Tylko w najlepszych – odparła z miejsca. Spojrzała na niego z udawanym zaskoczeniem. – Chyba twoja kochanka nie wywodzi się z półświatka?

Porównał w wyobraźni Lilly, hrabinę Worth, kobietę tak pewną swojej pozycji społecznej, gustów i opinii, z Arabella w sukni oblepionej psią sierścią i trawą i z brudem za paznokciami. Dopiero chwilę po uświadomieniu sobie tego absurdalnego kontrastu zdołał odzyskać spokój. Postanowił nie odpowiadać na pytanie Arabelli, zadane wcześniej w celu wytrącenia go z równowagi, i tylko patrzył na nią bez słowa.

– Ach – uznała – nie dba pan o podtrzymywanie naszej rozmowy.

– Chyba dość jasno dałem to do zrozumienia – odparł z wyraźną groźbą w spojrzeniu.

– Niemniej jednak musimy ją odbyć. – Arabella upiła łyk wina, postanawiając, że nie da się zastraszyć.

Jack czekał na dalszy ciąg z pozorną cierpliwością. Arabella wsparła się o rzeźbione oparcie krzesła i powtórzyła:

– Nie chcę się wtrącać w pana prywatne życie...

– Serdeczne dzięki – powiedział sucho.

– Ale – mówiła – powinno być zrozumiałe, że przysługiwać mi będą takie same przywileje. Chciałabym uzyskać obietnicę, że również nie będziesz się wtrącał w moje prywatne życie.

Jack o mało nie zerwał się z krzesła.

– Co takiego?

Arabella spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, lecz twoja kochanka jest chyba, jak się domyślam, mężatką? Proszę jedynie o taką samą wolność, jaka przysługuje jej... i z jakiej, oczywiście, korzysta pan.

– Posuwasz się za daleko.

– Nie przypuszczam. Jeśli się zgadzam na taki układ, to na zasadzie równości. Jak sądzisz, dlaczego pozostaję niezamężna?

– Sądzę, że byłoby grubym nietaktem stwierdzenie: bo nikt nie był aż takim idiotą, żeby chciał prosić cię o rękę.

– Owszem, w dodatku byłoby to nieprawdą – odcięła się.

Patrzył na nią bez słowa, lecz potem nagle odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się, a wokół jego oczu pojawiła się siateczka zmarszczek.

– Och, Arabello, w co ja się wpakowałem!

Ten śmiech zbił ją z tropu. Zauważyła już, że miał zwyczaj reagować nagłą wesołością na szczególnie kłopotliwe sytuacje, co nie ułatwiało ich rozwiązania. Czuła, że właśnie tak się teraz dzieje. Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Sam pan tego chciał.

– Tak. – Jack spoważniał i wsparł ręce płasko na stole. – Skoro rozmawiamy ze sobą otwarcie, pozwolę sobie zażądać obietnicy, że nigdy pani nie złamie niewzruszonego prawa socjety: nie wolno z nikim romansować przed urodzeniem mężowi spadkobiercy.

– Obiecuję – odparła zwięźle. – Zresztą inne postępowanie byłoby zaprzeczeniem naszego układu. – Wstała od stołu. – A teraz, kiedy już wszystko uzgodniliśmy ku obopólnej satysfakcji, pójdę do siebie, bo sir Mark i inni zjawią się pewnie tuż po śniadaniu. Spotkamy się w bibliotece.

Chciała odejść, lecz Jack wstał i podniósł w górę kieliszek. „Obopólna satysfakcja” wydała mu się przesadzonym określeniem, ale toast należało jednak wznieść.

– Wypijmy za powodzenie naszego układu – powiedział, okrążając stół. Uniósł swój kieliszek. Spojrzał na nią uważnie, a jego wargi tworzyły stanowczą linię.

Arabella usłuchała go. Nawet sobie nie wyobrażała, by wobec tego bezwzględnego spojrzenia mogła postąpić inaczej. Jack uśmiechnął się nieznacznie i skrzyżowali ręce, tak że stanęli twarzą w twarz, niemal przytuleni do siebie, każde z kieliszkiem w dłoni. Jack uniósł swój do ust, Arabella musiała siłą rzeczy pójść za jego przykładem. Wypili wspólnie toast. Jack stał tuż przy niej. Wino miało smak jeżyn i słońca. Czowała zapach jego ciała, głęboki i silny, który miał w sobie coś ze świeżości cytryny i przypominał jej ogród. Nie mogła oderwać od Jacka oczu, a kiedy odebrał od niej kieliszek, by go odstawić obok swojego, oddała mu go posłusznie. Gdy uniósł jej podbródek, poddała się nieuniknionemu ze słabym westchnieniem, które równie dobrze mogło wynikać z zadowolenia i ze strachu. Prawdę mówiąc, sama nie wiedziała, co właściwie czuje w tej chwili.

Wargi miał mocne, a jej rozwarły się pod naciskiem jego języka. Poczowała na nim smak wina, którego przed chwilą smakowała. Był chłodny, w przeciwieństwie do ciepła ich złączonych ust. Jack ujął jej twarz w obie dłonie i pocałunek stał się głębszy, odkrywał każdy zakamarek jej ust.

Odruchowo objęła księcia ramionami, przesunęła dłońmi po jego plecach i przywarła do niego, czując każdy cal męskiego ciała. Gdzieś na dalekich krańcach jej umysłu czaiła się myśl, że małżeństwo z rozsądku może jednak kryć w sobie pewne zalety.

Bardzo powoli oderwał usta od jej warg i odjął dłonie od jej twarzy. Powiódł rękami wzdłuż jej ciała, po wcięciu w pasie, po krągłości bioder, wciąż nie przestając się w nią intensywnie wpatrywać.

– A więc w zdeklarowanej, dwudziestoosmioletniej starej panie kryje się jednak namiętność? – powiedział chrapliwym nieco głosem i ze słabym uśmiechem.

– Czemu cię to dziwi? – spytała z trudem, nie poznając własnego głosu.

– Och, sam nie wiem. Chyba okazałem się krótkowzroczny.

– Miejmy nadzieję, że twoja krótkowzroczność ograniczy się tylko do tego – odcięła się, odstępując w tył. – Wybacz pan, ale czas już, żebym życzyła panu dobrej nocy.

– Dobranoc – odparł łagodnie.

Następnego dnia, tuż po ósmej, przybył do pałacu sir Mark wraz ze swoim prawnikiem i Davidem Kyle'em. Wszyscy trzej byli śmiertelnie poważni, David nawet bardziej niż poprzedniego wieczoru, a prawnik, który wyglądał wręcz na zgnębionego, przyniósł ze sobą cały plik bardzo oficjalnie wyglądających dokumentów.

Sir Mark cmoknął Arabellę w policzek, gdy powitała go przy wejściu.

– Dzień dobry, moja droga.

Odwzajemniła pozdrowienie i zaprosiła gości do biblioteki, gdzie czekał na nich książę. Jack wstał, gdy tam weszli.

– Witam panów.

Po wymianie ukłonów i zaoferowaniu piwa goście w końcu usiedli.

– A zatem chodzi o kontrakt przedślubny – zaczął Jack, obejmując natychmiast przywództwo. – Lady Arabella wyraźnie mi powiedziała, czego sobie życzy, a ja bez trudu jej to zapewnię, tak że wszystko nie zajmie wiele czasu.

– Pewien aspekt proponowanego małżeństwa – chrząknął sir Mark – powinien być, jak sędzę, wyjaśniony lady Arabelli. Ja sam nie byłem jego

świadomy, póki Trevor nie przejrzał rodzinnych dokumentów Dunstonów, przygotowując się do tego spotkania.

Arabella się pochyliła. Coś było nie w porządku. Sir Mark zwrócił się ku prawnikowi.

– Myślę, moja droga, że Trevor wyjaśni ci to lepiej.

Spojrzała na Jacka, który rozsiadł się wygodnie w fotelu przy pustym kominku. Ubrany był w strój do konnej jazdy. Założył niedbale nogę na nogę, rękę wsparł lekko na rękojęści rapiera. Szpilka wpięta w nieskazitelnie zawiązany halsztuk błyszczała w promieniach słońca, które świeciło na niego przez dwudzielne okno.

Patrzył przed siebie ze spokojem, Arabella jednak dostrzegła dziwną ostrość, kryjącą się w głębinach oczu, a w postawie – czujność.

Trevor odchrząknął i zaczął wertować papiery.

– Sytuacja wygląda następująco, milady. Kiedy w 1479 roku przyznano tytuł pierwszemu hrabiemu Dunston, uczyniono też klauzulę *sub iure*, na wypadek gdyby zmarł bez testamentu i bezpośredniego spadkobiercy. – Tu Trevor odkaszlnął, zasłaniając usta dłonią. – W takim zaś razie posiadłość, fortuna i tytuł miały przejść, za pośrednictwem bezpośredniej potomkini, na jej małżonka tegoż. W ten sposób ród hrabiowski nigdy by nie wygasł. – Prawnik urwał. W pokoju było cicho, jak makiem zasiał. Arabella znieruchomiała, nie odrywając wzroku od Trevora.

– Nigdy jeszcze nie trzeba było odwoływać się do tej klauzuli – ciągnął prawnik – bo aż do fatalnego zgonu dziewiątego hrabiego zawsze istniał bezpośredni potomek, który dziedziczył.

Trevor wyciągnął chustkę i wydmuchał nos, wciąż w głębokiej ciszy.

– Teraz jednak, jak się dowiaduję, dziewiąty hrabia nie zmarł bez testamentu, lecz pozostawił posiadłość i fortunę księciu St. Jules. – Trevor

odwrócił się na krześle i skłonił, z niewzruszoną twarzą, przed księciem. Jack nawet nie mrugnął. Jego nieprzeniknione spojrzenie spoczywało na Arabelli.

– Jak przypuszczam – odezwała się po raz pierwszy – jest to najważniejszy punkt tego spotkania. – Spojrzała na Jacka, a potem na pełne powagi oblicza przyjaciół. – Czy pan chce mi powiedzieć, że spadkobiercy płci żeńskiej, skutkiem tej klauzuli, sami nie mogą niczego dziedziczyć, lecz są tylko pośrednikami, przekazującymi cały dorobek mężowi?

– Tak jest w istocie, milady.

– To po prostu niegodziwe – mruknęła do siebie, nim powiedziała: – Skoro mój brat sporządził taki właśnie testament, tak czy owak majątek nigdy nie przypadnie mi w udziale. Czy mam jednak rozumieć, że poślubiając mnie, książę odziedziczy tytuł hrabiowski?

– Właśnie tak, milady. – Trevor z powagą skinął głową. – Klauzula *sub iure* to wprawdzie niezwykle typ dziedziczenia, lecz nie bezprecedensowy.

Kiwnęła nieznacznie głową, przyjmując wszystko do wiadomości. Spojrzała na księcia z dziwnym uczuciem, niemal bliskim strachu. Był doprawdy diabłem wcielonym. Co Frederick zrobił temu człowiekowi? Jej przyrodni brat prędzej zrezygnowałby ze wszystkiego innego niż z tytułu. Było to ostateczne pozbawienie kogoś własności, a Frederick z pewnością przewróciłby się w grobie, wiedząc o tym. Powinien był wziąć to pod uwagę, nim się zastrzelił. Nie potrafiła darować sobie tej zgryźliwej refleksji. Potem poczuła wyrzuty sumienia, bo zapewne Frederick nie wiedział o klauzuli *sub iure*, skoro nigdy wcześniej się do niej nie odwoływano. A nie leżało w jego charakterze roztrząsanie detali dziedziczenia, skoro cały majątek i tak należał do niego.

Ród Laceyów dziedziczył tytuł hrabiowski od trzech stuleci. Pierwszy Lacey był jednym z rycerzy Wilhelma Zdobywcy podczas inwazji Normanów. Tytuł Laceyów zyskiwał stopniowo na znaczeniu – wiódł od rycerza, baroneta do wicehrabiego i wreszcie hrabiego. Było to stare nazwisko i stary tytuł, który Fredericka napawał niesłychaną dumą. Podobnie jak ich ojca. A teraz hrabiowie Dunston przestawali być Laceyami. Tytuł opuszczał ich rodzinę. Nie wiedziała o tym i uznała, że Frederick też pewnie o niczym nie miał pojęcia. Przypuszczała, że tytuł dostanie się jakiemuś dalekiemu pociotkowi, ale przynajmniej będzie on Laceyem. Był tytułem czysto honorowym, nie wiązało się z nim i nie przydawało mu wagi żadne bogactwo, lecz sam w sobie imponował.

– Czy dlatego chcesz się ze mną ożenić? – spytała nagle księcia.

– Moja droga – wycedził – mam już przecież tytuł książęcy, po cóż mi hrabiowski?

– To ja pytam. Dlaczego chcesz go otrzymać?

– Wcale nie chcę, ale takie jest prawo. –I w zasadzie miał rację. Nie tyle on pragnął hrabiowskiego tytułu, ile raczej Frederick go stracił. Dopełniało to ruiny Laceyów nawet po jego śmierci.

– Arabello, gdybyś zmieniła zamiar... gdyby to w jakikolwiek sposób miało na niego wpłynąć... – zaczął sir Mark.

Podniosła rękę, łagodząc ten gest lekko ironicznym uśmiechem.

– Nie, sir Marku, nie robi mi to żadnej różnicy. Każdy, za kogo bym wyszła, mógłby odziedziczyć ten tytuł. Wydaje mi się, że równie dobrze mogę go złożyć w te same ręce, które mają fortunę Laceyów.

– Arabello, to niegodne ciebie – zaprotestował David.

– Nie, Davidzie – zwróciła się ku niemu z twarzą pełną powagi – to tylko rzeczowe podejście do sprawy. Zawieram małżeństwo z rozsądku i nie zamierzam udawać, że jest inaczej.

Znów spojrzała na Jacka, który zdawał się jedynie obserwować wydarzenia, jakby go w żaden sposób nie dotyczyły. Ale ona wiedziała lepiej. Mimo jego zaprzeczeń czuła, że również i ten motyw krył się za jego oświadczeniami. Raz jeszcze zadała sobie w duchu pytanie: dlaczego? Co uczynił Frederick, żeby zasłużyć na równie zażartą wrogość?

W końcu jakoś się tego dowie. Wzdrygnęła się ze strachu, a potem przyszło jej na myśl, że może nie powinna pragnąć tej informacji.

RS

9

Pogoda załamała się w piątek rano i zaczęło lać jak z cebra. Granatowe niebo przecinały błyskawice, grzmoty huczały raz po raz. W małym normandzkim kościółku było zimno i ciemno, mimo że na ołtarzu płonęły świece, a pod witrażami wysokie świeczki zapalone przez Mary Kyle. Intensywnie pachniały dzbany lilii i wazony róż, które zebrała Meg w ogrodzie Arabelli i porozstawiała w kościelnym wnętrzu. Aromat kwiatów jednak nie zdołał stłumić woni stęchlizny, bijącej od starych, zawilgoconych, kamiennych murów. W ciepłe, słoneczne dni kościół był miłym miejscem; słońce przenikało przez szybki witraży, a otwarte drzwi pozwalały wnikać do środka światłu i świeżemu powietrzu. Chłodny i wilgotny ranek późnego sierpnia uczynił go jednak ponurym.

Arabella, chroniąc się przed deszczem pod bramą dziedzińca cmentarnego, smętnie patrzyła na pełną kałuż ścieżkę wiodącą do kościelnych drzwi. Ubrana była w jasną, muślinową suknię z roślinnym deseniem, zdaniem Meg najwłaściwszy na tę okazję strój z całej jej garderoby, i satynowe pantofelki, zupełnie nieodpowiednie do chodzenia po mokrej ziemi.

Jack czekał już w kościele. Gości weselnych było niedużo, tylko służba, Peter Bailey, Mary Kyle i lady Barratt. Arabella stanowczo odmówiła wysłania zaproszeń komukolwiek z okolicznego ziemiaństwa, bo wówczas byłaby też zmuszona uwzględnić lorda i lady Alsop.

Sir Mark, Meg i Arabella kulili się pod łukiem bramy, czekając, póki ulewa nie zelżeje.

– Nie wydaje mi się, żeby przestawało padać – uznała w końcu Arabella. – Będziemy musieli przebiec pędem tę odległość.

– Przemokniesz do suchej nitki – jęknęła Meg. – Poczekaj, idzie do nas książkę.

Jack wyszedł z kościoła, niosąc wielki parasol, i przebrnął przez ścieżkę, unosząc go wysoko nad sobą. Nic sobie nie robił z ulewy i wyglądał, jak zwykle, wręcz nieskazitelnie w surducie z czarnej wełny, obficie wyszywanym w kwiaty jedwabną nicią, a czarnym butom ze srebrnymi klamrami kałuże zdawały się wcale nie szkodzić.

– Sir Marku, jeśli osłoni nas pan tym parasolem, przeniosę Arabellę do kościoła, a potem wrócę po Meg – powiedział rzeczowo i podał parasol baronowi.

– Nie trzeba mnie wcale przenosić – zaprotestowała Arabella. – Równie dobrze mogę sama przejść, jeśli będziesz trzymał nade mną parasol.

– Przemokną ci nogi i zabłoci się cały skraj sukni. Nie żenię się z Cyganką – odparł z miejsca i mimo jej protestów wziął ją z łatwością na rękę. Sir Mark, z uniesionym w górę parasolem, pośpieszył za Jackiem, który energicznym krokiem szedł po ścieżce z Arabellą w ramionach. Postawił ją na ziemi w drzwiach kościoła i razem z baronem wrócił po Meg.

Kiedy Meg znalazła się koło Arabelli, Jack powrócił na swoje miejsce przy ołtarzu.

– Znaleźć się w mocnych ramionach władczego mężczyzny to nie byle co – stwierdziła Meg, wygładzając fałdy sukni Arabelli.

– Nie zawracaj mi głowy – burknęła.

Meg spojrzała na nią uważnie.

– Żałujesz swojej decyzji?

– Nie sędzę – mruknęła Arabella, kręcąc głową.

– Niezbyt przekonująco to zabrzmiało – zauważyła Meg – nie jest jeszcze za późno, żeby zmienić zdanie.

– Nie zamierzam go zmieniać. – Głos Arabelli był stanowczy.

Meg przechyliła głowę, patrząc z uznaniem na przyjaciółkę.

– Chodźmy zatem uczynić ciebie księżną.

Arabella weszła do mrocznego wnętrza kościoła, Meg za nią, sir Mark u jej boku. Wszyscy troje podeszli do ołtarza, przy którym czekali już Jack i David.

Arabella odniosła wrażenie, że ceremonia trwała zbyt krótko. Ledwie parę minut! Takie doniosłe wydarzenie powinno chyba ciągnąć się dłużej, pomyślała, składając podpis w rejestrze i obserwując, jak blask świecy na stole odbija się na złotej obrączce.

Arabella Fortescu, księżna St. Jules.

Lekki dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy mąż podpisał się tuż obok. Cóż ona zrobiła najlepszego? Cokolwiek to było, stało się i już się nie odstanie.

Jack starannie odłożył pióro na podstawkę. Imiona ich obojga widniały przed nim wyraźnie na białej karcie. Już było po wszystkim. Miał, czego chciał. Wszystko, co przedtem posiadał Frederick Lacey, z jego tytułem włącznie. Spojrzał z ukosa na siostrę Lacey, która teraz również należała do niego, duszą i ciałem. Wyczuwał jej napięcie i ciekaw był, czy żałuje układu, jaki zawarli. W końcu poniekąd wymusił go na niej.

Ona jednak żyła i miała przed sobą całą przyszłość. W przeciwieństwie do Charlotte.

Odwrócił się od rejestru, podał Arabelli ramię i oboje przeszli z powrotem główną nawą. Palce trochę jej przez chwilę drżały, gdy dotknęła czarnej wełny surduta, lecz potem znieruchomiały. Posłała mu słaby, pełny rezerwy uśmiech.

Deszcz zelżał i przeszedł w mżawkę, gdy wychodzili z kościoła. Jack zatrzymał się w kruchcie i spojrzał w niebo. Nadal było szare i chmurne, co zwiastowało kolejną ulewę.

– Niezbyt pomyślny dzień na ślub – szepnęła Arabella i wzdrygnęła się, czując nieprzyjemną wilgoć.

Jack nic nie odpowiedział, chociaż Arabellę ciekawiło, czy myślał to samo. Nie sposób było przejrzeć jego myśli. Niewiele wiedziała o mężczyźnie, który został jej mężem; był człowiekiem pełnym sprzeczności.

– Chodźmy. – Jack przerwał milczenie. – Nie powinnaś przemoczyć stóp. – Znów wziął ją na ręce. Tym razem się nie kłóciła, wiedząc, że jej protesty okazałyby się daremne. A poza tym naprawdę nie chciała mieć mokrych nóg.

Jack przeszedł ścieżką ku powozowi, który czekał pod cmentarną bramą. Umieścił Arabellę w środku i wrócił po Meg, której pomógł potem wsiąść.

– Ja pójdę piechotą i dołączę do ciebie w domu, pani żono – powiedział, zatrzaskując drzwi, a potem dał znak stangretowi, żeby ruszył. W powozie było dość miejsca, lecz on nagle uczuł potrzebę znalezienia się sam na sam z własnymi myślami. Czy chciał się radować tym, że zdołał dokonać długo planowanej zemsty? A może snuć plany co do nadchodzącego wieczoru i nocy?

– Czemu wolał pójść pieszo? – zdumiała się Meg. – Jeszcze gotów zmoknąć.

Arabella roześmiała się, ale bez wesołości.

– Jack Fortescu robi, co mu się żywnie podoba. A poza tym wydaje się, że deszcz na niego nie pada. Nie zauważyłaś?

– Chyba masz rację – przyznała Meg. – Nie ma ani kropli na jego surducie, a koronki u mankietów są tak świeże, jak w chwili, gdy je wkładał. Wszyscy inni są ubłoceni i przemoczeni, a on wygląda jak spod igły.

– Diabeł dba o swoich – mruknęła Arabella.

– To chyba żart?

– No pewnie. – Arabella uśmiechnęła się, ale raczej bez przekonania.

Meg przyjrzała się jej w zamyśleniu. Wspierała decyzję przyjaciółki, by przyjąć oświadczyzny księcia. Podobnie jak Arabella, widziała w nich mniejsze zło, lecz gdyby uważała, że Arabella nienawidzi Jacka, za wszelką cenę starałaby się jej ten związek wyperswadować. Nie brała poważnie rzucanych półżartem uwag przyjaciółki o emanującej z księcia aurze zagrożenia, o tym, że tkwi w nim coś złowieszczonego. Arabella nie mówiła tego przecież serio. Było w nim jednak coś nieuchwytnego, trudnego do określenia, co sprawiało, że Meg czuła się czasami nieswojo.

Pocieszała się jednak, że Arabella ma teraz zapewnioną przyszłość. Wiedziała też, co robi. Była świadoma zarówno tego, co traci, jak i znała korzyści.

– Będzie mi ciebie brakowało, kiedy pojedziecie do Londynu – odezwała się, ściskając ją za rękę.

Arabella odwzajemniła uścisk i poweselała.

– A może nie? – oświadczyła z tajemniczą miną. – Już o tym pomyślałam.

– Co takiego pomyślałaś? – zaciekawiała się Meg.

– Cóż, kiedy już się na dobre zadomowię w Londynie i stanę się szanowaną księżną, to czemuż nie miałabyś mi złożyć dłuższej, serdecznej wizyty? Zawsze narzekasz, że w Kent nie masz matrymonialnych widoków, dlaczego więc nie mogłabyś do mnie przyjechać i ponownie spróbować

szczęścia w Londynie? Chyba twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Nie. – Meg się zamyśliła. – Z pewnością nie. Ale londyńskie towarzystwo jest żałośnie skoncentrowanym na sobie światkiem. Nie pasowałam do niego wtedy i nie wiem, czy miałabym ochotę na drugą próbę.

– O tym również pomyślałam. Ja także nie pasowałam do tego świata za pierwszym razem, lecz pomyśl, przecież byliśmy wtedy naiwne i nie umiałyśmy się podporządkować jego wymogom. Ale księżna i jej najlepsza przyjaciółka nie muszą tego robić, nie potrzebują być tak nieznosnie konwencjonalne. Możemy wzniecić wokół siebie trochę zamieszania.

– Zamieszania?

– Zamierzam się wyróżnić. Prowadzić salon polityczny, stać się ważną osobistością.

Meg spojrzała na nią ze zbożnym podziwem. Arabelli rzadko nie udawało się wprowadzić zamiarów w czyn, jeśli wkładała w coś całą duszę.

– Zamierzasz robić dobrą minę do złej gry?

– Właśnie. Skoro już poświęciłam swoją wolność dla małżeństwa, to chcę przynajmniej coś z tego mieć.

Meg uniosła z powątpiewaniem brwi, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo powóz stanął właśnie przed domem, a stangret spuścił schodki i chciał pomóc im wysiąść. Arabella wygładziła fałdy sukni i uznała, że wyróżnienie się wśród londyńskiej socjety będzie tylko jedną z wielu rzeczy, w których małżeństwo może jej pomóc. Jack Fortescu, książę St. Jules, wygrał w karty cały majątek od hrabiego Dunston. Może siostra hrabiego trochę uprzykrzy mu życie. Ciekawe, jak Jack będzie się czuł, widząc, że jego żona przegrywa

niegodnie zdobytą fortunę. Zbyt długo księżę robił wszystko, jak mu się podobało.

Służba wróciła już wcześniej z kościoła i zgromadziła się w holu, żeby złożyć życzenia młodej parze. Franklin zdumiał się, kiedy z powozu wysiadły jedynie Meg z Arabellą, a nigdzie nie było widać pana młodego, lecz skoro i tak wszystko w tym ślubie daleko odbiegało od przyjętych obyczajów, jedynie powitał je, pogratulował Arabelli i wprowadził ją do domu.

– Jego wysokość idzie pieszo – wyjaśniła Arabella.

– Właśnie, właśnie, wasza wysokość. – Franklin skłonił się przed nią nisko, jakby to było najzupełniej rozsądne wytłumaczenie.

Arabella mrugnęła do niego.

– Nie trzeba mnie tytułować, „lady Arabella” zupełnie wystarczy, jak zresztą zawsze.

– Chyba musisz się do tego przyzwyczaić – szepnęła jej do ucha Meg.

– Przecież wciąż jestem tą samą osobą – zaprotestowała Arabella.

Zastanowiła się jednak. Czy rzeczywiście? Czuła, że dokonała się w niej jakaś głęboka zmiana, odkąd Jack Fortescu wszedł w jej życie. Może myli zmiany, jakie zaszły w niej samej, z głębokimi przemianami, którym poddana została jej egzystencja.

Najbardziej zaś dramatyczna zmiana jeszcze ją czekała, pomyślała, gdy Jack i reszta weselnych gości weszli do domu. Do tej pory była żoną jedynie z nazwy, ale nie potrwa to już długo. Wzięła kieliszek szampana z tacy podsunętej jej przez Franklina. Jack podszedł do niej, po drodze biorąc kieliszek dla siebie.

– Gdzie są psy? – spytał. – Byłem przekonany, że będą ci towarzyszyły nawet w kościele.

– Pewnie by tak zrobiły, gdyby się im dało sposobność, ale traf chciał, że wytarzały się dziś rano w gnojówce i tak strasznie cuchnęły, że jeden ze stajennych musiał je wykapać. Pani Elliot nie chciała ich wpuścić do domu, póki całkiem nie wyschną.

Wystarczy prowadzić normalną rozmowę i wszystko będzie dobrze, a ona zdoła utrzymać nerwy na wodzy, powiedziała sobie w duchu.

Jack najwyraźniej miał jednak inne zamiary. Trącił się z nią lekko kieliszkiem.

– Jak się czujesz?

– Tak samo jak zwykle. A czy powinnam czuć się jakoś inaczej?

– Może jeszcze nie teraz – rzekł, co całkowicie się zgadzało z jej wcześniejszymi myślami.

Dostała gęziej skórki, a żołądek podjechał jej do gardła. Poczwała, że się czerwieni. Nie była w stanie odwrócić od niego wzroku. Końcem języka zwilżyła suche wargi. Jack uniósł brwi i pocałował ją delikatnie, ledwie muskając wargi.

– Zawsze byłem zdania, że oczekiwanie wzmacnia przyjemność – stwierdził i odszedł, żeby powitać gości.

Meg, która obserwowała ich z zaciekawieniem, podeszła do Arabelli.

– Nie wiem, czy zaprzedał duszę diabłu, ale jest piekielnie przystojny – zauważyła przyciszonym głosem. – Ciekawa jestem, jakim się okaże kochankiem.

– Mam większe zmartwienia – odparła z roztargnieniem Arabella, dotykając kącika warg, gdzie wciąż jeszcze czuła jego pocałunek. Przypomniało się jej, jak w ogrodzie zdała sobie sprawę, że Jack Fortescu, dzięki męskiej sile i magnetyzmowi, może sprawić, by oddała mu się ciałem i duszą. O ileż bardziej martwiła się teraz o duszę niż o ciało!

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – spytała Meg. – Nie wiem, czy zdołam dać ci jakieś praktyczne rady, bo jedyna namiętna noc z gondolierem, który nie mówił po angielsku, niewiele mnie nauczyła. Potrafię jednak słuchać.

Uśmiechnęła się do Arabelli zachęcająco znad kieliszka z szampanem.

– O czym wy tak szepczecie? – Sir Mark też się wprawdzie uśmiechał, ale spojrzenie miał niewesołe. Podobnie jak wszystkich przyjaciół Arabelli, trapiły go wątpliwości co do tego małżeństwa.

– Gdyby tylko wiedział – mruknęła Meg, Arabella zaś wyobraziła sobie sir Marka uczestniczącego w ich rozmowie i napięcie ją opuściło,

– Nie zagarniaj panny młodej wyłącznie dla siebie – oświadczył baronet i cmoknął Arabellę w policzek. – Moje gratulacje! Wprost promieniejesz!

Arabella podziękowała mu uśmiechem za ten konwencjonalny komplement. Panny młode powinny przecież wyglądać promienie na swoim weselu, lecz ona była pewna, że wcale nie jest radosna. Żołądek skurczył się jej boleśnie. Rozejrzała się po pokoju. Jack krążył pomiędzy gromadkami gości tak swobodnie, jakby od zawsze był panem Lacey Court i hrabią Dunston. Znowu poczuła niewy tłumaczalne rozdrażnienie, które jednak ustąpiło, gdy zdała sobie sprawę, że ona teraz jest – i zostanie na zawsze – niekwestionowana panią Lacey Court i nikt nie może jej tego odebrać.

Weselną ucztą trwała, a na stole wciąż pojawiały się nowe dania. Arabella uprzedziła wprawdzie Franklina i panią Elliot, że nie muszą się specjalnie wysilać z tej okazji, lecz Franklin miał własne zdanie na temat tego, jak się powinna przejawiać gościnność Laceyów, nawet w przypadku małżeństwa zawieranego pośpiesznie tuż po śmierci kogoś z rodziny. Nie było oficjalnej żałoby po zmarłym hrabim, ale wesele jego siostry powinno wyglądać jak się patrzy. Wytrwale więc otwierał butelki najlepszego

burgunda, złożonego w piwnicy jeszcze przez ojca lady Arabelli. Stary hrabia życzyłby sobie tego, gdyby wiedział, że jego córka ma zostać księżną.

Zapadła już noc, gdy lady Barratt wstała i obeszła stół wokół. Uśmiechnęła się nieznacznie do pana młodego, a potem zaczęła szeptać Arabelli do ucha:

– Moja droga, musisz mi pozwolić, żebym zastąpiła ci teraz matkę. Ktoś powinien cię przygotować do nocy poślubnej.

– Madame, to wielka uprzejmość z pani strony, ale nie trzeba tego robić. Wie pani, że nie jestem już małą dziewczynką.

– Masz rację, moja droga, ale twoja matka spodziewałaby się tego po mnie.

Arabella miała nadzieję, że lady Barratt nie zagłębi się w szczegóły dotyczące małżeńskiego łoża. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie teraz życzyła, było parsknięcie niekontrolowanym śmiechem. Powiedziała więc tylko:

– Dziękuję, madame, jest pani doprawdy bardzo uprzejma.

Spojrzała przelotnie na Jacka, który siedział koło niej i w bardzo wiarygodny sposób udawał, że niczego nie słyszy z rozmowy kobiet.

Tylko że, oczywiście, zdawał sobie doskonale sprawę, czego ona dotyczy. Drgnęła, gdy niespodziewanie położył pod stołem rękę na jej kolanie. Czowała ciepło jego dłoni przez muślinową suknię. Przedtem nie powiedział ani nie zrobił niczego, co byłoby aluzją do jakiegokolwiek intymności między nimi, i była mu za to wdzięczna. W obecności nielicznych gości podobne zachowanie musiałyby zwrócić uwagę, a to, co mogłoby się okazać żenujące wobec ludzi całkiem jej obcych, z pewnością byłoby jeszcze bardziej przykre wobec przyjaciół.

Przez chwilę wzmógł nacisk dłoni, a potem pocałował ją w ucho, sprawiając, że zjeżyły się jej drobne włoski na karku.

– Zachęcę mężczyzn, żeby poszli sobie stąd jak najwcześniej, razem z żonami.

– Cóż, kiedy siedzą jak przykuci – mruknęła z powątpiewaniem.

– Bez obaw, moja droga, nikt nigdy nie ociąga się z pożegnaniem państwa młodych przed nocą poślubną. – Skinął głową z ironicznym uśmiechem.

Poczuła jeszcze gorszy skurcz żołądka, a po skórze głowy przeszły jej ciarki. Zabrzmiało to bardziej jak groźba niż obietnica.

Lady Barratt uśmiechnęła się do gości.

– Proszę mi wybaczyć, panowie, ale...

– Tak, oczywiście, madame. – Sir Mark wstał natychmiast.

– Arabello, moja droga, wiesz, że zawsze traktowałem cię jak córkę, uważam zatem, że w imieniu nas wszystkich mogę ci życzyć pomyślności i szczęścia.

Uniósł kieliszek, a David i Peter Bailey wstali, unieśli kieliszki i wypili za jej zdrowie.

Jack ujął swój kieliszek i cicho powiedział:

– Przyjmuję za to odpowiedzialność, panowie.

Poczuł, że David Kyle wpatruje się w niego tak intensywnie, jakby czytał w jego myślach. Uważał go za czarny charakter, Jack nie miał co do tego złudzeń. Wytrzymał jednak spojrzenie i pastor musiał w końcu spuścić oczy, a on opróżnił wówczas kieliszek. Dostrzegł, że Meg Barratt przygląda mu się przez stół i dojrzał w jej zielonych oczach zarówno ostrzeżenie, jak i wyzwanie. Ona też uważała, że skrzywdzi jej przyjaciółkę. W przeciwieństwie do Davida Kyle'a wytrzymała jednak jego spojrzenie i w końcu

właśnie Jack był zmuszony odwrócić wzrok, kiedy ponownie zasiadł w krześle.

Arabella wymieniła pocałunki z gośćmi i pozwoliła, żeby lady Barratt wyprowadziła ją z pokoju. Dopiero gdy żona sir Marka automatycznie skreśliła w kierunku wschodniego skrzydła, Arabella zdała sobie sprawę, że nie pomyślała wcześniej o tym, gdzie będzie teraz sypiać. Matka miała sypialnię tuż przy pokoju męża. Księżę zajmował apartamenty hrabiego, lecz pokój przy nich pozostawał zamknięty od czasu śmierci matki.

Wszystkie rzeczy Arabelli, ubrania, nocna bielizna, wszystko, czego mogła potrzebować, pozostały w jej sypialni, a lady Barratt, obeznana z rozkładem dworu od czasów, kiedy ona i matka były bliskimi przyjaciółkami, zmierzała nieuchronnie w niewłaściwym kierunku.

– Lady Barratt... madame... ja dziś będę spać jeszcze we własnym pokoju.

Lady Barratt odwróciła się z najwyższym zdumieniem.

– Moja droga, nie pleć głupstw.

– Nie było czasu, żeby wszystko przygotować jak należy – rzuciła pośpiesznie Arabella – ale księżę to zrozumie. Wie, że będę w swoim pokoju. – Nie była jednak pewna, czy tak jest istotnie. Nie rozmawiali o tym wcześniej, a Jack miał prawo przypuszczać, że wydała służbie odpowiednie dyspozycje.

– Nie można się spodziewać, żeby twój mąż błąkał się po korytarzach w poszukiwaniu żony – oznajmiła stanowczo lady Barratt. – Sypialnia żony musi zawsze być na podorędziu!

– Madame, jutro wszystko urządzę jak należy – powiedziała pojednawczo Arabella. – Przedtem doprawdy nie było na to czasu. – I zawróciła w stronę lewego skrzydła.

W progu własnego pokoju zamarła jednak ze zdumienia.

– Co się stało? Gdzie się wszystko podziało?

Szafa ziała pustką, bieliźniarka tak samo. Szczotki i grzebienie zniknęły z gotowalni, a Becky pośpiesznie ściągała z łóżka prześcieradła i zdejmowała zasłony. Służebna aż podskoczyła na jej głos i zaczęła się niepewnie tłumaczyć.

– Jego wysokość powiedział... wasza wysokość... że... że... musimy wszystko przenieść do tego pokoju koło niego. Kazał nam to zrobić rano, nim poszliśmy do kościoła... milady... znaczy wasza wysokość... Ale pan Franklin się upierał, że wasza wysokość nic mu takiego nie mówiła.

Arabella uznała, że jej tytuł jest nieznośnie kłopotliwy. Wzdrygnęła się na widok ogołoczonego ze wszystkiego pokoju. Najwyraźniej ksiązę traktował poważnie rolę pana domu i zaczął sam wydawać polecenia. Szkoda, że nikt jej wcześniej nie uprzedził, nim wszystkie rzeczy zabrano gdzie indziej. Dlaczego Franklin nawet o tym nie wspomniał?

– Najwyraźniej twój mąż pomyślał o wszystkim, moja droga – uznała lady Barratt z zadowoleniem. – To wprost niezwykle, żeby mężczyzna tak się dobrze potrafił zająć prowadzeniem domu.

– Ksiązę potrafi się zająć wszystkim – nieco kąśliwie odparła Arabella.

– Myślę, wasza wysokość, że nowy pokój się pani spodoba – odezwała się nieśmiało Becky. – Zasłony są świeże, a Ben i ja przez cały dzień harowaliśmy, żeby wszystko było jak się patrzy. Pani rzeczy już tam są i nowe świece, i ogień się pali na kominku, żeby było miło i wygodnie, bo przez cały dzień okropnie padało. Przed chwilą zaniiosłam tam gorącej wody.

– Dziękuję, Becky, – Arabella uśmiechnęła się ciepło, woląc nie demonstrować wobec obcych prawdziwych uczuć. – Na pewno świetnie wszystko zrobiłaś. – Odwróciła się powoli, a lady Barratt poszła za nią.

Nowa sypialnia była z pewnością przytulna i ciepła. Gdzie też leżały przedtem nowe zasłony? Arabella nigdy ich dotąd nie widziała. Nad łóżkiem i oknami wisiały grube, haftowane portiery z kremowego adamaszku, o wiele wystawniejsze niż skromna tafta w jej poprzedniej sypialni. Francuski dywan lśnił żywymi barwami w blasku świec. Był to pokój dorosłej, zamężnej kobiety i nic w nim nie pozostało ze znanych jej od zawsze rzeczy, którymi urządzone był ten, gdzie sypiała od czasu opuszczenia pokoju dzieciennego. Poczowała nagle, że nieodwołanie zamknęła się pewna epoka w jej życiu.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedziała lady Barratt. – Księżę zaraz tu będzie, a musi cię zastać odpowiednio przygotowaną.

Jestem niczym jagnię prowadzone na rzeź, pomyślała Arabella, siląc się na uśmiech.

Lady Barratt schwyciła jedwabny peniuar w kolorze kości słoniowej, który Becky położyła na łóżku.

– O tak, jak najbardziej odpowiedni – uznała. – Bardzo ładny. Jeszcze trochę wody różanej na poduszki...

Arabella pozwoliła się rozebrać i nałożyć na siebie peniuar. Na szczęście lady Barratt nie wymagała od niej żadnych odpowiedzi.

– A teraz musisz oczekiwać na twego męża w łóżku, moja droga – oznajmiła, gdy Arabella miała już na sobie peniuar. Już chciała odpowiedzieć, że wolałaby siedzieć przy kominku, kiedy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i Franklin obwieścił uroczyście:

– Lady Barratt, mąż czeka na panią piętro niżej.

Jack wziął sprawy w swoje ręce, domyśliła się. Przecież były obydwie z lady Barratt na górze niecałe pół godziny. Nadszedł już czas, by uprawomocnić małżeństwo.

– Dziękuję pani za uprzejmość, lady Barratt. – Arabella ucałowała ją z ciepłym uśmiechem.

Lady Barratt odwzajemniła pocałunek i odchyliła kołdrę na łóżku.

– Proszę tutaj, moja droga. – Wygładziła poduszki. Okazanie posłuszeństwa było najkrótszą drogą do pozbycia się starszej damy z pokoju i Arabella położyła się na obcym jej łóżku.

Lady Barratt przykryła ją kołdrą i ponownie ucałowała.

– Jesteś wręcz żywym obrazem twojej matki – rzekła wzruszona. – Och, jakże ja dobrze pamiętam własną noc poślubną! – Pośpiesznie wycofała się ku drzwiom. – Wszystkiego najlepszego, moje dziecko.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Arabella wyskoczyła z łóżka. Nie miała zamiaru tam leżeć niczym kozioł ofiarny, czekając na przeznaczenie. Wygładziła kołdrę i usiadła przy gotowalni. Dwie długie świece na srebrnych świecznikach stały po obu stronach lustra, odbijając się w nim. W tym korzystnym oświetleniu jej rysy wyglądały miękko, a dobrze wyszczotkowane włosy spływały luźno na plecy. Oczy robiły wrażenie większych niż zwykle i błyszczących... może z podekscytowania? A może z obawy? Dobry Boże, nie potrafiła się rozeznaczyć we własnych odczuciach.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł ją odgłos kroków i przyciszone głosy Jacka oraz jego lokaja, wyniosłego Louisa. Chyba nie będzie potem przez cały czas stał pod drzwiami? Nagle naszła ją chęć parsknięcia gwałtownym chichotem. Co za szaleńcza reakcja! Chyba wypłała za dużo wina.

Usłyszała, że drzwi od pokoju Jacka otworzyły się i ktoś odchodzi. A więc Louis skończył już usługiwać swemu panu. Pozostała przy lustrze,

wpatrzona w wewnętrzne drzwi między sypialniami. Ujrzała, że klamka się porusza, i serce zabiło jej gwałtownie. Coś ją ścisnęło w dole brzucha. Nie знаła tego nowego odczucia.

Wszedł Jack w haftowanym szlafroku z granatowego jedwabiu. Niósł karafkę i dwa kieliszki. Ustawił je na niskim stoliczku przy kominku i stanął tuż za nią. Położył dłonie na ramionach Arabelli, napotykaając jej spojrzenie w lustrze.

– Boisz się?

– Sama nie wiem – przyznała szczerze. – Może... ale czuję też ciekawość.

Uśmiechnął się i powoli odsunął jedną z dłoni kaskadę włosów, odsłaniając jej kark.

– Ufam, że zaspokoję to zaciekawienie, madame.

– Ja też – odparła, słysząc, że jej głos stał się chrapliwy, gdy jego palce gładziły ją po szyi. Dziwne odczucie w dole brzucha wzmogło się jeszcze bardziej.

Jack pochylił się i ucałował ją w kark. Dreszcz przebiegł przez całe jej ciało i westchnęła nieznacznie, dając wyraz ogarniającej ją satysfakcji. Mąż wyprostował się, w oczach miał uśmiech.

– Ach, a więc to lubisz. Obiecujący początek. W karczku kobiecym tkwi coś, co uważam za wyjątkowo podniecające.

Pozwolił włosom opaść i powiódł dłońmi wzdłuż jej ramion, ona zaś nadal siedziała przy gotowalni, z dłońmi złożonymi na podołku, patrząc na jego odbicie w lustrze.

– Myślę, że zrobimy to powoli – mruknął, a potem nachylił się, żeby pocałować ją w ucho. – Potrzeba trochę czasu, aby nauczyć się drugiej

osoby. Obiecuj, że powiesz mi, kiedy zrobię coś, czego nie będziesz lubić, ale też dasz mi do zrozumienia, kiedy coś ci się spodoba.

– Chcę, żebyś i ty zrobił podobnie.

– To przyjdzie z czasem – obiecał. – Ale ta noc ma być tylko dla ciebie.

Uścisk jego ręki dał jej do zrozumienia, że ma wstać, usłuchała go, odwracając się twarzą ku niemu, tak jak tego chciał. Objął ją, przesuwając rękami w dół po plecach, wyczuwając ciepło skóry, kształt łopatek i kości pacierzowe przez cienki jedwab. Powoli jego dłonie ześliznęły się po biodrach niżej.

Arabella stała bez słowa, koncentrując się na doznaniach, które wywoływały powolne pieszczoty. Skóra Jacka pachniała lawendą, a jej ożywała pod jego dotknięciem, kiedy zaś zbliżył swoje usta do jej warg, przyciągając ją ku sobie, oddała mu pocałunek. Tym razem nie musiała już powściągać podniecenia. Oplotła ramionami jego szyję. Pocałunek stał się głębszy, uścisk silniejszy, jego oddech przyśpieszył. Z każdym ruchem języka przyciskała się mocniej do jego męskości.

Opuścił ręce i unióśł głowę, przerywając pocałunek. Zajrzał jej w oczy, które wydały mu się nagle pełne blasku, jaśniejac niczym płynne złoto. Dotknął kciukiem jej ust.

– Może nie potrzebujemy tego robić aż tak powoli – stwierdził z nieznacznym uśmiechem.

Arabella odsunęła się nieco i rozwiązała pasek jego szlafroka. Rozchylił się, ukazując nagie ciało. Położyła dłoń na jego brzuchu, nie przestając patrzeć mu w oczy, i zwilżyła językiem warg, zamykając jego męskość w ciepłym uścisku. On także patrzył jej prosto w oczy, mimo że jego ciało zareagowało na dotyk. Mała zmarszczka między brwiami żony,

świadcząca o koncentracji, zachwyciła go i wzruszyła. Arabella wkroczyła na nowy, nieznany obszar, który zdawał się pochłaniać całą jej uwagę.

– Jeśli się nie mylę, będzie nam ze sobą dobrze – mruknął.

I szybko podniósł ją i ułożył na łóżku. Stał przed nią z rękami na biodrach, nadal w rozpiętym szlafroku, przypatrując się jej całej, a ona leżała nieruchomo pod baczny, zagadkowy spojrzeniem. Serce biło jej jak szalone, skórę trawił ogień, a w lędźwiach pulsowało coś gwałtownie, wilgotniało i pęczniało.

Położył się przy niej i przesunął dłonią po okrytych peniuarem piersiach, jakby modelował ich kształt. Ciemne sutki zaznaczyły się wyraźniej pod cienką tkaniną. Nie odrywając oczu od jej twarzy, powiódł po nich palcami.

– Powiedz mi, czy to naprawdę twój pierwszy raz?

– Tak.

– Bo już zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę – odparł, rozpinając małe, perłowe guziczki peniuaru. – Nie jesteś wcale taka niewinna.

Słowa odpowiedzi zamarły jej na ustach, kiedy ją obnażył, ściągając z niej nocny stój. Nachylił się nad nią i ucałował jej piersi, igrając z koniuszkami sutków, a ona wyprężyła się na łóżku, mrużąc z zadowolenia.

– Masz jeszcze wspanialsze piersi, niż przypuszczałem – powiedział, przesuwał językiem po głębokim rowku między nimi, aż do dołeczka na szyi, gdzie szaleńczo bił puls.

Powiódł ręką w dół, aż do jej brzucha, i zatrzymał ją tam na dłuższą chwilę. Arabella wstrzymała oddech. Nieświadomie poruszyła biodrami, a on sięgnął dłonią niżej, doświadczonymi ruchami rozganiając wilgotne, ciemne kędziory na podbrzuszu.

Zagryzła wargi, czując nagły przyływ błogości, uda same się rozsunały, a jego palce, delikatnie i bezbłędnie, wśliznęły się w nią, otwierając jej ciało. Kiedy poczuł, że jest gotowa, nakrył ją sobą i uniósł ku górze, aby mógł w nią wniknąć. Poczowała się przez sekundę tak, jakby coś rozdzierało ją na pół, uczucie to jednak szybko minęło, pozostawiając jedynie wrażenie nieustannej błogości, gdy poruszał się wewnątrz niej, ciągle obserwując jej twarz.

Na obrzeżach tego dziwnego odczucia było coś, czego – jak wiedziała — pragnęła i o co gwałtownie musiała walczyć, lecz ciałem Jacka wstrząsnął nagły spazm. Odrzucił głowę w tył z ostrym krzykiem i zadrżał. Przytrzymała go mocno, wbijając palce w silne, umięśnione ciało i unosząc ku górze biodra. Nadal nie odrywał wzroku od jej twarzy i poruszał się wewnątrz niej szybko, wychodząc naprzeciw jej ruchom, a to coś, o co z całej siły walczyła, wybuchło w niej nagle z siłą spadającej gwiazdy.

Opadła bezwładnie na łóżko pod ciężarem jego ciała, a on położył głowę na jej piersi, szybko oddychając. Wreszcie zsunął się z niej i wyciągnął obok, jedną dłonią obejmując ją w pasie, a głowę wciąż trzymając na jej piersiach. Nie wiadomo dlaczego, ale nie spodziewał się, że dozna aż tak całkowitego spełnienia. A jednak go doświadczył. Jak się do tego ma jego małżeństwo zawarte z rozsądku i chęć dopełnienia zemsty?

Arabella patrzyła w górę, na zwieńczenie baldachimu nad łóżkiem, a jej oddech wreszcie zwolnił. Głowa Jacka ciążyła jej. Dotknęła lekko dłonią jego policzka. To, co przeżyła, było istnym objawieniem. Czuła, że narasta w niej podniecenie. Nie, stanowczo nie mogłaby już żyć jako cnotliwa stara panna. Początki jej małżeństwa były niejasne, ale owoc okazał się nadzwyczaj słodki.

10

Księżę St. Jules wszedł do głównego salonu klubu gry Brooke'a w samo południe chłodnego, listopadowego dnia. Przez chwilę stał niezauważony przez nikogo w drzwiach, wciągając tabakę i rozglądając się dokoła. W środku ujrzał niewielu gości. Było jeszcze zbyt wcześnie, by siadać do naprawdę poważnej gry.

– Jack! Dobry Boże, gdzieś ty się podziewał? – krzyknął George Cavanaugh, rzucając karty na stół. – Czy to ładnie tak traktować przyjaciół? – spytał zgryźliwie, zrywając się na równe nogi. – Zniknąłeś bez słowa.

– Miło mi, że za mną tęskniłeś. – Jack z leniwym uśmiechem wsunął tabakierkę do kieszeni i wyciągnął ku niemu dłoń. – Niepotrzebnie przerwałeś grę z mego powodu.

– Och, nieważne. I tak przegrywałem. – George przywitał się z nim wylewnie i pociągnął go ku karafkom na kredensie.

– Gdzieś ty był? Kursuje o tobie mnóstwo plotek w Londynie. Słyszałem nawet, że miałeś się ożenić. Co to za bzdury? – Nalał do dwóch kieliszków sherry i podał jeden księciu.

– Tak się składa, że wcale nie bzdury. – Jack uniósł kieliszek w geście toastu, nim zaczął pić. – To święta prawda, mój drogi.

– Chyba żartujesz? – George wlepił w niego oczy i uniósł wino do warg, ale też ich jeszcze nie umoczył.

– Ani trochę – odparł spokojnie Jack. – Pijże, George. Chyba powinienesz złożyć mi gratulacje.

George automatycznie usłuchał go, nie odrywając od niego wzroku.

– Z kim? – wykrztusił wreszcie. – No i dlaczego?

Jack odstawił kieliszek i ponownie sięgnął po tabakierkę. Otworzył ją i podsunął George'owi, nim sam wziął małą szczyptę proszku.

– Mogę ci odpowiedzieć na obydwa pytania. – Wzruszył ramionami. – Nie uważasz, że w pewnym wieku mężczyzna powinien się ożenić?

– Tak, ale nie ty – parsknął George. – A co będzie z Lilly?

– Lilly, mój drogi, jak przecież wiesz, ma już męża – przypomniał mu łagodnie Jack.

– Przestań się ze mną droczyć. Kto to jest?

– Siostra Dunstona. – Jack ponownie ujął w dłoń kieliszek. – Arabella Lacey, obecnie księżna Fortescu.

George przez jakiś czas patrzył na niego w pełnym dezaprobaty milczeniu.

– Nie rozumiem tego – odezwał się wreszcie.

– A co tu jest do rozumienia? – Jack się roześmiał. – Przecież to całkiem proste. Potrzebowałem żony i ją znalazłem. Lady Arabella odpowiada mi pod każdym względem.

– Ależ ty nienawidziłeś Dunstona.

– Ale się z nim nie ożeniłem, George.

George znów zaczął mu się przyglądać bez słowa. W spojrzeniu Jacka było coś, co potrafił wprawdzie odczytać, ale czego nie lubił. Ostrzeżenie, a może cień groźby, przed którą nawet najbliżsi przyjaciele Jacka woleli mieć się na baczności. A jednak nie potrafił się powstrzymać.

– Siostra Dunstona? Przecież to nieodpowiednia partia dla ciebie, Jack. Ona już chyba od dobrych pięciu lat uchodziła za starą pannę. No i nigdy nie wyjeżdżała ze wsi. Po co ożeniłeś się z kimś takim?

– A czy to twój interes, przyjacielu? – spytał półgłosem Jack, nachylając karafkę nad kieliszkiem.

– Niech cię лихо, nie możesz mi tak dawać po nosie, jak innym. – George poczuł się urażony. – Zapominasz, że znamy się od szczenięcych lat!

Po chwili pełnej napięcia ciszy Jack wybuchnął śmiechem.

– Nie, George, wcale o tym nie zapomniałem. – Nalał przyjacielowi wina i dodał jeszcze bardziej rozbawiony tonem: – Za parę dni spotkasz moją żonę i sam ją będziesz mógł ocenić.

– Wybacz, wcale nie chciałem jej obrażać. To byłoby bardzo nieuprzejme z mojej strony.

Jack skinął głową na znak, że przyjmuje przeprosiny.

– Powiedz mi, co się tu działo podczas mojej nieobecności. George chętnie przyjął zmianę tematu.

– Bardzo niewiele. Wiesz przecież, jak jest latem w Londynie. Ludzie dopiero zaczynają wracać. Nowiny z Francji są coraz gorsze wraz z każdą nową falą uciekinierów.

Zauważył, że Jack sposepniał, znał przyczynę. Wszyscy wiedzieli, że jego siostra wyszła za francuskiego arystokratę. Zapytał z pewnym wahaniem:

– Czy masz jakieś wieści o Charlotte?

Jack nikomu nie mówił o uwięzieniu siostry w La Force ani o jej śmierci. Litość innych ludzi przeszkodziłaby mu w dokonaniu zemsty na człowieku, który ją tam wtrącił. Teraz dokonał jej i był bardziej zadowolony, niż przypuszczał. Miał tytuł Lacey'a, mógł się po cichu radować majątkiem, a na domiar wszystkiego ożenił się też, ku własnej satysfakcji, z jego siostrą. Nie wiedział, jak długo to zadowolenie potrwa. Na razie czekał, co z tego wyniknie. Pytania George'a znów jednak

przywołały uczucie nienawiści, choć sądził, że wygasło ono po dokonaniu zemsty.

– Myślę, że zaginęła – odparł z rezerwą, dając do zrozumienia, że nie chce drażnić tematu. – Ach, widzę Foksa. Wybacz mi, George.

Uklonił się Cavanaughowi na pożegnanie i poszedł przywitać Charlesa Jamesa Foksa, który właśnie wszedł do salonu z jednej z bocznych sal.

George nie podążył za nim. Jak się już nieraz zdarzyło, przyjaciel pozostawił go nagle bez słowa wyjaśnienia. Jeśli jednak Charlotte istotnie zaginęła podczas którejś z krwawych masakr, to nie potrzebował dokładniejszych wyjaśnień. Wiedział o wielkim przywiązaniu Jacka do siostry, a także o tym, że książę nie był zbyt wylewny.

Fox, na wpół przytomny i z przekrwionymi oczami, jak każdy, kto szesnaście godzin z rzędu spędził na grze, rozglądał się po pokoju. Jaskrawy kolor jego peruki nie poprawiał mu bynajmniej wyglądu. Skupił wzrok na idącym ku niemu mężczyźnie.

– Witaj, Jack – pozdrowił go niedbale. – Wróciłeś.

– Jak sam widzisz. – Jack skłonił się przed nim z uśmiechem.

– Wyglądasz wprost rozpaczliwie, Charles. Jak dużo przegrałeś ostatniej nocy?

– Coś ponad dziesięć tysięcy – odparł Fox z roztargnieniem.

– Nawet sobie nie mogę przypomnieć. – Zamrugął. – Niech to licho, już się rozwidniło. – Skinął na lokaja i wziął z tacy kieliszek wina.

– Jest po dwunastej – uściślił Jack. – Gdzie się teraz podziewa książę Walii? Długo mnie tu nie było, więc się nie orientuję.

– Pojechał do Brunszwiku popatrzeć na swoją księżniczkę

– wyjaśnił Fox i wychylił kieliszek. – Zdaje się, że to małżeństwo dojdzie do skutku. – Przekrwione oczy spojrzały nagle na Jacka ostro. – A

co tam z twoim ożenkiem? Gadano o nim któregoś wieczoru. Oczywiście to jakieś bzdury.

– Dlaczego wszyscy uważają, że pogłoski o moim mariażu muszą być bzdurne? – spytał Jack ze zmartwioną miną. – Czyżbym miał reputację zatwardziałego kawalera?

Fox nie spuszczał z niego wzroku.

– Powiedz mi zaraz, Jack, że to nieprawda.

– Jak najbardziej prawda. Człowiek musi się kiedyś ustatkować.

– Ty... ty byś się miał ustatkować? – zadrwił Fox. – A kim ona jest?

Oczy mu się zwięzły, kiedy usłyszał, ale rzekł tylko:

– Siostra Dunstona, tak? No cóż, życzę ci szczęścia. Muszę jej złożyć wizytę.

– Za jakiś tydzień lub coś koło tego – uściślił Jack. – Sam zdecyduję, kiedy wprowadzę moją żonę w towarzystwo. – Ukłonił się Foksowi i odszedł. Okrążył cały salon, witając znajomych, więc wkrótce wszyscy w klubie dowiedzieli się o jego małżeństwie. Wieczorem usłyszy o nim cały Londyn i wszyscy będą o tym rozprawiać przy każdym obiedzie czy kolacji przez kilka następnych dni, póki księżna St. Jules nie ukaże się na scenie osobiście, ucinając w ten sposób spekulacje.

Po jakimś czasie i po kilku niedbałych rzutach kośćmi opuścił klub i poszedł wzdłuż Piccadilly, zatrzymując się w niektórych lokalach, nim wrócił do Fortescu House przy Cavendish Square. Przybył do Londynu z Arabellą poprzedniego wieczoru, lecz zatrudniał tak liczną służbę, że nagły przyjazd bez uprzedzenia nie wywołał wśród niej żadnego zamieszania. W domu, jak tego oczekiwał, wszystko szło zwykłym trybem, jakby wcale się stamtąd nie oddalał.

– Wasza wysokość. – Lokaj z ukłonem odebrał od niego cylinder i laskę ze srebrną gałką.

– Gdzie jest księżna, Tidmouth?

– Jej wysokość dogląda wyładunku jakichś kwiatów – zameldował mu majordomus obojętnym tonem, zdołał jednakże dać do zrozumienia, jak niestosowne wydaje mu się podobne zajęcie. Co było odpowiednie w Kent, w Londynie raziło. –W nowej oranżerii. Jej wysokość uważa, że coś tam nie jest całkiem odpowiednie dla kwiatów, więc posłałem po Marsha.

– Ach, rozumiem. – Jack ściągnął irchowe rękawiczki. – Mam nadzieję, że Marshowi udało się rozproszyc obawy księżnej?

Tidmouth ponownie złożył mu ukłon, odbierając rękawiczki.

– Tego nie wiem, wasza wysokość. Jej wysokość jeszcze nie wróciła z cieplarni, a Marsh, jak mi się zdaje, również.

Jack skinął głową i nieznacznie zacisnął wagi. Marsh był jednocześnie architektem i kierownikiem budowy. W końcu września dostał polecenie wybudowania przy pałacu cieplarni, gdzie miały rosnać orchidee Arabelli. Sadzonki towarzyszyły im w drodze do Londynu, zapakowane z taką troską, jaką kobieta mogłaby okazywać własnym dzieciom. Najwyraźniej pawilon nie odpowiadał w pełni wymogom Arabelli.

Jack poszedł wolnym krokiem ku oranżerii, gdzie powitały go z entuzjazmem Borys i Oskar, które nie traciły czasu i najwyraźniej już czuły się jak w domu. Skakały wokół niego, poszczekując wesoło. Z roztargnieniem wytargał je za uszy, co sprawiło, że zaczęły radośnie wywijać ogonami i wspierać się łapami o jego surdut z ciemnoszarego, kosztownego sukna.

– Precz! – powiedział ostro. – Jesteście najgorzej ułożoną parą psów, jaką miałem pecha trzymać we własnym domu. Arabello, chciałbym, żebyś je nauczyła lepszych manier.

Arabella, ze zmartwioną miną, podniosła się znad okazałej drewnianej paki.

– Są podniecone, bo znalazły się w nowym miejscu. W domu zachowywały się znakomicie.

– Zapomniałaś, że miałem tam okazję dobrze się im przyjrzeć – zauważył nieco zgryźliwie. – Widzę, że masz jakiś kłopot.

– Tak, i bardzo mnie to martwi – odparła, wycierając o zakurzoną suknię zabrudzone ziemią ręce. – Kratownice przepuszczają za dużo światła słonecznego. Orchidee tego nie wytrzymają. One wymagają cienia. Z pewnością wyjaśniłam to, kiedy wysyłałaś panu Marshowi instrukcje.

– Przepraszam, wasza wysokość. – Marsh wyraźnie wyglądał na znękanego. Miał na sobie ciemny sukieny surdut i obcisłe spodnie, strój profesjonalisty. Nerwowo miał w dłoniach trójgraniasty kapelusz. – Nie wyjaśniono mi tego jak należy.

– *Mea culpa*, Marsh. – Jack uśmiechnął się uprzejmie. – Sądzę jednak, że wszystko da się naprawić.

– Ależ tak, wasza wysokość, z łatwością. Jednakże jej wysokość życzy sobie, żeby natychmiast wyładować kwiaty, a zmiana kratownic zajmie kilka godzin.

– W takim razie kwiaty muszą poczekać – orzekł książkę.

– Ależ Jack...

Jack przerwał jej. Namiętność do orchidei sprawiała, że traciła zdrowy rozsądek.

– Moja droga, nie sposób wymagać rzeczy niemożliwych. Jeśli orchidee muszą poczekać trochę dłużej, to poczekają. Proponuję, żebyśmy teraz zostawili pana Marsha i jego ludzi w spokoju. Niech nie przerywają pracy.

Arabella zmarszczyła czoło. Zamierzała przenieść bezcenne orchidee ze stajni przed zapadnięciem nocy, a dawanie za wygraną było przeciwne jej naturze.

– Jak trzeba, to trzeba – odparła z niechęcią – ale obawiam się, że część z nich stracę.

– Będziemy szybko pracować, wasza wysokość – cierpliwie uspokajała ją Marsh. – W sześciu ludzi damy sobie radę przed wieczorem i sami umieścimy tutaj te kwiaty, żeby się pani nie fatygowała.

– Nie, nie wolno wam. – Arabella o mało nie krzyknęła, –A poza tym to nie są kwiaty, tylko orchidee.

– Nie kwiaty? – spytał zdumiony Marsh, spoglądając na egzotyczne rośliny wokół niego.

– Cóż – zreflektowała się – właściwie kwiaty, ale szczególnie i bardzo cenne. Wymagają specjalnego traktowania. Nikomu nie wolno ich dotknąć. Jeśli musi pan zmienić im kratę, proszę je traktować jak najkruchszą porcelanę. Każdy wstrząs może je unicestwić.

– Rozumiem, madame. – Marsh spojrział na orchidee ze zdumieniem. Owszem, nie były to zwyczajne chryzantemy czy żonkile, ale tak czy owak... Kwiatom nie szkodzą byle wstrząsy.

– Chodźmy, Arabello, czeka nas praca. – Jack ujął ją mocno za nadgarstek.

– Mam sporo pracy tutaj – zaprotestowała. – Powinnam wszystko nadzorować.

– Nie, wcale nie powinnaś. Zawadzasz tu tylko. Marsh już teraz wie, co jest potrzebne. Zostawmy go, żeby sam sobie z tym poradził.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że czeka nas praca? – spytała, pozwalając mu się odciągnąć od orchidei. Psy biegły rażno przed nimi. – Jaka to praca?

– Sama się przekonasz. – Głos jego brzmiał dość poważnie, lecz Arabella zdażyła się już nauczyć, że powaga u jej męża często maskuje rozbawienie.

– Spotkałam się przecież z całą służbą, ustaliłam menu z Alphonse'em i razem z Tidmouthem wydałam służącym dyspozycje. Becky i Louis wspólnie rozpakowują bagaże. Zdołałam na szczęście zapobiec temu, by go zdzieliła po głowie łopatką do węgla. Jaka więc jeszcze praca mnie czeka?

– Nad sobą – odparł, prowadząc ją ku majestatycznym schodom. – Moja droga żono, to ty będziesz teraz przedmiotem pracy... No i pozwól sobie powiedzieć, że księżna z zasady nie wtrąca się w kłótnie między służbą ani nie decyduje o menu czy o prowadzeniu domu. Od tego mam francuskiego kucharza i znakomitego *maitre d'hotel*. Przekonasz się, że Tidmouth świetnie radzi sobie ze wszystkim.

Arabella zatrzymała się na stopniu, wyrwała mu rękę i spojrzała na niego z gniewem.

– Pozwól sobie powiedzieć, że ja jestem panią tego domu i zamierzam nim rządzić. Zapanują w nim takie porządki, jakich ja sobie życzę. Nie obchodzi mnie, co księżnej wolno, a czego nie, bo tak się składa, że nie jestem jakąś tam sobie księżną. Prowadziłam duży dom przez ostatnich dziesięć lat, i to z powodzeniem. Jeśli tutejszej służbie nie spodobają się moje rządy, ona musi się zmienić, a nie ja. – Zakończyła stanowczo i pobiegła pośpiesznie na górę z psami, drepczącymi jej po piętach.

Jack nie od razu poszedł za nią. Nie mógł zaprzeczyć, że Arabella wie, co robić pod tym względem, nie zdawała sobie jednak sprawy, że nie będzie teraz miała na to czasu. Była jego księżną i miała zająć miejsce w jego świecie. Nie mogła oczekiwać, że ów świat nagnie się do jej dziwacznych żądań, nawet gdyby nagiął się do nich sam mąż.

Było zaś nie do pogodzenia z jego dumą, żeby żona robiła z siebie pośmiewisko. Gdyby zgodnie z początkowym zamiarem trzymał ją gdzieś na wsi, z gromadką dzieci uwieszonych u jej spódnicy, dziwactwa te nie miałyby żadnego znaczenia. Skoro jednak dostosował swoje oświadczenia do jej wymogów, musiała zgodzić się na konsekwencje. Nosila teraz nazwisko Fortescu, co zobowiązywało. Niewątpliwie chciał, aby jej wejście w krąg socjety narobiło zamieszania. Odpowiadałoby to jego dumie. Dostrzegał te możliwości niemal od pierwszej chwili i czerpał spore zadowolenie z planowanego przeobrażenia Arabelli. Istniała jednak subtelna różnica pomiędzy osobą fascynującą i nietuzinkową a śmieszną i dziwaczną.

Może jeszcze za wcześnie na to przeobrażenie? Jack ruszył po schodach w ślad za żoną.

Książęce apartamenty Arabelli składały się z sypialni, pokoiku do pudrowania włosów i buduaru. Sypialnia była ogromna, pełna foteli i sof, żeby mieli gdzie siadać goście podczas porannych przyjęć. Nie miała jednak żadnego zamiaru dostosować się do panujących zwyczajów i pozwalać, by liczni *cicisbeo*, platoniczni wielbiciele pani domu, rozwalali się na nich w nonszalanckich pozach, podczas gdy ona, w negliżu, będzie medytować nad skomplikowaną fryzurą czy też wyborem sukni. Sama myśl o tym sprawiała, że krzywiła się z obrzydzenia.

Weszła do buduaru i zamarła bez ruchu w progu. Pokój był pełen ludzi, pudeł modniarskich i zwojów tkanin. Borys i Oskar zawarczały.

– Cóż tu się dzieje?! – wykrzyknęła.

– Wasza wysokość, to dla mnie zaszczyt. – Szczupły mężczyzna w stroju z różowego jedwabiu, kamizelce w paski i upudrowanej peruce złożył jej ukłon, spoglądając podejrzliwie na psy. – To dla mnie zaszczyt, że mogę zaofiarować pani swoje usługi.

Arabella spojrzała pytająco przez ramię na Jacka, który stanął tuż za nią.

– Wyjaśnię ci to w sypialni – odparł, skłonił się zajęty pilną pracą obecnym i utorował żonie drogę do bocznych drzwi. Zamknął je energicznie przed psami.

– Jack, co to wszystko znaczy? Kim są ci ludzie?

– Cóż... – Zaczął wyliczać na palcach. – Dwie krawcowe, jedna modystka, ale za to najlepsza w całym Londynie, i monsieur Christophe, prawdziwy mistrz w sztuce układania włosów. – Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. – Czy pamiętasz, jak mówiłem, że chciałbym się zająć twoimi ubraniami?

– Myślałam, że to rozbieranie mnie daje ci najwięcej satysfakcji – mruknęła, czując teraz jego pocałunki przy swoim uchu.

– Owszem, ono również – zgodził się, nie przerywając pieszczot.

– Może powiesz tym ludziom, żeby sobie poszli? – zasugerowała.

– Nie sądzę. Jak już mówiłem, oczekiwanie wzmaga przyjemność. – Odsunął się i zmierzył ją wzrokiem. Pokiwał głową ze smutkiem. Jasnoblękitna suknia z batystu była zabrudzona, chustka przesłaniająca dekolt przekreśliła się na bok, z włosów powypadały szpilki. – Nie, to naprawdę trzeba zrobić dzisiaj.

– Ujął ją za dłonie, przyjrzał się połamanym paznokciom z czarnymi obwódkami. – Odtąd, moja droga, musisz podczas twoich prac ogrodniczych nosić rękawice.

– Nie cierpię ich. Kwiaty nie będą czuły moich palców przez materiał.

– W takim razie mów do nich – odparł, zaczynając rozpinać guziki jej sukni.

– Owszem, robię i to. Dlaczego ściągasz ze mnie suknię?

– Bo inaczej nie będzie można zdjąć z ciebie miary – wyjaśnił cierpliwie. – Musisz zostać tylko w koszuli.

– Potrzeba mi czegoś więcej niż koszuli, żeby przymierzać kapelusze – odparła, zdejmując rozpiętą suknię. – Mówiłeś, że zatrudniłeś najlepszą modystkę w całym mieście.

– Owszem. Ale kapelusze mierzy się na włosach. Ciało ma tu mniejsze znaczenie. – Zbył jej grymasy, nalewając wody do miednicy. – Umyj ręce.

Arabella zrobiła to i wyszorowała paznokcie. Była niemal szczęśliwa, że Jack załatwił niemal wszystko za nią. Wiedziała, że ma w tym zakresie spore braki, a o aktualnej modzie nic nie wie, bo nigdy się nią wcześniej nie interesowała. Jeśli miała jednak zająć miejsce w eleganckim świecie, chciała to zrobić jak należy.

– Jednego tylko nie zniosę – powiedziała, wkładając peniuar.

– Za nic nie będę pudrować włosów ani nosić peruki.

– Byłoby to karygodne niszczenie naturalnych walorów. Nie pozwoliłbym na coś takiego, nawet gdybyś chciała.

Palce Arabelli zatrzymały się na guziku peniuaru. Nagle opuściła ją życzliwość względem męża.

– Chętnie przyjmę twoje rady, ale nie rozkazy.

– Nie widzę tu większej różnicy – stwierdził.

– W takim razie źle pan widzi – odparła twardo.

Jack spojrział na nią i dostrzegła groźbę w szarych oczach, ale nie chciała się wycofać.

Jack wiedział, że jedno jego słowo, a ich sprzeczka przerodzi się w otwartą kłótnię, podobnie jak ta w kwestii służby, i chciał tego. Arabella była jego żoną. Jego własnością. Przecież z tego właśnie powodu znaleźli się razem w sypialni. Nie zamierzał się poddać i nigdy nie miał zamiaru tego robić. Mógł ją odesłać do Kent i Arabella Fortescu nie miałyby wyboru. Musiałyby usłuchać rozkazu męża. Zapewniła sobie wprawdzie pewien stopień niezależności finansowej w intercyzie, ale nie zapewniła sobie miejsca u jego boku.

Nie chciał jednak tego robić. A przynajmniej, jak się w myślach poprawił, nie był jeszcze do tego gotów.

– Nie kłóćmy się o słowa. – Położył jej dłoń na ramieniu i szepnął do ucha, popychając ją w stronę buduaru: – Nigdy jednak nie zapominaj, że jesteś moja żoną, Arabello.

Te słowa sprawiły, że przeszedł ją dreszcz. Zesztywniała, lecz powstrzymała się przed gniewną repliką.

W buduarze Arabella siadła na szeszlunku i obserwowała, jak obie krawcowe rywalizują o jej zamówienie. Rozkładały przed nią jedwabie, adamaszki, tafty, muśliny. W paski, w kwiatki, haftowane, gładkie.

– A te, wasza wysokość, są ostatnio w modzie. Jej wysokość księżna Devonshire pokazała się w zeszłym tygodniu w Carlton House w takiej właśnie sukni — oświadczyła triumfalnie madame Elizabeth, pokazując strój ze złocistej tkaniny na spodzie wyszywanym srebrną nicią.

– Nie – powiedział Jack.

Arabella, która uznała strój za wyjątkowo bogaty, spytała:

– Dlaczego?

– Bo twoja figura pasuje do nowszego stylu. Turniury i krynoliny wyszły już z mody, oczywiście poza dworem.

Stał tyłem do kominka, którego ciepło pozwalało zapomnieć o październikowym chłodzie.

– Ależ wasza wysokość – zaprotestowała madame Elizabeth – sama księżna Devonshire...

– Ja widzę księżną St. Jules w stylu dyrektoriatu – stwierdził Jack, zażywając niuch tabaki.

Zapadła cisza, podczas której obydwie krawcowe lustrowały swoją klientkę od stóp do głów.

– Wasza wysokość ma rację – uznała madame Celeste. – Ten wspaniały gors... Wybacz mi pani, madame, gdyby jej wysokość raczyła wstać... Dziękuję, madame. – Krawcowa wymodelowała peniuar na piersiach Arabelli. – Co pani o tym myśli, madame Elizabeth?

Była to widocznie zbyt ważna kwestia, by się martwić o współzawodnictwo.

– I talia – stwierdziła Elizabeth, podchodząc, żeby zebrać tkaninę w pasie. – Jaka smukła w porównaniu z piersiami.

– No i biodra – szepnęła jej koleżanka po fachu. – Idealnie ją równoważą.

– Doskonale – odparła Arabella z gestem odznaczającym odprawę. – Niech panie pracują razem, aby stworzyć idealną garderobę. A jaki właściwie jest ten styl dyrektoriatu? – spytała, spoglądając z ukosa na męża.

– Pozwól, niech ci pokażę. – Podszedł do sekretarzyka, ujął za pióro, umoczył je w atramencie i naszkicował parę linii na welinowym papierze. –

Spójrz... talia znajduje się teraz pod samymi piersiami, a suknia opada prosto spod szarfy w pasie aż po same kostki.

Arabella spojrzała mu przez ramię na rysunek. Był to styl po prostu rewolucyjny w swojej prostocie. Wielki dekolt sprawiał, że góra sukni ograniczała się ledwie do kilku cali, co niewiele pozostawiało miejsca wyobraźni.

– Nie ma gorsetu?

– Nie, same naturalne kształty.

– Halki?

– Jedna cienka halka i koszula, nic więcej. Wszystko inne popsułoby czystość linii. – Odłożył pióro na podstawkę.

– A zimą? Zmarznę w tym na śmierć – zaprotestowała, choć już się jej spodobała sama idea prostego, pozbawionego ozdób stroju.

– Och nie, wasza wysokość. – Madame Celeste pośpieszyła z wyjaśnieniem. – Takie suknie nosi się z szalami i futrzanymi etolami, możemy też uszyć wierzchnie okrycie na bardzo zimne dni.

– Albo może tunikę? – podsunęła druga krawcowa. – Tunikę długości trzech czwartych, nakładaną na suknię.

– I to jest całkowicie nowy styl? – spytała w zadumie Arabella.

– Och tak, wasza wysokość! Na kontynencie już się to zaczyna nosić, a w Londynie będzie wkrótce ostatnim krzykiem mody. – Krawcowa zatarła pulchne rączki na myśl, że będzie jedną pierwszych, które wylansują ten styl w eleganckim świecie stolicy. Zdejmowała już w wyobraźni miarę z nowej klientki, notując sobie w pamięci, jakie cechy jej sylwetki powinna podkreślić, a jakie zatuszować.

Arabella wzięła do ręki szkic. Zdumiało ją, skąd jej mąż tyle wiedział o stylach mody za kanałem La Manche. Zresztą w ogóle niemało wiedział o

modzie. Nie powinna się jednak temu dziwić, zważywszy na jego nieskazitelną prezencję.

– Doskonale. Proszę mi coś takiego uszyć. Czy mogą panie pracować razem?

– Jak najbardziej, madame! – Celeste wskazała na swoją koleżankę. – Często miałyśmy okazję współpracować. – Madame Elizabeth uśmiechnęła się i przytaknęła z równym entuzjazmem. Będzie pod dostatkiem pracy dla obydwóch, skoro księżnie

St. Jules trzeba uszyć całą garderobę. Wyjęła krawiecką miarkę z kieszeni fartucha.

– A teraz, jeśli wasz wysokość nam pozwoli...

Arabella chętnie poddała się mierzeniu, a także posłusznie wysłuchiwała wymienianych szeptem uwag, niekiedy niemal żenujących.

– No, a teraz tkaniny – rzekła Celeste, zwijając wreszcie miarkę i odwracając się ku materiałom rozłożonym na niemal każdym krześle.

– Tylko najprostsze – postanowił Jack. – Muśliny, jedwabie, organdy, może tafty. Żadnych ciężkich adamaszków ani aksamitów.

– Dlaczego? – Arabella raczej lubiła obydwie odrzucone tkaniny z ich bogatą fakturą.

– W twoim przypadku strój musi przyciągać uwagę do tego, kto go nosi, a nie skupiać uwagę na sobie. Możesz mi zaufać, moja droga.

– Dlaczego w moim przypadku? – Arabella zaczęła dochodzić do wniosku, że rozmowa jest bardzo pouczająca.

– Madame, jego wysokość ma na myśli pani niezwykłą karnację. Nic nie powinno z nią rywalizować – wyjaśniła Elizabeth, ujmując zwój kremowego muślinu w srebrny roślinny rzucik. – Myślę, że ten będzie dobry, wasza wysokość.

– Stanowczo ten – potwierdził. – Kolory muszą być następujące: kremowy, złoty, kość słoniowa, beż, może karmelowy brąz...

– Ale jej wysokość wyglądałaby też doskonale w ciemnobrązowym jedwabiu – zauważyła Celeste.

Jack rozważał to przez chwilę, patrząc uważnie na żonę.

– Owszem – zgodził się. – Ale tylko w tym kolorze.

– A ja tak lubię zielony – odezwała się Arabella, uznając, że powinna tu wnieść jakiś wkład. Zaczynała się czuć niczym szmaciana lalka, jaką ubierała w dzieciństwie.

– Może później – odparł Jack jakby mimochodem. – Chciałbym, żebyś na początku pokazywała się tylko w tych kolorach i tkaninach, które wymieniłem.

– Jej wysokość narzuci wszystkim modę – powiedziała madame Elizabeth. – Myślę, że wszystkie eleganckie damy w Londynie będą wkrótce chciały nosić tylko te kolory.

– W takim razie głupio zrobią – uznała Arabella. – Te kolory przecież nie pasują do każdej karnacji.

– Moda mnoży głupców – stwierdził Jack z nieco drwiącym uśmiechem. – No, a teraz zabierzmy się za włosy. Christophe... – Skinął na drobnego, czyściutkiego człowieka w różowym ubraniu, który podczas całej dyskusji z krawcowymi stał w milczeniu przy oknie.

– *Mais oui, wasza, wysokość* – zaczął, podchodząc do niej pośpiesznie. – Niech jej wysokość zechce usiąść. – Ukłonił się Arabelli i postawił fotel bez poręczy przed długim do podłogi lustrem. – Jakie madame ma piękne włosy! – Uniósł kaskadę czekoladowych loków, jakby je ważył ze czcią w dłoniach. – Żadnego pudru – oświadczył.

Arabella zastanawiała się, czyjego silny francuski akcent jest prawdziwy, czy też fryzjer udaje go tylko, żeby budzić większe zaufanie jako modny mistrz grzebienia. W końcu uznała, że jest jednak autentyczny. W tym czasie wielu francuskich emigrantów starało się w Londynie zarobić na życie.

– Najpierw je podetnę – oznajmił, szczękając parą długich nożyczek. – Fryzura w klasycznym stylu wymaga nieco krótszych włosów. A do sukni, jaką wasza wysokość wybrała, pasuje tylko taka.

– Proszę strzyc, jeśli trzeba – pouczył go Jack – ale nie za dużo.

– Nie chcę, żeby mi obcinano włosy. A Becky doskonale sobie poradzi z ich układaniem.

– Może w Kent – stwierdził Jack – ale nie w Londynie.

Arabella wzniosła oczy do nieba. Christophe powiedział z przekonaniem:

– Może służąca jej wysokości nauczy się czesać włosy w klasycznym stylu, kiedy je przytnę jak należy.

– Z pewnością. Ona ma do tego wrodzony talent. – Arabella uznała, że należy poniechać protestów, i patrzyła w lustro, podczas gdy Francuz unosił, skręcał i spinał ciemnobrązowe sploty. Ucięte włosy padały wokół krzesła. Odniosła wrażenie, że skracał je o wiele więcej niż tylko trochę, lecz Jack, który przypatrywał się temu uważnie, nie zrobił nic, by go powstrzymać. A gdy dostrzegła kształt, który zaczął wyłaniać się spod zwinnych palców i nożyc, zafascynował ją raczej, niż zaniepokoił.

– No, proszę. – Christophe odstąpił w tył z miną pełną triumfu. – Służąca waszej wysokości potrafi teraz zrobić kopię tej fryzury.

Włosy, prócz loków nad czołem i kępki kędziorów na karku, zostały zebrane z tyłu głowy w wysoki kok i przewiązane wstążką. Wyglądała teraz

o wiele bardziej elegancko, a głowa robiła wrażenie dużo mniejszej i bardziej kształtnej.

– A jest jeszcze sporo innych stylów, wedle których można ułożyć tak obcięte włosy – wyjaśnił Christophe. – Możemy na przykład zakryć uszy... o, tak.

– Owszem, jestem pewna, że moja służąca potrafi je rozmaicie ułożyć – odparła pośpiesznie Arabella, bo zanosilo się na to, że Christophe był bliski całkowitego zniszczenia swego dzieła, by zacząć wszystko od początku. – Myślę, że to wspaniałe uczesanie, monsieur, ale na dzisiaj wystarczy.

Christophe wyglądał na rozczarowanego, lecz uklonił się i wycofał. Madame Celeste odkaszlnęła i mruknęła.

– Jeszcze jedna rzecz, wasza wysokość.

Arabella pojęła, że krawcowa zwraca się nie do niej, lecz do Jacka. On również tak uważał.

– O co chodzi?

– O strój dworski, wasza wysokość. Byłby to dla mnie wielki zaszczyt... – odparła, uśmiechając się triumfalnie.

– Ach, tak. Strój dworski. – Jack zmarszczył czoło. – Myślę, że trochę z tym poczekamy. Proszę na razie uszyć to, co ustaliliśmy, a potem to omówimy.

Obydwie kobiety dygnęły i wyszły, ledwie widoczne spoza zwojów tkanin.

– Strój dworski? – spytała Arabella. – Myślałam, że jako zdeklarowany wig nie jesteś zapraszany na dwór.

– Och, nie obawiaj się, królowa Charlotte z pewnością przyjmie cię w swoim salonie – odparł sucho Jack. – Będzie też chciała wyrazić swoją

aprobatę... albo odwrotnie – dodał, nim zwrócił się do trzeciej z kobiet, siedzącej wśród dużych pudeł.

– A teraz kapelusze – zażądał.

– Czy nie szkoda kryć takiej eleganckiej koafiury pod kapeluszem? – zauważyła Arabella, dotykając z satysfakcją kępki kędziorów na karku.

– Och, wasza wysokość będzie w nich wyglądać bardzo dobrze – zapewniła ją modystka, otwierając pierwsze z pudeł. – Proszę, oto przepiękna kreacja. – I z rozmarzonymi oczami wyciągnęła z niego monstrualne nakrycie głowy z jedwabiu i koronki.

– Dobry Boże – zauważyła Arabella. – Przecież ten kapelusz ma na sobie cały sad. – Dotknęła jednego z woskowych jabłuszek i skrzywiła się. – Inni mogą sobie nazywać go ostatnim krzykiem mody. Ja tego nie włożę na głowę. To kapelusz odpowiedni dla Lavinii Alsop!

Jack nie mógł powstrzymać śmiechu. Modystka wyglądała na zmieszaną i schowała go z powrotem do pudła.

– Może wasza wysokość będzie wolała ten – orzekła, pokazując wielki, malowniczy kapelusz ozdobiony farbowanym strusim piórem i kwiatami. Arabella uniosła ręce do góry w rozpacz.

– Tak, ten będzie dobry – uznał Jack, nic sobie nie robiąc z gestu Arabelli. – Nie pasuje wprawdzie do obecnej fryzury, ale na innej jego opływowy zarys będzie przy twojej twarzy zachwycający.

– Chyba moja obecność jest tu zupełnie zbędna – zauważyła cierpko.

– Może jej wysokość woli wyższe kapelusze? – spytała pośpiesznie modystka w obawie, że jej zamówienie przepadnie już na samym początku. – Te są wedle najnowszej mody – oznajmiła, trzymając w ręce jeden z nich, z uniesionym ku górze rondem, ozdobiony jedynie wstążką.

– O, ten już dużo lepszy – uznała z aprobatą Arabella, zerkając na Jacka, który ograniczył się do przytaknięcia. – W takim razie wszystko jest ustalone. – Arabella wstała. – Dwa kapelusze w zupełności wystarczą jednej osobie. – Dziękuję pani za fatygę. – Uśmiechnęła się do modystki grzecznie, ale ze stanowczym zamiarem odprawienia jej.

– Obawiam się, że nie wystarczą – powiedział Jack, na wpół ubawiony, a na wpół znudzony. – Myślę, że potrzebny będzie jeszcze słomkowy.

– Oczywiście, wasza wysokość. Ja też tak myślę. – Modystka z ulgą otwierała kolejne pudła, wyjmując z nich słomkowe cuda ozdobione wstążkami w różnych kolorach, z szerokimi i węższymi rondami.

Arabella z rezygnacją pozostawiła wybór mężowi, który – jak się wydawało – wiedział, co robi. A przynajmniej wydawał się zdecydowany. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, czy będzie miała dość okazji, by nosić choćby połowę z nich. Jeśli jednak, jak Jack jej obiecał, ma wszystkich olśnić, gdy dokona wielkiego wejścia w elegancki świat, to jemu pozostawi troskę, w jaki sposób ma tego dokonać.

Upłynęło kolejne pół godziny, zanim modystka wyszła, tuż za Christophe'em.

– Dzięki Bogu, że już po wszystkim. – Arabella westchnęła. Jack spojrział na nią z lekką dezaprobatą.

– Czy naprawdę tak mało obchodzi cię moda, Arabello?

– Niewiele. Czy to ma jakieś znaczenie?

Jack nic nie powiedział, tylko nadal patrzył na nią w zamyśleniu, trącając nieznacznie palcem wargę. Potem pokiwał głową, jakby dając temu spokój.

Arabella podeszła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i przesunęła dłonią po siwym paśmie włosów, które ją nieodparcie fascynowało.

– Może skończymy teraz to, co zaczęliśmy wcześniej.

Jack objął ją w pasie i pocałował w usta. Potem z ociąganiem zdjął jej rękę z szyi, opuścił na dół i przytrzymał u jej boków.

– Nie teraz, Arabello. Muszę wyjść.

Jego spojrzenie straciło coś z poprzedniej serdeczności i humoru. Nie dojrzała w nim już oznak pożądania.

– Wychodzisz? – Pytanie wyrażało zarówno zaskoczenie, jak i niezadowolenie. Zrozumiała, że popełniła błąd. – Przecież nie było cię przez całe przedpołudnie.

Puścił jej rękę i odsunął się.

– Muszę się zobaczyć z przyjaciółmi – powiedział spokojnym, obojętnym głosem. – Mam też coś do załatwienia. Zbyt długo przebywałem poza Londynem.

– Oczywiście, rozumiem – odparła równie obojętnie. – Czy wrócisz na obiad?

– Nie przypuszczam – odparł, idąc ku drzwiom prowadzącym do jej sypialni, która przylegała do jego. – Pewnie zjem obiad w klubie Brooke'a i będę grał do późna.

– Całkiem dobrze się składa, bo ja zamierzam spędzić całe popołudnie w cieplarni i zająć się moimi orchideami – powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał przy tym tak, jakby nic jej bardziej nie odpowiadało.

– Jeśli nie będziesz jeszcze spać, zajrzę do ciebie, kiedy wrócę. – Odwrócił się przy samych drzwiach, uśmiechnął i życzył jej miłego wieczoru.

Arabella została sama na środku pokoju, tam, gdzie ją zostawił. Poszedł do kochanki. Była o tym tak mocno przekonana, jakby jej dokładnie o wszystkim powiedział. A ona nic na to nie mogła poradzić. Nie miała nawet prawa wyrazić swojego sprzeciwu, skoro zgodziła się przedtem, by podtrzymywał ten związek, w który ona nie będzie ingerować.

Ale żeby poszedł do niej tak od razu? Przecież wrócili do Londynu ledwie dwadzieścia cztery godziny temu! Jak w tej chwili zrozumiała, gdzieś w głębi duszy żywiła jednak nadzieję, że pożycie małżeńskie mu w tej mierze wystarczy.

Pokręciła głową. Naiwna i głupia. Ale teraz już taka nie będzie. I nigdy więcej nie da poznać po sobie, że ją obchodzi cokolwiek z jego poczynań.

Jack na rogu Cavendish Square wynajął lektykę.

– Na Mount Street – rzucił tragarzom. Oparł się wygodnie i pomacał rękojeść rapiera. Twarz miał niewesołą. Diabeł go podkusił, żeby akurat dzisiaj odwiedzać Lilly. Jednakże zwykła przyzwoitość, nie mówiąc już o lojalności, nakazywała, żeby nie kazał jej zbyt długo pozostawać w

niepewności. Powiadomił ją listownie o swoim małżeństwie, ale nie podał szczegółów. Dowie się, że wrócił do Londynu, bo po jego porannej wizycie w klubie Brooke'a każdy będzie o tym wiedział. Lilly będzie go oczekiwać.

Lektyka zatrzymała się przed wysokim budynkiem. Żelazna balustrada okalała niskie, dobrze utrzymane schodki wiodące do drzwi frontowych. Jack zapłacił tragarzom i przyglądał się przez chwilę domostwu, nim wszedł na stopnie. Ciężkie zasłony w podłużnych oknach salonu na pierwszym piętrze lekko drgnęły. Przesunęła się za nimi słabo widoczna postać. Lilly była u siebie.

Podszedł do drzwi i uniósł ciężką, mosiężną kołatkę. Odźwierny, który mu otworzył, skłonił się przed dobrze mu znanym gościem.

– Jaśnie pani jest w domu, wasza wysokość.

Kamerdyner podszedł, by go powitać, lecz Jack tylko zbył go skinieniem ręki i przeszedł przez hol ku schodom.

– Sam siebie zaanonsuję.

Kamerdyner się wycofał. Jego wysokość książę St. Jules był w siedzibie hrabiego Wortha jedynym gościem, który był zwolniony z ceremonii.

Hrabina Worth siedziała na obitej brokatem sofie, gdy wszedł do salonu. Ubrana była w luźny, jedwabny negliż, a na upudrowanych lokach miała ładny koronkowy czepek. Udawała, że czyta, lecz Jack nie dał się temu zwieść, podobnie jak i jej nieformalnemu strojowi. Lilly musiała spędzić całe godziny przy gotowalni, by osiągnąć ten zachwycający wygląd.

Uniosła wzrok znad książki i zamknęła ją, zakładając ją jednak palcem, żeby zaznaczyć stronę, a potem uśmiechnęła się do niego.

– Jack, jak to miło z twojej strony. Co za niespodzianka!

– Nonsens – odparł z bladym uśmiechem, podchodząc do sofy po miękkim tureckim dywanie. Wyciągnęła ku niemu rękę. Ujął ją i lekko ucałował końce palców. Lilly wzmocniła uścisk i przyciągnęła go ku sobie. Pocałował ją w usta, ale był to lekki, przyjacielski całus, nie ten namiętny, którego oczekiwała i do którego go zapraszała.

Wyprostował się, nie puścił jednak jej dłoni. Uśmiechnął się do niej wprawdzie, lecz jego oczy przesłaniał lekki cień.

– Jesteś idealna, jak zawsze, moja droga Lilly. W nowym uczesaniu bardzo ci do twarzy.

– Nie przyszedłeś tu, żeby mi prawić komplementy, Jack – odparła i nieznacznie zmarszczyła wydepilowane brwi.

– Nie sposób ci ich nie prawić, Lilly – odparł dwornie, puszczając jej palce. Nachylił się nad nią i wygładził zmarszczkę na czole palcem wskazującym.

– Nie marszcz się, kochanie. Chyba nie chcesz, żeby ci się na nim zrobiły zmarszczki? Okropnie postarzają.

Mimo konsternacji z powodu braku w jego zachowaniu namiętności usłuchała go.

– A więc ożeniłeś się – powiedziała, starając się, żeby to zabrzmiało pogodnie. – Nigdy się właściwie nie spodziewałam, że tak zrobisz, Jack. Wątpię zresztą, by ktokolwiek się tego po tobie spodziewał.

Jack wyjął z kieszeni tabakierkę i zauważył łagodnie.

– W końcu wszyscy mężczyźni się żenią.

Wziął w palce szczyptę tabaki, wolną ręką ujął ją za nadgarstek, obrócił dłoń do góry i nasypał go na znaczoną błękitnymi żyłkami skórę. Potem uniósł jej dłoń do nosa i wciągnął do nozdrzy delikatny wonny proszek. Ten gest mówił o miłosnej intymności i uspokoił Lilly. Ledwie

sobie uświadomiła słaby strach, że Jack przyszedł tu, by oznajmić koniec ich związku.

Spytała niezobowiązującym tonem:

– Czy przywiozłeś ją do Londynu?

– Tak, jest teraz na Cavendish Square. – Podszedł w stronę kominka i stanął plecami do ognia. – A co z tobą, Lilly? Jak się ma Worth?

– Och, nudny, jak zawsze. – Westchnęła i opuściła niedbale książkę na podłogę, całkiem jakby chciała to samo zrobić z nieszczęsnym hrabią. – Robi mi trudności ze spłatą moich długów. Przegrałam ledwie tysiąc gwinei w Devonshire House któregoś wieczoru. Przecież to głupstwo, Jack, bagatela bez znaczenia. Czy uwierzysz, że odmówił mi pieniędzy na uregulowanie długu? – Rozłożyła wachlarz i powoli poruszała nim tuż przed twarzą, a jej oczy śledziły go pilnie sponad jego skraju.

– Och, to się bez trudu da załatwić. Natychmiast wypiszę ci czek.

Podszedł do zdobionego markieteryą stoliczka i zrobił to, następnie posypał atrament piaskiem, po czym złożył kartkę i wręczył Lilly.

– Jesteś dla mnie taki dobry – rzekła serdecznie, sięgając za siebie. Zdjęła ze stołu szkatułkę z sewrskiej porcelany zdobioną subtelnym malowidłem i włożyła tam czek. Nie chciała, żeby wpadł przypadkiem w oczy mężowi.

– Usiądź koło mnie, Jack – powiedziała, poklepując dłonią sofę. — Chcę od ciebie usłyszeć wszystko o twojej żonie. Z plotek wynika, że to jakaś nudna, prowincjonalna gęś.

Jack nie ruszył się sprzed kominka. Uśmiechnął się wprawdzie, lecz nie był to uśmiech, który dodałby Lilly pewności siebie.

– Moja droga, nie będę z tobą dyskutować o mojej żonie... zresztą z nikim innym również.

– Och, cóż za skrupuły – zadrwiła. – Nie miałeś ich, kiedy mówiłeś, jaka żona by ci odpowiadała.

– Masz rację. Jest jednak pewna różnica między mówieniem o tym a rozmową o konkretnej osobie. Pewien jestem, że to rozumiesz.

– Nie będziesz chyba miał nic przeciwko temu, żebym jej złożyła wizytę? – spytała Lilly z nieznacznym uśmiechem. – Chyba że zamierzasz ją więzić na Cavendish Square, Czy będzie miała debiut?

– Miała go jakieś dziesięć lat temu – odparł, biorąc z kominka jadeitowe pudełko na karty. – Jestem pewien, że zaczniesz przyjmować gości, gdy tylko się zadomowi... Jaka to piękna rzecz. – Spojrzał na pudełko pod światło. – Nie widziałem tego przedtem.

– Nabyłam je na pewnym raucie. Było zakładem w grze, a ja wygrałam – odparła z pewnym zniecierpliwieniem. – Jak szybko twoja żona...

– Gratuluję ci, moja droga. – Jack odłożył pudełko na miejsce. – To wartościowa rzecz. – Usiadł z ramieniem wspartym na poręczu krzesła, z nogami niedbale skrzyżowanymi. Machał leniwie stopą w bucie ze srebrną klamrą. Uśmiech nie schodził mu z ust.

Lilly z irytacją zrozumiała, że ta wizyta okazała się dla niej niekorzystna. Spodziewała się miłej pogawędki o żonie, podobnej do ich poprzednich konwersacji na ten temat. Oczywiście mimo jego protestów zdawała sobie sprawę, że on się w końcu ożeni. Potrzebował potomstwa, a ona nie mogła mu go dać.

– Nie dąsaj się, Lilly, nie do twarzy ci z tym – powiedział, a w jego oczach pojawił się wreszcie uśmiech. – Nie ma najmniejszej potrzeby. Nie chcę z tobą rozprawiać o mojej żonie, i to wszystko, co można powiedzieć na ten temat. Powiedz mi, o kim mówi się w mieście.

– O ile się orientuję, tylko o tobie. – Lilly wstała z sofy w swoim wdzięcznym stroju, cała w jedwabkach i koronkach,

I podeszła ku niemu z wyciągniętymi rękami. – Chodź do mnie Jack, od całych tygodni cię nie widziałam, a teraz nie traktujesz mnie wcale życzliwie.

Usiadła mu lekko na kolanach, objęła go i pocałowała.

– No, czyż tak nie jest lepiej? – Otarła się o niego policzkiem.

Jack poczuł jej perfumy, zupełnie inne niż lekka woń różanej wody i lawendy używanych przez Arabelle, zazwyczaj zmieszane z zapachem świeżej ziemi. Porównanie zaskoczyło go. Piękne ciało Lilly i zmysłowe perfumy zawsze go przedtem zdołały podniecić.

Ucałował ją w szyję, lecz potem delikatnie, ale stanowczo wyswobodził się z jej objęć, mówiąc z uśmiechem:

– Wybacz, moja droga, ale nie mam wiele czasu.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem, za którym krył się ledwie wyczuwalny niepokój.

– Przecież zawsze jest czas i nikt nam nie przeszkodzi. Możesz być pewien, że odzwierny powie Worthowi, gdyby wrócił wcześniej, że mam gościa, a on, jak wiesz, tutaj nie wejdzie.

Jack pokręcił głową i wstał.

– Przepraszam, moja droga, ale muszę iść.

– Pewnie twoja prowincjonalna gąska na ciebie czeka –oznajmiła Lilly, pokazując w uśmiechu zęby.

Jack zmarszczył czoło i pokręcił głową z wyrzutem.

– Ostrożnie, Lilly.

Lilly rozgniewała się, jej błękitne jak porcelana oczy pociemniały, a kąciki pięknych ust wykrzywiły się niemile. Była jednak zbyt przebiegła, żeby pozwolić mu odejść w złym nastroju. Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Och, wybacz mi Jack.

Wyciągnęła ku niemu elegancką, białą dłoń. Miała długie, zadbane paznokcie.

Jack nakrył swoją dłonią jej rękę i pomyślał o połamanych, brudnych paznokciach żony.

– Nie muszę ci niczego wybaczać, Lilly.

– Och, widzę, że jesteś niezadowolony. – Pozwoliła sobie na drżący uśmiech. – A ja tak się cieszyłam na nasze spotkanie. Nie widziałam cię tyle czasu i cóż... – Wzruszyła krągłymi ramionami w geście łączącym przeprosiny ze zmysłowością, a przy tym ruchu jej piersi na moment uniosły się ponad obszyty koronką dekolci.

Przez chwilę poczuł pokusę, która wkrótce jednak zniknęła, a on wiedział, że nie może już dłużej przeciągać tej wizyty. Ujął jej dłonie i pocałował.

– Porozmawiamy kiedy indziej, Lilly.

Uścisnął jej rękę i odszedł. Słyszała jego szybko oddalające się kroki w korytarzu.

Skrzyżowała ręce na piersiach i wpatrzyła się w ogień. Nigdy nie przypuszczała, by małżeństwo z rozsądku mogło sprawić, że kochanek się od niej odsunie. Kiedy o tym mówili, było oczywiste, że nic między nimi się wtedy nie zmieni. Musi zobaczyć tę kobietę. Jakaż rywalką może być skromna gąska z prowincji?

Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze o pozłacanej ramie wiszącym nad kominkiem. Miała cerę bez skazy, czerwone usta, błękitne oczy. Nie!

Nie może przyznać, że ma rywalkę. Popełniła dziś kilka błędów. Zawsze wiedziała, że z Jackiem należy obchodzić się ostrożnie, a tego popołudnia zbyt mocno dała mu do zrozumienia, że go pragnie. I to nie tylko jego ciała, ale też bogactwa i hojności.

Jack stał przed jej domem we wczesnym wieczornym mroku, oddychając głęboko zimnym powietrzem zmieszany z wonią węgla i końskiego nawozu, bo pociągowy koń uniósł właśnie ogon i pozostawił na bruku wąskiej uliczki parujący kopczyk. Nawoływania ulicznych sprzedawców mieszały się z turkotem kół, a wrzaski i gwizdy ulicznych band rozbrzmiewały w zaułkach. Miasto było pełne hałasu i wyziewów, ale przynajmniej nie triumfalnego krzyku mściwego motłochu i fetoru krwi, a żadna głowa arystokraty nie wpadała tu do kosza. Czy kiedykolwiek zdoła otrząsnąć się z tych wspomnień? Czy będzie mógł myśleć o Charlotte bez krwawych obrazów przed oczami? Czy kiedyś pomyśli o Arabelli i nie wspomni przy tym Fredericka Lacey'a?

Spojrzał na dobrze utrzymaną fasadę domu Wortha. Okna lśniły czystością, a ściany były świeżo malowane, podobnie jak uróżowane policzki Lilly. Prawie tak świeże, jak róż na policzkach Lilly.

Niech to licho! Poczuł, że coś traci. Lilly pociągała go, zawsze znajdował przyjemność w ich związku, a jej karciane długi, które spłacał, były tego jak najbardziej warte. Ale nie tego wieczoru. Zręczne sztuczki, jakimi ubarwiała ich romans, straciły dla niego wszelki powab.

– St. Jules! Słyszałem, że wróciłeś do Londynu.

Serdeczne pozdrowienie przerwało jego rozmyślenia. Zmusił się do uprzejmego uśmiechu. Hrabia Worth zbliżał się do domu od strony stajni na jego tyłach.

– Jeździłem sobie w Richmond – zwierzył mu się. – Wspaniały dzień na przejażdżkę. Tak się świetnie bawiłem, że o mało mnie tam noc nie zaskoczyła.

– Owszem, to był piękny dzień – przytaknął mu Jack. – Dobrze się miewasz, Worth?

– O tak, wciąż jeszcze jestem żwawy. – Hrabia na dowód tego śmignął w powietrzu szpicrutą. – Widziałeś się z moją żoną? – Nic nie wskazywało, by Worth wiedział, co dzieje się pod jego dachem.

– Tak – odparł krótko Jack. – Znalazłem lady Worth w dobrym zdrowiu. – Przypomniał sobie o dzieciach hrabiego i spytał o nie. Nie mógł tego zrobić, będąc z Lilly. Jej macierzyńskie instynkty rzadko dawały o sobie znać, jeśli w ogóle.

Hrabia natomiast był oddanym ojcem i nigdy się nie krył z radością, jaką dawały mu dzieci. Rozpromienił się z miejsca.

– Och, wszystkie dobrze się chowają, Fortescu. Różowe jak jabłuszka i figlarne jak szczenięta. Dzięki ci za to, że o nich pamiętasz. Mały Georgie doprowadza swoją guwernantkę do rozpacz, tyle ma w sobie animuszu.

– Miło mi to słyszeć. – Jack chciał się już pożegnać, ale hrabia mówił dalej.

– Słyszałem, że przywiozłeś żonę do Londynu – obwieścił z szerokim uśmiechem. – Moje gratulacje, stary druhu! Czy to prawda, że jest siostrą Dunstona?

– Tak, to lady Arabella. – Jack nie mógł się doszukać pod dobrym humorem hrabiego żadnego drugiego dna. Worth nie był ani trochę chytry, jak jego żona, ale z pewnością mógł powiązać samobójstwo Dunstona z faktem, że jego przyrodnia siostra wyszła za kogoś, kto doprowadził go do śmierci.

– Tak, tak... zapomniałem, jak ma na imię. Pamiętam, że zetknąłem się z nią, jak przyjechała do Londynu na sezon...

Owszem, miła dziewczyna. Z pewnością dobrze zrobiłeś, Fortescu. – Rozradowany hrabia pożegnał go ukłonem i odwrócił się ku frontowym drzwiom.

Jack ruszył przed siebie, wywijając laską. Może dobroduszość Wortha miała coś wspólnego z przeświadczeniem, że jeśli kochanek jego żony sam się ożenił, to tym samym w mniejszym stopniu był kochankiem. Idea niepozbawiona rozsądku. No i wcale nie bez racji!

Ku własnemu zaskoczeniu zdał sobie sprawę, że zaszedł pod własny dom przy Cavendish Square. Był tak głęboko zatopiony w myślach, że nie zauważył nawet, gdzie go niosą nogi. Przypomniało mu się, że miał zamiar spędzić cały wieczór w klubie Brooke'a, ale najwyraźniej wcale tego nie chciał.

Kiwając głową nad własną głupotą, podszedł ku drzwiom, które natychmiast się przed nim otwały.

– Czy jej wysokość jest w oranżerii, Tidmouth? – spytał, gdy majordomus odbierał od niego laskę, kapelusz i rękawiczki.

– Nie, wasza wysokość. Przez dwie godziny doglądała tam kwiatów, ale potem pojechała z psami na spacer – wyjaśnił Tidmouth, bezskutecznie starając się ukryć dezaprobatę za twarzą pozbawioną wyrazu.

– Gdzie się wybrała? – Jack zmarszczył brwi.

– Jej wysokość mówiła coś o Hyde Parku. – Tidmouth z szacunkiem odłożył skórzane rękawiczki swego pana na srebrną tacę i postawił ją na konsolce.

– Kto jej towarzyszy?

– Jej wysokość poszła chyba sama... ale, oczywiście, z psami. – Ton dezaprobaty zaznaczył się jeszcze wyraźniej.

– Rozumiem. Daj mi z powrotem kapelusz i rękawiczki.

– Tak, wasza wysokość. – Z niesłychaną powagą Tidmouth podał je ponownie Jackowi.

– Od kiedy nie ma jej wysokości? – spytał księżę, naciągając rękawiczki.

– Od jakiejś godziny, wasza wysokość. – Tidmouth z ukłonem otworzył przed nim jeszcze raz drzwi frontowe.

Jack poszedł w kierunku skweru, głowiąc się, któredyż żona mogła udać się do parku. Zapadł już niemal całkowity zmrok, na ulicach pojawiły się patrole strażników z pochodniami. Park był nocą miejscem niebezpiecznym – bywał nim zresztą nawet i za dnia w gęsciej zadrzewionych zakątkach – a Jack nie był pewien, czy Borys i Oskar wystarczą Arabelli jako ochrona. Mogły co prawda napędzić komuś strachu i groźnie warczeć, kiedy coś je rozłościło, ale czuł, że w gruncie rzeczy są beznadziejnie pocziwe.

Nie tylko zresztą parku należało nocą unikać, jak sobie uświadomił z rosnącym rozdrażnieniem i strachem. Ulice też groziły śmiertelnym niebezpieczeństwem samotnej kobiecie o wyglądzie osoby zamożnej. Cóż ona sobie myślała? Czy nie rozumiała, że Londyn bardzo się różni od jej rodzinnej wsi? Przyśpieszył kroku, a miejsce irytacji zajął gniew, gdy wszedł na Henrietta Place. Tam ją zobaczył w mroku, a raczej to psy zobaczyły jego. Przybiegły ku niemu w podskokach, machając zawzięcie ogonami.

– Na dół! – Pouczył je ostro, gdy zaczęły na niego skakać. – Arabello, co ty sobie myślisz?

Arabella zatrzymała konia tuż przy nim, zdyszana z wysiłku, jakiego wymagało dotrzymanie kroku psom. Policzki zaróżowiły się jej od chłodu, włosy miała rozwichrzone i fryzura od monsieur Christophe'a była już tylko wspomnieniem.

– Pojechałam na spacer – wyjaśniła. – Psy muszą się wybiegać dwa razy dziennie, skoro nie można tu ich samych wypuszczać. Byliśmy w parku.

– Czy musiałaś to zrobić bez żadnej eskorty? – spytał. Mimo że mu ulżyło, ciągle był zdenerwowany.

– Przecież miałam ze sobą psy – stwierdziła zdumiona jego irytacją. – Nie pozwoliłyby się nikomu do mnie zbliżyć.

– Nie przyszło ci do głowy, że ktoś uzbrojony w nóż łatwo by sobie z nimi poradził? – spytał, nie kryjąc sarkazmu.

– Zdaje się, że miałeś spędzić wieczór u Brooke'a.

– Nie próbuj zmieniać tematu! – parsknął ze złością. – Poza niebezpieczeństwem, jakie ci groziło, tego się po prostu nie robi! Kobiety z twoją pozycją nie pętają się po ulicach Londynu jak Cyganki.

– Och, Jack, przecież nikt mnie tu jeszcze nie zna! – Zaśmiała się. – Słuchaj, nie bądź takim pedantem, to całkiem do ciebie niepodobne. W końcu to ty nalegałeś na mieszkanie pod jednym dachem z niezamężną i pozbawioną opieki kobietą, jeśli pamiętasz.

Tym razem Jack poczuł się urażony wymówką. Wcale nie chciał, ze względu na nich oboje, żeby się to rozniosło po Londynie. Z pewnych powodów nie mógł traktować swego wcześniejszego, nieostrożnego postępowania tak lekkomyślnie, jak czyniła to Arabella. Miała rację. Rzeczywiście zaczął być pedantyczny, gdy chodziło o to, co wypada, a czego nie wypada robić.

– Nie o tym rozmawiamy – odparł. – Sama chyba rozumiesz, że sytuacja się zmieniała.

– No dobrze już, dobrze – powiedziała pojednawczo Arabella i pogładziła go po ramieniu. – Obiecuję, że kiedy tylko zrobię w wytwornym świecie furorę moimi strojami w stylu dyrektoriatu i koafiurą na wzór grecki, stanę się wcieleniem przyzwoitości. Póki jednak jestem tu incognito, będę chodzić, gdzie mi się tylko spodoba, w towarzystwie psów.

– Ale nie będziesz spacerować bez eskorty po zmroku – postanowił. – Proszę to zrozumieć, madame!

– Tak, wasza wysokość. Nie, wasza wysokość! – rzuciła ze śmiechem. Wprawdzie ją zbeształ, ale przynajmniej był teraz podobny do dawnego siebie i znów miał ciepłe spojrzenie. – Czemu nie tracisz dziś pieniędzy przy kartach?

Jack z rezygnacją zdał sobie sprawę, że nie ma już na to żadnej ochoty.

– Zmieniłem zamiar. Postanowiłem, że zjem obiad z żoną, którą spodziewałem się zastać przy sadzeniu orchidei, a nie podczas włóczenia się nocą po londyńskich ulicach. Nawiasem mówiąc, co z tymi orchideami? Czy przetrwały? Arabella nagle spoważniała.

– Nie mam pewności – powiedziała wyraźnie zatroskanym tonem. – Zobaczą, co się z nimi będzie działo w ciągu dwóch najbliższych dni. W tym czasie muszę je uważnie obserwować.

– Oczywiście – odpowiedział jej z taką samą powagą. – Musimy mieć nadzieję, że wszystko się dobrze skończy.

– Musimy – przyznała bardzo serio nieświadoma, że jego zainteresowanie losem orchidei nie jest całkiem szczere. —A czemu zmieniłeś zamiary? – spytała, powracając do poprzedniego tematu.

Jack sam jednak nie wiedział dlaczego.

– Jak sobie przypominam, mamy jedną niezakończoną sprawę.

– Rzeczywiście. – Arabella się zgodziła.

RS

Dobry wieczór wasza wysokość. – Tidmouth otworzył przed Arabellą drzwi, kłaniając się, gdy przeszła obok niego, wchodząc do holu. Potem wyprostował się i zwrócił do księcia:

– Czy wasza wysokość będzie jednak jadł obiad w domu?

– Tak, dziękuję, Tidmouth. – Jack spojrzał na Arabelle, która w skupieniu przyglądała się portretowi jednego z przodków rodu Fortescu, kawalerowi z XVI wieku o raczej srogiej minie.

– Zjemy go na piętrze, w buduarze jej wysokości. Jej wysokość jest znużona po wczorajszej długiej podróży.

Arabella już otwierała usta, żeby zaprzeczyć temu oszczerstwu, ale dostrzegła przewrotny błysk w jego oczach i odparła potulnie:

– O tak, rzeczywiście, nieco się zmęczyłam. Wzruszają mnie pańskie względy. Proszę mi wybaczyć, ale pójdę teraz do siebie, żeby odpocząć przed obiadem. – Posłała mu słodki, niewinny uśmiech. – O której wasza wysokość zechce go zjeść?

– Niech jej wysokość sama zdecyduje.

– Może za godzinę – odparła z namysłem. – Gdyby jednak wasza wysokość życzył sobie widzieć mnie wcześniej, będę do dyspozycji. – Rzuciła mu przeciągłe, figlarne spojrzenie.

– A zatem jemy obiad za godzinę, madame. – Jack położył silny nacisk na słowo, jemy".

Arabella uśmiechnęła się i pośpieszyła ku schodom. Psy chciały pójść za nią, lecz Jack szybko chwycił je za obroże.

– Tidmouth, zabierz je do kuchni i zadbaj, żeby zostały nakarmione. Niech tam siedzą przez resztę wieczoru.

– Tak, wasza wysokość – odpowiedział majordomus bezbarwnym tonem i zwrócił się do lokaja w liberii, który stał w głębi holu: – Gordon, zaprowadź psy do kuchni.

– Tak, panie Tidmouth. – Lokaj z rozbawieniem przejął obydwie setery.

– Chodźmy, obiad czeka, chłopaki.

Słyszając to magiczne słowo, psy rzuciły się ku schodom kuchennym, ciągnąc za sobą Gordona.

– Przyślij do mnie Louisa z karafką sherry – rzucił Jack. – Jej wysokość i ja zjemy obiad za godzinę. Obsłużymy się sami.

Tidmouth poprzestał na ukłonie. Jeśli jego pan chce sam kroić kaczkę i nalewać wino, jego sprawa. Nie miał nawet zamiaru zwracać uwagi na dwuznaczność w słowach księżnej.

Jack, nucąc coś pod nosem, wszedł do obszernej sypialni, rzucił niedbale surdut na krzesło i odpiął ramię, kładąc go na parapecie.

Louis wszedł pośpiesznie z karafką i kieliszkiem i postawił srebrną tacę na komodzie.

– Czy będą jaśnie państwo jeść obiad?

– Będziemy. – Jack nalał sobie sherry.

– Czy mam podać jaśnie panu szlafrok, czy strój do obiadu? – Louis otworzył szafę.

– Wyjmij szlafrok, później się przyda. – Jack opróżnił do ostatniej kropli kieliszek, a potem zdjął z szyi halsztuk i cisnął na wzgardzony surdut.

– Ale możesz sobie darować to "jaśnie państwo".

– Spróbuję zapamiętać, wasza wysokość.

– Świetnie. – Jack wprawdzie uśmiechnął się dobrotliwie, ale Louis nie dał się temu bynajmniej zwięść. Nie należało irytować jego wysokości księcia St. Jules.

Jack pomacał podbródek, a potem zdejmując kamizelkę, dodał:

– Może byś tak mnie ogolił?

– Oczywiście, wasza wysokość. – Louis chwycił za naostrzoną już wcześniej brzytwę.

Arabella w pokoju obok leżała z przymkniętymi oczami w wannie przy kominku, z włosami zebranymi wysoko na głowie. Wokół niej pływały suszone kwiatki lawendy.

Becky biegła pomiędzy szafą a łóżkiem.

– Dałam trochę rozmarynu na poduszkę, milady, on pięknie odświeży pościel. Znalazłam cały krzaczek w ogrodzie dziś po południu. Nie spodziewałam się, że znajdę coś takiego w mieście... Czy chce pani jedwabny negliż? Z atłasowymi pantofelkami i koronkowym czepeczkiem?

– Ani jedno, ani drugie – odparła leniwie Arabella. – Wyjmij szlafrok, Becky, a potem mnie zostaw.

– Dobrze, madame. – Becky pozwoliła sobie na porozumiewawczy uśmiech, co Arabella próbowała zignorować, choć bez skutku. Były sobie zbyt bliskie, a służąca, mimo niewinnego wyglądu, wychowała się na wsi i dobrze wiedziała, do czego służy małżeńskie łóżko.

Becky wygładziła kołdrę, poprawiła koronkowy mankiet peniuaru rozłożonego już na łóżku, upewniła się, czy świece płoną jasno, a potem dygnęła i wyszła.

Za ścianą Jack usłyszał, że w sypialni żony zrobiło się cicho, i zrozumiał, że została sama. Louis skończył go golić i wręcz nabożnie

rozłożył na łóżku turkusowy, indyjski szlafrok, prostując wyłogi, wygładzając fałdy i szarfę.

– Sam już sobie poradzę, Louis, – Jack z trudem krył zniecierpliwienie skrupulatnością lokaja.

Służący wycofał się z pokoju, zamykając za sobą drzwi z przesadną ostrożnością.

Jack zdjął buty, podszedł do drzwi pomiędzy sypialniami i otworzył je. Najpierw poczuł woń lawendy i rozmarynu, a potem ujrzał żonę w kąpielu, ze skórą zaróżowioną od ciepłej wody, z wilgotnymi włosami spiętrzonymi na czubku głowy. Przechyliła ją leniwie, wsparła o brzeg wanny i spojrzała na niego. Był w samych spodniach i koszuli rozchylonej na piersi. Włosy miał jak zwykle związane czarną welwetową wstążką, a szyję opaloną podczas ostatnich dni późnego lata spędzonych na wsi. Powiedziała powoli:

– Dobry wieczór, wasza wysokość.

Jack podszedł do wanny i stanął wpatrzony w żonę.

– Co za przepiękny widok – mruknął. – Wszystko zroszone kroplami, różowe i delikatne niczym pączek róży czekający na otwarcie albo na to, by ktoś go otworzył.

Ukląkł przy wannie, zawijając z wolna rękawy, a każdy z jego obiecujących, pełnych zmysłowości ruchów sprawiał, że krew zaczęła w niej żywiej krążyć.

W ten sam powolny sposób ujął w palce gałązkę lawendy i położył ją pośrodku jej czoła, a potem zaczął kreślić wyimaginowaną linię wzdłuż nosa, warg, dołeczka w brodzie i szyi. Zatrzymał się na chwilę przy obojczyku, gdzie puls uderzał coraz szybciej, i powoli doszedł do piersi, które wystawały ponad wodę.

Poczuła drgnienie błogości w dole brzucha, gdy ostrożnie umieścił gałązkę w pępku i zaczął Arabellę całować, bawiąc się z jej językiem w berka. Powoli uniósł głowę, spoglądając na zaróżowioną twarz żony, nabrzmiałe wargi i złote, błyszczące oczy.

Ujrzał oczami wyobraźni Lilly, z jej lekko zaróżowioną, porcelanową cerą, błękitnymi jak emalia oczami i czerwonymi ustami. Źródłem tej perfekcyjnej urody były puder i róż. Wypielegnowane brwi tworzyły idealne łuki. Ciemne brwi Arabelli były gęste, mocne i proste. Ostrożnie pociągnął po nich zwilżonym palcem, nim ucałował ją w czubek nosa.

Arabella wyczuła jednak zmianę jego nastroju. Zaczęła się nagle zastanawiać, czy nie przyszedł do niej prosto od kochanki. Usiadła w wannie, podciągnęła kolana pod brodę i spojrzała na niego pytająco.

– Co ci jest, kochanie? – Uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem.

– Nagle poczułam się tak, jakbyś patrzył nie na mnie, tylko na kogoś innego – odparła. – To było dziwne i nieprzyjemne wrażenie.

Spoglądał na nią przez chwilę w milczeniu. A potem ujrzał tych innych, którzy często byli obecni w jego myślach, kiedy przebywał przy żonie. Charlotte widział w nich zawsze, Fredericka bardzo często. Cienie ich chyliły się nad Arabellą i nad nim.

Arabella przygryzła dolną wargę, nim powiedziała:

–Ja cię właściwie wcale nie znam, Jack.

Tak, nie znała go. Ani trochę. Ale wśród tych cieni była kimś niewinnym. Musi się nauczyć, żeby widzieć wyłącznie ją, dla niej samej.

Arabella ze ściśniętym sercem rozpoznała to nieobecne spojrzenie. Zawsze doznawała wtedy uczucia, że Jack znajduje się gdzieś daleko od niej, gdzie ona nie może za nim podążyć.

Zniknęło ono jednak i znów patrzył na nią serdecznie, ze zmysłowym, czułym uśmiechem. Trzymając się brzegu wanny ucałował ją.

– Nie chcę, żeby coś mnie teraz rozpraszało, skarbie —mruknął z wargami tuż przy jej ustach. Jego język domagał się, żeby je otwarła.

Uległa. Zanurzył jej ciało głębiej w wodzie. Zsunęła się niżej, prostując nogi, z głową wspartą o wannę. Mokre włosy przywarły do jej karku.

Wszystkie jej zmysły skupiły się teraz na tej części ciała, której Jack poświęcał swą uwagę. Jego ręka igrała z nią delikatnie, dopóki Arabella nie poczuła, że dłużej już nie wytrzyma. Usłyszała własny, cichy jęk. Po dłuższej – jak się jej wydało – chwili oprzytomniała. Ciepła woda obmywała jej boleśnie teraz uwrażliwione ciało. Oczy miała nadal zamknięte, oddech się uspokoił.

– Obudź się, śpiąca królewno – mruknął Jack, przyskajac ją wodą, która chłodziła jej nagrzaną skórę.

Rozchyliła powoli powieki i spojrzała na niego. Wstał i ściągnął z siebie koszulę, spodnie i pończochy. Stanał nad nią całkiem nagi i silnie pobudzony.

– Och, ja już wcale nie śpię – wyszeptała.

– No to chodź.

Chwycił ręcznik, który Becky położyła przy wannie, ujął ją pod pachami i wyciągnął z wody.

– Moja niewyczerpana jak dotąd cierpliwość zaczyna się kończyć.

Owinał ją ręcznikiem, uniósł i położył na łóżku. Zaczął wycierać jej ciało, póki się nie rozgrzało, obracając je, wyginając i mimo rosnącego podniecenia, unosząc po kolei jej stopy, które osuszał, z niezwykłą starannością traktując miejsca między palcami. Łaskotało ją to i zaczęła się

słabo wrywać, gdy przeciągnął językiem po stopie, a potem po każdym palcu z osobna.

Arabelli błysnęła myśl, że tego wieczoru postanowił uczynić ją całkiem bezradną, z tak niezwykłą intensywnością kochał się z nią, a szare oczy błyszczwały wręcz dziko, jakby ją chciał pochłonać, zagarnąć bez reszty, nie zostawiając ani skrawka ciała bez dotknięć, bez pocałunków. Czuła, że powoli spala się w ogniu jego pożądania. Wychodziła mu naprzeciw, preżąc się pod jego dotykiem. Wciąż nie miała go dosyć, chłoneła go całego, podobnie jak on ją. Usiadła na nim okrakiem i chwyciła jego męskości, doprowadzając go do ekstatycznych jęków. Potem on uniósł ją ku górze i zagłębił się w niej jednym ruchem, który przeniknął ją na wskroś, gdy odchyliła w tył głowę z krzykiem najwyższego uniesienia. Nie potrafiłaby zliczyć, ile razy tego doznała, odkąd wyciągnął ją z wanny, lecz każdy następny raz był jeszcze wspanialszy od poprzedniego. Ostatni zaś sprawił, że poczuła się, jakby pękła nagle na tysiąc części, które rozprysnęły się potem na wszystkie strony świata. Trzymał ją mocno za plecy, przycisnął do siebie i wypełnił. Wreszcie opadła w dół, z głową wspartą na jego śliskim od potu ramieniu. Jego serce tłukło się o jej żebra, dopasowując tempo uderzeń do jej. Palce rozluźniły chwyt, lecz nie wypuścił jej z objęć i przez kilka chwil trwali oboje w transie zaspokojenia, który mimo to nie przerodził się w sen.

Jack poruszył się pierwszy i delikatnie zsunął ją z siebie. Wsparł się na łokciu, odgarnął z jej czoła wilgotne włosy i uśmiechnął się. Pokręcił głową, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Uśmiechnęła się również, ale nie była w stanie nic powiedzieć. Jack nabrał głęboko tchu i odetchnął gwałtownie.

– Nie wiem jak ty, ale ja muszę koniecznie wejść do wanny. Zeskoczył z łóżka z wigorem, który wydał się jej całkiem niezrozumiały, i skulił się

cały w wodzie z podkurczonymi nogami, tak by móc zanurzyć w niej również głowę.

Potem wstał, otrzepał się z kropli niczym pies po kąpieli w rzece i sięgnął po ręcznik. Arabella przypatrywała mu się z fascynacją, leżąc na łóżku. Zachwycała ją gra mięśni pod skórą, gdy się wycierał, smukłość sylwetki, płaski brzuch. Część jego ciała, która przed chwilą dostarczyła im obojgu tylu przyjemnych doznań, spoczywała spokojnie, wyglądając jak uśpiona, mała myszka w gniazdku ciemnych, skręconych włosów. To zaskakujące porównanie spowodowało, że Arabella zaczęła chichotać. Jack obrócił się, patrząc na nią pytająco.

– Z czego się śmiejesz?

– Z niczego – skłamała z niewinnym uśmiechem. Nie mogła jednak oderwać wzroku od przyczyny swojego rozbawienia.

Jack podążył za jej wzrokiem i spojrzał w dół.

– Ach – powiedział, uśmiechając się półgębkiem. – Cóż, to przez zimną wodę.

– I przez zaspokojenie, jak zauważyłam – powiedziała, ciągle rozbawiona, – Zauważyłam również, wasza wysokość, że rekonwalescencja nie zabiera ci wiele czasu.

Sięgnęła po swój peniuar, zapinany na drobne, perłowe guziczki, a Jack poszedł do swojej sypialni po szlafrok.

Potem weszli razem do ciepłego, oświetlonego świecami buduaru, gdzie przed kominkiem stał stół z opuszczonymi kłapami, a na nim talerz pełny świeżo otwartych ostryg i waza z zupą, której nie pozwalał wystygnać podgrzewany trójnog. Obok parowała pieczona kaczka, a sos winny czekał w salaterce, wraz z półmiskiem pieczonych kartofli i pasternaku.

Jack nalał wina i podsunął żonie krzesło. Arabella usiadła tuż przy ostrygach.

– Czy nie są uważane za afrodyzjak? – spytała, patrząc na perłowszare małże w opalizującej, zębatej skorupce.

– To zależy od okoliczności – odparł, pochłaniając zawartość muszli jednym połknięciem.

Arabella zaśmiała się i wyciągnęła bosc stopy w stronę ognia z westchnieniem pełnym satysfakcji. Zapomniała już całkiem o swoich wcześniejszych rozterkach.

Tydzień później pudła z sukniami i kapeluszami zaczęły napływać na Cavendish Square nieprzerwanym strumieniem. Tuż za nimi pojawiły się madame Celeste i madame Elizabeth wraz z całą gromadą szwaczek objuczonych naręczami muślinu, krepy, tafty, organdy i ręcznie malowanych chińskich oraz indyjskich jedwabii.

Arabella przyjęła je wszystkie w swoim buduarze, ze zdumieniem patrząc na mnóstwo sukien, peniuarów i narzutek, które wyłożono, żeby się im dokładnie przyjrzała. Miała ich teraz tyle, że co godzinę mogłaby wkładać nowy strój.

– Czy jej wysokość byłaby łaskawa rozebrać się do bielizny – poprosiła madame Celeste z rękami złożonymi na obfitym łonie. – Może trzeba będzie dokonać drobnych poprawek.

– Mam przymierzyć je wszystkie? – Ta perspektywa przeraziła Arabellę. Zajęłoby jej to co najmniej jeden dzień.

– Wasza wysokość, to konieczne, żeby stroje dobrze leżały. – Madame Elizabeth była stanowcza. – A każda z sukien jest czymś podszyta, więc trzeba mierzyć tylko w koszuli.

Arabella opuściła ręce z rezygnacją i przywołała z sypialni Becky a ta skwapliwie poszła za swoją na wpół rozebraną panią do pokoju, który wyznaczono na przymiarki.

– Jeszcze nie zaczęłaś? Znakomicie. – Księżę wkroczył do buduaru właśnie w chwili, gdy jego żona rozbierała się, chcąc włożyć pierwszy ze strojów.

– Wasza wysokość. – Madame Celeste z trudem zdołała ukryć niedowierzanie. – Musimy przymierzyć każdą suknię.

– Oczywiście – przytaknął. Siadł na krzesło, zakładając jedną elegancko obutą nogę na drugą, i wyjął tabakierkę z kieszeni obszytego złotym galonem surduta. – Właśnie dlatego tu przyszedłem. Proszę sobie nie przerywać.

Arabella zerknęła na niego, spodziewając się porozumiewawczego mrugnięcia, lecz ku swemu zaskoczeniu spostrzegła, że mąż traktuje wszystko z całkowitą powagą. Stała więc przed nim w cienkiej koszuli, przez którą wszystko było widać, podczas gdy pomrukiujące pod nosem krawcowe nakładały na nią jedną suknię po drugiej, pouczając grupę szwaczek, gdzie należy zaznaczyć poprawkę szpilkami, żeby potem wykonać w tym miejscu szew.

Wieczorowa suknia z organdy koloru kości słoniowej na spodzie ze złocistego jedwabiu wywołała pierwszą uwagę księcia.

– Wolałbym głębszy dekolt. Trzeba go obniżyć o pół cala i zebrać materiał na plecach.

– Widzę, że wasza wysokość wyraża się fachowo jak prawdziwy krawiec. Lista twoich talentów zdaje się nie mieć końca – zauważyła cierpko Arabella, gdy madame Celeste posłusznie poprawiała suknię według jego instrukcji.

Jack uśmiechnął się leniwym uśmiechem.

– Możesz mi pod tym względem zaufać, moja droga.

– Słyszałam to już i zapewniam, że nie pokażę się przed londyńskim towarzystwem z piersiami na wierzchu, wyglądającymi jak pudding gotowany na parze.

– Co za porównanie – mruknął. – Na szczęście twoje piersi nie przypominają żadnego puddingu.

Becky zdusiła w sobie chęć głośnego piśnięcia, krawcowe spojrzały na siebie oniemiałe z przerażenia, a szwaczki zamarły z igłami w ręce. Arabella tylko się roześmiała.

Przymiarki zajęły blisko trzy godziny. Arabella czuła się zmęczona i znudzona, psy skomlały za drzwiami, a orchidee pilnie wymagały jej starań. Męża zaś wszystkie te przygotowania zdawały się wręcz pochłaniać. Pozwolił odejść krawieckiej ekipie dopiero wtedy, gdy każdy ze strojów zyskał jego uznanie i znalazł się w szafie. Potem zwrócił się stanowczo do Becky:

– Dziś wieczór ubierzesz jej wysokość w tę suknię ze złocistej organdy a monsieur Christophe ją uczesze. Możesz się temu przyjrzeć, żebyś na przyszłość potrafiła zrobić to sama.

– Tak, wasza wysokość. – Becky dygnęła.

– A teraz możesz iść – dodał łagodniejszym tonem. Becky usłuchała go pośpiesznie.

– Dlaczego mam się tak ubrać? – spytała Arabella, sięgając po pilnik do paznokci.

– Myślę, że moglibyśmy pójść do opery. Moja łoża długo stała niewykorzystana i najwyższy czas, żeby znów z niej zrobić użytek.

– Ach. – Arabella odłożyła pilnik. – A więc ma to być mój pierwszy krok w wielkim świecie?

– Tak, w roli księżnej St. Jules.

– A co to za opera?

– Mam nadzieję, że ci się spodoba. *Czarodziejski flet* Mozarta. Czarujące dzieło, co niestety nikogo nie będzie obchodzić – odparł ironicznie. – Widzowie okażą się zbyt zajęci powtarzaniem najnowszych płotek.

– Na mój temat? Jack przytaknął i wstał.

– Owszem, madame, w rzeczy samej. Christophe będzie tu o piątej, żeby cię uczesać, potem Becky cię ubierze i zjemy obiad o siódmej. Opera zaczyna się o dziewiątej.

– Ale trzeba się, oczywiście, trochę na nią spóźnić? – spytała żartobliwie. – Punktualność nie jest w dobrym guście.

– Tym razem chciałbym, żebyś zjawiała się tam chwilę po miłośnikach opery, ale potem, moja droga, możesz zachowywać się tak ekscentrycznie, jak ci się żywnie spodoba.

Z dyskretnym uśmiechem uklonił się jej i wyszedł.

Arabella jak najbardziej pragnęła możliwie szybko wejść w towarzystwo, lecz nie spodziewała się, że mąż będzie ją do tego zachęcał. To jednak on przejął prowadzenie, a ona robiła wszystko, co chciał. Usłyszała stukanie do drzwi i poznała, że to Becky.

– O co chodzi?

– List do pani, madame. – Becky podała go jej na srebrnej tacy.

Arabella rozpoznała zamaszyste pismo Meg. Pośpiesznie sięgnęła po pocztę, dziękując serdecznie Becky i odprawiając ją gestem ręki. Księżna

złamała woskową pieczęć i otworzyła list. Niemalże słyszała głos przyjaciółki, czytając pełną skreśleń stronicę.

Najdroższa Bello, umieram wprost z nudów. Nie przypuszczałam, że może mi kogoś tak strasznie brakować. Nawet mama i papa wydają mi się trochę nużący, a psy są zaskoczone nieobecnością Borysa i Oskara. Gdzie tylko się ruszymy w tym naszym grajdołku, jedyną rozrywką pozostaje Lavinia Alsop. Po prostu wychodzi z siebie, usiłując potępiać morale pewnej księżnej, a jednocześnie daje do zrozumienia, że jest jedną z najbardziej zaufanych znajomych wspomnianej. Przez cały czas wypchane ptaki na jej kapeluszach trzęsą się jak oszalałe, a owoce i kwiaty mają ochotę odpaść. David stale głosi kazania o szkodliwości plotkarstwa i zarozumialstwa, których ona, rzecz jasna, wcale nie wiąże ze swoją osobą. Inaczej mówiąc, moja droga Bello, przyjdzie mi tu chyba zanudzić się na śmierć. Czy sobie przypominasz, że doradzałaś mi przyjazd do ciebie? Nie wiem wprawdzie, czy zniósłabym drugi z kolei żaloszny sezon, ale może nie trzeba się go nadmiernie obawiać? Prócz tego, że nie tęskniłabym już tak rozpaczliwie za tobą, mogłabym też odpocząć co nieco od monotonii tej prowincjonalnej dziury, no i może zdołałabym poznać jakichś interesujących mężczyzn. Oczywiście, za nic nie chciałabym ci zakłócać małżeńskiej harmonii, ale małżeństwo z rozsądku pozwala chyba cieszyć się towarzystwem bliskiej przyjaciółki? Nic w twoich listach nie świadczy w końcu o tym, żeby twoje okazało się czymś innym. Wiem, że w przeciwnym wypadku powiadomiłabyś mnie o tym...

Odpisz jak najszybciej, najdroższa. Chętnie bym usłyszała, jak się miewają psy, co z orchideami, no i jak wygląda twoje nowe życie oraz debiut w roli księżnej. Chcę znać każdy szczegół, pamiętaj.

Twoja kochająca jak zawsze M.

Arabella uśmiechała się podczas lektury, poznając cierpki humor Meg. Nic by jej nie sprawiło większej radości niż towarzystwo przyjaciółki. Jack wszystkim się zajmował i czuła, że jest pozbawiona własnej inicjatywy. Przywykła do swobodnego trybu życia, a nie podporządkowania wobec nakazów i pouczeń męża. W osobie Meg zyskałaby podporę. Przyjaciółka, mimo ciętego dowcipu, miała jednak wiele taktu i nie wtrącałaby się w ich małżeńskie sprawy, a prócz tego miała własne cele. Gdyby zaczęła w Londynie szukać sobie męża czy nawet kochanka, byłaby wprawdzie tym zaabsorbowana, lecz chętnie przyjęłaby towarzystwo i rady Arabelli.

Złożyła więc z uśmiechem pergamin i włożyła go do szufladki sekretarzyka. Mogłyby się dobrze bawić, szukając dla Meg jakiegoś wielbiciela. Potem wstała, by pójść do cieplarni, gdzie czekała na nią nowa dostawa orchidei.

Przechodząc koło otwartych drzwi do biblioteki, zobaczyła tam Jacka. Siedział przy biurku, trzymając w ręce pióro nad kartą welinu. Stała przy nim otwarta szkatułka.

– Jack... – zaczęła, stając w drzwiach.

– Wejdz. – Mąż wstał szybko zza biurka.

Zamknęła za sobą drzwi i podeszła bliżej. Jack nadal stał i patrzył na nią w zamyśleniu. Stała przy biurku, gdy jej spojrzenie padło na otwartą szkatułkę. Wtedy wszystko inne wyleciało jej z głowy. Rozpoznała charakter pisma na leżącej tam z innymi dokumentami kopercie. Był to jej list do Kornwalii. Dziwił ją brak odpowiedzi od krewnych. Teraz zrozumiała, dlaczego nie odpisywali. Jack nigdy go nie wysłał. Poczowała tak niesłychane zdumienie i rozczarowanie, że przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa. Jack przerwał milczenie:

– Czy chciałaś o czymś ze mną pomówić?

– O tak. – Wzięła do ręki nożyk z kości słoniowej do ostrzenia piór i bezmyślnie obracała go w rękę, przyglądając mu się z taką uwagą, jakby to była plamka pleśni na jednej z jej orchidei.

– Zastanawiałam się, czy nie pozwoliłbyś mi zaprosić tu Meg?

– Akurat teraz?

– Nie w tej chwili – odparła, nie odrywając oczu od nożyka – ale w najbliższej przyszłości.

– Znudziło ci się już moje towarzystwo? – spytał z figlarnym uśmiechem.

– Nie, oczywiście, że nie. – Nie podjęła jego żartobliwego tonu. – Tylko tęsknię za Meg. Wybacz, że powiem coś takiego, ale mąż nie jest w stanie pełnić roli najlepszej przyjaciółki.

– Mogę się tylko z tego cieszyć – odparł z kwaśną miną. Sam nie był pewien, czy życzyłby sobie obecności Meg Barratt we własnym domu. – Wolałbym, żebyś poczekała do wiosny... kiedy już zadomowisz się na dobre w Londynie. Zresztą byłabyś wtedy dla Meg bardziej użyteczna. – Ujął ją pod brodę i uśmiechnął się, żeby jakoś jej wynagrodzić tę połowiczną odmowę. – Nie jestem jeszcze gotów z nikim się tobą dzielić, moja miła.

Arabella zmusiła się do uśmiechu, choć wprost gotowało się w niej ze złości. Czemu nie wysłał tego listu? Uniemożliwił jej w ten sposób dokonanie swobodnego wyboru. Dlaczego?

– W takim razie za kilka miesięcy – odparła i odwróciła głowę na bok, tak że nie mógł już dłużej trzymać jej pod brodę. – Napiszę o tym do Meg. – Odsunęła się od biurka. – Idę do cieplarni. Ogromnie jestem ciekawa nowych gatunków, które ostatnio nadeszły: Klejnotu Orchidei i Królowej Nocy. – Czowała jednak, idąc pośpiesznie ku drzwiom, że w jej głosie brak było entuzjazmu.

Gdy monsieur Christophe przybył punktualnie o czwartej, Arabella wciąż jeszcze nie wiedziała, jak poradzić sobie ze świadomością, że mąż ją oszukał.

– Niech jej wysokość raczy przechylić trochę głowę – mruknął fryzjer, nawijając pasmo włosów na żelazną lokówkę.

Arabella, siedząc przed lustrem w luźnym peniuarze, usłuchała, patrząc, jak jej włosy są przycinane, przeczesywane, zwijane i smarowane pomadą.

– Czy pan tu przybył z Paryża, monsieur? – Próbowała go wybadać.

– Ach, *mais oui*, milady. Ach, *pauvre Paris!* – Westchnął ciężko.

– O, jak najbardziej. – Arabella przytaknęła mu ze współczuciem. – Podobno w Londynie jest wielu emigrantów.

– Tak, mnóstwo. – Fryzjer westchnął ponownie. – Próbujemy jakoś zarobić na życie... pomagamy sobie, jak możemy, ale nie zawsze nam łatwo. Zależymy od szczodrości pani rodaków, wasza wysokość.

– Jeśli mogłabym coś dla pana zrobić, wystarczy powiedzieć. Nie znam tu jeszcze zbyt wielu osób, ale wkrótce będę chyba w stanie dawać swoje rekomendacje. *Chętnie* bym zrobiła coś dobrego dla pańskich pobratymców.

Fryzjer uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Bardzo wasza wysokość łaskawa. Zapamiętam to sobie.

Z tyłu za nimi otwarły się drzwi i wszedł książę w stroju wieczorowym, ubrany w surdut z szafirowego aksamitu, kamizelkę obszytą srebrną koronką, spodnie do kolan, koronkowy żabot i mankiety. Wstążka z takiego samego jak surdut materiału przytrzymała na karku jego włosy,

szafir błyszczał pośrodku żabotu, a diamenty na palcach. Rapiér zwiisał w pochwie u boku. Mąż niósł w rękę szkatułkę.

Wyglądał wprost wspaniale. Był zakłamaný, despotyczny, nieszczerý, namiętný i niewiarygodnie wspaniały. Arabella widziała w lustrze, jak do niej podchodzi z uśmiechem na pełnych, zmysłowych wargach. Siwe pasmo jaskrawo kontrastowało z resztą lśniących, czarnych włosów. Oczy, które oceniały jej wygląd, nabrały teraz odcienia koloru wody o zachodzie słońca.

– Dobry wieczór, wasza wysokość. – Fryzjer złożył mu ukłón.

Jack skinał głową i postawił szkatułkę na inkrustowanym stoliczku.

– Czy mógłbym pan umieścić to na koafurze jej wysokośći? – Z tymi słowami wyjął z pudełka diamentową tiarę w kształcie podkowy.

– Och, jak najbardziej, wasza wysokość. Przepiękna! – Christophe z nabożnym podziwem ujął biżuterię w dłonie. – Włosy jej wysokośći wprost proszą się o diamenty, one będą ich perfekcyjnym dopełnieniem.

– To diamenty księżąt St. Jules – powiedział do niej Jack, wyciągając ze szkatułki naszyjnik.

Stanął za nią i zapiął jej kolia na szyi. Poczwała, że klejnoty są zimne i ciężkie.

– Jeszcze się nie ubrałam... – zaczęła, nie wiedząc, jak zareagować na ten splendor.

– Chciałem się przekonać, czy do ciebie pasują – wyjaśnił–i jestem zadowolony. – Podał jej parę kolczyków.

– Załóż je.

Uśluchała. Kolczyki zawisły po obu stronach jej smukłej szyi. Monsieur Christophe krzątał się przez następnych kilka minut koło diademu, aż wreszcie oznajmił:

– *C'est fini. Magnifique, n'est-ce pas, milordzie?*

– Och, lady Arabello – wyszeptała Becky, która w milczeniu asystowała przy czesaniu.

Arabella spojrzała na swoje odbicie. Klejnoty przeobraziły zupełnie jej wygląd, mimo że nadal była tylko w zwykłym peniuarze.

– Czuję się, jakbym była bohaterką *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, ale czy one naprawdę do mnie pasują, Jack? Są... och... takie wspaniałe, choć to za mało powiedziane. A ja przecież jestem całkiem zwyczajna i mam proste gusta. Za proste jak na diamenty, zwłaszcza tak idealne.

– Mylisz się, moja droga – odparł tonem zamykającym dyskusję. – Pasują doskonale. A gdy włożysz suknię, przekonasz się, że mam rację.

– Na pewno, wasza wysokość – przytaknął Christophe, zbierając swoje narzędzia pracy. – Jeszcze nie widziałem, żeby w diamentach bardziej było komuś do twarzy.

– Pochlebia mi pan – odparła Arabella z pewnym przygnębieniem, wstając z krzesła. Choć fryzjer zaprzeczył, pokręciła głową z uśmiechem. – Dziękuję jednak za starania. Nie zapomnę też o tym, co wcześniej mówiłam.

– Wielkie dzięki, madame. – Christophe wycofał się wśród ukłonów.

– O co chodzi? – spytał Jack.

– Wie pan tyle o kobietach – oznajmiła mężowi – że z pewnością zażyłość między damą a jej fryzjerem nie wydaje się panu niczym dziwnym.

– Nie dałbym za to głowy. – Wzruszył jednak ramionami, porzucając temat. Otworzył przed nią drzwi sypialni. – Włóż teraz suknię. Nie mogę się wręcz doczekać pełnego efektu.

Wszedł do pokoju razem z nią i Becky, stanął tyłem do kominka i zażył tabaki. Krytycznym okiem obserwował, jak Becky z wielkim przejęciem włożyła na nią najpierw bieliznę, a potem suknię.

Dekolt robił wręcz niesłychane wrażenie, a połysk diamentów jeszcze je podkreślał. Arabella podejrzliwie zerknęła na swoje piersi, ledwie zakryte cienkim jedwabiem i organdyą. Jeden nieostrożny ruch ramion mógł obnażyć sutki.

– Przyzwyczajasz się – uznał Jack, czytając w jej myślach. – Spodziewam się oszałamiającego sukcesu, madame. – Podał jej ramię. – Pójdźmy teraz na obiad.

Przybyli do Covent Garden tuż przed dziesiątą. Noc była zimna i Arabella dygotała. Lekka jak piórko etola nie chroniła od wiatru, długie białe rękawiczki z jedwabiu też nie, podobnie jak jedwabne pończochy i satynowe pantofelki. Z zazdrością spojrzała na aksamitny surdut męża. Mógł mu zmarznąć co najwyżej nos.

– Przekonasz się, że w środku będzie aż za gorąco – powiedział, ujmując ją za rękę, gdy wstępowali na schody opery.

Ulice wokół placu była zatłoczone i hałaśliwe. Ladacznice i uliczni sprzedawcy zabiegali o klientów, grupy podpitych młodzieńców wałęsały się chwiejnie od tawerny do tawerny, od burdelu do łaźni. Nigdzie nie było widać elegancko ubranych bywalców opery prócz ich dwojga i Arabella zrozumiała, że Jack celowo wybrał taką porę. Mieli po przybyciu przyciągnąć oczy całej publiczności.

Poczuła, że rośnie w niej podniecenie. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż podczas jej pierwszej próby wejścia w wyższe sfery.

Przeszli przez pełne kolumn foyer. Obcasiki jej satynowych pantofelków stuknęły donośnie po marmurze. Lokaj poprowadził ich wąskim przejściem pełnym drzwi, a potem zatrzymał się, otworzył jedno z nich i stanął z boku. Arabella wkroczyła do loży i zamrugnęła gwałtownie, oślepiona jaskrawym światłem. Ze sklepienia zwieszały się żyrandole, siejąc

blask zarówno na scenę, jak i na audytorium. Szum licznych głosów niósł się z łóż i wypełnionego tłumnie parteru. Widzowie rozmawiali w najlepsze, nie zważając ani na śpiewaków, ani na muzyków w kanale orkiestrowym.

Arabella zajęła miejsce z przodu i bez pośpiechu rozłożyła wachlarz. Jack siadł obok niej, wspierając ramię na wyściełanym aksamitem balkonie i rozejrzał się po sali. Kilka dłoni podniosło się w geście pozdrowienia, Jack skłonił się w odpowiedzi, po czym zwrócił wzrok ku scenie.

Arabella usłyszała, że szmer głosów przybiera na sile, a lornetki widzów kierują się ku ich łoży. Patrzyła jednak uparcie na scenę i powoli poruszała wachlarzem, chroniąc za nim twarz przed ciekawskimi spojrzeniami, jawnie już zwróconymi w jej kierunku. Nigdy by wcześniej nie uwierzyła, że może ją bawić zaciekawienie, jakie powszechnie budziła.

Jack od czasu do czasu spoglądał na widzów. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że wszystkie najważniejsze osoby były wśród nich obecne. Księżę Walii wrócił z podróży do Brunszwiku i podobnie jak jego brat, księżę Yorku, siedział w królewskiej łoży, zaśmiewając się hałaśliwie, wraz z kilkorgiem bliskich przyjaciół. Pomachali mu żywo, gdy tylko zauważyli jego obecność. Hrabia i hrabina Worth również byli w swej łoży. Charles Fox i George Cavanaugh zajmowali miejsca na parterze, wraz z grupą zaprzyjaźnionych wigów. Jack ciekaw był, jak długo Fox zdoła wytrzymać bez stolika do gry.

Księżnę Devonshire, w dość zdumiewającym kapeluszu, przyozdobionym aż pięcioma pięknymi strusimi piórami, otaczał krąg przyjaciółek w równie ekscentrycznych nakryciach głowy. Nigdzie nie było widać jej męża, co nie zdziwiło Jacka. Księżę rzadko pokazywał się publicznie wraz z żoną, ta zaś traktowała koterię Devonshire House, jak się jej żywnie podobało. Ci ludzie posługiwali się nawet własnym żargonem, co

Jack uważał za rzecz niepoważną, lecz musiał przyznać, że Georgiana, mimo niemądrej afektacji, była imponującą, inteligentną kobietą, bardzo podziwianą przez Foksa i resztę wigów. Zawzięcie też grała w karty, co cynik mógłby kojarzyć w jakiejś mierze z jej głęboką i trwałą przyjaźnią z Foksem.

Finałowe akordy orkiestry sygnalizowały, że nastąpi antrakt, i kurtyna opadła. Rozbłyły światła, a mężczyźni zaraz podnieśli się z miejsc, by złożyć wizyty damom w łóżach.

Jack spojrział na Arabelle. Absolutnie spokojna i swobodna, wachlowała się lekko i rozglądała dokoła z pewnym zainteresowaniem. Drzwi łoży otwały się i weszli pierwsi goście.

George, książę Walii, i Frederick, książę Yorku, tłoczyli się w małej przestrzeni. Jack z miejsca powstał, Arabella, rozpoznając zaś, kogo ma przed sobą, poszła za jego przykładem i złożyła głęboki ukłon, co niełatwo jej przyszło zrobić w ciasnym pomieszczeniu, ale prosty krój sukni bardzo jej w tym pomógł.

– Jack, miło mi cię znów widzieć. Londyn był wprost beznadziejny bez ciebie – oświadczył książę Walii, unosząc do oczu szkło, żeby uważnie obejrzeć Arabelle, która właśnie się podnosiła po swoim ukłonie i odpowiedziała na wręcz bezceremonialnie spojrzenie uśmiechem.

– A to, jak mi się zdaje, twoja żona?

– Tak. Proszę pozwolić, bym przedstawił jej wysokość, księżnę St. Jules. – Jack ujął ją za rękę i pociągnął do przodu.

– Jakże nam miło, madame. – Obydwaj książęta ukłonili się, oglądając skrupulatnie żonę przyjaciela. Braci, których dzielił tylko rok, łączyło niezwykle wręcz podobieństwo. Mieli jednakową, rumianą cerę pod

niesłychanie mocno wypudrowanymi włosami i podobną skłonność do otyłości.

– Moje gratulacje, madame – powiedział Frederick. – Winszuję ci, Jack, ty szczęściarzu.

– Dziękuję. – Jack odklonił się z błyszczącymi od triumfu oczami.

– Ten nowy styl świetnie do pani pasuje, madame – skomplementował George, opuszczając nareszcie szkło. Jasnobłękitne oczy miał nieco przekrwione. – Jeszcze nie widziałem, żeby komuś było w nim bardziej do twarzy.

– Jest pan zbyt uprzejmy. – Arabella złożyła wachlarz.

– Nie, nie, mój brat ma zupełną rację – uznał Frederick. – Ale nigdy nie widziałem pani w Londynie, madame. – Pod tym stwierdzeniem kryło się w gruncie rzeczy pytanie.

Widział mnie pan, owszem, pomyślała z rozbawieniem, tylko że jako Arabella Lacey dziesięć lat temu nie zwróciłam wcale pana uwagi.

– Gdzieś ty się podziewał? – chciał wiedzieć George. – No i gdzie ją znalazłeś?

Arabella uznała, że maniery królewskich braci są co najmniej niedelikatne, lecz uśmiechnęła się z zaciśniętymi wargami.

Jack wiedział, że obydwaj przebywali przez ostatnie dwa tygodnie poza Londynem, zapewne więc nie słyszeli plotek o jego ożenku.

– Moja żona jest przyrodnią siostrą Fredericka Lacey – wyjaśnił. – Znałem ją od jakiegoś czasu. – Było to zręczne łgarstwo, którego prawdziwości nikt nie mógł zakwestionować.

– Dunstona? – zdziwił się George i znów uniósł lorgnon do oczu, jakby ta informacja mogła w czymkolwiek zmienić wygląd Arabelli. – Niesłychane!

Obydwaj wpatrywali się w nią natarczywie. Nie byli wprowadzili w klubie Brooke'a tej nocy, gdy jej brat popełnił samobójstwo, lecz – podobnie jak wszyscy w ich sferze – wiedzieli, co się wtedy stało.

Arabella wytrzymała spoza wachlarza spojrzenie dwóch par bładoniebieskich oczu, nie przestając się uśmiechać ani na chwilę.

– No, no – rzekł w końcu książę Walii – stanie się pani prawdziwym klejnotem w koronie socjety madame, jestem tego pewien.

O, to znacznie lepiej, uznała w myśli, odpowiadając na komplement kolejnym, nie tak już głębokim ukłonem i pomrukiem podziękowania.

Książęta pożegnali się, obiecując złożyć jej wizytę, a potem czekało ją niezliczone mnóstwo kolejnych prezentacji i nieskończony ciąg nazwisk oraz twarzy błyszczących od potu w dusznej, zatłoczonej loży. Zdołała zapamiętać nazwiska najlepszych przyjaciół Jacka wśród wszystkich tych upudrowanych i zdobnych w peruki głów. Zwróciła uwagę zwłaszcza na George'a Cavenaugh'a i Charlesa Foksa. George zrobił na niej wrażenie człowieka rozsądnego. Słyszała też, że Fox, mimo ekscentrycznego wyglądu, był jednym z najbystrzejszych umysłów Anglii. Wreszcie orkiestra zagrała pierwsze akordy drugiego aktu i goście z wolna wrócili na swoje miejsca, lecz nie oznaczało to wcale, że przestano się jej przyglądać. Lornetki wciąż kierowały się ku jej loży, a głowy nachylały ku sobie, gdy mężowie dzielili się z żonami uwagami na temat nowej księżnej.

Arabella czuła się niczym jałówka, przyprowadzona na wiejski targ i postanowiła, że skupi całą swą uwagę na scenie.

Koło niej Jack również uniósł lornetkę do oczu. Hrabia Worth znalazł się wśród gości, którzy ich odwiedzili, a teraz usiadł prawdopodobnie przy żonie. Lilly pochyliła się, słuchając, co ma do powiedzenia. Drobną zmarszczką pojawiła się na jej porcelanowej, gładkiej twarzy. Spojrzała raz

jeden ku łoży Fortescu, a potem odwróciła głowę, gdy dojrzała, że Jack spogląda na nią przez lornetkę.

Arabella odwróciła się nagle na krześle i spytała spokojnym przyciszonym głosem:

– Czy twoja kochanka jest tu dzisiaj, Jack?

Jej przenikliwość tak go zaskoczyła, że o mało nie upuścił lornetki.

– Co mówiłaś?

Piwnie oczy spojrzały na niego z wyzwaniem. Wiedział, że musi je podjąć.

– No, powiedz mi, która to z nich – nalegała. – Mógłbyś być ze mną szczerzy... przynajmniej pod tym względem – dodała, mając wciąż w pamięci niewysłany list do Kornwalii.

Jack zastanowił się, co też miała na myśli, mówiąc ostatnie słowa. Wyjaśnił jej zwięźle:

– Hrabina Worth siedzi w czwartej łoży na trzeciej kondygnacji, po prawej.

Arabella wzięła od niego lornetkę i rozejrzała się, zatrzymując krótko wzrok na łoży, którą wskazał. Wystarczyło jej to jednak, by dojrzeć, że lady Worth była równie piękna, jak elegancka. Pomyślała, że hrabina była tylko trochę od niej starsza.

– Wygląda prześlicznie – powiedziała, oddając Jackowi lornetkę. Pamiętała, że została przedstawiona hrabiemu Worthowi, jednemu z ciekawskich gości. – Jej mąż wydaje mi się miłym człowiekiem.

– Owszem, jest.

– No i wnioskuje, że odpowiednio wyrozumiałym.

Jack nic nie powiedział, zacisnął tylko szczęki. Arabella wzruszyła lekko ramionami i zaczęła patrzeć na scenę, lecz nieustannie rzucała okiem

na lożę Worthów i na piękną kobietę, która w niej siedziała. Czegóż się spodziewała? Jakiegoś koczkodana? Oczywiście, kochanka Jacka musiała być ideałem, przynajmniej jeśli chodzi o aparycję. Podobnie jak on.

Nie powiedziała już ani słowa więcej podczas drugiego aktu, który zdawała się trwać bez końca, mimo uroku muzyki i wysiłków śpiewaków, pragnących przyciągnąć uwagę publiczności. Kiedy kurtyna opadła, wstała skwapliwie.

Jack okrył jej ramiona etolą. Wyczuła w jego ruchach zniecierpliwienie. Miał zaciśnięte usta i gniewne spojrzenie.

– Odprowadzę cię do powozu – powiedział, otwierając drzwi łoży. – Potem pójdę do Brooke'a. Mam tam umówione spotkanie.

Nic nie powiedziała, pozwalając, by uprzejmym gestem ujął jej ramię, i oboje po wyjściu z łoży wmieszali się w tłum spieszący do foyer.

– Jack, koniecznie musisz mnie przedstawić swojej żonie. – Dama w średnim wieku, w wielkim, malowniczym kapeluszu, ozdobionym strusimi piórami, zastąpiła im drogę, patrząc na Arabelle z pełnym życzliwości zaciekawieniem.

Jack nachylił się nad dłonią kobiety, nim jeszcze zaczął mówić.

– Moja droga, oto księżna Devonshire. Madame, to moja żona, lady Arabella.

Obie, jak przystało damom równym sobie pozycją, dygnęły, a księżna Devonshire dodała przed odejściem:

– Nowa twarz zawsze jest czymś mile widzianym w naszym małym światku, moja droga. Przyślę pani zaproszenie na moje następne przyjęcie z kartami.

Arabella zrozumiała, że powinna skwapliwie je przyjąć. Wiedziała już jednak, że owe przyjęcia księżnej słyną z wysokich stawek i zacieklej gry.

Byłoby czymś niezwykłym, gdyby nowicjuszka nie przegrała tam znacznej sumy.

– Jack, przedstaw mnie, proszę, swojej żonie.

Jack odwrócił się ku Lilly, która podeszła do niego, wsparta na ramieniu męża. Uśmiechała się wprawdzie, lecz ledwo widocznym ruchem warg.

– Droga lady Worth. – Jack skłonił się nad jej ręką, unosząc ją do ust.

– Cóż za ceremonialny styl, Jack. – Lilly żartobliwie trąciła go w ramię wachlarzem. – Przedstaw mnie natychmiast swojej żonie,

Arabella była świadoma, że rozmowy wokół nich przycichły. Niezła okazja do plotek! Pierwsze spotkanie kochanki z żoną. Zdobyła się na serdeczny uśmiech i wyciągnęła rękę do lady Worth.

– Nie trzeba tu żadnych prezentacji, lady Worth, spodziewałam się panią spotkać.

Uśmiech nie zszedł z ust Lilly, kiedy ujęła jej dłoń w słabym uścisku.

– Wasza wysokość, jakże to miło z pani strony – odparła oficjalnym tonem, natychmiast cofając rękę.

– Mam nadzieję, że odwiedzi mnie pani na Cavendish Square – ciągnęła Arabella, nadal z takim samym serdecznym uśmiechem. – Na pewno odkryjemy, że mamy ze sobą wiele wspólnego. – Roześmiała się.

– Cieszę się z góry na tę wizytę – zdołała odpowiedzieć Lilly, po czym szybko dygnęła i oddaliła się wraz z mężem.

– Słyszałeś? – szepnął George Cavanaugh do Charlesa Foksa i nieznacznie klepnął go po małym, trój graniastym kapeluszu nasadzonym na różową perukę.

– A jakże. Nie przypuszczałem, że siostra Dunstona zachowa się z taką klasą – odparł Fox.

– Przyrodnia siostra – poprawił go George. – Obawiam się, mój przyjacielu, że Jack będzie miał przy niej pełne ręce roboty.

– Nie zrobi mu krzywdy – powiedział Fox. – Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego ją poślubił.

– Dziwiłem mu się, ale teraz, kiedy ją zobaczyłem... – George nie dokończył.

– Zgadza się, jest nietuzinkowa, ale wywodzi się z Laceyów. Fortescu i Laceyowie zawsze się przecież nie cierpieli.

– Cóż, świat się zmienia, przyjacielu. Przyznani ci się, że chciałbym jak najprędzej zawrzeć znajomość z tą damą.

– Ciekawe, jak ona gra w karty – wymamrotał Fox wierny swojej obsesji.

– Pewnie tak jak Lacey – odparł George, unosząc wytwornym gestem kapelusz, gdy się kłaniał Arabelli, mijającej go z mężem.

Uśmiechnęła się do niego życzliwie i bez śladu jakiegokolwiek sztuczności. Wydawało się nie do pojęcia, że ta pogodna i zrównoważona kobieta potrafiła tak bezwzględnie ukreślić łeb plotkom. Dała jasno do zrozumienia wszystkim, że wie co trzeba o kochance swego męża i że mało albo wcale jej to nie obchodzi.

Jack w milczeniu odprowadził żonę do powozu. Stangret, gdy tylko ich zobaczył, rzucił się, żeby otworzyć drzwi, i obniżył Arabelli schodki.

Nim wsiadła, zwróciła się miękko do Jacka:

– Czy jesteś pewien, że nie chcesz wrócić do domu i porządnie się pokłócić? To niedobrze, kiedy nie można dać ujścia swojej złości.

– Bądź łaskawa wsiąść do powozu, madame – rzekł z przesadną uprzejmością. – Wieje zimny wiatr.

Arabella usłuchała go, dziękując stangretowi, i nie zdziwiło jej specjalnie, gdy mąż poszedł w jej ślady siadając naprzeciwko. Potem oparł się o ściankę, skrzyżował ręce i przez chwilę obserwował ją bez słowa, nim zaczął mówić podejrzenie łagodnym tonem:

– Czy ty koniecznie musisz mnie prowokować Arabello? Co ja ci zrobiłem?

Spojrzała na niego pogodnie w ciemnym wnętrzu kołyszącego się powozu.

– Zmieniasz reguły Jack. Zgodziliśmy się zawrzeć małżeństwo z rozsądku. Ja miałam nie wtrącać się w twoje sprawy, ty w moje. A teraz nagle spodziewasz się po mnie zachowania wrażliwej panienki nieświadomej niczego, co by się wiązało z kobietą będącą twoją kochanką od... Od jak dawna lady Worth jest twoją kochanką?

Jack na moment zamknął oczy, a potem otworzył je znowu.

– Od trzech lat.

– Czy masz z nią jakieś dzieci? – spytała ze szczerym zaciekawieniem. Nie mógł się w nim dopatrywać ani źdźbła zazdrości. Nie żeby mu na tym zależało, wcale.

– Nie, o ile mi wiadomo.

Kiwnęła głową i powiedziała rzeczowo:

– W takim razie nie muszę nic więcej wiedzieć.

– Niezwykle mnie to cieszy – wyznał z ironicznym uśmiechem. – Czy możemy już więcej nie poruszać tego tematu?

– Och, nie sędzę, bym ci to mogła obiecać – odparła, marszcząc czoło w zamyśleniu. – Któż wie, co może się zdarzyć? – Nachyliła się ku niemu i położyła obciążoną rękawiczką dłoń na jego ręce. – Ale przyrzekam ci, Jack, że zawsze będę traktować lady Worth z największą uprzejmością.

– Tego się właśnie obawiam – mruknął. – Pozwól sobie powiedzieć, pani żono, że jesteś chytra niczym wąż, a twój niewinny uśmiezek i niby to rozsądne protesty nie zwiódą mnie ani na chwilę.

– Wcale cię nie chcę zwodzić – zaprzeczyła. – Chciałam tylko dać ci wyraźnie do zrozumienia, że reguł nie powinno się zmieniać. Przyrzekłeś mi, że podbiję Londyn, i zamierzam to zrobić. – Zaczęła wyliczać na palcach: – Nawiasem mówiąc, lubię twoich przyjaciół, Foksa i Cavenaughta. Obaj obiecali przyjść jutro z wizytą. Książęta nie zrobili na mnie najlepszego wrażenia, ale przypuszczam, że trzeba ich tolerować.

– Trzeba – zgodził się sucho, patrząc na nią z rosnącą fascynacją.

– Księżnę Devonshire należy sobie chyba zjednać.

– Moja droga. – Zaśmiał się. – Księżna Devonshire jest bez wątpienia najważniejszą i najbardziej wpływową kobietą w Londynie. Jeśli już chcesz wiedzieć, ona może zjednać sobie ciebie, ale wierz mi, nie będzie na odwrót.

– Naprawdę? – spytała ze słabym uśmiechem i dodała: – Czy nie wydaje ci się dziwne, że nie otrzymałam żadnej odpowiedzi od krewnych mojej matki w Kornwalii? Napisałam do nich w sierpniu, a teraz mamy grudzień. Oczywiście, teraz już nie potrzebuję ich pomocy, właściwie to całkiem o tym zapomniałam, ale zastanawiałam się, czy oni jeszcze żyją. Czyżby uśmierciła ich jakaś zaraza? Co o tym sądzisz?

– Nie mam pojęcia. – Jack sięgnął za siebie i zastukał w ściankę. Powóz się zatrzymał. – Muszę cię tu zostawić. – Pochylił się, ucałował ją obojętnie w czoło i wysiadł.

Arabella zamknęła oczy, krańcowo wyczerpana. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy powóz stanął przed domem. Chłodne powietrze orzeźwiło ją. Wysiadła i podeszła do drzwi, gdzie czekał na nią służący.

– Czy będzie coś jeszcze potrzebne, wasza wysokość? – spytał i zaryglował wielkie frontowe drzwi.

– Nie, dziękuję ci, Silas. Nie wiem, o której wróci jego wysokość.

– Nie przed wschodem słońca, madame – odrzekł, kiwając głową.

Oczywiście, Silas o tym dobrze wiedział, pomyślała Arabella. Służył przecież księciu od lat i dobrze poznał jego zwyczaje. Życzyła mu dobrej nocy, lecz zamiast pójść prosto do siebie, zaszła do biblioteki. Dwie świece płonęły w lichtarzach po każdej stronie kominka, ale wyłożony ciemną boazerią, pełny książek pokój i tak był pogrążony w mroku. Zamknęła za sobą drzwi i przez minutę stała oparta o nie, myśląc o konsekwencjach tego, co zamierzała zrobić.

Nie było to kradzieżą, skoro zamierzała tylko odzyskać swoją własność. Jack mógł jednak mieć zastrzeżenia, że otworzyła szkatułkę i grzebała w jego prywatnych papierach. Jeśli jednak nie patrzyłaby wcale na nic innego, tylko po prostu zabrała list i zamknęła szkatułkę z powrotem, nie szperałaby w nich wcale. Mógł tego nawet nie zauważyć. Może zresztą nie pamiętał już, że ma ten list? Skoro nie chciał go wysłać, nie miał też chyba zamiaru go przechowywać.

Odeszła od drzwi i zbliżyła się do biurka, niemal się skradając, chociaż była sama, a jedyny człowiek w domu, który nie spał, stróżował przy drzwiach i nie mógł się stamtąd ruszyć. Usiadła za biurkiem i wysunęła szufladę, gdzie – jak przedtem zauważyła – Jack trzymał klucz do szkatułki. Nie znalazła go od razu i musiała szukać po omacku, póki jej palce nie natrafiły na małą wypukłość w głębi. Nacisnęła ją i odsłoniła się wewnętrzna skrytka, w której leżał klucz.

Nachyliła się, otworzyła dolną szufladę, w której trzymał szkatułkę, wyciągnęła ją i ostrożnie ustawiła na blacie. Kluczyk pasował do dziurki i

łatwo się przekreślił. Uniosła wieczko i spojrzała na starannie ułożone papiery. Po południu jej list leżał na wierzchu, ale teraz nie było go tam widać. Zawahała się. Nie chciała dotykać niczego, co do niej nie należało.

Potem zaczęła podnosić papiery, jeden po drugim, żeby nie pomylić ich kolejności, w ogóle się im nie przyglądając. Znalazła list po przejrzeniu połowy zawartości. Z westchnieniem ulgi wyciągnęła go i starannie włożyła do szkatułki pozostałe dokumenty. Nic teraz nie wskazywało, by ktoś do niej zaglądał, zamknęła ją więc ponownie i odłożyła wraz z kluczem na właściwe miejsca.

Opuściła bibliotekę, zabierając ze sobą list, i poszła do swojej sypialni, gdzie Becky, drzemiąc przed kominkiem, czekała, by pomóc jej w wieczornych czynnościach.

Jack wstał od gry dopiero przed świtem. Po raz pierwszy od powrotu z Arabellą do Londynu spędził całą noc przy stoliku. Nie zamierzał grać tym razem w faraona. Przywołał lektykę, kiedy już dniało.

Dlaczego Arabella, ni stąd, ni zowąd zaczęła mówić o kornwalijskich krewnych? Zupełnie zapomniał o liście, którego nigdy nie wysłał. Zaczął nad tym rozmyślać w ciemnym wnętrzu lektyki, niesionej przez tragarzy spokojnymi ulicami miasta, które jeszcze się nie obudziło.

Spali go jeszcze tego ranka. Niech diabli wezmą skrupuły.

Dwadzieścia minut później siedział przy biurku, raz jeszcze grzebiąc wśród papierów w szkatułce. Potem odchylił się do tyłu i spojrzał w sufit. Listu nie było. Gdzie się zatem znajdował?

Nagle poderwał się i siadł prosto. Oczywiście, wzięła go Arabella. Jak go jednak do diabła, odkryła? No i co on właściwie ma z tym począć? Odsunął szkatułkę, wstał i powoli wyszedł z biblioteki.

Chłopiec z pomywalni z łopatką do węgla w ręce przylgnął do ściany, gdy książę wszedł do holu. Jack ledwie go zauważył, podobnie jak ledwie dostrzegł, że słońce już wzeszło. Frontowe drzwi stały otworem, a służebna na czworakach czyściła stopnie, polewając je obficie wodą z wiadra. Z ulicy dobiegały odgłosy budzącego się miasta.

Jack zatrzymał się na chwilę, z jedną nogą na pierwszym stopniu półkolistych schodów. Arabella postawiła go w sytuacji bez wyjścia. Jeżeli zarzuci jej grzebanie w szkatułce, będzie też musiał przyznać, że ją oszukał, nie wysyłając listu. Jeśli nie powie nic, padnie ofiarą jej podstępu. A wiedział aż za dobrze, że specjalnością Laceyów były właśnie podstępny.

Poszedł na górę do własnej sypialni. Podstawy jego małżeństwa okazały się zdradliwe. Stanowczo nie można go było uznać za zwykły, pragmatyczny mariaż z rozsądku, jakim miało być. Żona mu nie ufała. Nie wiedział też, czy on może ufać jej. Nagle znaleźli się po dwóch stronach barykady. Jak, u diabła, mogło do tego dojść?

Chyba byłeś w błędzie, George. – Charles Fox podszedł do Cavenaugh, który podpierał ścianę w salonie, śledząc grę na okrągłym stoliku pośrodku pokoju.

– Co do czego?

– Lady Arabella wcale nie gra jak Lacey. Nie przypuszczam, żeby chociaż liczyła rzutki... Ona gra bezmyślnie. – W głosie Foksa zabrzmiała dezaprobata. – Dunston przynajmniej wiedział, co robi, nie umiał tylko przestać.

– No i kto to mówi. – George oderwał oczy od stolika tylko na chwilę, żeby skinąć na lokaja niosącego tacę z szampanem.

Fox wzruszył ramionami, przyjmując ten komentarz ze spokojem.

– Ja po prostu nie mogę patrzeć, jak ona gra – jęknął.

– Hm... – George ponownie spojrzał z niepokojem na stół, przy którym Arabella siedziała z ostatnim już rulonikiem monet.

– Nie rozumiem, dlaczego ona nawet nie próbuje żadnej strategii. Każdą partię rozgrywa jak kompletna nowicjuszka, choć powinna się do tej pory połapać, jak trzeba grać, żeby wygrać.

– Może nie umie liczyć? – podsunął mu Fox, krzywiąc się boleśnie, gdy Arabella postawiła na kartę, która została już odkryta.

– Bzdura. Lady Arabella jest błyskotliwa – powiedział George – i bardzo elokwentna. Nie rozumiem, dlaczego Jack nie dał jej żadnych wskazówek.

Fox zaczął się wachlować, usiłując choć trochę poruszyć duszne, przegrzane powietrze w jasno oświetlonym pokoju.

– Co ty myślisz o tym małżeństwie, George? – spytał, patrząc w inteligentne oczy przyjaciela, zupełnie nieprzystające do ekscentrycznej powierzchowności.

– Sam chciałbym wiedzieć. Dla mnie to zagadka. Nie wiem nawet, czy oni się lubią. Ale coś ci powiem Fox, ja lubię tę panią.

– Ani trochę nie przypomina brata – przyznał Fox. – Z pewnością nie jest głupia. A Jack czasem na nią tak dziwnie patrzy. – Zastanowił się. – Wyleciało mi z głowy odpowiednie określenie. – Zacisnął usta. – Zbity z tropu – powiedział wreszcie. – Wygląda na zbitego z tropu.

– Wiem, co masz na myśli. Całkiem to do niego niepodobne. Nigdy w życiu nie widziałem, aby Jack był zbity z tropu.

– Cóż, przyglądam się temu z ciekawością, mój przyjacielu. Och, czekaj, co ona robi najlepszego? – Fox z przerażeniem zrobił krok w stronę stolika Arabelli, która przegrała już wszystkie pieniądze i zdejmowała właśnie z przegubu bransoletkę ze szmaragdami.

George złapał go za rękaw.

– Nie, Charles, to już powinno obejść Jacka, inaczej miasto zatrzęsie się od plotek – powiedział, idąc do sąsiedniego pokoju, gdzie – jak wiedział – grał Jack.

Jack uniósł głowę znad kości, gdy George podszedł do niego.

– Grasz, George?

– Teraz nie. Chciałbym z tobą pomówić.

Jack położył na stole kości, przeprosił pozostałych graczy i wstał, strzepując koronkowe mankiety.

– Chętnie to przerwę, bo usycham z pragnienia – odparł niedbale, choć świetnie wiedział, że George się czymś niepokoi. Podszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek reńskiego wina, a potem spytał jakby od niechcienia:

– A więc, o co chodzi, George? Przyjaciel miał zakłopotaną minę.

– Nie chciałbym na nikogo skarżyć, ale... – zaczął.

Spojrzenie Jacka stało się nagle ostre i skupione, nie było w nim już nawet śladu rozbawienia. Spytał przyciszonym głosem:

– Co robi moja żona?

– Zastawia swoją biżuterię. – George usiłował ukryć zakłopotanie, przybierając nieco zaczepny ton. – Powinieneś lepiej nad nią czuwać, Jack. Ludzie zaczną gadać.

Jack uśmiechnął się, ale tylko samymi wargami.

– Pewnie wzięła dziś wieczorem za mało pieniędzy. Można to zrozumieć. Drobne niedopatrzenie. Dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę, George.

Jack, wciąż z kieliszkiem w ręce, wszedł do przyległego pokoju. Kroczył pewnie, lecz bez wyraźnego pośpiechu, mijając stoliki oraz grupki gawędzących obserwatorów. Stał tuż za Arabellą i położył łagodnie wolną dłoń na jej gładkim, białym ramieniu, odsłoniętym w wydekoltowanej sukni z kremowego jedwabiu.

– Dobrze się bawisz, moja droga?

Spojrzała na niego spoza wachlarza, usiłując zignorować fakt, jak zadziałał na nią jego dotyk.

– Jak najbardziej. Wręcz znakomicie – odparła i znów zaczęła patrzeć w karty.

Pochylił się ponad jej ramieniem i położył przed nią pięć ruloników, a potem wyjął z palców rozdającego karty szmaragdową bransoletkę, zastępując ją dwoma stosami monet.

– Wstyd tak rozbijać komplet biżuterii, moja droga – mruknął, odstawiając kieliszek. A potem, ze spokojnym uśmiechem, wsunął jej bransoletkę na przegub, – Te kamienie tak wspaniale pasują do twoich oczu.

Arabella aż za dobrze widziała, że to prawda. Równie dobrze wiedziała, że miał słuszność, każąc się jej ubierać w suknie o delikatnych, kremowych i beżowych odcieniach, bo na ich tle wspaniale zyskiwały barwy szmaragdów, szafirów, rubinów i topazów, które co wieczór dobierał do jej strojów. Żałowała utraty bransoletki, lecz była to niezbędna ofiara, by mogła nadal grać z niepohamowanym brakiem powściągliwości, co stało się już jej znakiem rozpoznawczym.

Powiedziała przez ramię:

– Proszę mi powiedzieć, na którą kartę mam teraz stawiać. Zamierzałam postawić na taką, która przegra. – Niezdecydowanym ruchem sięgnęła po rulonik monet. – Zmiana taktyki może przynieść mi szczęście.

– Bez wątplenia – zgodził się. – Gdyby karciarze w to nie wierzyli, nie siadaliby do gry.

– W takim razie proszę przynieść mi szczęście i wybrać za mnie. – Roześmiała się wesoło.

Jack spojrzał na jej roześmianą twarz i zapragnął ponownie ujrzeć otwarte, szczere, naturalne oblicze kobiety, którą poślubił. Londyn, jego Londyn, zmienił je. I pomyśleć, że kiedyś zapragnął, by zabłysła w nim jak te przeklęte klejnoty na jej szyi. Na szyi, która wciąż pobudzała go do szaleńczych uniesień, kiedy dotykał ustami jej skóry, kiedy wdychał delikatny zapach, a pukle włosów łaskotały jego nos.

– Nie patrzyłem na zrzutki. Postaw na kartę sama, madame. Ja zostanę tutaj, żeby przynieść ci szczęście.

Raz jeszcze położył jej dłoń na ramieniu i uniósł kieliszek do ust. Arabella uznała, że tym razem być może wygra. Oczywiście, nie liczyła rzutek, bo wcale nie zamierzała wygrywać. Dobrowolne przegrywanie nie było jednak rzeczą łatwą, gdy Jack stał tuż za nią. Z niechęcią spróbowała sobie przypomnieć, czy dama kier została już odkryta. Nie wydawało się jej, żeby tak właśnie było, postanowiła więc cały rulonik na tę jedną kartę. I przynajmniej raz nie pomyliła się. Pierwszą odwróconą kartą była dama kier. Arabella zgarnęła wygraną. Miała teraz tyle pieniędzy, że mogłaby grać jeszcze przez kilka następnych godzin, nie ryzykując utraty szmaragdowej bransoletki. Instykt mówił jej jednak, że już dosyć.

– Proszę mi wybaczyć, panie i panowie, ale wstaję od gry – oświadczyła, ignorując z rozbawieniem okrzyki zgorszenia.

Jack przytrzymał jej krzesło, gdy się z niego podnosiła, a potem podał jej ramię.

– Napijesz się wina? – spytał. – A może chcesz wrócić do domu?

Powiódł dłonią po jej gołym ramieniu. Nagle zapragnął odzyskać swoją Arabelle. Nachylił się, dotknął wargami jej ucha i zaczął szeptać. Zgodnie z jego przewidywaniami natychmiast zeszywniała i zachwiała się na nogach, a potem powiedziała, wzruszając obojętnie ramionami:

– Bardzo proszę, wróćmy do domu, jeśli pan sobie życzy.

– Poślę po powóz.

Przez całą tę szaleńczą noc Arabella nie mogła się nadziwić, w jaki sposób wzajemna obcość, jakiej doświadczyli po nocy w operze, nie naruszyła ich zdolności do odczuwania podniecenia i dawania sobie wzajemnie rozkoszy. Jack był tak czuły, jak zawsze, wiele od niej żądał, jak zawsze, a ona mogła odpowiadać na to albo sama wykazywać inicjatywę, jak zawsze. Tymczasem poza sypialnią byli jak przepięknie wystrojone

figurki z sewrskiej porcelany lub tańczące lalki z pozytywki. Krążyli wokół siebie, jednakowo nieufni, jakby się spodziewali, że coś ich zniecka zaatakuje.

Jack nie wspominał o kradzieży listu ze szkatułki, Arabella zaś nie dążyła do konfrontacji. Od czasu do czasu zapadało między nimi milczenie, chwile pełne skrępowania, które mówiły jej wyraźnie: Jack wie, że ona ma ten list. Dlaczego więc nie powie jej o tym wprost? Przeprosiłby ją, ona zrobiłaby to samo, roześmialiby się oboje i kornwalijscy krewni przestaliby mieć jakiegokolwiek znaczenie. On jednak nie mówił niczego i czuła, że obserwuje ją tak samo czujnie, jak ona jego.

Co według niego zamierzała zrobić? Właściwie sama nie była pewna. Wiedziała tylko tyle, że pragnie prawdy. Nie miała jednak pojęcia, jak do niej dojść.

Ręka osunęła jej się na łóżko i poczuła, że zimny nos trąca jej palce. Znalazła pociechę w znajomym dotyku. Psy nie dały się usunąć z sypialni, lecz Jack nauczył je, w sposób bardzo stanowczy, że mają sypiać na podłodze. Podobnie jak wielu innych, usłuchały go bez protestu. Z nią było inaczej.

Ciepłe ciało Jacka spoczywało przytulone do jej pleców. Oddychał głęboko. W końcu zapadła w sen, ukołysana rytmem jego oddechu.

Księżę Walii usadowił swoje tęgie cielsko na kruchym, połączanym krzeselku, które wyglądało tak, jakby zaraz miało się rozpaść pod jego ciężarem, i spojrzał na gospodynię z błogim zadowoleniem.

– Wczorajsze przyjęcie było wręcz znakomite, madame. Musi pani powiedzieć swemu kucharzowi, żeby zaraz przesłał przepis na te ortolany do Carlton House. – Pogładził się po brzuchu z satysfakcją. – Stanowczo chcę, aby mi je podano na najbliższy obiad,

– Monsieur Alphonse to prawdziwy geniusz kulinarny – odparła Arabella.

Z książęcej piersi wydobył się dudniący śmiech.

– Nie wiedziałem o tym, milady. W przeciwnym razie próbowałbym pozyskać go przeszło trzy lata temu.

– I założę się, że odniósłby pan porażkę – odezwał się Fox od kredensu, gdzie nalewał sobie madery. Ubrany był mniej ekscentrycznie niż zazwyczaj, choć kamizelka w jaskrawe, żółte i zielone paski wyglądała dość niezwykle.

– A to dlaczego? – spytał następca tronu, opróżniając kieliszek.

Fox podszedł do niego z karafką.

– Jack dopiero co utyskiwał, że jego dom przeobraził się w istne zbiorowisko uchodźców z Francji. – Uśmiechnął się do Arabelli, która zbyła jego słowa machnięciem ręki. Fox ciągnął dalej, uśmiechając się również podczas uzupełniania kieliszka księcia. – Powinien pan wiedzieć, że lady Arabella postanowiła przyjść z pomocą artystom i rzemieślnikom, którzy uciekli z Paryża. Są wśród z nich kucharze, modystki, szwaczki, fryzjerzy z całego Londynu. Biedny Jack mówił, że podejrzewa, iż połowa rodziny Alphonse'a znalazła zatrudnienie pod jego dachem.

– Wcale się nie skarży – oświadczyła Arabella. Straciła na chwilę pogodny nastrój, mówiąc dalej: – Ci ludzie znaleźli się doprawdy w bardzo ciężkim położeniu. Wielu przybywa tutaj nawet bez butów.

Książę Walii chrząknął niezobowiązująco. Sam był nieustannie w długach i nie lubił, gdy go proszono o pieniądze. Arabella doskonale o tym wiedziała i była już gotowa zmienić temat, gdy Tidmouth zaanonsował gości:

– Lady Jersey, wasza wysokość, i pan Cavanaugh.

– Och, znakomicie – oświadczył ksiązę, dźwigając się z trudem z krzesła. – Moja droga, droga lady Jersey.

Obsypał ją mnóstwem przesadnych komplementów i ucałował każdy jej palec z osobna w sposób, który Arabella uznała za zupełnie niepotrzebny. Każdy wiedział, że lady Jersey jest jego kochanką, lecz oni obnosili się z tym tak ostentacyjnie, że opinia publiczna była daleka od sprzyjania temu związkowi.

Ksiązę Walii był ostatnim z całej serii podbojów uwodzicielskiej piękności, a uległo jej tak wielu mężów, że nawet najbardziej zazdrosna z żon musiała spoglądać na nią z pewnym uznaniem. Arabella już na samym początku znajomości z nią zdecydowała, że mogłaby podziwiać Frances Villiers za bystry i cięty umysł, jeżeli ta nie znajdowałaby przyjemności w publicznym poniżaniu żon mężczyzn, z którymi sypiała.

– Lady Arabello. – Lady Jersey objęła ją z taką wylewnością, jakby były przyjaciółkami od serca. Farbowane pióra na jej malowniczym kapeluszu przypominały rozłożony pawi ogon, w wielkich oczach błyszczały figlarne ogniki.

– Mam nadzieję, że dobrze się miewasz, moja droga. Ostatniego wieczoru w Devonshire House wyglądałaś tak mizernie!

– Miewam się znakomicie, dziękuję – rzuciła Arabella. Odwróciła się, żeby powitać George'a Cavenaugh, który uniósł jej dłoń do ust z szarmanckim ukłonem.

– Wygląda pani jak zwykle zachwycająco, lady Arabello – powiedział, zerkając spod oka na Frances.

– Jest pan zbyt uprzejmy – odparła i zwróciła się ku hrabinie niczym wzór dobrej gospodyni. – Czy mogę zaproponować pani kieliszek sherry, madame?

– Och nie... nie... tylko trochę słabej herbaty. – Hrabina usiadła tuż przy księciu Walii, szeleszcząc taftową suknią. – Szkodzi mi na cerę, rozumiesz? – Dotknęła policzków palcami w mitenkach. – Sądzę, że wino zanadto ją przegrzewa.

Arabella nie skomentowała jej słów, jedynie zadzwoniła na lokaja. Księżę ujął lorgnon i z wielkim rozbawieniem studiował cerę kochanki, ta zaś wykręcała się od tych natarczywych oględzin.

– George, nalej sobie wina. – Arabella zachęcająco wskazała na kredens.

Drzwi otwarły się kolejny raz.

– Lord Morpeth przysłał swój bilet wizytowy. – Tidmouth wyciągnął przed siebie srebrną tacę, na której leżała wygrawerowana karta.

– Doprawdy, madame, jest pani wręcz rozrywana – oznajmił księżę. – Człowiek nie może nawet spokojnie z panią porozmawiać.

– Jestem zawsze do pana usług – zaprotestowała Arabella. Księżę zaniósł się jowialnym śmiechem.

– Tak pani mówi, droga madame, ale kiedy tylko tu przyjdę, zawsze całe mnóstwo ludzi składa pani wizytę. – Otworzył piękną tabakierkę z sewskiej porcelany i podsunął ją Foksowi. – Przyślij go tu, Tidmouth, przyślij.

Wszedł lord Morpeth i w pokoju pełnym zatwardziałychem wigów rozmowa zeszła na politykę. Arabella rozejrzała się wokoło z satysfakcją. Urzeczywistniła swoje ambicje założenia salonu politycznego i rywalizacji z księżną Devonshire. Pałac przy Cavendish Square stał się prawie tak samo popularny jak Devonshire House.

– Czy Jacka nie ma w domu, lady Arabello? – spytał George Cavanaugh, wyciągając swój kieliszek ku lokajowi, który przyniósł świeżo napełnione karafki. – Chciałbym zamienić z nim słówko.

– Och, widziałem go jakieś pół godziny temu na Mount Street – odparł lord Morpeth. – Wychodził z domu Worthów.

Lady Jersey zachichotała dyskretnie.

– Och, ta czarująca lady Worth! To zdumiewające, jak ona z każdym dniem pięknieje. No i zupełnie się nie starzeje! Nic dziwnego, że mężczyźni tłoczą się wręcz u jej drzwi. – Upiła ostrożnie trochę herbaty i uśmiechnęła się do Arabelli.

Był to, jak uznała z wściekłością Arabella, uśmiech hieny, która krąży wokół w oczekiwaniu na padlinę. Jej skłonność do ranienia żon własnych kochanków była obrzydliwa, ale przyjemność, jaką lady Jersey znajdowała w dręczeniu żon tych, których mężowie nie padli jej ofiarą, była czymś jeszcze gorszym.

Oczywiście, było wysoce prawdopodobne, że Jack był z nią związany jakiś czas temu.

Po słowach Frances Villiers nastąpiła krótka chwila głuchoj ciszy, a potem Fox zrećźnie skierował rozmowę ku niedawnej śmierci Jamesa Boswella. Arabella uchwyciła się tej sposobności i wyraziła własne zdanie o pamiętnikarzu, nie dając po sobie poznać, że w ogóle słyszała, o czym mówili Morpeth i lady Jersey. A gdy mąż pół godziny później wszedł do salonu, powitała go łagodnym uśmiechem.

Jack skłonił się przed księciem Walii i pozdrowił wszystkich obecnych. Ucałował lekko dłoń żony, wziął kieliszek wina od lokaja, a następnie usiadł naprzeciwko niej.

– Leżeć, paskudne psiska! – ofuknął setery gdy łąsiły się do niego, podsuwając łby pod jego ręce. Gwałtowne wywijanie ogonami dowodziło, że nie biorą jego słów serio.

– Ładne psy – zauważył księżę Walii, ujmując skwapliwie dłoń lady Jersey.

– Nie mają za grosz dobrych manier – rzekł cierpko Jack, nim ostrzegł je raz jeszcze. – Leżeć albo was wyrzucę.

– Borys... Oskar... do nogi – odezwała się ostrym tonem Arabella.

Nigdy nie mogła zrozumieć, co takiego było w Jacku, że nawet najokrutniejsze psy w jego obecności przeobrażały się w posłuszne mu ślepo, pełne adoracji stworzenia. Borys i Oskar przybiegły wprawdzie do niej, ale niezbyt chętnie, i legły u jej stóp z westchnieniem rezygnacji.

Pół godziny później, gdy ostatni goście opuścili pokój, Jack powrócił do salonu po odprowadzeniu ich do drzwi.

– Muszę ci pogratulować – powiedział, opierając się o gzyms kominka i spoglądając na nią uważnie. – Zyskałaś renomę szybciej, niż oczekiwałem. Księżę Walii bywa u ciebie niemal codziennie, a księżę Yorku odwiedził cię wczoraj.

– Nie są tak irytującymi ludźmi, jak mi się z początku wydawało – powiedziała. – A przynajmniej nie księżę Walii. – Skrzywiła się nieznacznie i ciągnęła dalej: – Księżę jest w porządku, ale przy lady Jersey staje się kompletnie otumaniony.

Jack zdziwił się nieco tej zapalczywości, bo nie znał jej powodu.

– Może małżeństwo go odmieni? – zasugerował.

– Skądże – odparowała. – Przecież zazwyczaj nie oznacza ono końca przedmażeńskich związków. – Za późno uznała, że lepiej byłoby ugryźć się w język. Nigdy nie było między nimi mowy o lady Worth od czasu wieczoru

w operze, a ona sama również nie przyszła na Cavendish Square z wizytą, choć spotykali ją nieraz na przyjęciach i obiadach, przy czym zawsze obie strony traktowały się z lodowatą uprzejmością.

Wyraz twarzy Jacka się nie zmienił.

– Chciałabym pojechać do Lacey Court na kilka tygodni. Wracając, mogłabym zabrać ze sobą Meg.

– Skąd ten pośpiech? – Jack zażył tabaki i przyjrzał się jej z ukosa.

Upiła łyk sherry.

– Dzierżawcy są przyzwyczajeni do tego, że Laceyowie rezydują w swojej posiadłości. Mój ojciec bywał tam bardzo często, a chociaż Frederick rzadko się pojawiał, to ja...

Przerwał jej gniewnie.

– Zapominasz, pani żono, że już nie ma żadnych Laceyów. Teraz liczą się tylko Fortescu, a ty nosisz to nazwisko.

Odstawiła pusty kieliszek.

– Nie trzeba mi o tym przypominać – odpowiedziała, odwracając się do niego plecami.

Jack podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. Nachylił się i ucałował ją w kark, odsuwając misternie ułożone loki. Poczł, że drgnęła pod jego dotknięciem i pozwoliła jego dłoniom sięgnąć ku piersiom. Wyczuł ich ciepło pod cienkim batystem.

– A to na wypadek, gdybyś potrzebowała przypomnienia, co oznacza noszenie mego nazwiska – szepnął, całując ją w ucho. Musnął je lekko językiem, tak że wbrew woli musiała parsknąć śmiechem.

– Niech cię licho, Jacku Fortescu – rzekła, usiłując się uwolnić z jego objęć. – A gdyby tak ktoś tu wszedł?

– Mam nadzieję, że moja służba jest zbyt dobrze wyszkolona, żeby zapomnieć o pukaniu przy wchodzeniu – wydyszał jej prosto w ucho.

Wyswobodziła się z jego uścisku i przejrzała w lustrze nad kominkiem. Policzki miała zbyt zarumienione, oczy zanadto błyszczące. Zawsze mógł z nią zrobić, co chciał, choćby nie wiadomo jak próbowała mu się oprzeć.

– Nie – powiedziała, gdy znów się nad nią nachylił, – Umówiłam się z lady Pevensey. Mamy iść do ogrodu botanicznego i muszę zmienić suknię.

– Zawsze możesz przecież znaleźć jakąś wymówkę podsunął, patrząc na jej odbicie w lustrze.

– Byłoby to niegrzeczne z tak krótkim wyprzedzeniem, a poza tym ogród bardzo mnie interesuje. Są tam gatunki orchidei, które znam tylko z rycin.

Przez chwilę w szarych oczach błysnęło rozczarowanie, lecz potem zniknęło i znów stały się chłodne, bez wyrazu.

– Oczywiście, nie mogę współzawodniczyć z orchideami, moja droga.
– Odwrócił się od niej i rzucił przez ramię:

– A tak przy okazji, wyjeżdżam z Londynu na kilka dni.

– Gdzie się wybierasz? – Arabella starała się, żeby w jej głosie nie było słychać zaciekawienia, lecz nie mogła się powstrzymać przed tym pytaniem.

– Do mego majątku w Hertfordshire. Jeden dzierżawca sprawia tam kłopoty. Muszę o tym porozmawiać z moim zarządcą.

– Rozumiem. Kiedy wyjeżdżasz?

– Po południu.

– W takim razie zobaczymy się dopiero po twoim powrocie. – Uśmiechnęła się, posłała mu całusa i wyszła z salonu.

Jack spojrział ze złością na zamknięte drzwi. Chciał zaproponować jej wspólny wyjazd. Nie miał jednak zamiaru błagać.

Arabella uznała ogród botaniczny za mniej interesujący, niż się spodziewała. Głowa ją nieco bolała, a Helen Pevensey, którą dosyć lubiła, wydała jej się nagle nudna. Zastanawiała się, czy zdąży wrócić do domu przed odjazdem Jacka. Nie poprosił jej, by mu towarzyszyła, ale mogła mu to przecież zasugerować. Zateęskniła za wiejskim powietrzem.

– Wybacz, Helen, ale boli mnie głowa – oznajmiła, odwracając się od wystawy skalnej roślinności. – Czy nie obrazisz się, jeśli wrócimy do domu?

– W żadnym wypadku. – Towarzyszka spojrzała na nią z troską. – Wyglądasz na nieco wyczerpaną, Arabello, a poza tym uważam, że zobaczyłam wystarczająco dużo kwiatów jak na jeden dzień.

Arabella odwiozła swoim powozem lady Pevensey pod same drzwi i pojechała do domu. Pośpiesznie wbiegła na schody i spytała Tidmoutha, gdy tylko jej otworzył:

– Czyjego wysokość jest jeszcze?

– Nie, wyjechał godzinę temu.

Poczuła tak dotkliwe rozczarowanie, że o mało nie wybuchnęła płaczem, co było absurdalne, bo nawet sobie nie mogła przypomnieć, kiedy płakała po raz ostatni.

– Dziękuję, Tidmouth – powiedziała i poszła na górę.

– Czy będzie pani potrzebowała powozu dzisiejszego wieczoru, wasza wysokość?

Potrzebowała jedynie tego, by zwinąć się w kłębek, z książką w rękę, przed kominkiem, lecz byłoby to przyznaniem się do porażki.

– Tak, hrabina Derby wydaje dziś raut. Niech powóz zajedzie o dziewiątej. Zjem obiad w moim buduarze.

Nauczyła się już dobierać strój bez porad męża, podobnie jak była przyzwyczajona do wychodzenia wieczorem bez jego eskorty. Mężowie i żony w pełnym sztuczności londyńskim świecie rzadko spędzali razem czas w towarzystwie. Sądząc z tego, co widziała, podobnie było w ich życiu prywatnym. Nie mieli ku temu zbyt wielu sposobności.

Na raucie usiadła do gry, żeby – jak zwykle – przegrać sporo z tego, co wciąż uważała za nieuczciwie zdobyte przez Jacka dochody z majątku przyrodniego brata. Z jakiegoś jednak powodu robiła to bez większego przekonania. W połowie wieczoru lord Worth trzymał bank na stole, przy którym grała w faraona. Nie była wcale pewna, czy naprawdę warto wzbogacać dom Worthów na niekorzyść księstwa St. Jules.

– Czy lady Worth nie ma tu dziś wieczorem? – spytała jedna z grających w karty kobiet spoza wachlarza. – Chciałabym z nią pomówić, ale nigdzie jej nie widać.

– Nie, wyjechała na wieś i nie będzie jej przez kilka dni – odparł hrabia, wykładając karty. – Chora ciotka potrzebowała jej obecności, jak mi się zdaje.

Arabella postawiła pieniądze na asa pik. Chora ciotka czy stęskniony kochanek? Figury kart zaczęły jej tańczyć przed oczami, lecz zmusiła się do siedzenia przy stole, póki nie przegrała wszystkiego. Dopiero wtedy wstała lekko, zbywając śmiechem przegraną, i poszła się pożegnać z gospodynią.

Jack powrócił do Londynu tydzień później. Z przykrością i zaskoczeniem stwierdził, że niełatwo było mu wytrzymać tak długo bez żony. Nigdy nie przypuszczał, że będzie mu jej brakowało, ale już po dwóch dniach zaczął ciągle wracać myślami do prowokującej i ciętej Arabelli. Próbował skoncentrować się na sprawie, która sprowadziła go do Hertfordshire, ale często musiał przyznać, że zaprzęta go co innego. Brakowało mu śmiechu żony, jej pogody ducha, a nawet satysfakcji czerpanej z ogrodnictwa. Tęsknił za sposobem, w jaki unosiła głowę, za jej wyostrzoną świadomością wszystkiego, co działo się wokół, nawet gdy się zdawało, że wcale nie zwraca na to uwagi. Za jej sposobem poruszania się, gdy wchodziła do pokoju, i noszenia biżuterii, którą lubił ją obdarowywać. Wrócił więc szybciej, niż zamierzał. Arabelli nie było w domu, gdy przybył o poranku.

– Jej wysokość wyszła z jednym z tych jej Francuzów. – Mówiąc to, Tidmouth wyglądał tak jak wtedy, gdy oznajmiał o czymś, czego nie pochwalał. – Raczej obdarty dżentelmen, jeśli mogę tak rzec, wasza wysokość. Miało to zdaje się coś wspólnego z jakimś chorym dzieckiem – dodał ze wzgardliwym prychnięciem, czyszcząc dno kapelusza. – Miejmy nadzieję, że to nie tyfus – dodał – ani nie ospa.

Jack miał własne zastrzeżenia co do wypraw Arabelli w głąb ubogich, londyńskich dzielnic, nie chciał jednak dyskutować o tym z Tidmouthem. Mimo to, gdy opuszczał dom godzinę później w nieskazitelnie czystym stroju z popielatego aksamitu, nie był w najlepszym nastroju.

Skierował się do White'a, gdzie – jak wiedział – mógł zastać najwięcej swoich przyjaciół w środę koło południa. Regulowali tam wówczas długi z poprzedniego tygodnia, siedząc nad kielichami pełnymi czerwonego wina. Powitał go chór pozdrowień, gdy wszedł do głównej sali, oddając lokajowi kapelusz i rękawiczki.

– Dzięki Bogu, wróciłeś wreszcie! – zawołał Fox. – Potrzebuję pożyczki, drogi przyjacielu.

– Jak dużo? – spytał Jack z rezygnacją, podchodząc do grupy znajomych, którzy siedzieli przy oknie wychodzącym na St. James. Był przyzwyczajony do udzielania pomocy Foksovi, jak zresztą wszyscy przyjaciele Charlesa.

– Potrzebne mi raptem głupie sześć tysięcy gwinei, ale z wdzięcznością przyjmę wszystko, co zechcesz mi dać.

George Cavanaugh pokiwał głową, gdy Jack wypisał czek na tysiąc gwinei, pewien zresztą, że nigdy nie dostanie ich z powrotem. Była to jednak cena, jaką często przychodziło płacić za przyjaźń z Foksem.

Charles wziął czek wśród wylewnych podziękowań i spokojnie wręczył go markizowi Herndon, któremu był winien tę sumę. Jack tylko się uśmiechnął na ten widok i podszedł do George'a, który kiwał ku niemu ręką z drugiego końca salonu.

– Ja bym tak nie szastał pieniędzmi Jack. Chyba potrzebujesz ich bliżej domu – upominał go poważnie.

– Moja żona. – Jack głośno wypuścił powietrze.

– Przykro mi to mówić, ale powinieneś coś z tym zrobić, bo inaczej ona cię zrujnuje. – George wyglądał na szczerze przejętego.

– Jak wiele rodowych diamentów zdołała dotąd zastawić? – spytał z rezygnacją Jack.

– Diamentów nie zastawiła, ale za to parę kolczyków z szafirami i perłowy brelok. Ja... hm... odkupiłem je... bo myślałem, że nie będziesz chciał ich tracić. – George sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą paczuszkę, którą podał przyjacielowi. Jack włożył ją do własnej, wewnętrznej kieszeni.

– Dziękuję, George. Ile jestem ci winien?

George potarł podbródek.

– Pięć tysięcy... ale wybacz mi, Jack, trudno wprost patrzeć, jak ktoś tyle przegrywa. Jasne, Arabella jest niedoświadczonym graczem, lecz wygląda na to, że ona właśnie chce przegrywać.

– Obawiam się, że masz rację. – Jack uśmiechnął się krzywo. – W każdym razie na pewno nie stara się wygrać ani nawet spróbować jakiejś rozsądnej strategii.

Poklepał się w zadumie po kieszeni, nim wypisał drugi czek i podał go George'owi. Potem podziękował mu raz jeszcze i poszedł do przyległego pokoju, żeby zagrać w kości.

Do domu przyszedł wczesnym popołudniem. Powiedziano mu, że jej wysokość wróciła i jest u siebie w buduarze. Poszedł tam i otworzył cicho drzwi. Nigdzie nie dostrzegł śladu psów i domyślił się, że siedzą w kuchni, dopraszając się u kucharza smacznych kąsków. Alphonse przepadał bowiem za nimi i niemal bez przerwy gotował im kości lub skubał kurczaki, robiąc to z takim samym oddaniem, z jakim przygotowywał posiłki dla swego pana.

Blask popołudniowego słońca padał na szezlong, na którym Arabella drzemała pod wełnianym okryciem, z policzkiem wspartym na dłoni. Jack stał przez dłuższą chwilę, patrząc na jej ciemne rzęsy i śmietankową cerę. Zauważył też jednak podkrążone oczy. Wyglądało na to, że ostatnio nie sypiała dobrze. Czyżby zbyt wiele czasu spędzała w zaułkach Londynu na

swoich filantropijnych wędrówkach? A może zbyt skwapliwie traciła jego majątek przy stołach gry?

Otworzyła nagle oczy, jakby zbudził ją przyglądaniem się jej bez słowa. Przez chwilę był gotów przysiąc, że w głębi brązowych oczu rozblęsnęła radość. Potem usiadła na szeszlunku i zrzuciła z siebie okrycie.

– Wrócił pan. Oczekiwałam tego dopiero za kilka dni.

Arabella pragnęła, aby jej słowa zabrzmiały obojętnie, jakby nie obeszła jej specjalnie jego nieobecność, lecz w istocie serce biło jej szybciej i z trudem się powstrzymała przed rzuceniem mu się na szyję.

– Tak, madame. Wróciłem – odparł, po czym przysunął sobie krzesło i siadł na nim okrakiem, z rękami wspartymi na poręczach. – A wnosząc z tego, co słyszę, nie było mnie o wiele za długo. – Wyciągnął z kieszeni paczuszkę przekazaną mu przez George'a i rzucił ją na szeszlunek. Arabella natychmiast zrozumiała, co jest w środku.

– Pewnie powinienem się cieszyć, że to nie są rodzinne diamenty książąt St. Jules – zauważył.

Arabella spojrzała na niego z jawnym zdumieniem.

– Nigdy bym tego nie zrobiła. Zastawiam tylko to, co jest moje.

– Moja droga, jeśli zmuszona jesteś zastawiać własne klejnoty w takim razie twoje długi muszą już znacznie przekraczać wysokość uzgodnionych przed ślubem apanaży. A ja uważałem je za więcej niż szczodre. Najwyraźniej się pomyliłem – stwierdził sucho.

– Przecież wszyscy grają,

– Owszem, ale nie każdy gra wyjątkowo źle – wytknął jej. – Celowo źle, jak jestem zmuszony stwierdzić. Nawet ktoś równie słabo obeznany z zasadami gry jak ty wygrywa od czasu do czasu.

Czuła, że się gwałtownie czerwieni pod jego przenikliwym spojrzeniem.

– Widziałam, jak księżna Devonshire podczas jednej nocy przegrała dziewięć tysięcy gwinei.

– Księżna nie jest, powtarzam, nie jest dobrym przykładem do naśladowania. Gra stała się dla niej nałogiem i w końcu ją zrujnuje. Ale nie sądzę, byś ty, moja droga żono, była uzależniona od hazardu. – Spojrzał jej prosto w oczy.

– Przegrywam tylko to, co wygrałeś od mego brata – odparła, gładząc powoli fałdy jedwabnego negliżu.

– Hm. Tak właśnie sobie myślałem – odparł zamyślony. – No cóż, muszę powiedzieć, że nic z tego. Nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami i patrzeć jak mnie rujnujesz, Arabello.

– A jak zamierzasz mi w tym przeszkodzić? – spytała, marszcząc czoło i rzucając mu wyzywające spojrzenie.

Myślał przez chwilę, a potem powiedział z powagą:

– Wydaje mi się, że mam dwa wyjścia.

– Jakież one są, milordzie? – Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

Jack złożył obie dłonie czubkami palców.

– Oczywiście, mógłbym wygrywać więcej, żeby pokryć twoje przegrane, ale muszę przyznać, że wymagałoby to ode mnie większego wysiłku niż ten, na który teraz mnie stać. Albo... – Urwał na chwilę, nim zaczął mówić dalej: – Albo mógłbym nauczyć cię, jak grać, żeby wygrywać.

– Uniósł dłoń, żeby powstrzymać jej protesty, choć już otwierała usta. – Proponuję, żebyśmy poszli do biblioteki i ucieli sobie partyjkę faraona.

Arabella nie wstała od razu z szezlonga.

– A jak twoja wizyta na wsi? Czy zdołałeś sobie poradzić z tymi kłopotami w majątku? – spytała, uśmiechając się jedynie ustami. Sarkazm był wyraźnie wyczuwalny w jej głosie. Wspomnienie Lilly Worth z jej nieskazitelną, porcelanową cerą i błękitnymi oczami nawiedzało ją przez wszystkie dni nieobecności Jacka. Pogardzała sobą z tego powodu, ale nie mogła na to poradzić.

– Tak – odparł, trochę zaskoczony jej tonem. – Byłoby mi jednak przyjemniej, gdybyś pojechała tam ze mną.

Jaki zręczny z niego kłamca.

– Nikt ci tam nie dotrzymywał towarzystwa?

– Tylko mój rządca, a nie jest to najsympatyczniejszy człowiek. – Jack wstał z krzesła. – Chodź, Arabello, zacznijmy nasze lekcje gry.

Później, tego samego wieczoru, Arabella praktycznie wykorzystywała zdobytą wiedzę na przyjęciu wydawanym przez markizę Bute. George Cavanaugh siedział obok niej i obserwował grę z zaskoczeniem.

– Madame, szczęście zaczyna pani sprzyjać – zauważył, gdy wygrała rozdanie, stawiając na dziesiątkę pik.

– Mój mąż uczył mnie całe popołudnie. – Zaśmiała się beztrąsko. – Lekcja odniosła skutek. – Przesunęła do siebie ruloniki monet i przez chwilę zastanawiała się, próbując dobrać właściwe słowa. Nie miała dotąd okazji, żeby pytać o coś, czego chciała się dowiedzieć. Czowała, że rozmowa o mężu z jego najbliższym przyjacielem będzie czymś niestosownym. George jednak przyjaźnił się teraz już i z nią, a nie tylko z Jackiem.

Wreszcie podjęła decyzję i spytała cicho:

– George, czy był pan przy tym, kiedy Jack po raz ostatni grał z moim bratem?

George zasepił się i odparł równie cicho jak ona:

– Tak. A czemu pani pyta?

– Bo chcę dokładnie wiedzieć, co się wtedy właściwie stało – wyjaśniła otwarcie, – Jest pan najlepszym przyjacielem Jacka i sędzę, że nikt inny nie powie mi o tym lepiej od pana.

– Droga madame... – George odchrząknął. – Jack z pewnością.....

– Jack mi nic nie powie. Nie wiem nawet dlaczego...

– Chodźmy gdzieś – przerwał jej – gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

Skwapliwie wstała od stolika, a Cavanaugh poprowadził ją do wnęki przy oknie w dalekim końcu sali.

– Tutaj nikt nam nie przeszkodzi – mruknął.

Skinęła głową. Była blada i wyraźnie zdenerwowana.

– Muszę wiedzieć, dlaczego Jack zrujnował Fredericka. Czy pan zna ten powód?

– Moja droga, to nie musiała być intryga. Pani brat po prostu siadł do gry i przegrał.

– George, wie pan dobrze, że to nie wszystko. Jack doprowadził go do śmierci. Dlaczego normalny człowiek miałby robić coś podobnego?

– No cóż, oni zawsze śmiertelnie się nienawidzili.

– Dlaczego? – Arabella położyła dłoń na jego ręce. – Musi mi pan pomóc to zrozumieć, George. Nie chcę wierzyć, że mój mąż mógłby w sposób zimny i wyrachowany doprowadzić kogoś do ruiny i śmierci bez wyraźnego powodu. George popatrzył na nią bezradnie.

– Jack nie jest zimny ani wyrachowany. Nie może pani o tym nie wiedzieć.

– A ja właśnie nie wiem – powiedziała twardo. – To znaczy wiem, że może być inny, ale nie mam pojęcia, jaki jest naprawdę. Proszę mi powiedzieć.

George westchnął. Lubił kobietę, którą Jack z niewiadomego powodu wybrał sobie na żonę, a nawet bardzo ją lubił, ale był też głęboko przywiązany do przyjaciela. W stosunkach pomiędzy Jackiem a Arabellą tkwiło coś złego. Może trzeba im pomóc.

– Nie wiem, czy akurat ja powinienem o tym wspominać, lecz wiele lat temu Jack i pani brat poróżnili się... o kobietę. – Poczul się zażenowany, ale Arabella nie spuszczała oczu z jego twarzy. – Zdaje się, że... że Frederick obszedł się z nią niehonorowo – wydusił z siebie. – Tylko sami zainteresowani wiedzieli dokładnie, o co poszło, ale Jack wyzwiał Lacey'a na pojedynek. Niemal go wtedy zabił. Lacey mu tego nigdy nie wybaczył, a Jack zawsze nim odtąd gardził.

– Ach, pojmuję. – Arabella się zamyśliła. W dzieciństwie właściwie nie знаła Fredericka. Pewnie uznano, że jest za mała, aby wiedzieć o tym incydencie, albo może ojciec nie miał okazji jej o tym powiedzieć, co nie byłoby niczym dziwnym. Nie pamiętała, by Frederick kurował się ze skutków fatalnego starcia. Oczywiście, rzadko się pojawiał w Lacey Court, a więc pewnie rekonwalescencja odbyła się w Londynie. Wszystko, co mogłaby sobie przypomnieć z wcześniejszych lat życia przyrodniego brata, zostało przyćmione jego późniejszym, hulaszczym i rozwiązłym zachowaniem. Pamiętała wykrzywione szkaradnie wargi

I małe, głęboko osadzone oczy, zawsze przekrwione od przepicia. Czasami zastanawiała się, czy Frederick mógł kiedykolwiek przypominać przyzwoitego człowieka. Sądząc ze słów George'a, raczej nie.

Dawna kłótnia, nawet tak gwałtowna, nie wystarczyłaby jednak, by Jack chciał zniszczyć Fredericka wiele lat później.

Spojrzała na zatłoczony, rześście oświetlony salon i zobaczyła męża w odległym końcu pomieszczenia.

Patrzył prosto na nią, jakby mógł czytać z jej ust. Poczowała, że mrowi ją skóra na karku. Jack miał posępną minę, a spojrzenie jeszcze bardziej nieprzeniknione niż zwykle.

– Czemu on czasami tak dziwnie wygląda? Tak ponuro – mruknęła w gruncie rzeczy do siebie.

– Nie wiem, co pani ma na myśli, madame.

– Owszem, wie pan – upierała się. – Zna go pan lepiej niż ktokolwiek inny. Czasami wygląda tak, jakby w istocie był gdzie indziej.

– Może to ma coś wspólnego z jego siostrą – zaczął ostrożnie George. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Czy on ma siostrę? Nigdy o niej nie wspominał. Zresztą o innych bliskich też nie. Sądziłam dotąd, że nie ma nikogo.

– Owszem, miał siostrę, Charlotte – wyjaśnił George. – Ona żyje... albo żyła... we Francji. Wyszła parę lat temu za wicehrabiego de Villefranche. Byli dworzanami w Wersalu. Nie mam pojęcia, czy ona i jej mąż przeżyli czas terroru. Jack zeszłego roku pojechał tam, żeby ją odszukać... ale wrócił sam. – Przesunął w zamyśleniu dłonią po ustach, nim zaczął mówić dalej. – Powiedział mi, że uważa ją za straconą, ale nie mówił nic więcej. – George westchnął. – Miał taki głos, że wolałam o nic więcej nie pytać... pani wie, jaki on czasem potrafi być. Jeśli mogę coś doradzić, Arabello, nie wspominałbym o tym, póki Jack sam nie podejmie tematu.

– Oczywiście, że nie – odparła, marszcząc gęste brwi. –Dziękuję, George, i przepraszam, jeśli moje pytania postawiły pana w kłopotliwej sytuacji.

– Ależ skąd. Proszę nie przywiązywać do tego wagi – dodał z wyraźną ulgą, że rozmowa dobiegła końca. – Zawsze do usług. – Ukłonił się elegancko.

– Dziękuję – powtórzyła.

Uśmiechnęła się do niego i zostawiła go przy oknie, a sama przeszła przez salon ku mężowi. Powitał ją chłodnym uśmiechem.

– Widzę, że miałaś bardzo intymne *tete-a-tete* z George'em.

– Jakaż może być intymność w tym salonie? – obruszyła się. –Jest tu chyba ze sto osób.

– W takim razie było ono pełne zaangażowania. – Ciągłe mierzył ją chłodnym spojrzeniem. – Czy mogę wiedzieć, o czym rozmawialiście?

– O niesłychanym zachowaniu lady Jersey – odparła lekko. – Książę Walii jeszcze nie przywiózł żony do Anglii, a ona już mianowała siebie jedną z dam dworu księżny Karoliny. Słyszałeś o tym?

– Słyszałem – odparł, lecz wcale nie był pewien, czy ta właśnie wieść, choć wielu się nią pasjonowało, istotnie była tematem rozmowy między jego żoną a najlepszym przyjacielem.

Arabelli bez trudu udało się okazać zgorszenie. Z pewnych powodów, w które wolą bliżej nie wnikać, ostentacyjne popisywanie się lady Jersey względami kochanka budziło w niej najgorsze uczucia. Podobnie odbierała jej zachowanie większość żon w kręgach socjety i to zapewne z tych samych przyczyn.

– Lady Jersey unieszczęśliwi tę biedną dziewczynę – ciągnęła ze zgorzeniem. – Wiesz przecież, jak potrafi zadreć żony swoich kochanków.

– Ja tak, ale skąd ty to możesz wiedzieć? – spytał zaskoczony. Lady Jersey istotnie dokonywała od wielu lat bezwzględnych podbojów wśród mężczyzn z dobrego towarzystwa, lecz Arabella żyła wtedy spokojnie u siebie na wsi.

– Mam uszy i słucham – odparła nieco żartobliwie, a jej ton przypomniał mu dawną Arabelle.

– Rzućmy w diabły to całe przyjęcie i wróćmy do domu – zaproponował, gładząc ją po karku. – Wygrałaś wystarczająco dużo jak na jedną noc?

– Tylko sześćset gwinei – odparła ze śmiechem, przytulając głowę do jego ciepłej ręki.

– Musi wystarczyć – powiedział miękko. – Po tygodniu na wsi czuję, że niezwłocznie potrzebuję mojej żony.

A ja mojego męża, pomyślała.

Jack zaczął upojną noc jeszcze w powozie, sadzając ją sobie na kolanie i sięgając pod podwiązkę tak głęboko, że nagle zabrakło jej tchu. Szybko doprowadził ją do szczytu. Odwzajemniła mu się tym samym. Powóz trząsnął się i podskakiwał na bruku, gdy siadła mu na kolanach i przygryzając dolną wargę, unosiła się i opadała zgodnie z ruchami pojazdu. Jack objął ją oburącz za talię, wpatrzony w jej oczy, a ona brała go głęboko w siebie. Trwała potem bez ruchu, czując, jak nadchodzi jego spełnienie, a wówczas jej pocałunek stał się jeszcze głębszy. Czuła jego rozkosz, a po chwili uwolniła swoją. Nieświadomie przygryzła mu wargę, starając się

powstrzymać od krzyku, gdy powóz nagle stanął. Straciła równowagę i osunęła się na siedzenie, leżąc wśród zwojów pogniecionej odzieży.

– Dobry Boże– mruknął Jack, zlizując krew z warg. –Potrafisz kąsać niczym lisica, kiedy cię poniesie, moja miła.

Zaśmiała się słabo, gdy woźnica otworzył drzwi i zajrzał w mroczne wnętrze.

– Wasza wysokość... wasza wysokość... Cavendish Square – wybąkał, ukrywając zdumienie na widok niestosownej sceny.

– Dziękuję, Frank. – Jack wy dostał się jakoś z fałdów spódnicy żony i wyskoczył na bruk. Podał rękę Arabelli i niemalże wyciągnął ją z powozu.

Poszła za nim, zdając sobie sprawę, że ma przekrzywioną górę i kompromitującą wilgotną plamę na zmiętoszonej beznadziejnie spódnicy. Poruszyła wachlarzem, usiłując okazać możliwie najwięcej godności, i powoli podeszła do drzwi, unosząc jedną ręką suknię. Przeszła obok Tidmoutha, życząc mu nieco wyniośle dobrej nocy i podążyła chwiejnie na górę.

Psy skoczyły, by ich powitać, gdy weszli do buduaru. Uspokoila je i opadła ze śmiechem na fotel.

– Co też sobie Tidmouth pomyśli? – rzuciła niemal bez tchu. — Spójrz na mnie. Wyglądam, jakbym przełaziła przez żywopłot! — Szpilki wypadały jej z włosów jedna po drugiej. – A ty, panie mężu, jesteś ciągle rozpięty. – Jack spojrział z konsternacją w dół, a ona znów zaniósła się śmiechem.

Pospiesznie doprowadził odzienie do porządku i sam też zaczął się śmiać.

– Na szczęście nie płacę służbie za myślenie – powiedział, otwierając drzwi do sypialni żony.

– Becky, możesz iść spać. Jej wysokość sama sobie dziś poradzi.

Rozespana służąca poderwała się ze stołka przy kominku i usiłowała dygnąć.

– Dobrze, wasza wysokość. Jeśli jej wysokość jest pewna.

– Jej wysokość jest całkiem pewna – odparł stanowczo. – No, a teraz zmykaj.

Becky ponownie dygnęła i pośpiesznie opuściła pokój. Jack odwrócił się w stronę buduaru.

– Chodź no tu, pani żono, bo ja wcale nie straciłem ochoty.

– Co, znowu mnie będziesz prześladował?– spytała zdumiona, przyciskając dłoń do serca.

– Jeśli chcesz to tak nazwać – zgodził się wesoło. – No, chodź i zdejmij wreszcie tę zmaltretowaną suknię. – Wciągnął ją do sypialni, zamykając psom drzwi przed nosem.

Dużo później Arabella osunęła się bezwładnie na dywan przed kominkiem i dopiero wtedy dotarło do niej, że wełniana tkanina gryzie ją w plecy. Przedtem nie czuła żadnej niewygody. Jack uniósł się na łokciu, odsunął jej z czoła pasmo włosów i zaczął:

– No, a teraz powiedz mi, moja słodka żono, o czym ty i George rozmawialiście z takim zaangażowaniem.

– Powiedziałam ci. – Przyjrzała mu się ostrożnie. Leżał koło niej uspokojony, a choć resztki namiętności tliły się jeszcze w jego oczach, widniało w nich także stanowcze żądanie.

– Nie, powiedziałaś mi nieprawdę. Odpowiedz mi. – Złagodził bezwzględny ton, całując ją w kącik warg.

Arabella zaczęła się zastanawiać. Może w półmroku sypialni, gdy odblask ognia oświetlał ich wciąż jeszcze złączone ciała, nadszedł właściwy moment, żeby zbliżyć się do poznania jego sekretu?

– Mówił mi co nieco o twoim zatargu z Frederickiem. O tym, że dawno temu stoczyłeś z nim pojedynek z powodu kobiety.

Jack odsunął się od niej gwałtownie. Po co mieszała do tego Fredericka? Poczul rozgoryczenie. Jego nienawiść do Lacey'a ogarnęła go na nowo, jednak po chwili zdołał stłumić to uczucie. Arabella nie była swoim przyrodnim bratem. Nie miała nic wspólnego z tym, o co się obydwaj poróżnili. Owszem, stała się narzędziem jego zemsty, ale była zupełnie niewinna. Po cóż jednak wtykała nos w jego sprawy?

Położył się koło niej na plecach, wpatrzony w subtelne malowidła na suficie.

– Czemu uznałaś za stosowne, żeby grzebać w mojej przeszłości? – spytał lodowato.

Aż jej dech zaparło, tyle było w jego głosie jadu.

– Nie grzebałam w niej – zaprzeczyła natychmiast. – Dość często cię pytałam, czemu właściwie zrujnowałeś Fredericka, a ty zawsze odmawiałeś odpowiedzi. Nie sądzisz, że miałam prawo o tym wiedzieć?

Przez chwilę nic nie mówił, nadal patrząc w sufit, i Arabella zaczęła żałować, że w ogóle poruszyła ten temat, chociaż jego reakcja ją rozgniewała. Chciała już wstać, gdy zatrzymał ją, delikatnie kładąc dłoń na jej biodrze.

– Poczekaj – powiedział. Nie mógł odpowiedzieć na jej ostatnie pytanie, ale uznał, że zaspokoi jej ciekawość tamtą starszą historią. Nikogo już nie mogło to skrzywdzić.

Arabella czekała, spoglądając mu uważnie w twarz. Widziała jednak przed sobą nieprzeniknioną maskę i nie potrafiła odczytać z niej żadnych uczuć.

Wreszcie zaczął mówić, chociaż powoli i niechętnie.

– To stara historia, Arabello. O szczegółach wiedziały tylko trzy osoby: ja, twój brat i kobieta, o którą chodziło. A teraz zostałem już tylko ja.

– Co się z nią stało? – Spojrzała na niego z uwagą.

– Umarła – powiedział bezbarwnym głosem.

– Czy to Frederick ją... – Nie zdołała dokończyć pytania.

– Nie w sposób dosłowny, lecz zgorszona rodzina wygnała ją do dalekich krewnych na Hebrydy, gdzie po kilku miesiącach zaraziła się tyfusem i zmarła. – Mówił spokojnie, rzeczowo, obojętnie. Arabella nie dała się jednak oszukać. Ten temat był dla niego trudny. Położyła dłoń na jego brzuchu.

– Czy opowiesz mi o tym, Jack?

– Niełatwo mi przychodzi rozprawiać o moich osobistych sprawach.

– Jakbym o tym nie wiedziała. – Usiadła, patrząc na niego z rozgoryczeniem. – Jeśli nie chcesz mi powiedzieć o czymś tak blisko ze mną związanym, to nie możesz mieć pretensji, że pytam innych ludzi. Nie możesz mieć wszystkiego, Jack.

– No cóż, muszę przyznać, że istotnie nie mogę. – Przygarnął ją do siebie. Ułożyła głowę w zagłębieniu jego ramienia.

– Dobrze, powiem ci wszystko. Zdarzyło się to jakieś dwadzieścia lat temu. Dopiero co zyskałem pełnoletność.

– Frederick miał wtedy koło trzydziestki – powiedziała, szybko przeliczając.

– Tak, i już wówczas był do cna zdemoralizowany – odparł zimno. – To prosta historia, można ją zawrzeć w kilku słowach. Byłem wtedy zakochany w pannie bardzo młodej, bo zaledwie szesnastoletniej. Twój brat uznał, że on również. Podejrzewam, że był zakochany w jej majątku, ale nie będę się w to zagłębiał – dodał z sarkazmem. – Tak się jednak złożyło, że wybrała mnie, a nie jego, a on ją wtedy porwał. Zamierzał potem zmusić ją do małżeństwa. Dogoniłem ich na drugi dzień. Frederick odniósł ciężką ranę w pojedynku, do którego go zmusiłem, ale jej reputacja została raz na zawsze zrujnowana.

– Czemu sam się z nią nie ożeniłeś? Przecież to by uratowało jej reputację. – Arabella uniosła głowę, chcąc spojrzeć na niego.

– Rodzina nie uznała mnie za odpowiednią partię – wyjaśnił oschłym tonem i umieścił jej głowę na poprzednim miejscu. – Obawiam się, że zmarnowali własną córkę z powodu nadmiernych skrupułów. Miałem wątpliwą reputację i byłem w trakcie przegrywania całego majątku przy kartach, trudno się więc było im dziwić.

– Straciłeś całą fortunę? – Uniosła ponownie głowę zaintrygowana, ale też i trochę zaszokowana.

– Owszem, a potem zdobyłem następną.

– Dzięki grze?

– Tak, moja droga, dzięki grze.

– Musisz być w takim razie świetnym graczem – rzekła z podziwem. – Tak wiele przecież zależy od szczęścia.

– Istotnie, ale nie wszystko, jak ci udowodniłem tego popołudnia. Pewien głupi młodzieniec w Brugii w ciągu tygodnia przegrał ze mną wszystko, co miał.

– A potem zrobiłeś to samo z moim bratem. – Leżała obok niego wsparta na łokciu i leniwie błędziła palcami po jego piersi, mając nadzieję, że skieruje rozmowę na temat nocy, podczas której zrujnował Fredericka.

– Możesz to nazwać przyzwyczajeniem – zadrwił bez troski.

– Nic dziwnego, że mają cię za diabła wcielonego – stwierdziła.

Jack zaśmiał się dyskretnie i przytrzymał jej rękę.

– A teraz ja poproszę o odpowiedź. Gdzie jest list, który zabrałaś z mojej szkatułki?

– Ach – odparła i odetchnęła z wolna. – W moim sekretarzyku.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

Jack usiadł, podniósł się z dywanu i schylił, by dorzucić polano do ognia. Przez chwilę nie mogła oderwać oczu od jego ciała, lecz był to tylko krótki odruch, namiętność gdzieś wyparowała. Osłoniła piersi rękami, uświadamiając sobie nagle własną nagość.

– Czemu go nie wysłałeś?

Przeciągnął dłonią po karku, odwracając się od ognia.

– Nie chciałem wówczas, żebyś miała jakąś alternatywę poza moimi oświadczeniami. Potrzebowałem czasu, żeby cię do nich przekonać. Potem zaś, jeżeli sobie przypominasz, zgodziłaś się dość szybko, nie widziałem więc powodu, by go wysłać. A później, szczerze przyznam, po prostu o nim zapomniałem.

– To było nieuczciwe.

– Być może. – Skinął powoli głową. Przygryzła wargę, marszcząc mocno brwi.

– Dlaczego uznałeś poślubienie mnie za coś tak ważnego, że posunąłeś się aż do podstępu?

Jack sięgnął po szlafroki milczał przez chwilę.

– Zwykle dostaję to, czego pragnę – powiedział w końcu. – A ciebie pragnąłem. Im mocniej mi się opierałaś, tym silniej cię pragnąłem.

Ta otwarta, egoistyczna odpowiedź zabrzmiała prawdziwie. Arabella powoli wstała i wsunęła ręce w rękawy peniuaru, który Becky położyła na łóżku.

– Nie miałeś ani trochę wyrzutów sumienia?

– No, może trochę – przyznał.

– Ale dlaczego mnie pragnąłeś? – Arabella nie ustępowała. Sięgnął po karafkę stojącą na bieliźniarce i nalał koniaku do

dwóch kieliszków. Mówił ciągle odwrócony do niej plecami:

– Może myślałem, że to będzie z mojej strony honorowe posunięcie. Pozbawiłem cię opieki rodziny, więc ten rodzaj zadośćuczynienia uznałem za rzecz słuszną. Potrzebowałem też żony, a ty tam akurat byłaś. – Wzruszył ramionami. – Wydawało mi się to oczywiste.

Dopiero po tych słowach odwrócił się do niej i podał jej kieliszek. Arabella wzięła go i spojrzała na męża w milczeniu.

Brzmiało to prosto i pasowało do niego. Do aroganta, hulaki, gracza. Gdy czegoś chciał, zdobywał to wszelkimi dostępnymi środkami. Wiedziała jednak, że to tylko część prawdy o Jacku, tak jak była przekonana, że usłyszała dziś od niego tylko część historii. Uznała mimo wszystko, że jak na jedną noc dowiedziała się wystarczająco dużo.

Uniósł kieliszek w geście toastu.

– Oczywiście, moja droga, im lepiej cię poznaję, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że związek z tobą może być czymś więcej niż tylko małżeństwem z rozsądku.

Schyliła bez słowa głowę na znak zgody, a on wyciągnął rękę, żeby się z nią trącić kieliszkiem.

– Wypijmy za przyszłość – powiedział.

Dużo później, gdy leżała w ramionach Jacka, wsłuchana w wyrównany rytm jego oddechu i wpatrzona w odbłask ognia na malowanym suficie, Arabella bezskutecznie starała się zasnąć.

Jaką kobietą była jego siostra? Dlaczego Jack nigdy o niej nie wspominał, nigdy nie mówił o stracie? Podczas terroru mnóstwo ludzi straciło życie, wszyscy o tym wiedzieli.

Jeśli jednak on jej nie chciał powiedzieć, będzie musiała dowiedzieć się na własną rękę. Może ktoś z zaprzyjaźnionych emigrantów dostarczy jej informacji?

Bardziej niż kiedykolwiek zapragnęła mieć przy sobie Meg. Listy mogły dać jedynie namiastkę bystrości i wnikliwości przyjaciółki, a szły pocztą rozpaczliwie długo. Kiedy odpowiedzi Meg na epistoły Arabelli wreszcie nadchodziły, okazywały się już zbędne. Sir Mark mógł jednak robić trudności, gdyby jego córka musiała ponosić koszty długiej wizyty w Londynie. Inicjatywa ze strony Jacka mogłaby ją przyspieszyć, uznała z irytacją. W końcu to był dom Jacka. A przynajmniej tak uważał sir Mark. Serdeczne zaproszenie ze strony pana domu wszystko by tu zmieniło.

Lubiła szczerze sir Marka, lecz wiedziała też, jak skrupulatnie dbał o nakazy dobrego wychowania, a ją nadal uważał niemal za córkę. To, że zyskała wysoką pozycję wśród elity, nic tu nie zmieniało. Nie, Jack będzie musiał sam wysłać zaproszenie, i to szybko.

Arabella wachlowała się energicznie, czekając wśród tłumu dworzan w sali przylegającej do Wielkiego Salonu w St. James's Palace na oficjalną prezentację przed żoną księcia Walii, księżniczką Karoliną z Brunszwiku. Mimo chłodnego kwietniowego popołudnia było tam gorąco, ponieważ na masywnym kominku płonął potężny ogień, a ze złoconego i malowanego sufitu zwisały żyrandole z mnóstwem świec. Powietrze jak zawsze było ciężkie od woni mocnych perfum, zapachu pudru do włosów i potu. Panował tam również nieznośny hałas, bo wszyscy mówili głośno jeden przez drugiego, przekrzykując się niczym stado srok.

Było jej duszno w archaicznym już stroju dworskim, obowiązkowym podczas odbywających się dwa razy w tygodniu audiencji w królewskich salonach. Idiotyczne strusie pióra wpięte we fryzurę nieco już opadły, a diamenty rodowe książąt St. Jules zdawały się ważyć tonę. Diadem uciskał głowę, kolczyki – uszy, a kolia – szyję. Manewrowała olbrzymim robrosem z białej krepy, starając się nie potraścić złoconego stoliczka, gdzie stało kilka wytwornych tabakierok, i w samą porę przypomniała sobie, że musi unieść blisko metrowy tren ku górze, żeby nie zahaczyć nim o delikatne nóżki mebla, bo w przeciwnym razie bezcenne bibeloty spadną na posadzkę.

– Jak długo może to wszystko trwać, George? George Cavanaugh roześmiał się, lecz niezbyt wesoło.

– Tak długo, jak się tylko spodoba jej królewskiej mości. Czasami każe nam czekać do zmroku, to jest jej sposób karania opozycji. Kiedy musi już przyjmować w Wielkim Salonie wigów, dba o to, byśmy trochę pocierpieli.

– Czarujące – mruknęła, kołysząc wachlarzem coraz energiczniej. – A jak ona traktuje lady Jersey?

George się skrzywił.

– Rzecz jasna z absolutną uprzejmością. Jej lordowska mość jest w końcu damą dworu księżniczki, a więc osobą zaufaną. Zażyłość, jaka ją łączy z księciem Walii, nie jest tu żadnym problemem.

– Myślę, że dla księżniczki to będzie problem. – Arabella rozejrzała się po sali. – Chyba się trochę poruszamy. – Przy masywnych drzwiach wiodących do Wielkiego Salonu wszczął się nagły ruch i raptem obydwójce znaleźli się kilka stóp od wejścia. Wewnątrz sznur gości ciągnął się przez całą długość ogromnej sali, gdzie królowa, jej najstarszy syn i jego żona siedzieli na tronach w najdalszym krańcu pomieszczenia, otoczeni mniej ważnymi członkami rodziny królewskiej.

– Chyba nam przyjdzie tkwić tu aż do zmroku – stwierdził z rezygnacją George – a ja strasznie zgłodniałem. Powinni podać jakiś poczęstunek, nie uważa pani? A tak przy okazji, gdzie jest Jack?

– Poszedł po napoje orzeźwiające. Uprzedzam, że nie jest w najlepszym nastroju.

– Żadne z nas w nim nie jest. Łącznie z księciem Walii. Ponury jak chmura gradowa, patrzy z wściekłością na tę biedną dziewczynę, z którą się ożenił.

– Z którą musiał się ożenić – poprawiła go. – Powiedział mi, że parlament i jego ojciec grozili cofnięciem mu apanaży i odmową spłaty długów, gdyby nie zgodził się poślubić księżniczki Karoliny. – Wzruszyła obnażonymi ramionami. – Powiedziałabym, że postąpił pragmatycznie.

Rzecz jasna, pragmatyczne decyzje w sprawach tego typu czasem się kończyły w dość nieoczekiwany sposób. Obejrzała się odruchowo i

zobaczyła, że Jack toruje sobie drogę przez tłum w towarzystwie lokaja z tacą, co przychodzi mu z łatwością. Wystarczyło, że coś komuś rzekł albo dotknął czyjegoś ramienia i już ludzie rozstępowali się przed nim niczym fale Morza Czerwonego. Gdy mu się przyglądała, Jackowi zastąpiła drogę hrabina Worth.

Arabella poczuła, że dławi ją w gardle. Chciała spojrzeć w inną stronę, powiedzieć coś swobodnie do swego towarzysza, lecz nie mogła oderwać od nich oczu. Patrzyła, jak Lilly kładzie dłoń na ramieniu Jacka, a on staje i uśmiecha się do niej. Byli jednak za daleko, a w pomieszczeniu panował zbyt donośny gwar, by Arabella usłyszała, co powiedział, lecz dojrzała, że jej mąż ma poważną minę, a potem się kłania. Lilly z uśmiechem ponownie dotknęła jego ramienia, gestem mówiącym o niedwuznacznej zażyłości, i cofnęła się.

George Cavanaugh odezwał się nagle i zbyt głośno:

– Ma pani jakieś wieści od przyjaciółki z Kent? Czy wkrótce przyjedzie z wizytą?

– Mam nadzieję, że tak – odparła Arabella, doskonale wiedząc, że George też wszystko zobaczył. – Sir Mark Barratt nie bardzo chce jej na to pozwolić, ale mam nadzieję, że uda mi się go przekonać. Znam Meg od dzieciństwa i przyznam, że byłabym zadowolona z odrobiny kobiecego towarzystwa.

– Ach, madame, dotknęła mnie pani do żywego – zaprotestował George z pełnym galanterii ukłonem. – Czy tutejsi *cicisbeo* pani nie wystarczą?

– Niechże pan nie plecie głupstw. – Arabella uderzyła go lekko wachlarzem po rękę, drwiąc z jego uwagi. – Doskonale pan wie, że nie dbam o żadnego z nich.

– Słyszając takie słowa, każdy *cicisbeo* pewnie by padł zemdłony. – Jack stanął tuż za nią. – Jesteś w królewskich salonach, moja droga, zechciej o tym pamiętać.

– Nie mogę zapomnieć, bo to niemożliwe — odcięła się. Jack nie mógł po jej zachowaniu poznać, że wszystko widziała. A już na pewno nie powinien się dowiedzieć, że sprawił jej przykrość. Wzięła kieliszek wina z podsuniętej jej przez lokaja tacy oraz coś, co wyglądało na raczej oklapłą i rozmiękłą tarteletkę z serem.

– Jack, ty po prostu czynisz cuda – uznał George, również się częstując.

– Chciałbym dokonać jeszcze jednego, mój drogi – odparł niedbale Jack. – Ale niech to przypadnie w udziale Arabelli. – Wyjął etui z kartami wizytowymi i wybrał jedną z nich. – Pani żono, chciałbym, żebyś coś tutaj napisała.

– Ale czym? Och... – Arabella zobaczyła, że na trzymanej przez lokaja tacy stoi też kałamarz i podstawka z piórem.

– Nasz przyjaciel potrzyma nam tacę, żeby ani drgnęła – powiedział Jack.

Miał w oczach wesoły, beztroski ogień, który zdążyła już pokochać, ale nie potrafiła się jednak powstrzymać od zerknięcia na Lilly Worth. Zawarła z Jackiem układ, przypomniała sobie samej, i nie miała prawa się skarżyć. A jednak chętnie by wydrapała oczy rywalce. Co też Lilly mogła mówić do Jacka?

Hrabia Worth podszedł właśnie do żony, a Arabella chwyciła za pióro.

– Co mam napisać?

Jack podyktował jej uroczystym głosem, któremu przeczył błysk w oku:

– Drogi książę, jestem bliska omdlenia. Błagam, proszę sprawić, by podpisana niżej dama i jej małżonek powitali pańską żonę, nim nastąpi ta katastrofa.

– A co ze mną? – spytał George, gdy rozbawiona Arabella posłusznie pisała, co trzeba, na odwrocie karty wizytowej.

– Wraz z naszym drogim przyjacielem G. C., również bliskim zemdlenia – dodała, pisząc swoim nieskazitelnym charakterem pisma.

– Oszczerstwo – uznał George – ale lepsze to niż nic. Jack pomachał kartą w powietrzu, by atrament wysechł, a potem ze zwykłą pewnością siebie podszedł ku podwójnym drzwiom, gdzie stał na straży majordom, który natychmiast przekazał bilet księciu.

Książę Walii przeczytał kartę i cicho zachichotał. Zwrócił się ku matce, ignorując zarówno dobre wychowanie, jak i żonę, bo mówił nad głową wyraźnie wyczerpanej małżonki. Królowa Charlotte, choć jawnie niezadowolona, skinęła jednak sztywno głową. Tym razem prośba jej najstarszego syna miała być wysłuchana. Majordom rzucił kilka słów lokajowi, ten zaś podszedł do Jacka i George'a, stojących teraz razem.

– Jej królewska mość przyjmie za chwilę waszą wysokość z żoną i panem Cavenaughem.

– Doprawdy, wcielony z ciebie diabeł! – Arabella zachichotała. Biedny Księciunio* będzie musiał po wszystkim znieść wymówki ze strony matki.

** Tak określano księcia Walii, późniejszego króla Jerzego IV (przyp. tłum.).*

– Och, wierz mi, kochanie, że on też ma z tego wielką frajdę – powiedział miękko. – Dość go już przygnębiło małżeństwo i mały bunt może być pewną formą rekompensaty.

Arabella przygotowała się do prezentacji. Już od czasu swego wcześniejszego debiutu wiedziała, że musi teraz trzymać wysoko głowę, nie potknąć się, broń Boże, i uważać na krynolinę. Czekala ją trudna wędrówka wzdłuż rzędu szpad, strusich piór i falujących sukien osób oczekujących swojej kolei na dostąpienie tego zaszczytu.

Szła pierwsza, przed mężem i George'em Cavanaughem, zbliżając się powoli do królowej. Skłoniła się nisko. Robiła to już, lecz tym razem nie musiała czekać, aż królowa złoży pocałunek na jej czole. Nie była już debiutantką, córką jednego z arystokratów, tylko żoną księcia. Złożyła też ukłon przed następcą tronu, który mrugnął do niej porozumiewawczo, a potem przed nową księżniczką Walii. Młoda kobieta uśmiechnęła się do niej niemalże z nadzieją, pomyślała i odwzajemniła jej uśmiech, a potem dopełniła rytuału, dygając przed resztą członków królewskiej rodziny. Jeszcze raz skłoniła się głęboko przed królową i wycofała się tyłem, nie spuszczać oczu z królowej Charlotte.

Przyszło jej na myśl, że mężczyźni mają o wiele łatwiej, kiedy wyszła wreszcie z Wielkiego Salonu. Ukłon, mimo że niski, było im łatwiej wykonać, choć musieli przy tym manewrować szpadą, a dużo mniej fadygi wymagało od nich wycofanie się tyłem, bo mieli na sobie spodnie do kolan, a nie suknię na rogówce z długim trenem. W dodatku nie trapiły ich obawy, że spadnie im z głowy strusie pióro. Poradziła sobie jednak, a spoglądając prosto w oczy księżniczki Karoliny, poczuła się z nią natychmiast solidarna. Jaka ona była smutna, a jednak pełna determinacji. Nie miała złudzeń co do uczuć małżonka, a mimo to siedziała wytrwale przy nim, na miejscu należnym jej jako przyszłej królowej Anglii.

– Chodźmy stąd wreszcie! – Jack i George już się przy niej znaleźli. — Myślę, że powinniśmy teraz coś zjeść. – Jack ujął ją za łokieć. – Dobrze

zagrałaś, Arabello. Nigdy bym się tego nie spodziewał, wiedząc, jak nie cierpisz podobnych ceremonii.

– Jesteś, rzecz jasna, przyzwyczajony do kobiet, które nie muszą udawać w takich sytuacjach – odparła i z miejsca pożałowała, że nie ugryzła się w język. Hrabia i hrabina Worth, którzy stali w szeregu, byli teraz niemal tuż przed nimi.

– Jak to ci się udało, Fortescu? – zapytał hrabia. – My tu chyba zostaniemy aż do zachodu słońca. Moja żona już niemal mdleje.

– Jeśli tak się stanie, nie będzie to pani winą – powiedziała Arabella do Lilly. – Widziałam już kilka zemdlonych kobiet. Gorąco tu nie do zniesienia.

Błękitne oczy Lilly błysnęły gniewnie i Arabella zrozumiała, że kochanka Jacka nie zamierza przyjmować rad od jego żony. Poczowała niezbyt godziwe w tej sytuacji zadowolenie. George Cavanaugh pogłębił jeszcze irytację hrabiny, mówiąc:

– Lady Arabella ma niewątpliwie rację. Jeśli pani zemdleje, wyniesiemy ją zaraz i nawet królowa nie poczuje się urażona.

Lilly poruszyła wachlarzem i zwróciła się do męża:

– Milordzie, bardzo bym jednak chciała zostać przedstawiona księżniczce, a tu wcale nie jest znów tak gorąco.

– Oczywiście, moja droga. Jak sobie życzysz, moja droga.

– Hrabia podał jej ramię. – To potrwa jeszcze z godzinę lub dwie, jestem tego pewien.

Arabella dygnęła przed Worthami nieznacznie, a mąż i George uklonili się. Potem położyła dłoń na ramieniu Jacka i wysoko unosząc głowę, wyszła majestatycznym krokiem z sali.

– Czy to list od panny Barratt? — spytał Jack, wchodząc do sypialni Arabelli wieczorem tego samego dnia. Jedną ręką rozpiął koszulę, w drugiej trzymał kieliszek portwajnu.

– Tak, właśnie go czytam po raz kolejny. Sir Mark robi niesamowite zamieszanie wokół jej wizyty – odparła z pewnym roztargnieniem, siedząc wyprostowana w pościeli. – Ma, zdaje się, skrupuły, czy wolno mu przyjąć nasze zaproszenie.

– Czy dlatego, że równa się ono aktowi miłosierdzia? – Jack przysiadł na brzegu jej łóżka.

– Może tak właśnie jest. – Westchnęła. – My mamy tak wiele, a on może wysłać tu Meg jedynie z dość skromnym wyposażeniem. To dumny człowiek, Jack.

– Szanuję go za to – odpowiedział rzeczowo. – Jeśli jednak pragnie, by jego córka znalazła tu sobie męża, powinien przełknąć trochę swojej dumy.

Arabella wsparła się plecami o poduszkę.

– Czy byłbyś gotów zafundować Meg drugi sezon, Jack? – spytała.

Pokręcił głową.

– Już raczej ty powinnaś to zrobić, moja miła. Teraz, kiedy stałaś się doświadczonym graczem, możesz chyba sprawić, by twoja przyjaciółka nie naraziła nas na straty.

Arabella zeskoczyła z łóżka w rozwianym negliżu i błyskawicznie kopnęła męża pod kolanem, tak że runął na łóżko, plamiąc portwajnem kołdrę.

– Żadnych gier! – zawołała i padła na niego ze śmiechem, ale widać było, że wcale nie żartuje. – Jeśli Meg zawita do tego domu, to wyłącznie jako moja siostra.

– Czy musiałaś marnować kieliszek porządnego portwajnu, żeby mnie o tym przekonać? Będziemy dziś musieli spać w moim łóżku.

– Nie po raz pierwszy. – Położyła się koło niego i przylgnęła do jego ciała, zlizując mu portwajn z warg. – Chciałabym, żebyś to właśnie ty napisał do sir Marka. On nie przyjmie zaproszenia ode mnie.

– A ty naprawdę potrzebujesz swojej przyjaciółki. – Było to na wpół stwierdzenie, na wpół pytanie.

– Tak – odparła stanowczo. – Nikt mi jej nie zastąpi. Przesunął dłonią po jej plecach i zatrzymał się na pośladku.

– Naprawdę nikt?

– Ty to ty, Meg jest kimś innym.

Ty masz także Lilly, powiedziała sobie w duchu. A mnie potrzeba Meg.

– Napiszę do niego jutro – obiecał Jack, walcząc z fałdami jej negliżu.

Tydzień później Jack wrócił do domu podczas dżdżystego popołudnia, strząsając krople deszczu z cylindra. Zatrzymał się na chwilę w holu, słuchając ożywionego gwaru głosów, jaki dobiegał z salonu. Sądząc po odgłosach, Arabella przyjmowała właśnie francuskich emigrantów. Szybko sobie zapewniła wpływy w tym środowisku, pomyślał. Zmarszczka na czole Jacka się pogłębiła. Salon i jadalnia Arabelli stały się ulubionym miejscem elity wigów, rzecz całkiem naturalna, skoro jej mąż był jednym z czołowych członków tejże, lecz serdeczność, jaką okazywała emigrantom, nie miała z Jackiem nic wspólnego.

Niepokoił się tym. Gromadziła fundusze, błagała cały Londyn, by przyjmowano ich do pracy, ofiarowywano im mieszkania i opiekę lekarską, a także, czego był pewien, wspomagała ich hojnie własnymi środkami. Ta coraz liczniejsza społeczność wynędzniałych uchodźców zajęła miejsce

wieśniaków, którymi opiekowała się w hrabstwie Kent. Martwiło go, że zapuszczała się w podejrzone dzielnice, lecz mógł zrozumieć, że czuje taką potrzebę. Nie pojmował natomiast jej równie entuzjastycznego zaangażowania w sprawy francuskiej arystokracji.

Ludzie ci tłoczyli się w jego salonie, narzekali na los, pomstowali na straszliwe wydarzenia w ich ojczyźnie, utyskiwali na niegościnnosć Anglików, którzy ich zdaniem powinni byli ich przyjąć i zapewnić im byt. Przejmowało go to wstrętem. Zdołali w końcu ująć z życiem, podczas gdy tysiące innych skończyło na gilotynie. Nie mogli już wieść uprzywilejowanej egzystencji, ale żyli w wolnym kraju. Tymczasem stać ich było jedynie na skargi.

On widział rzeź na dziedzińcu La Force, furmanki wiozące skazańców, zakrwawione ostrze gilotyny. Oni zaś myśleli tylko o swych pięknych zamkach w ręku motłochu i eleganckich paryskich pałacach w ruinie. Biadali nad utratą bogactw, ziem, klejnotów, wielkich przywilejów, ale rzadko wspominali tych, których zostawili tam na pewną śmierć.

Musiał co prawda przyznać, że nie wszyscy z nich byli tacy. Wielu bez wytchnienia starało się pomóc w ucieczce rodakom, lecz mimo wszystko czuł do nich głęboką urazę, bo oni żyli, a Charlotte – nie.

Z trudem znosił przebywanie razem z nimi. Już zaczął się cofać cicho ku schodom w nadziei, że uda mu się wymknąć, lecz w tejże chwili z salonu wypadły oba psy i z głośnym poszczekiwaniem zaczęły na niego skakać.

– Leżeć. Niech was diabli – rzucił, opędzając się od nich. – Nie rozumiem, czemu tak was cieszy mój widok, bo mnie wasz ani trochę nie raduje. Nie cierpię was.

One jednak wciąż witały go radośnie, a ich ślepie patrzyły na niego z uwielbieniem.

– Tak sobie myślałam, że to na pewno ty – odezwała się od drzwi Arabella. – Do nikogo innego im tak nie spieszo.

– Bo zdaje im się, całkiem niesłusznie, że je lubię— odparł, otrzepując surdut. – Do tej pory powinny już to pojąć.

Uśmiechnęła się do niego pogodnie, nieznacznie przechylając głowę.

– Nie oszukasz ich nawet przez sekundę. Czy nie mógłbyś wejść i przywitać się? Markiz Frontenac pytał o ciebie.

Nie mógł odmówić powitania gości we własnym domu.

– Zamierzałem się wprawdzie przebrać, ale myślę, że mój strój ujdzie – uznał i poszedł za nią.

Arabella naląła herbaty grupce dam zgromadzonych w rogu salonu, starając się jednocześnie nic nie uronić z tego, o czym Jack mówił z markizem. Obecność męża nie pozwoliła jej dłużej prowadzić cichego śledztwa w sprawie hrabiego i hrabiny de Villefranche. Jak dotąd zdołała dowiedzieć się tylko tyle, że hrabia został zgilotynowany dwa lata temu, a jego żona, siostra Jacka, zaginęła jakiś czas później. Nikt nie wiedział, czy jej nazwisko pojawiło się na którejs z list skazańców, codziennie ogłaszanych przez rewolucyjne trybunały, choć nie było to niczym zaskakującym, zważywszy okrutne rzezie, do których dochodziło w Paryżu. Mogła równie łatwo zginąć w więzieniu i na gilotynie.

Arabella była jednak przekonana, że ktoś prócz Jacka musi znać prawdę o losie jego siostry. Mogło to być kluczem do poznania sekretów męża.

Zamieszanie w holu sprawiło, że salon przycichł. W drzwiach stanął Tidmouth.

– Ich wysokości, książę i księżna Walii – obwieścił, kłaniając się do kolan.

Wszyscy wstali i również zaczęli się giąć w ukłonach i dygać, mrużąc pełne szacunku słowa powitania. Do salonu wkroczył książę z wypiętym brzuchem, całkowicie ignorując swoją młodą żonę. Księżniczka Karolina trzymała wprawdzie głowę wysoko, lecz dwa ostre rumieńce na jej policzkach sprawiły, że Arabellę ogarnął gniew. George, książę Walii, okazał się gburem, tak jak pomyślała, widząc go po raz pierwszy. Och, mógł sobie być błyskotliwy i inteligentny, ale był też uparciuchem i arogantem bez cienia samokrytyki. Nie miał żadnego prawa traktować swojej żony z takim brakiem szacunku.

– Witam, wasze wysokości – powiedziała, występując naprzód i uśmiechając się do księżniczki. – Czy zechcą państwo napić się herbaty?

– Za nic, madame – oświadczył książę. – Tylko czerwone wino. Jack, drogi przyjacielu, daj tu butelkę najlepszego.

– Oczywiście – oświadczył Jack z niewzruszonym spokojem. – Tidmouth, rocznik osiemdziesiąty trzeci,

Arabella, która zdołała zachować na twarzy wymuszony uśmiech, spytała księżnę:

– Zechce wasza wysokość napić się herbaty?

– Dziękuję, lady Arabello. — Karolina odpowiedziała jej uśmiechem równie królewskim i pełnym wdzięczności. Usiadła i przyjęła filiżankę. Jej angielszczyzna była płynna, po francusku jednak mówiła trochę gorzej. Mimo to wkrótce zdołała nawiązać rozmowę o najnowszej modzie, operze i narodzinach syna króla pruskiego.

Arabella zmusiła się, aby słuchać konwersacji, która raczej ją nudziła. Nalewała herbaty, podtrzymywała od czasu do czasu rozmowę, lecz robiła przede wszystkim, co tylko mogła, żeby księżna poczuła się choć trochę swobodniej. Karolina raz po raz spoglądała jednak ku mężowi, który śmiał

się i rozmawiał z księciem St. Jules w kręgu zainteresowanych polityką Francuzów.

– Lady Jersey, wasza wysokość – zaanonsował Tidmouth. Arabella wstrzymała oddech. Przybycie kochanki męża sprawiło, że księżniczka zbladła. Książę natychmiast zwrócił się ku drzwiom z promiennym uśmiechem.

– Moja droga lady Jersey. – Podeszedł do niej z –wyciągniętymi rękami. – Cóż za szczęśliwy traf! – Ujął ją za dłonie, gdy podnosiła się po ukłonie, i ucałował głośno w oba policzki.

– Wcale nie traf. – Zaśmiała się i zatrzepotała rzęsami. – Wiedziałam, że odwiedzi pan księcia tego popołudnia.

– Ach, co za figlarka – oświadczył, klepiąc ją lekko po policzku. – Chodź, chodź, dostaniesz kieliszek doskonałego wina od Jacka – powiedział, prowadząc kochankę do grupki mężczyzn.

Arabella podniosła się natychmiast z miejsca i również do nich dołączyła.

– Dobry wieczór, lady Jersey. Może usiądzie pani z nami przy kominku? – spytała, wskazując na damy, które przed chwilą opuściła.

Jack poczuł, że błyski w jej brązowych oczach oznaczają początek kłopotów.

Lady Jersey podniosła do oczu lorgnon i spojrzała na wskazane jej panie, a potem opuściła szkła ze słowami:

– Nie, lady Arabello. Towarzystwo tutaj zupełnie mi odpowiada.

– W rzeczy samej – powiedziała Arabella z lodowatym uśmiechem. – Mój mąż miał zamiar zaproponować jego książęcej mości partyjkę pikiety. Może zechce pani się jej przyjrzeć? – spytała, a potem z uśmiechem

odwróciła się ku księciu Walii, wiedząc, że ta sugestia nie przypadnie mu do gustu. – Z pewnością lady Jersey przyniesie panu szczęście.

Księżę poczuł się z miejsca zbity z tropu. Wzmianka, że mógłby potrzebować szczęścia w grze, zraniła jego dumę, zwłaszcza że jego przeciwnikiem miał być Jack, który uchodził powszechnie za niezrównanego gracza. Nie uśmiechała mu się też obecność kochanki przy kartach, bo nie chciał, żeby obserwowała jego grę. Jak jednak przewidywała Arabella, przeważyła chęć zmierzenia się z księciem St. Jules.

– Mówi pani o szczęściu, madame? Pikieta to gra, gdzie liczy się zręczność. Nie potrzeba mi szczęścia. – Zaniósł się donośnym śmiechem i wyciągnął dłoń do Jacka. – Przyjmuję wyzwanie. – Złożył kochance pożegnalny ukłon. – Proszę wybaczyć, droga madame. Karty mnie wzywają.

Lady Jersey spojrzała w ślad za nim, gdy wychodził z salonu. Uśmiechnęła się zaciśniętymi wargami, gdy pozostała nagle jako jedyna kobieta w gronie zaskoczonych Francuzów. Spojrzała na Arabelle, która siadła właśnie przy kominku koło księżniczki. Karolina popijała herbatę i gawędziła z uśmiechem, przynajmniej raz czując się nieco swobodniej.

Uśmiech zamarł jej jednak na ustach, gdy lady Jersey zbliżyła się do kominka. To nie na księżniczkę jednak zamierzała przypuścić atak Frances Villiers, która posłała Arabelli jadowity uśmiech.

— Muszę już odejść, madame, bo jestem umówiona z lady Worth na karty. – Rozłożyła nagłym ruchem swój wachlarz. – Mam nadzieję, że nie przegra znów tylu pieniędzy, co kiedyś. Jak rozumiem, liczyła wtedy na pomoc swoich... – uczernione rzęsy uniosły się, gdy z ironią ciągnęła – swoich przyjaciół... Bardzo szczególnych przyjaciół, którzy pomagają jej w razie kłopotów. Worth, jak mi się zdaje, jest tu mniej usłużny niż... – Tu przechyliła lekko wachlarz, wskazując nim na drzwi. – Może mąż ma mniej

ku temu powodów. Do widzenia, wasza księżęca wysokość – wycedziła, dygając przed księżną, a potem przed resztą dam, i wyszła z pokoju.

Arabella nie dała poznać po sobie upokorzenia. Nalała księżniczce herbaty i spytała, czy nie chciałaby obejrzeć jej orchidei.

Jack szybko i sprawnie przegrał robra z księciem Walii, częstując swego przeciwnika najlepszym bordo. Rzucił ostatnie karty na stół, zapłacił długi i życzył księciu, który teraz wprost promieniał, dobrej nocy. A potem poszedł do sypialni żony.

Arabella ubierała się właśnie w strój wieczorowy. Becky kończyła układać jej włosy, wplatając w nie delikatne sznureczki pereł. Jack poczekał, póki nie skończyła, a potem spytał:

– Kogo dziś wieczór zamierzasz olśnić, moja droga?

Arabella był bliska wybuchu. Insynuacje lady Jersey wciąż brzmiały jej w uszach. Ostatecznie zbyt trudno jej przychodziło pogodzić się z samym faktem, że Jack ma kochankę, i traktować to z pozornym spokojem, żeby musiała jeszcze wysłuchiwać afrontów ze strony samej królowej kochanek.

– Myślałam, że zjemy razem obiad, a potem pójdziemy do teatru – odparła ostro. – Oczywiście, jeśli masz coś lepszego do roboty, z pewnością George albo Fox zechcą mi towarzyszyć.

– Z pewnością zechcą – przyznał całkiem uprzejmie i z założonymi rękami wsparł się o framugę drzwi. – Co to za sztuka?

– **Szkoła obmowy.** – Arabella wstała gwałtownie z krzesła, nie zważając na pisk Becky z powodu loka, który wysunął się z papilota. – To satyra na koterię z Devonshire House. Księżnę Devonshire uważa się za pierwowzór lady Teazle. Nie widziałam tej komedii podczas mego pierwszego sezonu. – Odwróciła się do lustra i dodała cierpko: – Wątpię, czy uważano mnie wtedy za wystarczająco wyrafinowaną.

– Satyryczne aluzje straciły już chyba na ostrości – zauważył Jack, obserwując żonę spod przymrużonych powiek. – Ta sztuka ma w końcu prawie dwadzieścia lat.

– Tak, to były inne czasy – przyznała, nachylając się ku zwierciadłu, żeby lepiej widzieć swoje odbicie. – Jak myślisz, czy powinnam nałożyć róż? – Delikatnie umalowana twarz lady Worth stanęła jej przed oczami.

– Nie, jeśli bezwarunkowo chcesz się podobać swojemu mężowi.

Arabella zastanowiła się nad jego słowami.

– Ale wyglądam dość blado, a zauważyłam, że inne damy lekkim muśnięciem różem potrafią uzyskać olśniewający efekt. Na przykład lady Jersey. Dzisiaj wyglądała wręcz promiennie... Dziękuję, to wystarczy, Becky, zjedz teraz kolację. Nie musisz czekać na mnie tego wieczoru.

Becky, która milczała przez cały czas wymiany zdań między swoim państwem, odłożyła karbówki, szczotki, dygnęła i wyszła z sypialni.

– Co cię tak złości, moja żono? – spytał z troską Jack.

– Dlaczego myślisz, że coś mnie złości? – Delikatnie musnęła policzki różem.

– Mówi mi o tym błysk w twoim oku. – Jack uniósł wieczko szkatułki z biżuterią i zaczął w niej czegoś szukać.

Arabella wiedziała, że ów błysk był podejrzenie podobny do łez. Usiłowała się swobodnie roześmiać i znów sięgnęła po róż.

– Och, lady Jersey pozwoliła sobie coś powiedzieć. Tylko tyle.

– Co to było takiego? – Jack ujął w palce perłowy brelok i oglądał go pod światło.

– Ot, taka sobie kobieca uwaga. – Arabella odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów.

Jack nachylił się nad nią z brelokiem w dłoniach.

– Nie pozwól jej się ranić, Arabello. Ta kobieta ma jadowity język.

– Wiem o tym dobrze – ucięła, pochylając głowę, gdy wieszał jej na szyi złoty łańcuszek. – Czy zejdziemy na obiad?

RS

Jack wszedł do małego pawilonu w Ranelagh Gardens i przyjrzał się uważnie ludziom licznie zgromadzonym wokół stołów gry. Była ciepła, wiosenna noc, lekki wietrzyk niósł dźwięki kwartetu smyczkowego z pawilonu koncertowego. Po ścieżkach przechadzali się goście w świetle specjalnie umocowanych pochodni. Niekiedy spoza rzędów krzewów dolatywał głośny okrzyk albo wybuch śmiechu. Ogrody te były osławione jako miejsce najrozmaitszych schadzek.

Jack dostrzegł kochankę przy grze w kwindecza i podszedł do niej, robiąc to jakby od niechcienia. Lady Worth spojrzała na niego znad kart, uśmiechając się radośnie.

– Jack, zastanawiałam się, czy tu dziś przyjdiesz.

– Nie musisz się już zastanawiać, moja droga – odparł lekko, sięgając po tabakierkę – otrzymałem liścik i pośpieszyłem na twoje wezwanie.

– Czy twoja urocza żona bawi się tu dzisiaj? – Lilly odłożyła karty z lekkim skrzywieniem ust, bo przegrała.

– Zapewne tak, ale bawi się we własnym gronie. Lilly nie przestała się uśmiechać.

– Księżna St. Jules zrobiła furorę podczas tego sezonu. Nie ma wprost zabawy, której nie zaszczyciłaby swoją obecnością. – Wstała od stołu i ujęła go pod rękę. – Przejdź się trochę ze mną, Jack.

Nie sprzeciwił się jej i wyszli do ogrodu. Lilly wachlowała się łagodnie, gdy szli ku pawilonowi koncertowemu. Jack nie odzywał się ani słowem. Wiedział, że Lilly przystąpi do sedna sprawy w odpowiednim momencie, i za kilka minut tak właśnie zrobiła.

– Nie odwiedzasz mnie już, Jack.

– Moja droga, przecież złożyłem ci wizytę ledwie przedwczoraj.

– Tak, ale wiesz, że nie to mam na myśli – rzekła ze smutnym uśmiechem. – Nie mam ochoty widywać cię wyłącznie w czyimś towarzystwie. Czemu między nami nie może być tak jak przedtem?

– Przecież wyjaśniłem ci już sytuację – przypomniał jej łagodnie, przyciszonym głosem. – Z przyjaźni i przez wzgląd na to, co nas łączyło, zawsze będę służył ci pomocą, ale nie możemy być dłużej kochankami. – Nawet gdy to mówił, rozglądał się za Arabellą.

– Skąd te skrupuły? – spytała i roześmiała się z irytacją. – Małżeństwo zrobiło z ciebie pantoflarza. Ostrzegam cię, że to wyjątkowo niemodne. – Zatrzymała się, zmuszając go, żeby i on stanął. Odwróciła się do niego przodem. Siegała mu ledwie do ramienia, musiała więc unieść głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Może i tak, ale powinnaś wiedzieć, Lilly, że nie dbam o modę. – Jack ruszył dalej. – Nie kłóćmy się. Ile pieniędzy ci dzisiaj potrzeba?

– Och, jesteś wprost okropny! Mówisz tak, jakbym szukała twego towarzystwa wyłącznie wtedy, gdy potrzebuję pomocy przy spłacie długów.

Popatrzył na nią, nie przerywając spaceru, ale Lilly nie potrafiła rozszyfrować tego spojrzenia, pozwoliła więc, żeby jej słowa zawisły w powietrzu. Istotnie, potrzebowała tego wieczoru jego pieniędzy, nic by więc nie zyskała, zrażając go do siebie.

– Co też może teraz robić twoja żona?

Sądząc z tego, co wiedział o Arabelli, starała się zająć za skórę Frances Villiers, lady Jersey lub wspomagała jakichś członków francuskiej arystokracji, pomyślał z niechęcią, ale powiedział tylko:

– Nie mam pojęcia.

Lilly spojrzała na niego bystro.

– Nie interesuje cię to?

Jack patrzył gdzieś przed siebie z twarzą bez wyrazu.

– Może chce pani posłuchać koncertu, madame?

– Och, Jack, nie udawaj, że nie wiesz, co mam na myśli! – Lilly besztła go, zapominając, że to nierozsądne. – Doskonale się przecież orientujesz, że trzymanie strony księżniczki i świadome afronty wobec Frances żadnemu z was nie wyjdą na dobre. Wystarczy, że Frances szepnie coś księciu do ucha, a jego noga nigdy nie postanie na Cavendish Square. Tracisz wszelkie nadzieje na jego poparcie. Teraz wszystko jest w ręku lady Jersey, bo ona rządzi książęcymi faworytami. Twoja droga żoneczka nie ma przy niej żadnych szans.

Jack zatrzymał się pod jedną z pochodni i powiedział z fałszywą życzliwością:

– Moja droga Lilly, chyba ci już przedtem powiedziałem, że nie będę dyskutował o mojej żonie... ani z tobą, ani z nikim innym.

Lilly dotknęła wachlarzem jego ręki.

– Nie bądź śmieszny, Jack. Życzliwość, jaką twoja żona okazuje księżniczce, jest głównym tematem rozmów w każdym londyńskim domu.

– Ale nie w mojej obecności – stwierdził, nadal tym samym uprzejmym tonem. – Wybacz Lilly lecz nie mam ochoty ciągnąć dalej tej konwersacji. Wróćmy do naszych spraw. Ile potrzebujesz?

Lilly walczyła z własną irytacją. Rzadko się zdarzało, żeby Jack właśnie jej ucierał nosa, i było to dla niej bardzo niemiłe doświadczenie. Nic jednak nie pozostawało jej poza przełknięciem tego upokorzenia. Z westchnieniem położyła obciążoną elegancką rękawiczką dłoń na jego rękawie.

– Mam straszny kłopot, Jack. W lecie musiałam zastawić rodowy diadem Worthów. Zrobiłam oczywiście jego kopię, ale mąż chce go dać do oczyszczenia, no i oczywiście...

– Oczywiście. Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego, Lilly?

– Nie miałam wyboru – przyznała zaczerwieniona po uszy. – Nie było cię w Londynie przez całe trzy miesiące.

– To prawda. Wykupię ten diadem, jeśli dasz mi kwit zastawny.

Lilly sięgnęła do malutkiej, jedwabnej torebki zawieszanej na nadgarstku i wyciągnęła z niej wymiętoszony karteluszek, który ze spuszczonej oczami podała Jackowi. Spojrzał na sumę, uniósł brwi i schował kartkę do wewnętrznej kieszeni surduta.

– Och, milordzie, nie miałam pojęcia, że przyjdzie pan do Ranelagh Gardens tego wieczoru. – Najpierw rozległ się głos Arabelli, a potem ukazała się na skrzyżowaniu ścieżek ona sama, w towarzystwie lorda Morpetha. – Powinieneś mi powiedzieć. Moglibyśmy się znaleźć w tym samym towarzystwie. – Jej oczy spoczęły na Lilly. – Lady Worth... cóż za przyjemny wieczór.

– Istotnie, lady Arabello. – Lilly odwzajemniła jej pozdrowienie i powitała dygnięciem jej towarzysza. – Witam, lordzie Morpeth.

– Witam, lady Worth – odparł i skłonił się z kolei mężowi Arabelli.

Jack poczęstował go tabaką.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawisz, kochanie – zwrócił się do żony przyglądając się jej z uwagą.

– Oczywiście. A ty, jak widzę, również. – Uśmiechnęła się z przymusem do hrabiny.

– Nie widziałam tu dzisiaj lady Jersey. – Lilly zaśmiała się wesoło. – Pewnie dowiedziała się, że pani tu będzie, madame.

– Wątpię, czy to mogło wpłynąć na jej zamiary – powiedziała zimno Arabella. – Jego wysokość księżę Walii najwyraźniej postanowił, że nie zaszczyci dziś Ranelagh Gardens swoją obecnością. Ośmielę się powiedzieć, że to tłumaczy nieobecność lady Jersey.

Lord Morpeth spojrział ze współczuciem na Jacka, który wyglądał na całkiem obojętnego. Lilly podeszła nieco bliżej do księżnej, mówiąc konfidencyjnie:

– Moja droga lady Arabello, właśnie rozmawialiśmy z pani mężem o tym, że powinna pani nieco ostrożniej postępować z Frances Villiers. Ona ma ogromny wpływ na księcia Walii. Jedno jej słowo wystarczy, byście obydwójce znaleźli się poza nawiasem. Powinna pani mieć wzgląd przynajmniej na pozycję Jacka, jeśli już nie na własną. Łączy go przecież wieloletnia przyjaźń z księciem. Doszliśmy oboje do wniosku, że stałaby się wielka szkoda, gdyby uległa ona zniszczeniu wskutek źle pojętej mściwości ze strony kogoś, kto nie zdaje sobie sprawy z różnych subtelności w łonie dobrego towarzystwa.

Przez chwilę Arabelli zabrakło tchu. Ta kobieta i Jack omawiali jej postępowanie. Całkiem jakby ona, Arabella, była naiwnym, niedoświadczonym dzieckiem. Mrugnęła jedynie i odparła zimno:

– Wzrusza mnie pani troska, madame. – A potem zwróciła się do swego towarzysza: – Zdaje się, że mieliśmy oglądać fajerwerki, prawda, lordzie Morpeth?

– Jak najbardziej, madame. – Jej towarzysz był wyraźnie zakłopotany. Jackowi nie drgnął ani jeden mięsień w twarzy, nadal był spokojny i uprzejmy, choć tylko ostatni głupiec dałby się na to nabrać.

Pożegnał żonę ukłonem, gdy odeszła wsparta na ramieniu lorda Morpetha.

– Och, mój drogi. – Lilly rzuciła na niego okiem. – Nie chciałam denerwować twojej żony – zaprzeczyła nieszczerze, raz jeszcze kładąc mu dłoń na rękawie. – Nie było to wcale moim zamiarem, wierz mi, Jack. Musisz jednak być ostrożny. Frances ma po prostu księcia Walii w kieszeni! Może wywyższyć lub zniszczyć człowieka zaledwie jednym słowem.

Jack łagodnie zdjął jej dłoń ze swego rękawa.

– Przykro mi, Lilly, że znasz mnie tak słabo i myślisz, że to dla mnie cokolwiek znaczy.

– Obojętne ci, że żona może doprowadzić cię do ruiny? – spytała z niedowierzaniem.

Jack uśmiechnął się i po raz pierwszy złamał narzucone sobie reguły.

– Arabella równie mało martwi się potępieniem ze strony dobrego towarzystwa jak ja, moja droga. I robi to, co się jej podoba, nie dbając o żadne konsekwencje. Podziwiam ją za to – zakończył, podając Lilly ponownie ramię. – Pozwól mi odprowadzić się do pawilonu.

Arabella patrzyła w roztargnieniu na fajerwerki. Nie zauważyła nawet mężczyzny i kobiety, którzy ku niej podeszli. Ocknęła się z pełnego irytacji zamyślenia dopiero wtedy, gdy mężczyzna powtórzył:

– Wasza wysokość, czy mogę pani przedstawić wicehrabinę DuLac?

– Och, proszę mi wybaczyć, monsieur de Besenval, tak mnie pochłonęło oglądanie tych sztucznych ogni. – Arabella odwróciła się i z odruchowym uśmiechem wyciągnęła dłoń do jego towarzyszki. – Miło mi panią poznać.

Dama ujęła jej dłoń i dygnęła, mówiąc z dobrym, angielskim akcentem:

– Mnie również, wasza wysokość.

– Wicehrabina dopiero co przybyła do Londynu – wyjaśnił de Besenval. – Była dobrą znajomą hrabiny de Villefranche.

Arabelli załomotało serce.

– To siostra mojego męża. Może się trochę przejdziemy? Te fajerwerki są wręcz ogłuszające.

– Ależ oczywiście, wasza wysokość.

Arabella nachyliła się do lorda Morpetha, który z takim entuzjazmem obserwował pirotechniczny pokaz, że nie zauważył jej zdenerwowania.

– Milordzie, idę tylko na mały spacer z wicehrabiną. Czy poczeka pan tutaj na mnie?

– Ależ oczywiście, droga lady – odparł ze zwykłą u niego uprzejmością, ledwie odrywając oczy od pokazu.

Arabella wraz z Francuzką skierowały kroki do małego pawilonu, gdzie akurat nikogo nie było.

– Tutaj wreszcie możemy się wzajemnie usłyszeć – oznajmiła, siadając na kamiennej ławce i wskazując nowo przybyłej miejsce obok siebie.

Wicehrabina usiadła, układając swoje obszerne spódnice. Przez chwilę Arabella pozazdrościła jej całych metrów adamaszku i aksamitu, bo czuła chłód kamiennej ławy przez cienki materiał sukni. Bez żadnych wstępów zapytała:

– Czy wie pani coś o losie hrabiny, madame?

Kobieta westchnęła.

– Z całą pewnością wiem tylko, że ją aresztowano i zabrano do więzienia La Force. Była tam podczas... – Wzdrygnęła się, z trudem dobierając słowa. – Podczas tej strasznej nocy, kiedy odbyła się masakra. Strażnicy wymordowali wtedy wszystkich więźniów.

– Wszystkich? Nikomu nie udało się zbiec?

Kobieta pokręciła głową.

– O ile mi wiadomo, to nikomu, madame. Ja sama uciekłam do Austrii dwa dni później. Pozostaliśmy w Wiedniu aż do zeszłego tygodnia, kiedy przyплыliśmy do Anglii.

– Czy zna pani mojego męża? – Arabella przyłapała się na tym, że odruchowo spogląda przez ramię. Nie robiła wprawdzie nic złego, rozmawiając ze znajomą siostry Jacka, lecz wołała, by on tego nie wiedział.

– Niestety nie miałam przyjemności go poznać. Mój mąż wolał żyć na wsi niż na dworze i rzadko bywaliśmy w Wersalu, a podczas tych wizyt nigdy nie spotkaliśmy księcia St. Jules. Wiem jednak, że nieustannie starał się pomagać naszym przyjaciołom w ucieczkach.

– Otarła oczy małą, koronkową chusteczką. – Cóż to za tragedia, że on, który uratował tylu ludzi, nie był w stanie ocalić siostry.

– Tak – szepnęła Arabella, bardziej do siebie niż do swojej towarzyszki. Czy jego posępne nastroje mogła powodować świadomość, że nie udało mu się ochronić siostry?

Monsieur de Besenval, który czekał dyskretnie u wejścia do pawilonu, odchrząknął.

– Proszę mi wybaczyć, wasza wysokość, ale wicehrabina jest zobowiązana do udziału w kolacji w pawilonie koncertowym, którą wydaje hrabina de Vaudreuil.

Arabella pośpiesznie wstała z zimnej ławy.

– Oczywiście. Nie zatrzymuję pani dłużej, madame, i dziękuję za rozmowę. Mam nadzieję, że wolno mi będzie złożyć pani wizytę. Czy zatrzymała się pani u hrabiostwa de Vaudreuil?

– Tak, są niezwykle uprzejmi – odparła wicehrabina, ujmując wyciągniętą ku niej dłoń Arabelli. – Bardzo chętnie znów z panią porozmawiam.

– Proszę mi pozwolić odprowadzić się do pani towarzysza – powiedział de Besenval. Arabella zgodziła się i po kilku minutach ponownie stanęła koło lorda Morpetha. Fajerwerki straciły dla niej blask. Zbyt wiele się tego wieczoru zdarzyło i zapragnęła przemyśleć wszystko w samotności. Dotknęła ramienia Morpetha.

– Rozboliła mnie głowa, czy nie zechciałby mnie pan odprowadzić do łodzi?

– Ależ oczywiście, madame, jeśli tylko pani sobie życzy. Ale czy nie byłoby lepiej, gdybym zabrał panią do Jacka? Widziałem go kilka minut temu w pawilonie lady Belmont.

– Nie, dziękuję – zaprzeczyła stanowczo. – Za nic nie chcę psuć mężowi zabawy. Jeśli pan pozwoli...

Lordowi Morpethowi nie pozostało więc nic poza skwapliwym zapewnieniem:

– Będę towarzyszył pani aż do Cavendish Square, madame.

– Ależ po co. – Arabella przeciwstawiła mu się z energią, która dziwiła u osoby z bolącą głową. – John, przewoźnik, czeka już w łodzi, a powóz stoi na północnym brzegu. Będę w dobrych rękach.

Morpeth próbował protestować jeszcze, gdy schodzili na brzeg, lecz w końcu przekazał niewzruszoną Arabellę opiece przewoźnika.

– Powiem Jackowi, że źle się pani poczuła – powiedział.

– Proszę tego nie robić – poprosiła, siadając na wyściełanej ławeczce i biorąc od przewoźnika okrycie na nogi. – Nie chcę, żeby musiał z mego

powodu stąd wcześniej wyjść. – Uśmiechnęła się i uniosła dłoń na pożegnanie, gdy wioślarze energicznie wyprowadzali łódź na środek rzeki.

Jack uniósł głowę znad kart, gdy lord Morpeth wszedł do pawilonu i widząc pytające spojrzenie księcia, podszedł do stołu.

– Ile wynosi stawka?

– Dwadzieścia gwinei – odparł Jack.

– Jak dla mnie za wysoko – uznał Morpeth, lecz mimo to usiadł przy Jacku i gestem poprosił rozdającego o kartę dla siebie.

– Gdzie zostawiłeś moją żonę? – spytał od niechcienia Jack, zgarniając wygraną z ostatniego rozdania.

Lord Morpeth uznał, że wobec jawnego pytania został zwolniony ze zobowiązań wobec Arabelli.

– Poszła do domu. – Skrzywił się, widząc rozdanie. – Powiedziała, że boli ją głowa... Odprowadziłem ją do łodzi. Nie pozwoliła, bym odwiózł ją na Cavendish Square – dodał z pewnym pośpiechem. – Próbowałem, ale nie chciała o tym słyszeć.

– Niełatwo zmusić moją żonę do zmiany zdania – zauważył Jack. Z tego, co wiedział, Arabella nigdy w życiu nie cierpiała na ból głowy. Zagrał raz jeszcze, a potem wstał od stołu, mimo chóru protestów ze strony przeciwników, którzy żądali, żeby dał im szansę się odegrać.

– Wybaczcie panowie, ale musiałbym tu siedzieć całą noc – powiedział ze śmiechem. Wszedł i skierował swe kroki ku rzece. Zatrzymał przewoźnika, który płynął wzdłuż brzegu, a po przeprawie wsiadł do lektyki i kazał się nieść na Cavendish Square, gdzie odźwierny powiedział mu, że jej wysokość wróciła godzinę temu.

Jack poszedł do swojej sypialni i cicho otworzył drzwi łączące ją z pokojem Arabelli. Był pusty, oświetlony tylko jedną, niezbyt jasną lampą.

Zauważył linię światła pod drzwiami wiodącymi do jej buduaru. Zdziwił się i zamknął drzwi.

– Mam nadzieję, że dobrze się pan bawił, wasza wysokość? – spytał go Louis, pomagając mu zdjąć wieczorowy strój.

– Nieźle – odparł z roztargnieniem. – Podaj mi tylko szlafrok i możesz już iść spać.

Gdy lokaj odszedł, Jack stał przez chwilę bez ruchu, patrząc na zamknięte drzwi sypialni Arabelli. Była już prawie druga w nocy, a żona wróciła godzinę wcześniej, dlaczego więc nie położyła się spać? Przeszedł w końcu przez jej sypialnię i zajrzał do buduaru.

Arabella siedziała przy kominku, z psami zwiniętymi u jej stóp. Otwarta książka leżała na jej kolanach. Była zbyt zdenerwowana, by spać po odejściu Becky, a z czasem zdenerwowanie przerodziło się w gniew. Czowała zamęt w głowie i potrafiła wskazać dwie przyczyny jej niepokoju. Jack nie powiedział jej ani słowa o tym, co robił we Francji, nie wspomniał o siostrze. Zamiast tego robił wrażenie, że brak mu współczucia dla francuskich uciekinierów. A przecież ryzykował życie, by ich ratować. Dlaczego jej w tych kwestiach nie ufał? Czy uznał, że nie zasługuje na jego zaufanie, skoro obdarzył nim Lilly? Jeśli rozmawiał z kochanką o zachowaniu żony, pewnie też mówił jej o siostrze. Lilly była nie tylko jego kochanką, lecz zapewne też powiernicą. I nie tylko. Najwyraźniej dał jej również pozwolenie, by strofowała Arabelle. Po cóż by bowiem Lilly w jego obecności upominała ją za niewłaściwe zachowanie wobec Frances Villiers?

Kiedy Jack wszedł do buduaru, Arabelle naprawdę bolała już głowa. Pragnęła walki, ale nie była pewna, od czego zacząć.

– Morpeth mówił, że rozboleła cię głowa – zaczął, uśmiechając się niepewnie. – Spodziewałem się zastać cię w łóżku.

– Łóżko nic tu nie pomoże! – zawołała i skoczyła na równe nogi. – Wiedziała już, co zrobić. – Jak śmiałeś tak postąpić, Jack?! – Jej spojrzenie miało w sobie siłę wulkanu.

– To znaczy jak? – Jack wsparł się o gzyms kominka i patrzył na nią ze spokojem.

– Doskonale wiesz – parsknęła. – Jak śmiesz omawiać moje postępowanie z innymi ludźmi, a zwłaszcza z lady Worth! Jak mogłeś milczeć, kiedy pozwoliła sobie mnie krytykować?

Zacząła chodzić w kółko po pokoju. Psy spoglądały na nią z niepokojem. Stała przed nim, a peniuar zafalował wokół jej bosych stóp.

– Jestem taka zła na ciebie, Jack, że mogłabym cię uderzyć.

– Nie radziłbym ci tego – ostrzegł ją łagodnie.

– Powiedziałam, że mogłabym cię uderzyć, a nie, że to zrobię – syknęła z furją. – Nie jestem głupia.

Jack podniósł jedną brew i uczynił krok w jej stronę.

– Słuchaj... – zaczął. Psy ze zjezonymi grzbietami warknęły na niego, stając przy Arabelli.

– W końcu – powiedziała ironicznie, gładząc je – doczekałam się lojalności z waszej strony.

– Uspokój je albo wyrzucę stąd te setery – zażądał wytrącony z równowagi.

– Odgryzłyby ci rękę – mruknęła, ale bez przekonania. – Cicho! – nakazała faworytom. – Leżeć!

Uśluchały jej, chociaż niechętnie, i nadal nie spuszczały oczu z Jacka. Zignorował je jednak i podszedł do żony. Położył dłonie na jej ramionach.

– Posłuchaj mnie uważnie, Arabello. Nie rozmawiałem o tobie z lady Worth. Nie mam zwyczaju mówić o tobie z kimkolwiek. Czy mnie rozumiesz?

– Powiedziała przecież, że rozmawialiście o moim zachowaniu – wytknęła mu, potrząsając ramionami, aby zrzucić jego dłonie. Pozwolił, aby opadły.

– A ty jej uwierzyłaś?

Odeszła od niego i stanęła przy oknie, odwrócona do męża plecami.

– W końcu tak właśnie mówiła, ale jeśli mi powiesz, że zmyślała, będę musiała w to uwierzyć.

– Owszem, będziesz musiała. Zechciej się, proszę, odwrócić. Nie lubię mówić do twoich pleców.

Zrobiła, czego żądał, choć powoli. W oczach Arabelli wciąż jeszcze tlił się gniew, a jej twarz była bardzo blada.

– Nie rozumiem, jak mogłeś postawić mnie w takiej sytuacji. Nie zasłużyłam na to. Ja nie stałabym jak niemowa, gdyby ktoś obrażał ciebie.

– Nikt cię nie obrażał. Lady Worth po prostu wyraziła własne zdanie. Jej opinię podziela wiele osób, jeśli mógłbym dodać.

– Ty również?

Wzruszył ramionami.

– Nie uważam, by robienie sobie wroga z księcia Walii było rzeczą mądrą. W końcu to jego sprawa, co mówi i co robi.

– O, z pewnością jest jego sprawą wychwalanie kochanki na oczach żony i publiczne upokarzanie księżniczki Karoliny przy każdej okazji... a licho wie, co on może robić u siebie w pałacu. Jego sprawą jest też ośmielanie kochanki do obrażania i upokarzania jego żony. – Roześmiała się

ironicznie i zwróciła w stronę drzwi wiodących do jej sypialni. – Och, wiem dobrze, czemu tak uważasz.

– Co masz na myśli?

Arabella otworzyła drzwi i psy wbiegły do jej sypialni, niemal ją potracając, tak bardzo chciały uciec od ciężkiej atmosfery panującej w buduarze. Zakłęła pod nosem. Przysięgła sobie, że nigdy nie będzie mu ostentacyjnie wypominać związku z Lilly, że nigdy się przed nim nie zdradzi, jak to ją boli, a tymczasem zrobiła i jedno, i drugie.

– Och, wy mężczyźni. Wszyscy jesteście tacy sami. Zawsze trzymacie ze sobą. To mam na myśli. – Wpadła do sypialni, a potem przekreśliła klucz w zamku.

– Arabello, otwórz drzwi.

Nie odpowiedziała, ale usłyszał, że zamknęła na klucz również drzwi prowadzące do jego sypialni. To sprawiło, że wpadł w prawdziwy gniew. Powiedział jednak bardzo spokojnie:

– Arabello, otwórz drzwi. Natychmiast.

Arabella bez słowa zdjęła peniuar i położyła się do łóżka wpatrzona w haftowany baldachim.

Jack zaczął mówić tym samym cichym, zrównoważonym głosem:

– Arabello, jeśli w tej chwili nie otworzysz drzwi, wezwę odźwiernego, a on wyłamie zamki i już ich więcej nie założy.

Siadła gwałtownie na łóżku. Jack nigdy nie rzucał gróźb na darmo, a podobna scena byłaby bezbrzeżnym upokorzeniem dla obojga.

– Niech cię diabli, Jacku Fortescu! – jęknęła, wyskakując spod kołdry. Podeszła na palcach do drzwi, obróciła klucz w zamku, i to samo zrobiła z drugimi. Potem wróciła do łóżka i czekała.

Jack nie otwarł ich jednak i powiedział jedynie:

– Dziękuję ci.

Były to ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała tej nocy.

Arabella nie usłyszała, jak drzwi się otwierają, ale Borysowi i Oskarowi to nie umknęło. Ulokowały się oba w nogach łóżka, przygniatając jej stopy, czego nie robiły od czasu, gdy zaczęła dzielić łożę z Jackiem. Obecność psów pocieszała ją podczas niespokojnych snów. Wymamrotała coś słabo, gdy z gwałtownym poszczekiwaniami zeskoczyły na podłogę, biegnąc ku drzwiom.

– Ależ jesteś śpiochem! – rozległ się znany jej dobrze głos.

– Czyżbyś odsypiała jakąś szaloną noc, Bello?

– Meg? – Arabella z miejsca oprzytomniała, unosząc się z trudem na poduszkach. – Meg – powtórzyła z zachwytem. – Skąd się tu wzięłaś? Na litość boską, która godzina? – Spojrzała w stronę kominka, usiłując dojrzeć wskazówki zegara.

– Już po dziesiątej – powiedziała Meg, rozwiązując wstążki kapelusza, i zaśmiała się, patrząc na Arabelle. – Cóż za nieprzystojnie wprost ogromne łożę... Ale powiedz mi, dlaczego śpisz w nim z seterami? – Odrzuciła na bok kapelusz i nachyliła się, żeby ją ucałować. – Och, jak mi cię strasznie brakowało.

Arabella całkiem już rozbudzona oddała jej pocałunek.

– Nie wiesz wcale, jak mnie brakowało cię, Meg. – Siadła na łóżku i energicznie potrząsnęła dzwonkiem. – Najpierw czekolada... Ale jak tu przyjechałaś? Nie spodziewałam się cię wcześniej niż za kilka tygodni. Jack powiedział wprawdzie, że napisze do twego ojca, ale sądziłam, że zajmie to całą wieczność i... – Odwróciła się ku drzwiom i przywitała uśmiechem służącą.

– Och, Becky zobacz, kto przyjechał! Panna Barratt!

– Wiem, madame – odparła rozpromieniona Becky i dodała: – Cała służba już wie! Dzień dobry, panno Meg!

Służąca dygnęła przed gościem kilkakrotnie, i to z takim entuzjazmem, że o mało nie upuściła tacy, na której stał dymiący, srebrny dzbanek z czekoladą, chleb, masło i dwie porcelanowe filiżanki.

– Całkiem jak w domu! – Becky postawiła wreszcie tacę na nocnym stoliku. – Czy nalać pani, wasza wysokość?

– Nie, ja to zrobię, Becky – powiedziała Meg, zdejmując płaszcz. – Lady Arabella zadzwoni po ciebie, kiedy będzie chciała się ubrać.

– Tak, Becky – wpadła jej w słowo Arabella, ciągle się uśmiechając.

Meg, gdy tylko gdzieś się zjawiała, z miejsca przejmowała ster. Teraz, świeża i zaróżowiona od chłodu, lepiej mogła to zrobić niż wciąż jeszcze zaspana Arabella. No i oczywiście miała jeszcze jedną przewagę: dobrze wiedziała, dlaczego zjawiała się tak szybko. Arabella zaś nie miała pojęcia, jak do tego doszło.

– Wypuść psy, Becky! – powiedziała Meg, odpychając dwa urocze rude łby od siebie, i przysiadła na skraju łóżka. – Och, nawet się nie obejrzały! – stwierdziła, udając żal, gdy Borys i Oskar rzuciły się z radością ku Becky – Niewierne stworzenia.

Arabella, zaśmiewając się, odrzuciła kołdrę.

– Chodźmy do buduaru. Nie będę leżeć w łóżku, podczas gdy ty tryskasz energią i świeżością.

– Wezmę tacę. – Meg zniosła czekoladę do buduaru. Arabella poszła za nią, wkładając pośpiesznie peniuar. Potem nalała czekolady, podała jedną filiżankę Meg, a własną zabrała na szezlong.

– No, wyjaśnij mi zaraz wszystko.

Meg przepęniała energia. Z filiżanką w ręce krążyła po eleganckim pokoju, przyglądając się pilnie wszystkiemu, nim wreszcie usiadła przed oknem wychodzącym na ulicę.

– O Boże, nie spodziewałam się wcale, że Londyn może być taki ciekawy.

– Ależ jest. – Arabella upiła łyk czekolady i doszła do wniosku, że Meg sama wyjawi jej wszystko, gdy uzna to za stosowne. – Ja też byłam zaskoczona.

– Może to zależy od otoczenia. – Meg rozejrzała się z uznaniem.

– Może.

Oczy Meg się zwęziły.

– Szalenie elegancki książe, szalenie elegancki dom... a twój negliż, Bello, jest wręcz wcieleniem elegancji.

– Poczekaj, póki nie zobaczysz reszty mojej garderoby. – Arabella zamyśliła się, patrząc na Meg. – Jeśli przyjechałaś tu na dłużej, czego się pewnie od ciebie dowiem, musimy coś zrobić i z twoją. Wybacz mi szczerłość, ale ten podróżny strój wyszedł już z mody.

Meg, z początku zaskoczona, parsknęła nagle śmiechem.

– Och, coś podobnego. Nigdy się nie spodziewałam, że użyjesz takich słów, Bello. Jakie to do ciebie niepodobne!

– Mówisz tak, bo nie miałaś okazji poznać bliżej mojego męża. – Arabella zauważyła dosyć cierpko, biorąc z tacy kromkę chleba z masłem. – Meg, proszę...

– A co do twego męża... – Meg z uśmiechem poprawiła się na krześle.

– Wysłał po mnie karetkę pocztową, pocztylionów, forysiów i najuprzejmiejszy list do mego ojca z prośbą, bym przyjechała do Londynu,

bo jego żona wprost usycha z tęsknoty za przyjaciółką, i że sir Mark zrobi mu wielką przysługę, wypożyczając córkę na kilka miesięcy.

– Jack wysłał po ciebie karetkę pocztową? Nic mi nie powiedział! – Arabella była zaskoczona. Doprawdy, jej mąż był mistrzem sekretów. Ten jednak okazał się zachwycający, a miał na celu jedynie sprawienie jej przyjemności. Uśmiechnęła się.

– Nie powiedział ci? – Meg zmarszczyła brwi. – Nie prosiłaś go, żeby po mnie posłał?

– Prosiłam tylko, żeby napisał do sir Marka. Nigdy nie przypuszczałam, że zrobi coś więcej. – Arabella odstawiła filiżankę i odgarnęła włosy znad oczu. Ostatnia kłótnia straciła na znaczeniu, chociaż problemy pozostały.

Przerwało im głośnie pukanie do drzwi.

– Tak? – zawołała z pewnym zniecierpliwieniem.

– Czy mogę wejść? – Głos Jacka był spokojny jak zwykle.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Arabella. Jack nie miał w zwyczaju pytać o pozwolenie, choć zawsze pukał.

Wszedł do buduaru w stroju do konnej jazdy obcisłych spodniach i błyszczących butach. Wyglądał nieskazitelnie, jak zawsze. Każdy jego włos był na miejscu, a cerę miał rumianą od świeżego powietrza i przejażdżki. Oczy, niezmiennie przenikliwe, przynosił z Meg siedzącej pod oknem na żonę spoczywającą na szezlongu.

Uklonił się jednej i drugiej.

– Dzień dobry, moja żono. Witam, panno Barratt. Arabella Zeskoczyła z szezlonga.

– Jack, czemu mi nic nie powiedziałeś?

Ujął ją za ręce, które ku niemu wyciągnęła, i przyciągnął bliżej, lekko całując w usta.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę... żebyś się uradowała.

– I tak się stało – odparła całkiem szczerze. –Dziękuję ci.

Uniósł jej dłoń do ust, a potem ją puścił i odwrócił się ku Meg, która również wstała.

– A ja dziękuję pannie Barratt, że zdecydowała się na tę podróż; Mam nadzieję, że nie była zbyt męcząca.

W zielonych oczach Meg zabłysło rozbawienie.

– Dziękuję za wszystkie ułatwienia. Daję słowo, karetka pocztowa okazała się tak wygodna jak puchowe łóżko.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – mruknął, całując jej rękę – ale to bardzo uprzejme słowa z pani strony.

Arabella patrzyła na wszystko z rozbawieniem. Jej mąż i przyjaciółka najwyraźniej dorównywali sobie w umiejętności odgrywania komedii.

– Niespodzianki są cudowne, Jack – powiedziała z uśmiechem – ale gdybym wcześniej o tym wiedziała, zdążyłabym przygotować pokój gościnny dla Meg.

– To już zostało zrobione. Tidmouth zajął się wszystkimi szczegółami. Podsunąłem mu, że pannie Barratt byłoby najwygodniej w chińskich pokojach – wyjaśnił, Arabelli zaś przypomniało się, jak o wszystko zadbał podczas ich nocy poślubnej.

– O tak, ja również bym je wybrała.

Chińskie pokoje składały się na piękny apartament w przeciwległym skrzydle.

– Może w takim razie Becky ją tam zaprowadzi i przedstawi Marcie, która o nią zadba podczas całej wizyty. – Wszystko było takie zręczne, uprzejme, czarujące. Meg wyszła z pokoju i Arabella została sama z mężem.

– Zadowolona? – Jack się uśmiechnął.

– Ależ oczywiście. – Odwzajemniła uśmiech.

– Czy możemy wobec tego zapomnieć o wczorajszej nocy?

Spojrzała na swoje białe stopy.

– Przywykłam do samotności... do prywatności.

– Mogę się z tym zgodzić.

– Powinno mi być wolno zamknąć drzwi na klucz.

– Byle nie w gniewie.

Zastanawiała się przez chwilę. Nie mogła jednak znaleźć żadnego argumentu przeciw.

– Doskonale. Nie w gniewie.

Jack odetchnął głęboko.

– Czy zapomnimy zatem o tej nocy? – spytał znowu.

Kiwnęła głową i padła mu w otwarte ramiona. Kłótnia sama w sobie była naprawdę nieistotna. Nie mogła jednak zapomnieć o powodach, które ją wywołały.

Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie jestem w ciąży – powiedziała Arabella, skrapiając delikatnie Klejnot Orchidei podczas popołudniowej wizyty w oranżerii. – Pobraliśmy się pod koniec sierpnia, a teraz już jest maj.

– Nie przypuszczam, żeby powodem był brak sposobności – odparła z uśmiechem Meg, przyglądając się uważnie obfitej kiści winogron.

– Na pewno nie. – Arabella wybuchnęła śmiechem. Dziwiło ją, że tak łatwo przyszło im obydwu powrócić do dawnej zażyłości. Mogłyby teraz być w cieplarni w Lacey Court, zwierając się sobie z najintymniejszych sekretów.

– Mimo że, jak widziałam, dzielisz łóżko z psami – zauważyła Meg z ironicznym błyskiem w zielonych oczach.

– Jack wcześniej wyruszył na przejażdżkę. – Arabella wyprostowała się i machnęła lekceważąco ręką, lecz nie zdołała tym gestem przechytryć przyjaciółki. – Może powinnam się poradzić, na przykład tego lekarza... jak mu tam... aha, Jamesa Grahama – powiedziała, chcąc sprowadzić rozmowę na inne tory.

– Co? Tego szarlatana? – Meg się zdziwiła. – Jakże on nazwał to miejsce... ten ośrodek płodności, który założył? Świątynia Zdrowia i Hymena, czyż nie?

Arabella zachichotała i nachyliła się ponownie, by ugnieść ziemię wokół korzeni świeżo posadzonego kwiatu.

– Tak, brzmi to strasznie głupio. Podobno ludzie kochali się tam na jakimś... niebiańskim łożu... Jestem pewna, że coś takiego słyszałam.

– No i te kąpiele w mleku. Nie zapomnij o tym.

– Niestety, zbankrutował ładnych parę lat temu, nie mam więc wyboru – stwierdziła Arabella, strząsając odrobinę kurzu z liścia. – Jest jednak doktor Warren, który specjalizuje się w niepłodności, ale bez takich ekstrawaganckich metod. Może pójde do niego.

– Czy to cię naprawdę bardzo martwi? – Meg spojrzała na nią z ukosa. Arabella przez chwilę namyślała się nad odpowiedzią.

– Nie, nie bardzo – odezwała się w końcu – a przynajmniej jeszcze nie teraz. Mam dość innych powodów do zmartwień.

– Na przykład jakich? – Meg wypatrzyła ciężką kiść winogron i zręcznie ją odcięła srebrnymi nożyczkami.

– Dajmy na to ta historia z siostrą Jacka. Nie wiem, jak mam sobie z tym poradzić, Meg. – Arabella pokręciła głową z przygnębieniem i odstawiła spryskiwacz. – Chciałabym powiedzieć mu szczerze, co wiem, i zapytać, co się właściwie stało.

– W takim razie czemu tego nie zrobisz? Przecież zawsze byłaś otwarta. – Meg wiedziała, że gra teraz rolę adwokata diabła, ale obie grały ją wobec siebie na zmianę.

– Szczerze? – Arabella złożyła ręce na piersi. – Meg, przyznam, że się tego boję. Nie wiem, jak on na to zareaguje. Jeśli znów wpadnie w ponury nastrój, nie będę mogła nic zrobić i stracę wszelką nadzieję, że kiedykolwiek poznam jego sekrety.

– A nie możesz się bez tego obejść? – Meg spojrzała na przyjaciółkę z zastanowieniem. – Kiedy godziłaś się na małżeństwo z rozsądku, ani trochę cię nie obchodził charakter przyszłego męża ani jego życie. Kiedy to się zmieniło?

– Sama nie wiem. Tak się stało i już.

– Zakochałaś się?

Arabella zarumieniła się nieznacznie.

– Być może – wyznała.

Meg pokiwała głową.

– A ja sądziłam, że to właśnie ja z nas dwóch chcę wyjść za mąż z miłości.

– Nie kpij. W niczym mi to nie pomaga.

– Przepraszam. – Meg spojrzała nagle na przyjaciółkę z powagą. – W takim razie wydaje mi się, że pozostaje ci nie ustawać w poszukiwaniach. Mam nadzieję, że... – Zawahała się, lecz potem ciągnęła dalej: – Mam nadzieję, że nie dowiesz się niczego, o czym lepiej byłoby nie wiedzieć. No cóż, powiedziałam, co myślę, a teraz pewnie usłyszę, że mam pilnować swego nosa. Arabella westchnęła ciężko.

– Nie powiedziałabym tego, Meg. Sama o tym myślałam, ale wciąż jeszcze nie wiem, czy mam jakiś wybór.

– W takim razie nic już więcej powiedzieć nie można, A więc to twoje zmartwienie numer jeden. Co z numerem dwa?

– Wstrętna Lilly Worth. – Arabella zaczęła nerwowo chodzić tam i z powrotem po cieplarni. – Powiem ci tylko, że wszystko się we mnie skręca ze złości, gdy o niej pomyślę. Jest śliczna jak obrazek, a mówi wprost obmierzłe, przewrotne rzeczy najśłodszym tonem, jaki można sobie wyobrazić. Nie mogę pojąć, co Jack w niej widzi... Jest taka zimna.

– Czy jesteś pewna, że nadal są kochankami?

Arabella zaśmiała się gniewnie.

– Och, jak najbardziej. Ledwie wczorajszego wieczoru zaczęła strofować moje zachowanie, i to w obecności Jacka. Powiedziała nawet, że się razem nad tym zastanawiali. On wprawdzie zaprzeczył, ale... –

Wzruszyła ramionami i zaczęła krążyć po cieplarni jeszcze bardziej wzburzona.

– Ale ty mu nie uwierzyłaś?

– Nie wiem, czy uwierzyłam, czy nie. Nie wiem, co mam o tym myśleć.

Meg włożyła jedno winne grono do ust.

– Ach, to wyjaśnia, dlaczego spałaś z psami.

Arabella przestała krążyć po cieplarni.

– Właśnie. Pokłóciliśmy się okropnie i zdenerwowałam się, że łamię zasady.

– Poszło o kochankę? – Meg patrzyła na przyjaciółkę z uwagą.

– Pozornie chodziło o lady Jersey, ale tak naprawdę o kochankę. – Arabella znowu westchnęła. – Frances Villiers doprowadza mnie do szału tak samo jak Lilly Worth. Obydwie są wstrętne, złośliwe i cieszy je nękanie żon, którym przyprawiają rogi.

– Myślałam, że to mężczyznom przyprawia się rogi.

Arabella puściła tę uwagę mimo uszu.

– Chodzi o tę samą rzecz.

– No, może masz rację. – Meg zgodziła się, biorąc do ust kilka gron naraz. – A zatem przeniosłaś wściekłość z kochanki Jacka na kochankę księcia Walii, czy tak?

– Właśnie. – Arabella też wybrała sobie winogrono. – Tylko że jeśli chodzi o pogardzanie lady Jersey, nie jestem odosobniona. Ona jest straszliwie niepopularna, ale budzi strach z powodu swej władzy nad księciem, więc nikt jej nic nie mówi.

– Cóż, może powinnaś zostawić innym ukaranie lady Jersey i przede wszystkim skoncentrować się na odciążeniu męża od lady Worth?

Arabella prychnęła ze wzgardą:

– Chętnie bym jej skreśliła kark. – Spojrzała nagle na srebrny zegarek przypięty do pasa. – O Boże, czy już tak późno? Monsieur Christophe zaraz tu będzie, żeby cię uczesać. Chodźmy do mojego buduaru.

– Musisz mi pozwolić, żebym sama za to zapłaciła – oznajmiła Meg, gdy wychodziły z cieplarni.

– Och, pozwól mi być szczodłą. – Arabella objęła ją ramieniem. – Przedtem nigdy tego nie znałam. A poza tym – dorzuciła ze śmiertelnie poważną miną – jeśli będzie trzeba, mogę zawsze posłużyć się w zbożnym celu naukami mego męża i wygrać coś w faraona.

– Och, w takim razie jak mogłabym odmówić?

Fryzjer już na nie czekał, kiedy weszły do domu, i pozdrowił Arabellę ze szczerą życzliwością. Był pierwszym z jej licznych protegowanych, a ona znacznie poszerzyła jego klientelę. Nowe uczesanie natychmiast zwróciło uwagę i mnóstwo pań pragnących ją naśladować zaczęło zabiegać o usługi monsieur Christophe'a.

Poddał teraz głowę Meg skrupulatnym oględzinom, wsuwając palce w rozwichrzone kędziory.

– Myślę, madame, iż trzeba je dużo krócej przyciąć niż fryzurę jej wysokości, bo pani włosy należy, że tak powiem, okiełznać.

– Mądra uwaga. Niech pan z nimi robi, co chce!

– Chcę tylko tego, co dobre – odparł urażony.

Zaczął ją strzyc, po czym powiedział do Arabelli, przyglądającej się jego pracy:

– Och, wasza wysokość, madame Sorreil poleciła mi podziękować za uprzejme starania względem jej córki. Mademoiselle Elise bardzo się dobrze czuje w rodzinie milady Bond.

– Cieszę się z tego – przyznała szczerze.

Christophe ostrożnie uciął loczek nad uchem nowej klientki.

– Muszę też powiedzieć, wasza wysokość, że przybyło sporo nowych uchodźców na barce z Le Havre. Spytam, czy czegoś nie wiedzą o pani de Villefranche.

– Dziękuję panu.

Arabella zasięgała języka w tej sprawie zarówno wśród arystokracji, jak i zwykłych rzemieślników. Nie miała wprawdzie wielkich nadziei, że od towarzyszy monsieur Christophe'a czegoś się dowie. Wiedziała jednak, że w więzieniach niewiele zwracano uwagi na pochodzenie zatrzymanych.

– *Voilà!* – Fryzjer szcęknął nożyczkami po raz ostatni, odsunął się i podziwiał swoje dzieło.

– Och, Meg, to coś nadzwyczajnego! – zawołała Arabella. – Wyglądasz zupełnie inaczej.

Meg była równie zaskoczona swoim przeobrażeniem. Loki bardziej teraz przylegały do głowy, podkreślając kości policzkowe i wydobywając blask żywych, zielonych oczu. Przyjrzała się sobie pod różnymi kątami i w końcu rzekła:

– Mnie się to podoba, ale moja biedna matka gotowa zemdleć z wrażenia.

– Ach, stara generacja, madame... jej bardzo trudno nadażyć za postępem – uznał Christophe, chowając nożyczki do skórzanego woreczka.

– W przyszłym tygodniu pani włosy będą wymagały strzyżenia – oznajmił Arabelli i opuścił buduar.

– No, a teraz... – Arabella zatarła ręce. – Teraz trzeba ci znaleźć jakąś suknię. Wieczorem będzie bał w Gordon House i twoje wejście musi zostać

zauważone. — Odwróciła się i poszła do sypialni. Meg podążyła za nią, wciąż dotykając ostrożnie nowego uczesania.

– Czy mogę tam pójść bez żadnego zaproszenia?

– Jak najbardziej. Jesteś gościem księżnej St. Jules, moja droga – oznajmiła Arabella niedbale, otwierając szafę. – Gdzieś mam tu suknię balową z zielonego szyfonu. Nalegałam, aby Celeste mi ją uszyła, ale Jack bardzo nie lubi, kiedy ją noszę... tylko dlatego, że sam jej nie wybrał; jestem tego pewną. Ach, tutaj wisi. – Sięgnęła w głąb szafy i wyciągnęła strój, a potem podała go Meg.

– Przyłóż ją... tak, to idealny kolor dla ciebie! – Arabella zrobiła kwaśną minę. – Przykro mi, ale muszę przyznać, że Jack miał rację. Na tobie wygląda ona dużo lepiej.

Meg przejrzała się w wielkim lustrze.

– Chyba trochę za duża. Ja nie jestem tak hojnie obdarzona przez naturę jak ty, Bello.

– Och, Becky dopasuje ją w mgnieniu oka. – Arabella zadzwoniła na służącą. – Zakładka tu, zakładka tam, dołem trochę skrócić, i już. Becky świetnie sobie radzi z igłą, a Marta może jej pomóc. Nie zajmie im to wiele czasu.

Jack siedział już przy stole w salonie, gdy obie zeszły na obiad punkt o ósmej. Skłonił się im ubrany w surdut ze złocistego brokatu. Rękojeść szpady połyskiwała w blasku świec.

– Do twarzy pani w tej sukni, panno Barratt – uznał z aprobatą. – O wiele bardziej niż Arabelli.

Arabella spojrzała na niego gniewnie. Mąż ujął ją pod brodę i przyjrzał się uważnie jej cerze.

– Wyglądasz dziś jakoś blado, moja droga. Nie wybrałbym na ten wieczór sukni w kolorze kości słoniowej. Bardziej by ci było do twarzy w brązowym jedwabiu na kremowym spodzie.

– Nie będę się już przebierać. – Arabella się zirytowała. – Lepiej nałożę na twarz trochę różu.

Jack opuścił rękę, którą podtrzymywał ją pod brodę. — Nie – stwierdził stanowczo. – Spróbuj raczej porządnie się wyspać.

– Niczego nie owijasz w bawełnę, prawda? – Skrzywiła się.

– Nie wtedy, kiedy to dotyczy ciebie – odparł przyjaźnie i podszedł do kredensu. – Napije się pani sherry, panno Barratt, czy może madery?

Meg wyglądała na rozbawioną i zastanawiała się, czy ksiązę ze swoimi pewnie wygłaszanymi uwagami na temat wyglądu żony nie chciał czasem zademonstrować swojej pozycji przed najlepszą przyjaciółką Arabelli.

– Wolałabym sherry. Muszę panu pogratulować, ksiązę. Bella na ogół nie znosi z taką cierpliwością krytycznych uwag względem swojej osoby.

– Mężowie mogą sobie na więcej pozwolić w tych sprawach – odparł z miejsca i podał jej kieliszek sherry, po czym nalał żonie madery.

Arabella odkaszlnęła znacząco.

– Czyżby nie było mnie w tym pokoju?

Jack sam nie wiedział, co właściwie w niego wstąpiło. Nagle wydało mu się, że powinien walczyć o względy Arabelli z jej przyjaciółką. Co za absurd. Poczul, że się nieznacznie zaczerwienił, i zdumiało go to prawie tak samo, jak własne nedorzeczne zachowanie przed chwilą.

Stał ciągle odwrócony tyłem, manipulując przy karafce, żeby odzyskać panowanie nad sobą, a potem z chłodnym uśmiechem podał żonie kieliszek. Zdołał jednak przedtem dostrzec lekkie rozbawienie w konspiracyjnym spojrzeniu, jakie obydwie wymieniły.

– Dziękuję. – Arabella wzięła od niego kieliszek.

Jack szukał w myśli jakiegoś neutralnego tematu, który przywróciłby mu nadszarpniętą godność.

– Czy jeździ pani konno, panno Barratt?

– Ależ tak. – Meg uśmiechnęła się uprzejmie.

– Z pewnością któryś z naszych wierzchowców będzie pani odpowiadał. Co o tym sądzisz, Arabello? Może być taka srokata klacz?

– Na pewno – przytaknęła Arabella, ale wyglądała, jakby zaraz miała się roześmiać. Nigdy przedtem jej mąż nie był taki niezdarny. Wypadał dość niekorzystnie, co pomimo całego rozbawienia wcale jej się nie podobało. Odstawiła kieliszek.

– Może poszlibyśmy już na obiad?

Arabella wstąpiła na kręte schody rezydencji Gordonów, trzymając za ramię męża, a po drugiej stronie mając Meg. Księżna Gordon oczekiwała już gości u szczytu schodów, a z sali balowej dolatywały dźwięki orkiestry.

Powitała uprzejmie Meg, zatrzepotała rzęsami na widok księcia, a Arabellę dokładnie zmierzyła wzrokiem, szukając jakichś nowych akcentów w jej stroju, które wkrótce staną się ostatnim krzykiem mody.

Jack zatańczył najpierw z gościem, potem z żoną, a kiedy już dopełnił tych obowiązków, udał się do pokoju, gdzie grano w karty.

Było już po jedenastej, kiedy zjawiała się lady Jersey w komplecie biżuterii zdobionej diamentami, prezencie od księcia Walii. Z pewnością dorównywał wszystkim klejnotom, które miała na sobie księżniczka Karolina, właśnie tańcząca kadryla z księciem Devonshire.

– Gorgona we własnej osobie – mruknęła Arabella do Meg.

– Jest po prostu oszałamiająca – uznała Meg, przyglądając się uważnie lady Jersey sponad krawędzi wachlarza.

– Nie mówiłam, że nie jest. Lady Worth też nie należy do najbrzydszych.

– Nie ma jej tu dzisiejszego wieczoru?

– Jak dotąd nie... Poczekaj, co się tam właściwie dzieje? – Arabella chwyciła Meg za ramię.

Obydwie patrzyły z niedowierzaniem na lady Jersey, która z dumnie uniesioną jak zwykle głową zaczęła okrążyć salę. Jednakże każda z grup gości, do których podchodziła, rozpraszała się nagle, nim lady zdążyła do niej dotrzeć. W sali balowej zapadła dziwna cisza, a orkiestra zaczęła nagle brzmieć słabo i piskliwie.

– No, no – szepnęła Arabella. – Wygląda na to, że cierpliwość dobrego towarzystwa dobiegła kresu. Lady Jersey posunęła się za daleko. Pewnie zanadto się przechwalała, mówiąc wszystkim, że namawia księcia Walii do legalnej separacji z Karoliną. Słuszna kara za jej pychę. – Wycofała się z sali, pociągając za sobą Meg do przyległego pokoju. – Wprawdzie bardzo się cieszę, ale nie chcę w tym brać udziału.

– Dlaczego?

– Wolę uchodzić za osobę o wysokim morale. – Arabella uśmiechnęła się melancholijnie. – Przynajmniej w obecności mojego męża. Już raz wkroczyłam na grząski grunt, lecz teraz opinia publiczna zrobiła wszystko za mnie i mogę pozwolić sobie na bezstronność.

Meg podążyła za jej spojrzeniem w stronę bocznych drzwi, gdzie stał Jack, jedną dłoń trzymając na rękojeści szpady, a drugą na biodrze. Twarz miał bez wyrazu i chłodno obserwował, co się dzieje.

Lady Jersey, pełna wstydu, wybiegła z balu.

Jack opuścił miejsce przy drzwiach i przeszedł przez salę, która huczała wprost od najświeższych plotek. Orkiestra zaczęła grać żwawego

kontredansa. Spostrzegł Arabellę i Meg, gdy wyszły ze swego azylu, zmierzając w stronę sali balowej.

– Jeśli gotowa jesteś teraz odejść, moja droga, chętnie cię odprowadzę – powiedział, wyciągając z kieszeni surduta tabakierkę z tworzywa, będącego imitacją japońskiej laki.

– Tak? – Arabella zmarszczyła brwi. Domyśliła się, że gra przy stole Gordona nie była ekscytująca. – Sądziłam, że zostaniemy tu trochę dłużej. Możemy zobaczyć się w domu, Jack. Nasz lokaj czeka na dole i może zawezwać powóz, kiedy będziemy gotowe.

Jack zażył tabaki i wsunął tabakierkę do kieszeni.

– Przyznam, że mógłbym bawić się lepiej niż podczas partii kart u księcia Gordona.

– W takim razie idź – uznała Arabella.

Mąż skłonił się, uniósł jej dłoń do ust.

– Do zobaczenia, madame.

Pożegnał Meg z tą samą kurtuazją i odszedł niespiesznie.

– Czy ty coś z tego rozumiesz? – spytała przyjaciółkę Arabella.

– Dziwne, że nie powiedział ani słowa o tym, co zaszło – uznała Meg.

Arabella skinęła głową zamyślona.

– Ten człowiek w ogóle jest nieprzewidywalny.

Zbliżył się do nich Charles Fox, ubrany wyjątkowo jak na niego powściągliwie w szary frak; tuż za nim kroczył George Cavanaugh.

– Mąż powinien się wstydzić, że tak panią opuścił, milady – oświadczył po eleganckim ukłonie. – I swojego uroczego gościa. – Przyjrzał się z uznaniem, a może nawet z pewną lubieżnością, smukłej figurze Meg. – Czy mogę poprosić o taniec, panno Barratt?

– Szczerze mówiąc, muszę pana uprzedzić, że nie jestem idealną tancerką i mogę nadepnąć na palce – przyznała. – Jeśli jednak podejmie pan to ryzyko, będę zachwycona.

Fox przez chwilę stał zdezorientowany, lecz potem wybuchnął śmiechem, kłaniając się raz jeszcze.

– Co za urocza szczerłość, madame. Ale nie wierzę w to ani trochę. Nie mogłaby pani z pewnością nadepnąć nawet na mrówkę.

Weszli na parkiet, a George podał dłoń Arabelli.

– Ciekawy wieczór – zauważył, gdy już zaczęli tańczyć.

– O tak, bardzo ciekawy – odparta, skupiając całą uwagę na krokach tańca.

Powróciły na Cavendish Square o drugiej w nocy. Kompromitacja lady Jersey była jedynym tematem rozmów i zapewniła księżnej Gordon trwałe miejsce w historii.

Odźwierny wprowadził je do cichego domu, mówiąc, że jego wysokość wrócił parę minut przed nimi i pytał o jej wysokość.

Meg ziewnęła.

– Pójdę od razu do łóżka. Wstałam dziś rano o nieznośnej wręcz porze, żeby zdążyć na czekoladę u ciebie.

Arabella zaśmiała się i uścisnęła przyjaciółkę.

– Doceniam twoje poświęcenie, Meg. Nie potrafię sobie wyobrazić miłszego widoku po przebudzeniu.

Meg spojrzała na nią z rozbawieniem, Arabella zaś zarumieniła się nieco.

– Wiesz, co mam na myśli.

Pożegnały się u szczytu schodów i Arabella weszła do buduaru. Tylko jedna lampa oświetlała go nieznacznie, a w kominku pozostał jedynie

popiół. Psów też nie było. Zdziwiła się. Becky zwykle dbała o to, by pokój był wieczorem ogrzany i przytulny, w razie gdyby jej pani nie chciała się od razu kłaść do łóżka.

Weszła do sypialni. Tam było już jaśniej, a ogień płonął na kominku, lecz nigdzie nie dostrzegła Becky, podobnie jak psów. Na łóżku leżał za to Jack, w samej koszuli i spodniach, wsparty na poduszkach, z rękami za głową. Wglądał jak uosobienie wygody i beztroski.

– Dobry wieczór, moja droga – powitał ją. – Długo nie wracałaś z balu. Czy plotki były czymś tak nieodparcie atrakcyjnym?

Arabella zdała sobie sprawę, że nie chce mówić z Jackiem o wydarzeniach tego wieczoru, zbyt bliskich jej zmartwień. Odparła dość obojętnie:

– Można się było tego spodziewać.

Odwrócona plecami do łóżka siadła przy gotowalni, żeby zdjąć biżuterię. Mogła widzieć łóżko w lustrze, gdy wyjmowała naszywaną perłami wstążkę z włosów.

– Domyślam się, że sprawiło ci to radość.

– Plotki nigdy mnie nie radują.

Jack siadł gwałtownie, a w niej serce zamarło, gdy zwinnie wyskoczył z łóżka. Stała jej przed oczami chwila sprzed wielu miesięcy, kiedy porównała go w myśli z jaguarem.

– Moja droga, nie kryłaś się przecież ze swoją opinią o Frances Villiers – powiedział mąż, przechodząc sprężystym krokiem przez pokój.

– Moja opinia nie ma nic wspólnego z dzisiejszym zdarzeniem – stwierdziła, chcąc odpiąć perłowy naszyjnik.

Jack wyciągnął ręce i sam go zdjął, a potem przesunął opalizujący sznur między palcami. Stał za nią, wpatrując się w jej oczy odbite w lustrze.

– Zastanawiałem się, czy czasem nie było jakiejś osobistej urazy w twojej otwartej wrogości wobec lady Jersey – rzekł powoli.

– Nie wiem, co masz na myśli – odparła bezbarwnym głosem.

Jack włożył naszyjnik do otwartej szkatułki. Usiłował ostrożnie dobrać słowa.

– To nie jest takie łatwe... Lady Worth...

Arabella obróciła się gwałtownie w krzesło. Nie wytrzymałaby, gdyby rzucił jej to w twarz.

– Naprawdę sądzi pan, że mogłabym być zazdrosna o pańską kochankę? – Zaśmiała się szyderczo. – Proszę mi wierzyć, milordzie, cokolwiek robi pan z hrabiną Worth, jest mi to całkiem obojętne.

Podniósł rękę, chcąc dojsć do głosu.

– Proszę cię... Arabello... wysłuchaj mnie.

– Mam pana wysłuchać?! – Zerwała się z rozwianymi włosami i furią w oczach.

– Tak. – Chwycił ją za nadgarstki i założył jej ręce za plecy, tak że musiała stanąć prosto. – Proszę cię, zrób to. – Próbował wyciszyć jej wzburzenie swoim spokojem; wytrzymać pełne wściekłości spojrzenie. Po chwili poczuł, że już nie jest tak spięta.

– Co masz mi do powiedzenia? – spytała.

Puścił jej nadgarstki, ale zatrzymał jedną rękę na talii. Wolną dłonią powiódł po jej rozwichrzonych włosach, odgarniając pukle z twarzy.

– Nie dzieliłem łoża z Lilly, odkąd cię spotkałem.

Arabella wstrzymała dech, potem odetchnęła głęboko.

– Nie robisz takiego wrażenia. Bywasz wciąż w jej domu... rozmawiasz z nią w cztery oczy na balach. Wszyscy są przekonani, że nadal jest twoją kochanką.

– Wszyscy się czasem mylą.

– Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – Nie odrywała od niego wzroku, choć z brązowych oczu zniknął gniew.

Jack westchnął cicho.

– Oczywiście, powinienem był tak zrobić. Wybacz mi Arabello, ale uważam, że muszę być wobec niej lojalny. Nie chcę... nie mógłbym... upokorzyć jej, jawnie ją porzucając. Byłoby to tematem rozmów w każdym salonie przez całe miesiące.

Mogłaby ją rozbawić jawna oczywistość tych słów, lecz nie było w nich nic zabawnego. Jack nie chciał być świadkiem upokorzenia lady Jersey, bo widział w tym coś zbliżonego do przegranej Lilly. Nie chciał, by Arabella radowała się z odrzucenia Frances Villiers przez towarzystwo, gdyż obawiał się, że mogłaby pragnąć poniżenia jego byłej kochanki. A sama Arabella? No cóż, znała siebie aż za dobrze.

– I jeszcze coś – odezwał się Jack, podczas gdy ona ciągle milczała. – Powinnaś wiedzieć i o tym. Lilly zależy od moich pieniędzy, a ja nie chcę jej ich odmawiać.

Och, jakież to wszystko było proste. Pieniądze? W świecie Jacka nic nie znaczyły. Stracił kiedyś wszystkie i zyskał dwa razy tyle. Pieniądze to nie uczucia.

– Oczywiście, że nie. Nie oczekuję tego od ciebie. – Zawahała się. – Ona jednak wciąż uważa, że jest twoją kochanką.

– Chce tylko, żeby inni tak myśleli – poprawił ją.

– Tak... Czy szybko znajdziesz jakiś sposób, by zrozumiała, że jest inaczej, nie tracąc twarzy?

Jack nachylił się i ucałował jej powieki.

– Jesteś wielkoduszną kobietą, moja żono.

– Nawet Lacey może być wielkoduszny – powiedziała.

– Nie jesteś już Laceyem,

Dotknęła jego zaciśniętych warg, wygładzając ich linię.

– Nie, jestem Fortescu. Chciałabym, żebyś mi o tym przypominał.

Oczy Jacka z łagodniały, podobnie jak zarys ust. Ujął jej twarz w dłonie i ucałował ją.

– Z przyjemnością, pani żono.

RS

Arabelle obudził nad ranem świergot ptaków i dziwne łaskotanie w szyję. Osunęła się głębiej w poduszki, kiedy zrozumiała, że Jack odwołał się do jednego z jej ulubionych czułych miejsc i jego wargi muskały teraz linię włosów na karku, a język lekko zagłębiał się w dołek poniżej. Leżała na brzuchu, wtulona w puchowy materac, z rękami wyciągniętymi nad głową.

Przesunął dłonią wzdłuż jej pleców, jakby wygrywał melodię na kościach pacierzowych, a potem pogładził wygięte biodra. Powoli wynurzyła się z sennego oszołomienia, wstrzymując dech, spragniona jego pieścizot. Kazał jej na nie poczekać, gładząc najpierw nogi, zatrzymując się we wgłębieniach pod kolanami, aż wreszcie sięgnął wyżej. Dłoń wsunęła się między uda, zmierzając w górę. Westchnęła w poduszkę, unosząc biodra, żeby mu ułatwić dalsze manewry, i pozwoliła, by miękka fala błogości objęła ją całą. Wsunął dłonie pod jej biodra, przytrzymując ją, gdy wygięła się na jego spotkanie i poczuła, jak głęboko w nią wnika.

Poruszał się powoli, delikatnie, wciąż ją trzymając, z ustami nadal przy jej karku. Było to jak długie, powolne opadanie w chmurę, która otoczyła ją podczas omdlewającej rozkoszy. Zamknęła ponownie oczy, ledwie zdając sobie sprawę, że się od niej odsuwa, ledwie czując lekką pieścizotę na plecach i słysząc jego cichy śmiech, kiedy wstawał z łóżka. Gdy się przebudziła następnym razem, był już dzień, a Becky rozsuwała firanki. Psy trącały ją wilgotnymi nosami. Ziewnęła i usiadła w pościeli.

– Jaki piękny dzień, lady Arabello — powiedziała wesoło Becky. — Długo pani spała, ale panna Barratt mówiła, że mam panią zbudzić, bo rano czeka panią umówione spotkanie.

– Naprawdę?—Arabella zmarszczyła brwi, biorąc filiżankę gorącej czekolady z rąk Becky. – Och tak, już sobie przypominam. – Podczas balu u Gordonów obiecała, że dostarczy orchidee na bal u Beauchampów, a lady Beauchamp miała przyjść o dwunastej, żeby je wybrać. Na szczęście Meg usłyszała i zapamiętała wszystko. Arabella spojrzała na zegar; było już po dziewiątej. O której Jack ją obudził? Czuła się nieco znużona i obolała, ale po przetańczonej nocy i porannych igraszkach trudno się było temu dziwić.

Uśmiechnęła się do siebie.

– Myślę, że powinnam się dziś rano wykąpać, Becky.

Godzinę później weszła do saloniku, gdzie jadała śniadania.

– Wyglądasz na bardzo zadowoloną. – Meg spojrzała na nią znad „Gazette”. – Całkiem jak kot, który akurat zjadł złotą rybkę. Zazdroszczę ci. Moje panięskie łóżko jest wprawdzie bardzo wygodne, ale... – Rozłożyła szeroko ręce. – Brak mi pewnego *je ne sais quoi*, jeśli mogę się tak wyrazić.

– Z pewnością potrafisz temu zaradzić, jeśli tylko się postarasz. – Arabella uśmiechnęła się szeroko, nałożyła sobie cały talerz jajek i siadła naprzeciw przyjaciółki. – Jest coś ciekawego w gazecie?

– Nie ma nic na temat balu u Gordonów, ale nie mieli pewnie czasu napisać o nim do porannego wydania. – Meg spojrzała na nią porozumiewawczo. – Czy twój mąż już z tobą o tym rozmawiał?

Arabella posmarowała grzankę masłem i odgryzła jeden kęs, podczas gdy Meg czekała na jej odpowiedź z coraz większym zniecierpliwieniem.

– Tak – odparła wreszcie. – Porozmawiał.

– No i... – Meg była u kresu wytrzymałości. Arabella się uśmiechnęła.

– Wygląda na to, że jedna z moich trosk przestała się liczyć. – I streściła Meg rozmowę z Jackiem.

– Można tylko podziwiać mężczyznę za taką lojalność wobec byłej kochanki – zauważyła Meg. – Strasznie skomplikowanego męża sobie wzięłaś, Bello.

Arabella już miała odpowiedzieć, kiedy weszła pokojówka z dzbankiem ciepłego mleka i dygnawszy, postanowiła go na stole.

– Pan Tidmouth kazał mi powtórzyć, że pan Christophe chce się z panią widzieć. Wprowadził go do porannego pokoju.

– Nie przypominam sobie, żeby był na dzisiaj umówiony. – Arabella się zastanowiła.

– Przyprowadził jakiegoś dżentelmena, madame, i on także wygląda na cudzoziemca.

– Dziękuję, Milly Powiedz Tidmouthowi, że za parę minut do nich zejdem. – Arabella odczekała, póki za pokojówką nie zamknęły się drzwi, a potem powiedziała: – Może ma jakieś wiadomości z Francji? Niedawno mówił coś o nowych uciekinierach. – Zabębniła palcami po stole. – Sama nie wiem, czy chcę go wysłuchać.

– Skoro już zaszłaś tak daleko, szkoda by było rezygnować – stwierdziła Meg. – Chyba że sekret, o którym wspominałaś, nie jest tak ważny dla ciebie, jak twierdziłaś? – Spojrzała na przyjaciółkę pytająco.

– Jest, jest. – Przytaknęła jej powoli Arabella. Musiała znaleźć klucz do sekretów Jacka. Z pewnością ostro by się przeciwstawił jej śledztwu i niewątpliwie miał jakiś powód, żeby jej nie zaznajomić z historią siostry. Nie mogła nic na to poradzić. Był najbardziej skrytą osobą, jaką kiedykolwiek spotkała, a ona koniecznie chciała wykryć powód, choć lękała się konsekwencji.

Przejechała w roztargnieniu ręką po włosach, niszcząc uczesanie, które Becky z takim trudem ułożyła.

– Idę tam – oświadczyła, zrywając się na nogi. – Może to nic takiego... na przykład jeszcze jeden dobry znajomy Christophe'a, któremu trzeba pomóc. – Wiedziała jednak już teraz, że chodzi o coś ważnego. Czuła to przez skórę.

Obaj Francuzi niezręcznie milczeli, kiedy weszła do pokoju. Skłonili się jednocześnie i Christophe oznajmił:

– Wasza wysokość, to jest monsieur Claude Flamand. Drugi z mężczyzn znów się uklonił. Powiedziała z uśmiechem:

– Miło mi pana powitać, monsieur. Jak rozumiem, przybywa pan prosto z Francji?

– *Oui*, madame. – Nieznajomy wyglądał kiepsko i był tak wychudzony, jakby ostatni porządny posiłek zjadł wiele miesięcy temu. Twarz miał szarą i zmizerowaną, ubiór wyświechtany wprawdzie, ale dość czysty, a gdy tylko zaczął mówić, wstrząsnął nim okropny, konwulsyjny atak kaszlu. Arabella od razu zrozumiała, że to gruźlica.

Christophe podtrzymał go i zaczął mu rozcierać plecy z przygnębioną miną człowieka, który wie, że jest bezradny. Arabella zadzwoniła na Milly i poleciła jej przynieść brandy oraz ciepłej wody.

Wreszcie atak ustąpił i Claude osunął się na szezlong, zwieszając głowę na piersi. Napił się brandy i ciepłej wody ze szklaneczki, którą przyjaciel przysunął mu do warg. Po chwili poczuł się nieco lepiej, a twarz nabrała żywszego koloru.

– Proszę mi wybaczyć, madame – powiedział w swoim ojczystym języku, niewiele głośniejszy od szeptu.

– Niech pan mówi dopiero wtedy, kiedy poczuje się lepiej – odpowiedziała również po francusku, przysuwając sobie krzesło do szezlonga.

Claude skinął na Christophe'a, który powiedział po angielsku:

– Claude mówi tylko po francusku. Był w więzieniu Le Chatelet. Dzięki Bogu, wypuszczono go parę dni temu, a przyjaciele pomogli mu przyплыnąć tu barką z Le Havre.

– Dzięki staraniom moich przyjaciół. – Wtrącił Claude z nagłym błyskiem w zapadniętych oczach. – Bóg niewiele miał z tym wspólnego, *mon ami*. – W jego głosie zabrzmiała gorycz.

– Bóg zapomniał o naszym kraju.

Tych kilka słów tak go wyczerpało, że znów opadł na szezlong z zamkniętymi oczami. Arabella nie wiedziała, jak naprowadzić rozmowę na właściwy tor, lecz Christophe przyszedł jej z pomocą.

– Kiedy mój przyjaciel był w Le Chatelet, natknął się na kobietę... na damę. Może to dama, o którą pani pyta, wasza wysokość.

Arabella utkwiała oczy w gościu.

– Hrabina de Villefranche?

Przytaknął słabo.

– Myślę, że tak, madame. W tym więzieniu, rzecz jasna, nie ma nazwisk, tylko numery, ale pewnego dnia... – Urwał i skinął na Christophe'a.

– Claude'owi trudno mówić, wasza wysokość. Powiem pani, czego się od niego dowiedziałem.

Arabella zgodziła się i Christophe ciągnął dalej.

– Ta dama jest tam już od wielu, wielu miesięcy. Więźniowie bardzo ją lubią... ona wie, jak dbać o chorych, więc strażnicy ją tam zostawili, a nawet pozwolili jej troszczyć się o innych.

Pewnego razu przyszła pomóc jednemu więźniowi i Claude ją rozpoznał. Jego rodzina służyła panom de Villefranche w ich majątku na wsi, a Claude uczył się tam na złotnika. Była ona wtedy bardzo dobra dla

niego, dawała mu zarobić. – Skinął na Claude'a, który z wysiłkiem podjął opowieść.

– Nigdy bym jej nie poznał, tak się zmieniła... – Przerwał i znowu zakaszłał w chusteczkę. – Ale ona miała szczególny znak. Siwe pasmo we włosach.

Arabella gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

– Widział je pan?

Claude przytaknął.

– Cała już była siwa, ale to pasmo i tak się odcinało od reszty włosów. Wszędzie bym je poznał. – Opadł w tył wyczerpany.

– Ta dama, jeżeli to rzeczywiście hrabina, była bardzo długo w więzieniu – powiedział Christophe i lekko prychnął. – Ironia losu. Zburzyliśmy Bastylię i uwolniliśmy więźniów, ale potem stworzyliśmy tuzin innych Bastylii, gdzie człowiek może zniknąć bez śladu... dopiero śmierć go wyzwoli.

– W jaki sposób przeżyła? – powiedziała Arabella bardziej do siebie niż do nich.

Obydwaj wzruszyli ramionami.

– Niektórym arystokratom udało się uniknąć gilotyny – wyjaśnił Christophe. – A kiedy stracono Robespierre'a, wielu ludzi wreszcie miało dość rozlewu krwi. Pewnie hrabina dostała się do więzienia pod koniec terroru, a potem została tam, bo o niej zapomniano.

– Wielu jest takich jak ona – znów się odezwał Claude. – Rodziny i przyjaciele myślą, że oni zginęli, a nie ma sposobu, żeby powiadomić kogoś na zewnątrz. Mnie odnalazł przyjaciel.

– Jak pan zdołał uciec? – Arabella pochyliła się w stronę rozmówcy, nie odrywając oczu od jego twarzy.

Claude po raz wtóry wzruszył ramionami.

– Pieniądze, madame. Ludzie z *securite* biorą pieniądze, jeśli jest ich sporo. Żadna władza nie zajmuje się więźniami. Wielu nazwisk nikt już nie zna. Gdy się da łapówkę właściwemu człowiekowi, więzień wychodzi na wolność.

Arabella chłonęła te wieści w milczeniu. Jack powiedział George'owi, że jego siostra nie żyje. Przeświadczony był, że nie zdołał jej uratować, mimo że ocalił wielu innych. Ale czy się nie mylił? Podczas masakry wiele mogło się zdarzyć. Wiedziała o ludziach, którzy przypadkiem trafili na szafot, bo ich pomyłono z innymi. W ogólnym chaosie niektórzy mogli ująć śmierci, lecz w obawie przed rozpoznaniem woleli się nie ujawniać. Lepiej było uchodzić za zmarłego niż stać się nim naprawdę.

– Dziękuję z całego serca za wieści – powiedziała wreszcie. Sama myśl o siostrze Jacka, jak zresztą o jakiegokolwiek osobie, która wegetuje w więzieniu, nie mogąc dać znać o sobie, i wie, że rodzina uważa ją za zmarłą, przejmowała ją zgrozą.

– Teraz muszę się dowiedzieć, jak mogłabym panu pomóc, monsieur Flamand. – Spojrzała na Christophe'a. – Pieniędźmi, mieszkaniem, leczeniem? Pański przyjaciel potrzebuje doktora i leków. Niech pan mi pozwoli mu pomóc.

– Claude mieszka ze mną – wyjaśnił Christophe. – Mam sporo pieniędzy i mogę go utrzymać, ale dziękuję, wasza wysokość, za propozycję.

– Ale doktor... lekarstwa... – powtórzyła. – Proszę pozwolić, żebym posłała po doktora, który go zbada.

– Mamy własnych doktorów, madame, i troszczymy się o siebie nawzajem. – Christophe wstał z krzesła i pomógł się podnieść przyjacielowi.

– Pani już i tak była bardzo dobra. Kiedy Claude będzie mógł pracować, może mu pani znaleźć pracę. On jest bardzo zręcznym złotnikiem.

– Oczywiście – odparła, dobrze wiedząc, że to nie nastąpi. Claude nigdy już nie będzie pracować. – Ale gdyby czegoś mu było trzeba, niech pan do mnie przyjdzie.

– *Merci*, madame. – Christophe uklonił się i wyprowadził przyjaciela.

Arabella stała pośrodku pokoju z rękami założonymi na piersi, próbując się zastanowić, od czego ma zacząć. Jack musiał natychmiast jechać do Paryża i przekonać się, czy to naprawdę jego siostra. Jeśli tak, może zdoła ją wykupić i zabierze ją z tego strasznego miejsca. Jak zniesie wiadomość, że siostra wegetuje we francuskim więzieniu, a on o tym nie wiedział i nic nie zrobił, żeby jej pomóc? Ta świadomość stanie się dla niego koszmarem. A tylko ona może przekazać mu te wieści.

– No i co? – spytała cicho Meg, stając we drzwiach. – Wyglądasz strasznie, Bello. Co się stało?

Arabella powiedziała jej, a kiedy skończyła, wstąpił w nią nowy duch. Poczowała nadzieję. Jeśli los Charlotte był przyczyną czarnych nastrojów Jacka, to może po pierwszym szoku znikną? A on uratuje ją, przywiezie tutaj i długi koszmar wreszcie się skończy.

– Muszę natychmiast znaleźć Jacka. – Pobiegnęła do drzwi. – Poślij kogoś do lady Beauchamp z wiadomością, że nie mogę się z nią dzisiaj spotkać. A także poproś Louisa, żeby spakował bagaż dla księcia, bo wyjedzie co najmniej na tydzień.

– A co z tobą? – spytała Meg, wychodząc w ślad za Arabellą do holu.
– Czy mam powiedzieć Becky, żeby spakowała również i twoją torbę podróżną?

- Sama nie wiem. To zależy od tego, jak Jack przyjmie tę wiadomość.
- Uśmiechnęła się gorzko. – Może będzie chciał zastrzelić posłańca.

W holu spytała majordomusa:

- Tidmouth, gdzie jest jego wysokość?
- U mistrza Alberta, wasza wysokość.
- Któż to taki i gdzie? – spytała niecierpliwie
- Mistrz szermierki, madame. Znajdzie go pani na Albermarle Street, pod numerem siódmym, jak mi się zdaje.
- Dziękuję. Każ przygotować mojego konia... och, i konia księcia także. Niech je osiodłają jak najprędzej.

Arabella pobiegła na piętro, pozostawiając Tidmoutha całkiem wytrąconego z równowagi tymi poleceniami. Zazwyczaj jego pani obchodziła się z nim bardzo delikatnie, nie chcąc urazić jego godności.

Arabella zadzwoniła po Becky a potem zrzuciła poranną suknię, szarpiąc za guziki. Właśnie wyciągnęła z szafy strój do konnej jazdy, gdy nadbiegła służąca.

- Pomóż mi to włożyć – zawołała, narzucając na siebie gorączkowo koszulę, – Szybko.

Becky nie pytając o nic, pomogła jej przy wkładaniu spódnicy, kamizelki i żakietu. Arabella usiadła, żeby wciągnąć na nogi długie buty. Serce jej waliło, czuła narastającą panikę. Wcisnęła wysoki kapelusz na zmierzwione włosy, chwyciła rękawiczki i szpicrutę, po czym zbiegła pędem ze schodów.

Meg czekała na nią w holu.

- Stajenny czeka już z końmi.
- Dziękuję.

– Zabiorę psy do parku, a kiedy wrócę, wezmę je do swego pokoju. Jeśli będę ci potrzebna, wiesz, gdzie mnie szukać.

Arabella ucałowała ją w pośpiechu.

– Przepraszam... to psuje twoją wizytę.

– Och, Bello. Jedź już. – Meg pchnęła ją ku drzwiom. Lokaj pośpiesznie je przed nią otworzył z oczami wytrzeszczonymi z ciekawości.

Zbiegła ze schodów i dosiadła Zaprzańca przy pomocy stajennego, któremu poleciła prowadzić konia księcia. Stajenny wsiadł na drugiego wierzchowca i ujął wodze kasztanka Jacka.

– Na Albermarle Street! – zawołała. – Jak najszybciej! Stajenny w liberii ruszył kłusem. Arabella powściągnęła chęć

jazdy galopem. Ulice były zbyt wąskie i zatłoczone. Musieli przeciskać się między wyładowanymi furami, ciągniętymi przez powolne konie, chłopcami z ręcznymi wózkami i ulicznymi trapanami, nie mówiąc już o podziwiających witryny sklepowe pieszych.

Po jakimś kwadransie wjechali w spokojną, rezydencjonalną Albermarle Street i stanęli przed numerem siódmym. Wysoki dom za czarnym ogrodzeniem wyglądał jak każdy inny budynek przy tej ulicy, a dyskretna tabliczka obok drzwi głosiła jedynie: "*Maitre* Albert". Zapewne każdy, kto tędy przechodził, rozumiał, kim jest *Maitre* Albert. Arabella doszła do tego wniosku, po czym zsiadła z konia i podeszła do drzwi. Już podniosła dłoń, by zapukać, gdy ujrzała, że są lekko uchylone.

Weszła w wąski korytarz ze stromymi schodkami w głębi. Usłyszała nad sobą odgłosy gwałtownych skoków i szczęk stali, ale żadnych głosów. Pośpiesznie weszła na piętro i zatrzymała się przed podwójnymi drzwiami. Odgłosy dochodziły właśnie zza nich. Ostrożnie nacisnęła klamkę i pchnęła je. Znalazła się w wydłużonym, podobnym do galerii pokoju. Mężczyźni z

floretami stali pod ścianami, wspierając się o nie dłońmi, i patrzyli na dwóch szermierzy pośrodku sali. Jack i jakiś inny mężczyzna, niewysoki i zwinny, zdawali się tańczyć na palcach stóp osłoniętych tylko pończochami. Jack poruszał się równie szybko, jak srebrzyste ostrze w jego ręce, zadając i odpierając pchnięcia. Ich twarze były zupełnie pozbawione wyrazu, a całą swą uwagę koncentrowali na szpadach. Arabella, mimo zniecierpliwienia, ucisku w piersiach i narastającego strachu, obserwowała ich walkę z fascynacją. Wydawało się niemożliwe, by któryś z nich uległ drugiemu, tak szybkie i pewne były ich ciosy.

A potem Jack ją zobaczył. Właśnie zręcznie uchylił się od ataku, obrócił się na palcach i wystąpił naprzód, gdy ujrzał ją w drzwiach. Jednym szybkim ruchem odrzucił na bok szpadę przeciwnika, potem zaś podszedł do niej lekkim, bezszelestnym krokiem, oddychając szybko.

Nie tracił czasu na kuriozalne wstępy, pytając prosto z mostu:

– O co chodzi? Co się stało?

– Muszę z tobą pomówić. Gdzie moglibyśmy pójść?

Wskazał na drzwi w bocznej ścianie ze słowami:

– Albercie, proszę o wybaczenie za ten bezceremonialny koniec.

Drugi szermierz złożył mu ukłon, prezentując broń. Jack zrobił to samo, całkiem jakby ceremonialne formy były wymogiem, któremu bezwzględnie należało się podporządkować. A potem podszedł z nią szybko do drzwi.

Za nimi znajdował się niewielki pokój, cały wyłożony lustrami, z matą na podłodze i półkami pełnymi floretów wzdłuż jednej ze ścian. Duże wąskie okno wychodziło na ulicę. Jack wsparł się o długi stół i spojrzał na nią. Wciąż jeszcze trzymał w ręce szpadę, której szpic, z nałożoną na niego

gałeczką, tkwił między jego stopami. Wzrok miał czujny, wyraźnie zaniepokojony.

– No więc? – cicho spytał.

Arabella zaczerpnęła tchu, próbując uspokoić nerwy. Ręce się jej trzęsły i musiała przycisnąć je mocno do sukni.

– Twoja siostra... – zaczęła.

Jack stał bardzo spokojnie, ale jego spojrzenie stało się nieprzeniknione.

– Charlotte... hrabina de Villefranche... istnieje pewna możliwość, że ona... może być w więzieniu Le Chatelet. – Wydawało jej się, że lepiej będzie od razu wszystko powiedzieć.

Jack nawet nie drgnął. Nic nie mówił, tylko patrzył na nią, jakby niczego nie rozumiał, tak że poczuła się zmuszona przerwać to przeraźliwe milczenie.

– Znajomy monsieur Christophe'a dopiero co uciekł z Francji. Twierdzi, że mógł widzieć w więzieniu twoją siostrę.

Jack wreszcie przemówił głuchym, bezbarwnym głosem:

– Moja siostra nie żyje.

Arabella wyciągnęła ku niemu rękę, lecz coś powstrzymało ją od dotknięcia go.

– Nie... niekoniecznie, Jack. Ona może żyć.

Pokręciła głową w geście zaprzeczenia.

– Po co ten człowiek przyszedł do ciebie z taką bajeczką? – Jack nadal patrzył na nią uparczywie, lecz spod obojętności i niedowierzania zaczął wyzierać cień nadziei.

– Pytałam przedtem Christophe'a, czy któryś z emigrantów czegoś o niej nie wie. Do dzisiejszego ranka, kiedy przyszedł do mnie monsieur Flamand, nikt o niej nie słyszał. Przyszłam tu zaraz, bo musisz...

– Nie mów mi, co muszę zrobić – przerwał jej głosem tak cichym, że ledwo go słyszała, a jednak każde słowo wydało się jej dobitniejsze od krzyku. – Moja siostra zmarła.

Pokręciła głową, powtarzając uparcie:

– Może jednak nie, Jack. Jest szansa, że żyje.

Gdy nadal nic nie mówił, tylko patrzył gdzieś przed siebie niewidzącymi oczami, dodała pośpiesznie:

– Twój koń czeka na dole, a Louis pakuje bagaż.

Jack odwrócił się i wyszedł. Przez chwilę nie była w stanie ruszyć za nim, nie wiedząc, jak zareagować na ten pozbawiony wszelkiego wyrazu spokój. Dopiero po chwili weszła ponownie do długiej galerii. Jack, już obuty, ze szpadą w pochwie, szedł ku podwójnym drzwiom. Pobiegła za nim. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, ignorując jej obecność, a gdy znalazł się na ulicy, dosiadł konia i puścił się szybkim kłusem.

Arabella zdołała dosiąść Zaprzańca przy pomocy stajennego i podążyła za mężem. Nie wiedziała, co począć, lecz była pewna, że nie pozwoli mu się tak traktować. Jeśli uważał, że nie można jej ufać, ich małżeństwo było czczą fikcją.

Dotarła do domu kilka minut po Jacku. Jego koń był luźno uwiązany do ogrodzenia, a drzwi frontowe stały otworem. Ześliznęła się ze swojego wierzchowca, zebrała suknię i wbiegła do środka. Tidmouth zamykał właśnie drzwi, gdy minęła go pośpiesznie, idąc ku schodom.

W buduarze, chcąc ochłonać, spojrzała w lustro. Pot spływał jej z czoła, zakurzone i splątane włosy wymykały się spod kapelusza, chustka na

szyi była przekrzywiona. Rzuciła kapelusz i szpicrutę na krzesło, a potem otworzyła przechodnie drzwi do pokoju męża.

Jack przebierał się właśnie w spodnie do konnej jazdy, a Louis wyglądał fałdy koszuli, którą położył na bagażu.

– Możesz poświęcić mi kilka minut – powiedziała, usiłując zachować spokój. – Louis, proszę, zostaw nas na chwilę.

Lokaj spojrział na swojego pana pytająco. Nigdy przecież nie otrzymywał poleceń od księżnej. Jack skinął głową i sługa wyszedł, choć z pogardliwą miną.

– O co ci chodzi? – spytał Jack, zawiązując halsztuk.

– Czemu nie chciałeś mi powiedzieć, że miałeś siostrę? – odparła, stojąc obok łóżka wsparta o jedną z podtrzymujących baldachim kolumnienek. Chłodne i gładkie w dotyku drewno działało na nią uspokajająco,

– Nie była to twoja sprawa i nadal nie jest.

– Jestem twoją żoną, Jack. Jakże mogę nic o tym nie wiedzieć? – Patrzyła mu prosto w oczy i zmuszała go, żeby uczynił to samo.

– Naprawdę sądzisz, że dowiadując się czegoś za moimi plecami, zasługujesz na zaufanie? – wycedził z niedowierzaniem. – Wierz mi, nie ufam ci w niczym, madame. Nie wiem, jakim podstępem zyskałaś informacje o tej części mojego życia, której nigdy nie chciałem ci odsłonić, ale wierz mi, nie oznacza ona dla ciebie żadnego pożytku.

Odwrócił się od niej ze wstrętem.

– Jack, proszę cię, to nie był żaden podstęp. O twojej siostrze dowiedziałam się od George'a. Mówił, że zginęła podczas terroru i że byłeś do niej bardzo...

– Mam wobec niego dług wdzięczności. Przypomnij mi potem, żebym go należycie spłacił.

– To nie wina George'a, tylko twoja! – Gniew wziął w niej górę nad paraliżującym poczuciem winy. – Gdybyś nie był tak wściekle skryty... gdybyś nie stronił od każdego, kto chce się zbliżyć do ciebie, nie potrzebowałabym pytać innych o to... co dla ciebie ważne.

Odezwał się, nadal bardzo spokojnie.

– A o co jeszcze pytałaś George'a, moja ty słodka, obłudna żoneczko?

– Nie jestem obłudna! Jeśli ktoś tu jest obłudny, to ty! Czemu byłeś ze mną tak nieszczerzy? Jakie jeszcze sekrety przede mną ukrywasz? Wzywam cię, żebyś mi je ujawnił! – Uniosła podbródek, a brązowe oczy rzucały gromy.

Odwrócił się od niej, ale chwyciła go za ramię i zmusiła, żeby znów spojrzał jej w twarz. Odtrącił ją, jakby była uprzykrzonym owadem, i z wysiłkiem rzucił:

– Zostaw mnie, Arabello.

– Nie! – Znów chwyciła go za ramię. – Czemu się ze mną ożeniłeś, skoro mną gardzisz? Bo gardzisz mną, prawda? – Zajrzała mu w oczy, wciąż uczepiona jego ramienia. – Czy temu zaprzeczysz?

Wydało jej się, że milczenie Jacka trwa całą wieczność. Wreszcie powiedział:

– Nie... tobą nie gardzę wcale. – Wyraźnie zaakcentował ostatnie słowo.

Patrzyła na niego, pojmując, że jest już blisko poznania prawdy.

– Co ci zrobił mój brat?

Gdzieś z tyłu za nią Jack usłyszał dziki zgiełk i ujrzał rzeź w La Force tamtej wrześniowej nocy.

– Wydał moją siostrę.

Arabelli zrobiło się przeraźliwie zimno. Dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem. Ręka, którą czepiała się jego ramienia, osunęła się bezwładnie.

– Nie rozumiem.

– A więc pozwól wyjaśnić to sobie, kochana, żebyś zrozumiała – odparł z gorzką ironią. – Twój brat, chcąc uratować swoją cenną głowę, wydał moją siostrę w ręce *securite*. Zamordowano ją podczas masakry w więzieniu La Force. – Głos Jacka zabrzmiał nagle jak z oddali, oczy straciły wszelki wyraz, jakby wpatrzył się w jakąś mroczną pustkę. – Zdołałem się dowiedzieć, że zabrano ją właśnie tam. Wszyscy już nie żyli... zwłoki leżały na dziedzińcu. Zakrwawione szczątki ciała, zmasakrowane członki... a moja siostra była wśród tych, których wywleczono z cel jako pierwszych. Mówiłem z plugawą staruchą... jedną z trykociarek... która widziała, jak cios bagnetem rzucił Charlotte na kolana. Moja siostra nie mogła przeżyć tej rzezi.

Czuła mękę w jego głosie, gdy po raz pierwszy dopuszczał do siebie możliwość, że mógł się mylić i narazić siostrę na długie miesiące cierpienia. Przeciągnął oburącz po twarzy, jakby chciał z niej coś zetrzeć.

Arabella cofnęła się i usiadła gwałtownie na łóżku.

– Frederick zawsze był tchórzem.

Było to proste stwierdzenie faktu. Brat sprzedałby duszę diabłu, gdyby mu się to opłacało. Właściwie tak się poniekąd stało.

– A więc dlatego doprowadziłeś do jego śmierci. – Wzruszyła ramionami. – Ktoś mógłby uważać to za akt zemsty. Ale ja? Dlaczego mnie poślubiłeś? Czy stanowiłam część zemsty?

Milczenie męża było zrozumiałą odpowiedzią. Arabella objęła się mocno rękami, patrząc bezmyślnie przed siebie. Postępek Fredericka zawsze

będzie się za nią ciągnął. Nigdy już nie będzie w oczach Jacka wolna od skazy.

– Pojadę z tobą – rzekła z zimną determinacją.

– Nie zrobisz tego. – Spojrzał na nią wręcz lodowato. –Czy myślisz, że chcę, by ktokolwiek z Laceyów się do niej zbliżył?

Nie, nigdy się nie uwolni od tego piętna. Nie chciała jednak spierać się z mężem. To nie był ten Jack, którego знаła ona i jego przyjaciele. Rządziła nim teraz siła o wiele bardziej niszczycielska niż to, co uczynił Frederick. Wstała z łóżka i zostawiła męża, mówiąc jedynie, już w drzwiach swojego pokoju:

– Życzę ci powodzenia.

RS

Arabella poszła prosto do pokoju Meg i w paru słowach powiedziała jej wszystko. Meg, jak zawsze, wysłuchiwała jej w milczeniu.

– Przypuszczam, że przepłynię statkiem z Dover do Calais. To najkrótsza trasa między Londynem a Paryżem – uznała Arabella. – Mogłabym wynająć karetkę pocztową do Dover, popłynąć na tej samej barce do Calais i spotkać się z nim w jakimś rozsądnie wybranym miejscu.

– Bello – spytała ostrożnie Meg – nie chciałabym cię od tego odwozić, ale czy ty naprawdę znasz własnego męża?

– Wygląda na to, że nie za bardzo, prawda? – odparła po chwili namysłu Arabella z niewesołą miną. – Zamierzam jednak spróbować. Rozumiesz mnie? – spytała, ściskając przyjaciółkę mocno za rękę

– O, tak.

Arabella po chwili milczenia wstała z nową siłą.

– Muszę wynająć karetkę. Nie wiesz, gdzie to się robi? Meg, która stała w tej chwili przy oknie, powiedziała jej:

– Spytaj Tidmoutha. Jack właśnie rusza, więc się o tym nie dowie.

Arabella stanęła obok niej. Patrzyła, jak mąż dosiada konia z przytroczonym do siodła bagażem.

– Prędzej będzie jechał na koniu niż ja karetką – mruknęła.

– Ale nie może przebyć na nim siedemdziesięciu mil bez zmiany wierzchowca lub odpoczynku. Będzie musiał się gdzieś zatrzymać i spędzić tam chociaż część nocy.

– A kareta pocztowa, która często zmienia konie, może jechać całą noc – domyśliła się Arabella. – Może ty byś powiedziała Tidmouthowi, żeby

wynajął karete? Pomyśli pewnie, że potrzebna jest tobie, i nie będzie zadawał kłopotliwych pytań.

– Z pewnością nie. – Zachichotała Meg. – Aż za bardzo by mu się podobało, gdybym się stąd wyniosła. To najbardziej zrozumiała kreatura, z jaką się kiedykolwiek zetknęłam.

– Wiem, jest po prostu niemożliwy, ale za to głęboko oddany Jackowi. Powiedz mu, że chcesz mieć tu karete w ciągu godziny. Szybko się spakuję.

– A Charlotte... siostra Jacka... – zaczęła z wahaniem Meg.

– Już o tym pomyślałam. Zabiorę ubranie, bieliznę, wszystkie możliwe leki... w przypadku gdyby naprawdę chodziło o nią – dodała. Chciała, żeby nieznana kobieta okazała się Charlotte, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek. Zatrzymała się w drzwiach.

– Nie wiem nawet, czy moje rzeczy będą na nią pasowały. Czy jest podobna do Jacka? Z wyjątkiem siwego pasma, rzecz jasna.

Przypomniała sobie Claude'a Flamanda. Pomyślała o suchotnikach, o braku jedzenia, o miesiącach okrutnego traktowania i przeraziła się. Czy jakakolwiek kobieta zdołałaby to przeżyć? Zwłaszcza taka, która nigdy nie zaznała trudów i cierpień?

Cóż mogła zrobić, żeby odkupić winę Fredericka? Przez chwilę czuła się rozpaczliwie bezradna.

Meg zauważyła jej niepokój i powiedziała pośpiesznie:

– Czy mam pojechać z tobą, Bello?

– Nie, Meg. – Ofiarność przyjaciółki jedynie umocniła wolę Arabelli.

– Dziękuję ci, ale muszę zrobić to sama. Poza tym twoja obecność jest tu potrzebna, żeby nic nie wzbudziło podejrzeń. Gdy Jack i ja znikniemy z Londynu bez słowa wyjaśnienia, może to wzbudzić różne domysły. Jeśli zaś ty zostaniesz, wszystko będzie wyglądało bardziej naturalnie. Po prostu

wyjechaliśmy na parę dni do krewnego, który zachorował, czy coś w tym rodzaju, a ty oczekujesz na nasz powrót. Nie wracasz do domu, bo wyjechaliśmy na krótko.

– Pojmuję, o co chodzi. Nie martw się.

Godzinę później zdezorientowany Tidmouth zobaczył, jak Arabella wsiadła z Becky do wynajętej karety, zostawiając w domu pannę Barratt i dwa niepokieszone setery.

Obecność Becky była niezbędną, by nadać wyprawie wiarygodny i przyzwoity charakter. Służąca nie wiedziała jednak, gdzie jadą ani po co. Posłusznie wypełniała mnóstwo niesłuchanie pilnych poleceń i siedziała skulona w kącie karety, z małą torebką na kolanach, spoglądając ku swojej pani, która zatopiona w myślach nic jej nie wyjaśniła.

W końcu Arabella zdała sobie sprawę z niepokoju służącej i powiedziała, siląc się na uspokajający uśmiech:

– Kiedy będziemy już w Dover, wrócisz inną kareta do Londynu.

– Dobrze, milady – odparła Becky bynajmniej nieuspokojona. – A pani, madame?

– Ja pojedę do Francji, ale oboje z księciem niedługo wrócimy

– Do Francji! Milady! – Becky spojrzała na nią z przestraczeniem. – Przecież tam wciąż jest niespokojnie i wszyscy się nawzajem mordują! Nawet Tidmouth mówił, że... no i pan Alphonse z kuchni... Och, madame, on powiada, że we Francji jest strasznie.

– No cóż, nie jest tam aż tak niebezpiecznie – oświadczyła Arabella, choć wcale nie wiedziała, czy to prawda. W Paryżu nieustannie dochodziło do rozruchów głodowych, a po ulicach, wedle wszelkich doniesień, krążyły bandy złoczyńców, ale nie było już tyłu egzekucji.

Becky przyjęła te zapewnienia nieufnie, lecz Arabella starała się mówić z pewnością siebie i niewątpliwie wiedziała więcej od służącej, więc dziewczyna usadowiła się w kącie, żeby radować się nowymi widokami. Szybko przestały jednak one być nowością, gdy zamiast się zatrzymywać na noc, po raz czwarty zmieniono konie i karetę znów ruszyła w drogę, wśród sarkania woźnicy i forysiów. Obietnica solidnej zapłaty sprawiła jednak, że kleli tylko pod nosem.

Na pierwszym postoju Arabella poczuła ulgę, słysząc, że samotny jeździec z Londynu zatrzymał się w tamtejszym zajeździe, by zjeść coś i zmienić konia. Jego kasztanek wypoczywał teraz przed powrotem do Londynu z wynajętym stajennym. Jej domysły na temat trasy podróży Jacka okazały się więc trafne i deptała mu wręcz po piętach. Zapewne tej nocy odpocznie nie dłużej niż parę godzin i nie mógł jej znacznie wyprzedzić. Kiedy o świcie następnego dnia karetę wtoczyła się w Dover na dziedziniec tawerny Pod Jaskółką, Arabella wysiadła, chcąc rozprostować zeszywniałe nogi, i spytała jakby od niechcienia jednego ze stajennych, czy byli tu już o tak wczesnej porze jacyś goście.

Chłopak przekręcił czapkę na bok i poskrobał się w głowę.

– Ano, jechał tędy jeden dżentelmen ze dwie godziny temu, jak jeszcze było ciemno. Chciał zdaje się odpocząć. Biedna jego szkapa już ledwie dychała.

– Pewnie pilno mu było, skoro jechał nocą – stwierdziła niedbale Arabella, jakby jej to zbytnio nie ciekawiło.

W zajeździe zażądała prywatnego saloniku, śniadania i sypialni ze składanym łóżkiem dla służącej. Becky odwrotnie niż ona, zdołała zasnąć w karecie i była w całkiem dobrym nastroju. Oczywiście młodość i odporność idą w parze, pomyślała ponuro Arabella, czując dokuczliwy ból w plecach.

– Z pewnością się tu pani spodoba. – Oberżysta otworzył drzwi wygodnego pokoju tuż za sienią. – Zaraz przyślę pani dobre śniadanie.

– Dziękuję... a... – Arabella zatrzymała go, gdy chciał wyjść. – Nie wie pan czasem, czy dziś płynie jakiś statek do Calais?

– A jakże! – pogodnie odpowiedział. – Jeden dżentelmen, co niedawno tu zajechał... nie lubię gości, co o tak wczesnej porze wyciągają mnie z łóżka... chciał to samo wiedzieć. No, to mu powiedziałem, że „Koń Morski” Toma Perry’ego odpływa po południu. Zeszłego wieczoru dyliżans pocztowy wyładował mnóstwo poczty na brzegu. Właśnie Tom zabierze ją za kanał.

– Dziękuję. – Arabella pozwoliła mu odejść, nim zwróciła się do Becky: – Becky, kochanie, idź do portu i kup mi miejsce na tym „Koniu Morskim” – poleciła, podając służącej pieniądze. – Chcę mieć prywatną kabinę. No i upewnij się, czy ten statek naprawdę płynie do Calais! Nie do Le Havre czy do Boulogne. To musi być Calais. – Zacisnęła dłoń Becky na monetach.

Becky skinęła głową, usiłując wszystko zapamiętać.

– Tak, milady, Calais. Jedna kabina. Gdzie ja mam znaleźć ten statek?

– Na nabrzeżu... tam, gdzie morze – wyjaśniła Arabella, próbując nie okazywać irytacji. – Pytaj, o kapitana Perry’ego... o Toma Perry’ego.

– Morze! – wykrzyknęła Becky z zachwytem. – Nigdy jeszcze nie widziałam morza, milady.

– No, to teraz masz sposobność. A kiedy wrócisz, śniadanie będzie już na stole. Potem pojedziesz kareta pocztową do Londynu.

– Bardziej bym chciała do Kent, milady.

– Jeśli naprawdę chcesz, możesz się tam wybrać po moim powrocie, ale teraz musisz wrócić do stolicy. Zrób to dla mnie, Becky.

Becky wyglądała na trochę bardziej zadowoloną.

– Jeśli pani wróci, milady to z radością na panią poczekam.

– Oczywiście, że wrócę – odparła Arabella z pewnością siebie, której wcale nie czuła.

O tak, na pewno wróci do Anglii, ale czy nadal jako żona księcia St. Jules? To już była inna sprawa.

Becky wyszła, a służący zaczął rozstawiać stolik zjedzeniem. Arabella patrzyła na te przygotowania bez entuzjazmu. Nie spała przez całą drogę, poprzedniej nocy, spędzonej jej zdaniem jakby przez inną osobę w innym świecie, też nie miała zbyt wiele okazji do snu. Była śmiertelnie zmęczona, co jej niespokojny umysł całkowicie ignorował. Napiała się tylko z wdzięcznością kawy i czekała na Becky.

– Mam bilet! – Becky weszła do pokoju, powiewając z triumfem kartką papieru. – No i widziałam morze! Ależ ono wielkie, a sięga aż po samo niebo! – Pokręciła głową ze zdumieniem.

Arabella uśmiechnęła się, choć myślami była daleko, i wzięła od służącej bilet.

– Siądź teraz i zjedz szybko śniadanie.

Becky z miejsca zabrała się za befszytk z polędwicy.

– Ten marynarz powiedział, że kajuta jest z iluminatorem, a rejs do Calais potrwa jakieś dwanaście godzin, zależnie od przyływu i wiatru. Wychodzą w morze o czwartej.

– Znakomicie – uznała Arabella i dodała serdecznym tonem: – Nie wiem, co bym bez ciebie poczęła, Becky! Wynajęłam tu sypialnię na piętrze. Możesz tam spać, jak długo zechcesz, a jutro kareta pocztową wrócisz do Londynu. Możesz też zamówić sobie w oberży wszystko, na co będziesz miała ochotę.

– Wszystko? – Oczy Becky zrobiły się wielkie jak spodki. Arabella się uśmiechnęła.

– Wszystko. Potrawy, napoje, a nawet odprasowanie sukni przez służącą. Ale ja muszę się teraz przespać, nim pójdę do portu.

– Czy mam pójść razem z panią, milady?

– Nie – odparła stanowczo Arabella. – To już muszę zrobić sama.

O drugiej po południu Arabella wyruszyła z biletem do portu. Posługacz z zajazdu zabrał małą torbę, w której Arabella upchała wszystko, co – jak przypuszczała – mogło się przydać Charlotte. Dla siebie wzięła niewiele: zmianę bielizny, parę prostych, batystowych sukien i przybory toaletowe pierwszej potrzeby.

Uznała, że Jack opuści osterkę tuż przed wstąpieniem na pokład. Po cóż miałby skazywać się dobrowolnie na dłuższą niewygodę? Zamierzała schować się w kabinie, kiedy on się pojawi.

Marynarz przyjrzał się biletowi, zarzucił sobie jej skórzaną torbę na ramię i odprowadził ją do małego pomieszczenia tuż nad linią zanurzenia. Znajdowała się w nim tylko koja i stół przymocowany do podłogi. W kabinie brzęczała mucha, pościel nie wyglądała na zbyt czystą, a nocnik, choć pusty, nosił wyraźne ślady użytkowania. Był tam również nieduży iluminator, jednak zamknięty.

– Ilu pasażerów pan zabrał? – spytała marynarza, gdy ten postawił jej torbę na podłodze. Małe stateczki przewożące pocztę przez kanał La Manche miały zwykle niewiele miejsca dla podróżnych.

– Tylko jednego, madame, to jakiś mężczyzna, dżentelmen.

– Czy może pan otworzyć iluminator?

– A jakże, madame, ale jak tylko wyjdziemy w morze, będzie pani zaraz wołała go zamknąć. – Otworzył jednak małą szybkę z zielonkawego szkła.

– Wtedy go sama zamknę – zapewniła, podając mu monetę. Dotknął daszka czapki. Uśmiechnęła się do niego na pożegnanie, ale gdy tylko wyszedł, padła wręcz na kolę. W zajeździe ledwie się zdołała zdrzemnąć, nasłuchując z zazdrością spokojnego oddechu Becky. Teraz jednak, gdy nie miała nic więcej do roboty i nie było sensu trapić się myślami o przyszłości, zapadła w głęboki sen.

Obudził ją dźwięk wciągania trapu i podnoszenia kotwicy. Przez moment przeraziła się, że Jack mógł nie zdążyć na statek. Zeszła chwiejnie z koi, czując zawrót głowy, jakby wypila zbyt wiele wina, i schwyciła się kurczowo przepierzenia, bo podłoga zafalowała jej pod stopami. W kabinie było gorąco i duszno, mimo otwartego iluminatora, bo popołudniowe słońce prażyło nieznośnie, wypełniając małą przestrzeń. Pochyliła się, żeby wyjrzeć przez okienko. Statek manewrował, wypływając z zatłoczonego portu, a wiele innych łodzi też chciało skorzystać z przyływu.

Aż podskoczyła, kiedy zapukano do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołała i odwróciła się, witając marynarza, który wcześniej zaprowadził ją do kabiny.

– Jeśli chce pani wyjść na pokład, kiedy już opuścimy port, kapitan serdecznie panią zaprasza – obwieścił, przykładając palec do daszka.

– Dziękuję, chętnie zaczerpnę świeżego powietrza. – Oczy jeszcze się jej kleiły, włosy wyglądały zapewne jak wronie gniazdo. – Czy mogłabym dostać wody do mycia?

– Niestety nie ma, madame. Nie możemy rozpalić ognia w kambuzie, póki nie wypłyniemy na pełne morze.

– Wystarczy mi zimna, chciałam się tylko trochę odświeżyć.

– Zaraz przyniosę, madame. – Zasalutował jej po raz kolejny i odszedł, nie zataczając się wcale mimo kołysania statku.

Arabella wyjęła z torby szczotkę i małe, ręczne lustro, po czym przyjrzała się sobie z niezadowoleniem. Wyglądała fatalnie, jak to zresztą przeczuwała. Przespała całe popołudnie w tym samym kostiumie do jazdy konnej, który nosiła zeszłego dnia i w nocy. Była brudna, spocona i rozczochrana, dokładnie tak, jak się jej zdawało. Pomyślała jednak o kobiecie w więzieniu Le Chatelet i własny egoizm przejął ją obrzydzeniem. Kiedyż to Charlotte – bo to była z pewnością Charlotte – ostatni raz widziała czystą bieliznę? Albo szczotkę do włosów? Czy miała choćby zimną wodę do mycia?

Marynarz wrócił z dzbankiem i małą miską, które postawił na stole.

– Dość tego będzie, madame?

– Aż zanadto – odparła, co go nieco zdziwiło, zważywszy skromną ilość wody.

– Kapitan prosi panią na pokład za jakieś pół godziny, madame.

– Dziękuję. – Zamknęła za nim drzwi na klucz. Skoro miała się rozebrać do naga, musiała mieć pewność, że nikt jej w tym nie przeszkodzi. Ściągnęła zmiętą spódnicę, kamizelkę, żakiet i rozłożyła strój na łóżku, a potem zdjęła bieliznę i pończochy, chowając je do torby podróźnej. Obmyła całe ciało lekko słonawą wodą. Odświeżyło ją to nieco i zaczęła przytomniej myśleć. Jeśli przyjmie zaproszenie kapitana i wyjdzie na pokład, stanie oko w oko z Jackiem. Czy ma to zrobić publicznie, czy też raczej pójść do jego kabiny?

Zdecydowała się na to pierwsze, szczotkując energicznie włosy. Pewnie powita ją ze sztuczną uprzejmością, a do czasu, gdy zostaną sami,

jego gniew zdąży osłabnąć. Nie dbała zresztą o to. Słuszność była po jej stronie, a nie Jacka. Może się na nią złościć, ile tylko chce. Ona będzie spokojna i niewzruszona. Tylko dlaczego, mimo tylu rozsądnych argumentów, ciągle odczuwała ściskanie w żołądku.

Włożyła lekką suknię z kremowego batystu, przewiązaną w pasie brązową szarfą, zmieniła pończochy, a nogi wsunęła w proste, giemzowe pantofelki, jedyne obuwie, jakim teraz miała prócz butów jeździeckich. Wyglądała wprawdzie czysto, ale to było wszystko, co dało się powiedzieć o jej stroju.

Stała z ręką na klamce, lecz przez chwilę nie była zdolna jej nacisnąć. Nie bała się bynajmniej męża, ale nie wolno jej było teraz popełnić błędu. Jej przyszłość – nie, ich wspólna przyszłość – zależała od tego, jak wszystko rozegra i czy zrobi to właściwie. Otworzyła drzwi i weszła w ciasny korytarz. Od strony szczytu schodków dochodziło tutaj jasne światło. Czepiając się ściany, zdołała pokonać stopnie i wyszła prosto w jasny blask późnego popołudnia.

Mewy latały i kwiliły, takielunek skrzypiał, żagle nagle zatrzeszczały, gdy statek wziął inny kurs. Arabella, nieprzygotowana na to, schwyciła kurczowo reling, kuląc się instynktownie, gdy bom zawisł nad jej głową, rzucając mroczny cień.

Spojrzała przed siebie i spotkała wzrok męża, który stał kilka kroków dalej na rufie obok opalonego na brązowo mężczyzny przy sterze. Nie mogła się ruszyć, wpatrzona w jego szare, nieprzeniknione oczy.

Mężczyzna przy sterze uniósł rękę do czapki.

– Madame, proszę do nas. Piękne popołudnie... i wspaniały zachodni wiatr. – Wydawał się zachwycony jednym i drugim, a jego niebieskie oczy iskrzyły się tak samo jak powierzchnia morza.

Arabella podeszła do nich.

– Kapitanie... – powiedziała. Było to na wpół pytanie, a na wpół pozdrowienie.

– Jestem kapitan Perry madame. – Wyciągnął ku niej mocną dłoń, drugą nadal trzymając na sterze. – Miło mi panią powitać na pokładzie. Mamy jeszcze drugiego pasażera, to jego wysokość, księżę St. Jules.

– Jego wysokość i ja już się znamy – powiedziała spokojnie Arabella, spoglądając na męża.

– A nawet bardzo dobrze, tak się składa – dodał Jack. – Kapitanie Perry to moja żona, księżna St. Jules.

Tom Perry patrzył oszołomiony na swoich pasażerów.

– Przepraszam... że co? Nie miałem pojęcia...

– Nie mógł pan mieć – przerwał mu Jack. – Bo ja go także nie miałem.

– Chwycił Arabellę za łokieć ze słowami: – Proszę nam wybaczyć, kapitanie... – Poprowadził Arabellę do wyjścia na pokład, zostawiając oniemiałego z wrażenia Toma.

– Na dole jest zbyt duszno – zaprotestowała Arabella, gdy doszli do schodków. – Przecież nikogo tu nie ma. – Wskazała na dziób statku.

Jack zgodził się, dając to do zrozumienia nieznacznym kiwnięciem głową, i poszli w stronę foka, omijając ostrożnie zwoje lin, Arabella spojrzała poza reling, czekając, aż mąż stanie tuż obok.

– Czy zechcesz się wytłumaczyć? – spytał podejrzanie obojętnym głosem i wsparł się o reling przy niej, zaciskając na nim mocno palce.

– Myślę, że to oczywiste.

Jack parsknął śmiechem i odwrócił się plecami do relingu.

– Nic nie jest oczywiste, co dotyczy ciebie, moja droga. Wiem o tym od dawna. No, a teraz bądź tak łaskawa...

Zacząła mówić cicho, ale z głębokim przekonaniem:

– Nie jestem Frederickiem. Owszem, muszę przyznać, że również pochodzę z rodziny Laceyów, ale nie jestem swoim bratem. Poślubiłeś mnie z jakichś tylko sobie wiadomych powodów, czego zawsze byłam świadoma, podobnie jak tego, że musiało coś zająć między tobą a Frederickiem. – Spojrzała na morze przed sobą, a gdy mąż milczał, ciągnęła dalej: – Sądziłam, być może nierozsądnie, że cokolwiek między wami było, nie może dotyczyć mnie. Mnie – podkreśliła mocno. – Podjęłam ryzyko, myśląc, że może zechcesz to zrozumieć.

Jack nadal nic nie mówił.

– Czy nie masz mi nic do powiedzenia? – spytała gniewnie, spoglądając na jego profil i kanciasty zarys szczęki. Serce się jej ścisnęło. Nie zrobiła na nim wrażenia. – Nie mogę prosić i nie proszę o wybaczenie dla Fredericka...

– Dość tego! – przerwał jej gwałtownie. – Nie chcę słyszeć jego imienia w twoich ustach. Nie jesteś już jedną z Laceyów, ta rodzina nie istnieje. Nigdy więcej nie wypowiesz tego nazwiska. Czy to zrozumiała? – Choć odwrócił się w jej stronę, patrzył na nią tak, jakby jej nie widział.

– Jestem tym, kim jestem. Twoją żoną. I kocham cię, Jack. Ale się nią nie urodziłam. Znalazłam się tu, żeby pomóc twojej siostrze... – Uniosła gwałtownie dłoń, gdy otwierał usta. – Nie, nie przerywaj mi. Twojej siostrze, mojej szwagierce. Kobiecie w potrzebie. Nie chcę, żeby mnie pozbawiono odpowiedzialności. A jestem za Charlotte odpowiedzialna, bo to siostra mojego męża. Nie dlatego, że mój tchórzliwy przyrodni brat ją zdradził. – Spojrzała na niego odważnie, wytrzymując jego wzrok, tak że to on musiał odwrócić głowę. – Zastanów się dobrze – ciągnęła – gdyby nie ja, nigdy byś się nie dowiedział, że Charlotte może żyć. Gdybym nie...

– Przestań! – krzyknął. – Czy nie widzisz, że to doprowadza mnie do szaleństwa?!

– Tak – odparła naturalnie. – Zdaję sobie sprawę. Jak mogłabym tego nie widzieć? Jestem twoją żoną. Kocham cię. Ponad wszystko. Twoje sprawy są moimi. Przecież to bardzo proste, jeśli się tylko zastanowisz.

Jack słuchał jej słów, lecz nie miały one dla niego żadnego znaczenia. Frederick Lacey na placu Bastylli patrzył teraz prosto na niego. Widział też własne ocalenie. Gdyby Charlotte zginęła na dziedzińcu La Force, trwałoby to względnie krótko. A jeśli stało się inaczej? Nie mógł znieść myśli o bezmiarze jej cierpień. Schwycił kurczowo reling i wpatrzył się daleko w morze, zapominając o kobiecie, która stała u jego boku i milczała.

Arabella zgnębiona odeszła, torując sobie drogę wśród lin, ku schodkom i kabynie.

Uratował ją gniew. Jak on mógł mieć tak mało ludzkich uczuć i zrozumienia, czemu w nią nie wierzył? Zatrzasnęła za sobą drzwi kabiny. Powiedziała mu wszystko, otworzyła przed nim duszę, ujawniła swoją miłość, a jego nic nie wzruszało. Utknął w dławiącej go chęci zemsty niczym w zastygłej lawie Wezuwiusza.

Siadła na skraju koi i wpatrzyła się w zachód słońca za iluminatorem. Morze zmieniło kolor z różowego na jasnoturkusowy a potem stało się ciemnoszare. Wzeszła Gwiazda Wieczorna. Arabella poczuła zapach jedzenia i usłyszała czyjeś kroki na pokładzie. Statek zakołysał się, gdy wiatr gwałtownie dmuchnął w żagle.

Sama nie wiedziała, czy jest głodna, czy też ma mdłości, lecz wciąż siedziała na koi jak w transie, czekając, aż coś się wreszcie wydarzy.

Ktoś zapukał.

– Proszę wejść! – zawołała pełna nadziei. Do kabiny wszedł marynarz.

– Przepraszam, madame, czy zje pani kolację na pokładzie, czy tutaj?

Już miała powiedzieć, że wcale jej nie zje, ale rozsądek zwyciężył. Nic nie jadła od śniadania.

– Tutaj.

Za minutę wrócił, niosąc talerz z gulaszem, dużą pajdę chleba i kufel piwa.

– Proszę, madame.

– Dziękuję.

Wzięła tacę i usiadła z nią na koi. Potrawa pachniała przyjemnie, ułamała więc kawałek chleba i umaczała go w sosie. Przez chwilę jadła ze smakiem, lecz potem zrobiło jej się niedobrze. Nie była przyzwyczajona do kołysania statku. Wystawiła tacę za drzwi, rozebrała się do koszuli i skuliła pod cienką kołdrą. Leżała tam wsłuchana w skrzypienie desek, szmer fal bijących o dziób i wpatrzona w księżyc, którego słabe światło kładło się na drewnianej podłodze.

Jack i kapitan jedli kolację na pokładzie. Żaden z nich nie wspominał o nieobecnej pasażerce. Jack nakłonił Toma Perry'ego, którego pełne zażenowania milczenie było równie wymowne jak głośny krzyk, do opowieści o niebezpieczeństwach, wciąż grożących statkom podczas rejsów z Anglii do Francji.

– A niektórzy z tych, których zabieramy... – Tom ożywiał się, w miarę jak w jego kuflu ubywało piwa, a temat był mu bliski. – Co to za nieszczęśnicy... ledwie zdołali ująć z życiem! Różnych tutaj mieliśmy. Wcale nie sami arystokraci, ale i rzemieślnicy, porządni fachowcy. Nie ma dla nich miejsca we własnym kraju, a przecie ludzi, co umieją w godziwy sposób zarobić na życie, powinno się cenić.

Zerknął na swego arystokratycznego pasażera z ciekawością i niepokojem jednocześnie. Prócz tego, że książę i księżna, w jakimś sobie tylko znanym, dziwnym celu przepławiali się przez kanał La Manche niby para obcych ludzi, nie wiadomo było także, co też ci podróżni płynący na kontynent sądzą o zawierusze we Francji. Natomiast w przypadku tych, którzy płynęli w przeciwną stronę, wszystko było całkiem jasne.

Jack nachylił się nad swoim gulaszem.

– W rzeczy samej.

Tom Perry zamilkł i dopił swoje piwo.

– Wybacz pan, wasza wysokość, ale muszę przypilnować statku. Życzę panu dobrej nocy. Powinna być spokojna. Wiatr wieje z południowego zachodu. Myślę, że wejdziemy do portu o czwartej.

– Dobranoc, kapitanie. – Jack nappełnił ponownie swój kufel i zapatrzył się w przestrzeń, niepomny na gwiazdy, łagodny wiatr o zapachu soli, kołysanie statku. Miał zamęt w głowie. Do tej pory jego wściekłość była zimna, wyrazista i łatwo potrafił nią sterować. Widział ją tak jasno jak czubek rapiera w pojedynku, jak swoją szpadę w starciu z mistrzem Albertem. Była posłuszna jego zamiarom i nie chybiała celu. Teraz wszystko stało się bezładną plątaniną.

Charlotte spędziła ponad rok w paryskim więzieniu... jeśli istotnie kobieta w Le Chatelet nią była. Jak to jednak możliwe? Trykociarka opisała mu dokładnie, jak ciągnięto ją ku bagnatom na dziedzińcu. Dostrzegła siwe pasmo nad jej czołem. Zarechotała wtedy i wyciągnęła brudnym paluchem spod czerwonej czapki jego pasmo, mrugając do niego,

Może jednak Charlotte zdołała uniknąć wrześniowej masakry? Może nie zginęła na gilotynie? W głowie mu huczało. Przycisnął rękami skronie. Wstał od byle jak skleconego stołu i skierował się ku zejściu pod pokład.

Stał tam jeden z marynarzy zapewne czekając dość niecierpliwie na zbyt późny powrót towarzysza kapitańskiej wieczerzy.

– Proszę mnie zaprowadzić do kabiny mojej żony. – Polecenie było zwięzłe, zyskało też podobną w charakterze odpowiedź. Marynarz wskazał ruchem głowy na schodki. Jack poszedł za nim, a potem udał się tam, gdzie mu wskazywał wyprostowany palec. Otworzył cicho drzwi kabiny i zajrzał do małego wnętrza, oświetlonego jedynie odblaskiem nocnego nieba. Ciemny kształt poruszył się nieznacznie.

– No i co, Jack?

Siadł przy żonie, kładąc dłoń na jej biodrze nakrytym kołdrą. Ona zrobiła tak samo, splatając jego palce ze swoimi. Nachylił się, żeby ją pocałować, i powiódł wargami wzdłuż jej podbródka. Powoli odwróciła się na plecy, patrząc na niego w półmroku. Uśmiechnęła się smutno.

– Wybacz mi – szepnęła. Zamiast odpowiedzi uniosła tylko dłoń i delikatnie zamknęła mu usta końcami palców.

Jack zrzucił buty, położył się na wąskiej koi obok niej, objął ją i przycisnął do siebie. Poglądził jej policzek, gdy wsparła głowę w zagłębieniu jego ramienia, i poczuł, jak usypia pod jego dotknięciem. Trzymał ją tak przez całą noc wpatrzony w drewniane krokwie sufitu, póki nie zaczęło świtać.

Obudziły ją czyjeś krzyki, chrzęst łańcucha kotwicy, wstrząsy statku, który dobił właśnie do brzegu. Wciąż jeszcze leżała skulona przy Jacku, a jego dłoń nadal spoczywała na jej policzku. Odwrócił powoli głowę i uśmiechnął się do niej.

– Dobrze ci się spało, kochanie. Mogłem to wyczuć.

– A ty nie spałeś wcale – stwierdziła i powiodła palcem po zaroście na jego podbródku. Nigdy dotąd nie był nieogolony. Zaskoczyło ją to. Wrażenie było nowe i zmysłowe zarazem.

– Istotnie – przyznał, wyciągając spod niej ramię. Dłoń i przedramię miał zdętwiałe. Potrząsnął energicznie ręką, usiłując nie stękać. – Te koje nie są przeznaczone dla dwojga.

– Tak, przepraszam. Musisz być całkiem zeszywniały – powiedziała ze współczuciem i również wstała.

Ujął jej twarz w dłonie i ucałował ją.

– Zasłużyłem sobie na to.

– Nie – zaprzeczyła, obejmując go mocno. – Nie chcę, żebyś musiał cierpieć niewygodę.

Trochę już na to za późno, pomyślał gorzko, i wcale mu nie chodziło tylko o fizyczny dyskomfort.

– Co zrobimy najpierw? – spytała, otrzepując sfatygowany strój dojazdy konnej. Jakże naturalnie zabrzmiało to „my"! Byli teraz parą, którą łączył wspólny cel. Czuła się lekko i radośnie.

– Pójdziemy do zajazdu, zamówimy śniadanie, a potem poszukamy jakichś koni – odparł gładko. – Ubierz się szybko, a ja zabiorę moje rzeczy z kabiny.

Kiedy wyszedł, wciągnęła na siebie strój do konnej jazdy, przejechała szczotką po włosach i opłukała twarz resztką wody, krzywiąc się z powodu jej słonego posmaku, który przyprawiał ją o mdłości.

Wyszła na pokład, niosąc torbę podróżną, i zamrugła oślepią blaskiem słońca. Na brzegu panował zadziwiający chaos. Marynarze wyładowywali towary, tragarze ładowali je na wózki, ludzie krążyli między drewnianymi budami nabrzeża. Inne statki wpływały do portu, zwijały żagle, krzyki marynarzy rywalizowały z przenikliwym piskiem mew.

Jack rozmawiał z Tomem Perrym przy trapie, który łączył teraz „Konia Morskiego” z nabrzeżem. Skinął na Arabellę, a ona, klucząc wśród zwojów lin, skrzyń i bel, podeszła do nich.

– Kapitan Perry spodziewa się, że przyplynie znów do Calais za jakieś dziesięć dni – powiedział Jack, gdy się z nim zrównała. – Jeśli tu wrócimy, przewiezie całą naszą trójkę.

Starał się mówić z pewnością siebie. Najważniejsze było to, by się przekonać, czy Charlotte istotnie jest przetrzymywana w Le Chatelet. Nie mógł się dłużej godzić z przeświadczeniem, że to wyprawa z motyką na słońce, że Claude Flamand mógł się mylić... albo, co gorsza, że przybyli tu za późno i tym razem Charlotte naprawdę już nie żyje.

Nic by jednak nie osiągnął, przewidując najgorsze scenariusze. Niemal padał ze zmęczenia, lecz wiedział, że i tak nie mógłby zasnąć.

Arabella wyczuła jego znużenie i usłyszała cień zwątpienia w pozornie energicznym tonie, lecz nic nie powiedziała. Mogła jedynie starać się podtrzymać go na duchu.

– Na nabrzeżu jest oberża – oświadczyła. – Możemy w niej zjeść śniadanie. Może też uda nam się tam wynająć konie.

– Na pewno, milady. Złoty Lew ma dobrą stajnię – powiedział Tom Perry. – Czy państwo jadą do Paryża?

– Tak – potwierdził Jack.

– To zajmie trzy dni – uznał Tom.

– Zamierzam tam dotrzeć jutro wieczorem.

Kapitan spojrział z powątpiewaniem na Arabelle. Może mężczyzna mógłby pokonać tę odległość w ciągu dwóch dni, gdyby jechał na złamanie karku, ale nie kobieta.

– Musicie tam w takim razie dotrzeć po południu. Bramy miejskie zamyka się o zmierzchu, a później na ulicach bywa niebezpiecznie. Zrobią państwo lepiej, jeśli przeczekają noc i wjadą do Paryża rankiem.

Jack skinął głową, lecz Arabella wiedziała, że wcale nie miał zamiaru tego zrobić. Pożegnali się z kapitanem i poszli za marynarzem, który zabrał ich bagaże na brzeg i zaniósł je do oberży.

– Zamów tylko pokój i śniadanie. – Jack pouczył ją przed drzwiami. – A, i ciepłej wody – dorzucił, przesuwając z kwaśną miną dłońią po podbródku. – Pójdę zobaczyć, jakie konie trzymają w stajniach.

Arabella położyła mu dłoń na ramieniu.

– Może weźmiemy sypialnię? Będiesz w lepszej formie po kilku godzinach snu. –

– Nie, za godzinę chcę już być w drodze. – Odszedł ku stajni, a ona weszła go oberży. Była zrezygnowana, że jej rola znów ograniczyła się do wspierania go.

Zamówiła suto śniadanie, uważając, że wobec braku snu przynajmniej jedzenie powinno być solidne. Jack wszedł do pokoju w chwili, gdy nalewała kawy. Stał przez chwilę wsparty o drzwi, a potem przesunął ręką po twarzy i podszedł do gotowalni, gdzie czekały na niego mydło i woda.

Arabella wyciągnęła z jego torby brzytwę i przez kilka minut w pokoju słychać było jedynie odgłosy golenia.

Gdy skończył, siadł do stołu, pociągnął solidny haust piwa i powiedział:

– Chcę, żebyś tu poczekała na mnie, póki nie wrócę z Charlotte.

Arabella spojrzała na niego oniemiała.

– Co masz na myśli? Oczywiście, że jadę z tobą.

– Nie zdołasz przejechać dwustu mil w niecałe dwa dni. Nie mogę tego żądać od ciebie.

– Nie ty żadasz tego ode mnie – odparła, mierząc go spojrzeniem – tylko ja od siebie. Ty nie masz tu nic do gadania, Jacku Fortescu! Jeśli stanę się kłopotliwym balastem, wolno ci będzie porzucić mnie na drodze, ale zapewniam cię, że pojedę z tobą!

Zrozumiał, że tego się właśnie po niej spodziewał, lecz bał się, że istotnie z jej powodu może przyjechać do Paryża za późno.

– A prócz tego – ciągnęła, czując, że mąż się wciąż waha – Charlotte będzie potrzebowała kobiecej pomocy. Przywiozłam dla niej parę rzeczy... ubrania, leki, gdyby... – Urwała, lecz potem dodała z jeszcze większą stanowczością: – Ona może być chora, Jack. Pewnie okaże się osłabiona. Ja mogę dla niej zrobić coś, czego ty byś nie potrafił.

Jack patrzył w talerz, myśląc o siostrze. Nigdy nie była zbyt mocna, ale silna wola kompensowała tę fizyczną kruchość. Może pozwoliła jej znieść ciężkie warunki, ale w jakim stopniu? Czy podtrzymała ją wystarczająco, jeśli Charlotte została okaleczona? Gdyby nie zginęła podczas masakry, musiałyby przynajmniej zostać ranna. Trykociarka nie myliłaby się wówczas ani nie wymyśliłaby sobie tego. Charlotte otrzymała cios bagnetem.

Z pewnością też ją zgwałcono, a potem pozostawiono na pewną śmierć.

– Jack... – Pełny niepokoju głos Arabelli rozproszył wreszcie jego ponure rozmyślania. Uniósł głowę. Żona patrzyła na niego z lękiem. – Przestań zaraz. O czymkolwiek teraz myślisz, przestań. W niczym ci to nie pomoże.

– Istotnie – odparł głośno, choć w jego oczach ciągle było widać udrękę – w niczym.

Ludzie z *securite* szukali również i jego. Frederick Lacey tego wrześnieowego popołudnia dwoił się i troił, wydając im wszystkie nazwiska, jakie tylko znał, Anglików i Francuzów, bez różnicy. Jeśli spiskowali przeciwko rewolucji, czekały ich trybunały i gilotyna. Aresztowanie Charlotte było jednym z najwcześniejszych, a Jack – wraz z małą grupką przyjaciół – zdołał uciec z miasta. Kilka minut później zbiry z *securite* załomotały do jego drzwi. Uciekł, bo Charlotte już nie żyła, a on musiał żyć, żeby ją pomścić.

Spojrzał poprzez stół na siostrę Fredericka Lacey. Na Arabelle, swoją żonę. Patrzyła na niego ze współczuciem. Nie odwracała oczu. Siła, jaka z niej emanowała, była siłą miłości i nie miała nic wspólnego z Laceyem.

– Musimy dziś przejechać prawie sto mil – powiedział. – Oznacza to dziesięć godzin w siodle.

Kiwnęła jedynie głową i upiła łyk kawy.

– Jedz, Jack.

Uśluchał jej i zaczął jeść bez apetytu, tylko dlatego że było to konieczne. Stopniowo uczucie rozpaczcy osłabło. Poczł, że wraca mu świadomość celu. Znużenie stało się jedynie słabo odczuwalnym wrażeniem i bez trudu je zignorował.

Arabella, która zmagiała się z kromką chleba posmarowaną masłem, poczuła ulgę, widząc, że oprzytomniał. Męczyła się nad jedzeniem. Może brak apetytu był fizyczną reakcją na podróż morzem albo na stres ostatnich dni? W każdym razie chciała już skończyć, gdy Jack oznajmił, że zjadł już dość, i poszedł wynająć konie u oberżysty.

Poszukała w głębi zajazdu wygodki, a potem poszła prosto na dziedziniec stajni. Jack wynajął dwa niezbyt smukłe, lecz silne konie.

– Może nie są najszybsze, ale za to okażą się wytrzymalsze – zauważył, gdy Arabella wchodziła na podwórze.

Przyjrzał się jej uważnie. Żałośnie zniszczony kostium jeździecki doskonale nadawał się do tej podróży. Był tak samo nieefektywny jak konie. Jedynie porządne obuwie zdradzało zamożność amazonki. On sam był ubrany tylko w surdut i obcisłe spodnie, pospolity lniany halsztuk oraz koszulę bez żadnych koronek. Włosy jak zazwyczaj miał związane, tym razem czarną, zwykłą wstążką, a na głowie kapelusz z ciemnego filcu. Można go było wziąć za kupca albo ziemianina z prowincji. Nie przypuszczał, by obydwójce wzbudzili jakieś podejrzenia wśród wieśniaków. Chłopi nie mieli mentalności paryskiego motłochu i z pewnością nie byli tak krwiożerczy jak ich miejscy kuzyni.

Pomógł Arabelli wsiąść na konia, umocował jej torbę podróżną z tyłu siodła i dosiadł swojego wierzchowca.

– Gotowa?

Posłała mu uspokajający uśmiech.

– Gotowa.

Zmieniali konie dwa razy dziennie. Na pierwszym postoju Arabella kupiła chleba, sera, kielbasy z czosnkiem i skórzaną, pękatą flaszkę wina od kobiety na targu w małym miasteczku, a Jack wynajął nowe wierzchowce w

okolicznym zajeździe. Zjedli posiłek w siodle, nie mówiąc zbyt wiele. Wszystkie wiejskie drogi były podobne do siebie, a miasteczka i wsie zlewały się Arabelli w jeden ciąg.

O zmierzchu przejeżdżali koło małej oberży na rozstajach. Jack ściągnął wodze. Sparszywiały kundel wybiegł z podwórza, obszczekując ich zawzięcie.

– Zajazd stoi wystarczająco daleko od drogi, byśmy mogli czuć się bezpiecznie – zauważył Jack. – Zatrzymamy się na noc w tym miejscu.

Arabella się skrzywiła.

– Na pewno jest tu mnóstwo pcheł w łózkach, zapamiętaj sobie moje słowa.

– No, to prześpimy się na podłodze. – Zsiadł z konia, rzucając wodze Arabelli. Kundel, jak się spodziewała, zaczął się do niego łaścić, gdy tylko Jack postawił stopę na ziemi. Jack zignorował go, lecz zwierzę wciąż skakało wokół niego, gdy wchodził do oberży, schylając głowę w niskich drzwiach.

Wyszedł stamtąd po kilku minutach.

– Niedużo tego, ale wystarczy.

– Pcheł? – spytała, unosząc brwi.

– Z pewnością. – Zdjął żonę z konia, zatrzymując ją przez chwilę w ramionach. – Mamy kociołek zupy, bochenek jęczmiennego chleba i dwa wielkie kufle domowego piwa. Kupię parę czystych kołder od gospodyni. Straszny z niej kocmołuch, ale w sumie dosyć sympatyczna.

Arabella czuła zbyt wielkie zmęczenie, żeby się martwić tym, że ją pogryzą pchły lub pluskwy. Perspektywa zupy była nęcąca, a gdzieś w pobliżu znajdowała się zapewne studnia. Śmierdziała potem i koniem. Tęskniła za zimną wodą i gąbką.

Jack dotrzymał obietnicy i gospodyni przyniosła całą stertę kołder, które – choć niezbyt czyste – trzymano w cedrowej skrzyni, a więc przynajmniej nie mogło być w nich pcheł. Arabella uznała słomiane sienniki w rozklekotanych łózkach za coś ohydneho i rozłożyła pościel na podłodze małego pokoiku na poddaszu. Noc była zimna, tuliła się więc do Jacka pod kołdrami, które położyli na własnych płaszczach. Ku jej uldze, Jack zasnął jeszcze wcześniej niż ona, odwróciła się więc na bok, obejmując go ramionami i czując rytmiczne unoszenie się piersi podczas snu.

Odjechali stamtąd o świcie następnego dnia, a im bliżej był Paryż, tym bardziej zmieniała się atmosfera. Przedtem wzbudzali co najwyżej przelotne zaciekawienie, teraz podejrzliwe spojrzenia śledziły ich, gdy przejeżdżali przez wsie i miasteczka. Kiedy zmieniali konie, traktowano ich gburowato i żądano wygórowanych cen. Arabella poczuła się nieswojo, lecz uspokajało ją, że Jack bez trudu sobie z tym radził. Na grubiaństwa odpowiadał grubiaństwem, spojrzenia spode łba kwitował takimi samymi, i podejrzliwość ustępowała.

Wjechali do Paryża przez bramę Saint-Denis, gdy już rozległy się dzwony na znak, że trzeba ją zamykać. Jack uderzył ostrogami i dopadł bramy, Arabella podążyła za nim. Strażnik spojrział na nich nieufnie.

– Bramy już się zamyka.

– Ale teraz są jeszcze otwarte – powiedział spokojnie Jack. – Proszę przepuścić moją żonę i mnie. Jedziemy z wizytą do jej chorej matki w Maubert. Może nie doczekać jutra. – Srebrne monety zabłyśły w jego półotwartej dłoni.

Arabella zrobiła zboląłą minę i rzekła żałośnie:

– Niech mi pan pozwoli przejechać. Moja biedna matka jest śmiertelnie chora!

Jack opuścił dłoń do wysokości nogi w strzemieniu. Znów błysnęło i zabrzęczało srebro, gdy poruszył palcami. Żandarm podszedł powoli do niego.

– Maubert, powiada pan?

– Rue de Bievre – odparł Jack, pozwalając dłoni osunąć się ku dołowi, podczas gdy żandarm podsuwał mu cichcem swoją. Wszystko odbyło się szybko. Nikt z pozostałych strażników by się nie domyślił, że jeden z ich kolegów ma teraz tyle liwrów.

– Ma pan pół godziny na dojechanie przed godziną policyjną – burknął żandarm, cofając się.

Przejechali przez bramę, która zamknęła się za nimi z hukiem. Arabella czuła, że zaczęło ją dławić w gardle. Byli teraz uwięzieni w tym mieście grozy i terroru. Przechodnie przemykali w mroku pod ścianami. Strach panował wszędzie, widać go było na każdej twarzy, słysząc w każdym kroku.

Jack przechylił się na bok i położył dłoń na jej uździe ponad wędzidłem.

– Myślę, że lepiej byłoby, gdybym to ja prowadził twojego konia. Wiem, gdzie jedziemy. Nie wolno nam się rozdzielić.

– Owszem – zgodziła się – ale ja muszę trzymać wodze. Nie zgubię ciebie. A nawiasem mówiąc, gdzie się teraz udajemy?

– Oczywiście, do Maubert. Strażnikom nie należy kłamać. – Uśmiechnął się nieznacznie, ale bez wesołości, a szare oczy błysnęły zuchwale.

Arabella była raz w Paryżu kilka lat przed rewolucją, lecz nie orientowała się w topografii miasta, znając tylko kilka pałaców, jak Luwr i Tuileries, oraz wielkie rezydencje znakomitych rodów. Teraz jechali

wąskimi uliczkami, gdzie ich postacie ginęły wśród mroku. Bruk był śliski, jej koń stracił równowagę i byłby upadł, gdyby nie ściągnęła gwałtownie wodzy; dobrze choć, że mogła je sama trzymać. Musieli jechać jedno za drugim, coraz węższymi ulicami, a jej koń nie bardzo chciał stąpać z nosem tuż koło zadu pierwszego.

Wyjechali wreszcie na duży, brukowany plac po drugiej stronie rzeki, koło przeraźliwie najeżonej wieżyczkami budowli Conciergerie, której ściany z szarego kamienia wznosiły się nad wodą.

Arabella spojrzała na to, co stało pośrodku placu. Dotąd oglądała ten niesłychanie skuteczny instrument egzekucji tylko na rycinach. Ostrze było umieszczone w górnej części wydłużonej ramy. Deska z precyzyjnie wyciętym otworem na szyję znajdowała się niżej. Nawet w wieczornym mroku widać było krwawe plamy na ostrzu i drewnie. Tam właśnie zakończyła swoje życie królowa. Przewieziono ją z Conciergerie furmanką. Niedaleko, jak wiedziała Arabella, znajdowało się Le Chatelet.

Przejechali po moście nad Sekwaną w pośpiechu, bo dzwony każdego kościoła zaczęły już bić, obwieszczając godzinę policyjną. Jack kluczył mnóstwem uliczek odchodzących od rzeki, a ona trzymała się blisko niego w narastającej ciemności, zanim wreszcie zatrzymał się przed wysokim budynkiem i spojrzął na jego fasadę. Wszystkie okiennice były pozamykane. Dom wyglądał na niezamieszkały. Jack podjechał do samych drzwi i spod jego palców posypała się cała seria dziwnych stuknięć. Potem odczekał chwilę, jakby coś liczył. Potem znów zastukał w ten sam sposób. Powtórzył wszystko trzykrotnie, a kiedy stukanie ucichło, drzwi się nieco uchyliły.

Jack pokazał na migi, że powinna szybko zejść z konia i wejść do środka. Gdy zaczęła mocować się z torbą podróżną, syknął:

– Zostaw ją.

Zeskoczyła na dół i zachwiała się przez moment: nie zsiadała w końcu z konia przez wiele godzin. Jakoś sobie jednak poradziła, oglądając się za siebie, lecz Jack i jego koń gdzieś zniknęli.

Wysoka, wychudzona kobieta z siwymi włosami nakrytymi chustką spojrziała na nią z podejrzliwością, która Arabelli wydała się raczej nawykiem niż osobistą niechęcią.

– Kim pani jest?

– Żoną Jacka. – Arabella przycisnęła dłonie do krzyża, żeby przezwyciężyć bolesny skurcz. Poczowała, że najlepiej będzie, jeśli będzie mówić otwarcie.

Kobieta skinęła głową i wskazała tylko ręką na korytarz. Arabella poszła tam, gdzie wskazała dłoń, i znalazła się w dużej, zatłoczonej kuchni. Mężczyźni, choć było wśród nich także parę kobiet, krzatali się koło garnków i rondli. Jeden z nich wałkował właśnie ciasto na długim, posypanym mąką stole.

– Któż to taki, Therese?

– Jack wrócił – oznajmiła kobieta – a to jego żona.

Nie było żadnych chóralnych okrzyków ani pytań, przyjrzano jej się tylko uważnie, kiwając ze zrozumieniem głowami.

– Podejdz do ognia, żono Jacka – odezwał się stary mężczyzna, wskazując jej gestem stołek. – Długo jechaliście?

– Dwa dni – odparła, siadając na wskazanym jej meblu. – Z Calais.

Pokiwano głowami z uznaniem nad tym niesłychanym wyczynem. Ktoś wetknął jej w dłoń kubek wina. Pociągnęła łyk z wdzięcznością.

Gdzieś z tyłu za nią otworzyły się drzwi i wyczuła raczej niż zobaczyła, że Jack wchodzi do środka. Uznała, że zajął się końmi. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła, że stawia na podłodze ich bagaże, lecz potem już go nie

mogła dostrzec, bo wmieszał się w ciżbę, która otoczyła go kołem. Zadawano mu półgłosem pytania w tak szybkim tempie, że ledwie nadażał z odpowiedziami.

Na samą wzmiankę o Charlotte zapadło nagle milczenie. Arabella patrzyła w ogień. Wino ją rozgrzało. Zastanawiała się, od jak dawna ci ludzie znali siostrę Jacka. Domyślała się, że nie wszyscy pochodzili z wyższych sfer, lecz łączyła ich najwyraźniej wspólna sprawa. Wyczuwała, że walczą o nią już od dłuższego czasu. Ilu z nich do tej pory zginęło? Czowała się trochę jak intruz i siedząc wciąż przy ogniu, czekała, żeby Jack nią pokierował.

Wreszcie podszedł do niej i położył jej rękę na głowie władczym gestem.

– Arabello, czy zechcesz wyjaśnić, co nas tu sprowadziło?

Powtórzyła to, czego dowiedziała się od Claude'a Flamanda.

Jack wciąż stał koło niej z ręką na jej głowie. Opowiadała spokojnie, bez emocji, powściągając radość, że oto Jack wobec swoich przyjaciół potwierdził jej znaczenie w tej sprawie i jawnie uznał ją za partnerkę.

– Nic nam o niej nie wiadomo, Jack. Z Chatelet dochodzi mało wieści, ale ani słowa nie słyszeliśmy o Charlotte. – Therese podeszła do Jacka i położyła mu rękę na ramieniu. – Masakra w La Force była tak... tak całkowita.

– Wiem – odpowiedział schrypniętym głosem. Zdjął rękę z głowy Arabelli i sięgnął po kubek, który napełnił winem ze stojącej na stole karafki. – Wiedzieliśmy przecież, że Charlotte padła jej ofiarą. Gdyby jednak jakimś cudem ją przeżyła, nikt z nas by o tym nie miał pojęcia, przyjaciele.

Arabella ku własnemu zdumieniu włączyła się nagle w dyskusję.

– Narzekanie nic tu nie pomoże. Jeśli ona jest w La Chatelet, trzeba ją stamtąd jak najszybciej wydostać. Mówiono mi, że pieniądze mogą tego dokonać.

Nikt się na nią nie obraził. Therese powiedziała tylko:

– Jeśli zdołamy wszystko zrobić jak należy, to wtedy może się udać, ale gdyby trafiło się na niewłaściwą osobę, wtedy nieszczęście gotowe. Niejeden już skończył na gilotynie za próbę przekupienia któregoś *securite*.

– Parsknęła śmiechem. – Nie wszyscy z nich są skorumpowani, co mnie zresztą dziwi.

– Najpierw musimy się przekonać, czy hrabina istotnie jest w Le Chatelet. – Muskularny mężczyzna, który wyglądał na robotnika portowego, włączył się do dyskusji, dorzucając do ognia duże polano. Pieczone prosię, które obracało się na rożnie, spłynęło tłuszczem, a płomień zaskwierczał.

– Prawda, Jean–Marc. Ktoś powinien tam pójść – uznała Therese. – Kobieta. Mężczyźni nie wpuszczają do kwatery kobiet. – Rozejrzała się po zgromadzonych.

– Nasze twarze są tu dobrze znane, a dozorczy więzienni pochodzą z tych okolic. Mogą kogoś z nas rozpoznać.

– Ja pójdę – zdecydowała Arabella – tylko mi powiedzcie, jak tam się można dostać.

– Nie – sprzeciwił się jej ostro Jack.

– Tak – odparła z równą stanowczością.

Znów zapadła cisza, którą przerywał jedynie dźwięk kapiącego z prosiaka tłuszczu, bulgot wina nalewanego do kubków i głuchy odgłos wałka do ciasta.

Arabella wytrzymała spojrzenie Jacka.

– To całkiem rozsądny pomysł, żeby właśnie madame tam poszła – powiedziała w końcu Therese. – Ubierzemy ją, jak należy, powiemy, którądy trzeba wejść. Łatwo się tam dostać, jeśli się coś sprzedaje, no i jeszcze trzeba wziąć dozorców trochę pod włos.

– Nie– powtórzył Jack.

– Tak – odparła Arabella. – Mogę się wdziękzyć do dozorców równie dobrze, jak każda inna. Moja francuszczyzna jakoś ujdzie, zwłaszcza że nie zamierzam mówić wiele. Mój akcent może nie jest zbyt przekonujący, ale jeśli będę mówić cicho...

– Oni tam nigdy nie są zanadto rozmowni – odezwał się starszy mężczyzna siedzący przy ogniu i wytarł usta wierzchem dłoni. – Uśmiech, trochę chichotu, a potem małe uszczypięcie i zaraz będziesz w środku.

Arabella nie mogła powstrzymać się od uśmiechu na widok miny Jacka. Trafnie odgadła, że perspektywa „małego uszczypięcia” budzi w nim zgrozę.

– Nie jestem lalką z porcelany, kochany – zaprotestowała.

– Nie o to chodzi.

– Zjedzmy coś! Będziemy o tym dalej rozprawiać już z pełnym żołądkiem – oświadczyła Therese. – Siadajcie wszyscy do stołu! – Zaczęła wycierać go z mąki wilgotną ścierką, a reszta kobiet pośpiesznie wykladała rondle z ziemniakami i kapustą, pajdy chleba z masłem, fajansowe talerze i naczynia. Jeden z mężczyzn zaczął odkrawać grube plastry pieczonego prosięcia, wciąż jeszcze tkwiącego na ruszcie, i kładł je na deszczułkach.

Arabella siadła na jednej z długich ław przy dużym stole, Jack zajął miejsce obok niej. Napełnił jej kubek z krążącej wokoło pękatej flaszki i nałożył mięsa na talerz. Zrozumiała, że ci ludzie nie tylko umożliwili Jackowi wydostanie się z Francji po aresztowaniu jego siostry, lecz że on

blisko z nimi współdziałał w najgorszym okresie rewolucji. Wszyscy oni starali się pomóc prześladowanym, ułatwiając im wymknięcie się z miasta i ucieczkę na wybrzeże albo do Austrii czy Szwajcarii.

Znała mężczyznę, który ją sobie wybrał, tego hulakę i karciarza. Znała wyrafinowanego członka eleganckiego świata, przyjaciela księcia Walii. Wiedziała o jego zainteresowaniu polityką, o tym, że stale ciekawiły go rządy Anglii. Wiedziała też, że wszystkie bez wyjątku psy łąszą się do niego.

Ale tego mężczyzny, którego widziała za stołem, nie znała wcześniej osobiście. Nic jej nie było wiadomo o mężczyźnie, który przemyślał uciekinierów z objętego rewolucją kraju i ryzykował życie z zatrwającą regularnością. Ten mężczyzna z podwiniętymi rękawami, w rozchełstanej koszuli, jadł teraz z łokciami na stole i rozmawiał ze zbieraniną ludzi, którzy byli jego przyjaciółmi i razem z nim brali udział we wspólnym przedsięwzięciu. A jednak, pomyślała, wychylając się nieco, żeby lepiej ujrzeć jego profil, ten aspekt jej męża był zapewne najważniejszy. Cała reszta okazała się blichtrzem służącym tylko za maskę. Był to mężczyzna, który mógł doprowadzić kogoś do ruiny i do śmierci, żeby się na nim zemścić.

– Musisz być zmęczona – powiedział nagle Jack, patrząc na nią. – Czy się najadłaś?

– Aż za dobrze.

– W takim razie pozwól, żebym znalazł ci jakieś spanie.

– Jeszcze nie teraz. – Ujęła swój kubek z winem. – Przecież mamy plan na jutro, tylko muszę się jeszcze dowiedzieć wielu rzeczy.

Spojrzała na kobietę, która wpuściła ją do tego domu. Arabella zrozumiała, że to jej dom, a ona jest jedną z osób przewodzących grupie. Therese wsparła ręce na stole i powiedziała:

– Przebierzesz się za handlarke niosącą koszyk świeżego chleba. Niektórzy dozorczy mają pieniądze. Kupią go od ciebie, a jeśli potrafisz ich odpowiednio poprosić, wpuszczą cię do więzienia dla kobiet, żeby się przekonać, czy potrafisz sprzedać resztę twojego towaru.

Arabella skinęła głową, zastanawiając się nad słowami „odpowiednio poprosić”. Zapewne chodziło o „małe uszczyptnięcie”.

– A jeśli kupią ode mnie cały chleb i nie zostanie mi nic, co mogłabym zanieść do więzienia?

– Pod płótnem będziesz miała jeszcze jedną warstwę pieczywa. Powiesz im, że to wczorajsze. Nie będą go chcieli, ale jeśli poradzisz sobie z nimi jak należy, wpuszczą cię, żeby zobaczyć, czy zdołasz go zostawić tym mniej poszkodowanym. – W jej głosie zabrzmiała gorycz i Arabella zrozumiała, że Therese ma na myśli ludzi, którzy jeszcze nie umarli, ale konają z głodu. Jack odstawił kubek z winem.

– Jeszcze się na to nie zgodziłem.

– To odejdz gdzieś na bok ze swoją żoną i omówcie to – odparła Therese. – Na strychu stoi łóżko. Tam będziecie mogli być na osobności.

Rozległ się szmer świadczący o zgodzie i Jack wstał z ławy.

– Chodź – polecił.

Arabella zrobiła to samo.

– Dziękuję za kolację – odezwała się. – Była doskonała.

– Miło nam to słyszeć – odparła gospodyni. – Jeśli będziesz czegoś potrzebował, Jack, wiesz, gdzie to znaleźć.

Przytaknął jej bez słowa, a potem objął żonę w pasie i poprowadził w głąb domu. Wziął ich bagaż i wskazał ręką na drabinę w spiżarni tuż za kuchnią. Arabella wspięła się po niej na zalany księżycową poświatą strych, pachnący jabłkami i sianem. Jack wszedł za nią i zepchnął drabinę nieco w dół, tak żeby nie wystawała ponad podłogę, a potem zakrył otwór klapą.

A więc to miejsce miało im zapewnić odosobnienie. Arabella rozejrzała się wokół. Leżał tam słomiany siennik, nakryty czymś w rodzaju szorstkiego prześcieradła, i trochę pomarszczonych jabłek na stołku. Nie dojrzała niczego więcej prócz kilku pustych beczulek w kącie.

– Jeśli mamy tu zostać aż do rana, będę musiała pójść do ustępu – oznajmiła.

– Za beczułkami stoi nocnik. – Jack postawił na podłodze bagaż i przeglądał zawartość swojej torby, gdy Arabella zajęła się sobą. Stał w samych pończochach i rozpiętej koszuli, gdy wynurzyła się spoza beczulek. Zaczął bez żadnych wstępów:

– Nie chcę, żebyś to zrobiła.

– Skoro tak mówisz, muszę zrezygnować. – Arabella stanęła przy niskim okienku wychodzącym na dachy i kominy miasta. – Ale bardzo tego pragnę. A także nie widzę innego wyjścia.

Jack milczał przez dłuższą chwilę, a potem objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował w kark. Powiodła dłonią po jego nagiej piersi i przywarła do niej wargami, wdychając woń jego ciała zmieszaną z wonią końskiej sierści, skóry i potu. Różniła się ogromnie od znanego jej zapachu świeżo wyprasowanej bielizny i suszonej lawendy. Zaczęła gwałtownie ściągać z siebie spódnicę do konnej jazdy. W tym małym, pustym pomieszczeniu ich wspólne pragnienia gwałtownie się nasiliły i ogarnęła ich potrzeba siebie,

która nie wymagała słów. Spódnica opadła na podłogę. Arabella odsunęła ją nogą na bok.

Jack zdejmował z siebie jedną ręką spodnie, a drugą wsunął pod jej brudną teraz halkę, gładząc ją po udach, po biodrach, po wypukłości brzucha. Stali obydwójce przy oświetlonym księżycem okienku, oddychając coraz szybciej. Objął ją w pasie i posadził na wąskim parapecie, a ona objęła go nogami, oddając się jego gwałtownym pchnięciom. Całowała go chciwie, zagłębiała się językiem w jego usta, gdy on zagłębiał się w jej ciele. Uniósł jej uda, podtrzymując ją, gdy poruszała się coraz szybciej, czując zbliżającą się rozkosz. Słyszała, że szeptał jakieś słowa, ale nie mogła ich zrozumieć. Ugryzła jego wargę i poczuła smak krwi, gdy osiągnęła wszechogarniające spełnienie. Krzyknęła donośnie, czując, że zasłonił jej usta dłonią, gdy wstrząsnął nim spazm rozkoszy. Pozwolił jej osunąć się w dół, gdy wyslizgiwał się z jej ciała, nadal obejmując ją mocno, z brzuchem przyciśniętym do jej brzucha. Pocałował ją jeszcze raz.

– Nie – zaczął mówić powoli, tak jakby tych kilka ostatnich pełnych namiętności minut nie przerwało wcale ich rozmowy. – Ja też nie widzę innego wyjścia.

Arabella poczuła, że przepelnia ją triumf.

– Dorównuję ci, milordzie. Absolutnie we wszystkim. Zaśmiał się, mimo że patrzył na nią nadal z powagą.

– Nie kwestionuję tego. Nigdy tego nie kwestionowałem.

Arabella i Jack stali na środku ulicy, spoglądając ku wielkiej bramie więzienia Le Chatelet, która stała teraz otworem. Rozmaici ludzie – żołnierze, żandarmi, handlarze – swobodnie wchodzili na dziedziniec, targowali się, rechotali, opowiadając sprośne żarty.

Arabella spojrzała na męża. Gdyby rano nie widziała, jak się przebiera, nigdy by go nie rozpoznała w wyświechtanych spodniach do kolan, podartej koszuli, zmiętoszonej chustce na szyi. Ciemne włosy, teraz rozpuszczone, opadały w tłustych strąkach na nieogoloną twarz. Brudną czapkę nacisnęła głęboko na czoło. Dobrze jednak wiedziała, że zdradzieckie siwe pasmo i tak by się spod niej nie wysunęło, bo ufarbowano je na czarno.

Spojrzała potem na własny strój – znoszona czerwona spódnica, drewniane saboty na bosych stopach – i uznała, że razem z towarzyszącym jej prostytutką tworzą idealną parę. Bluzka, jaką miała na sobie, była niegdyś biała, z wielkim dekoltem obszytym koronką. Teraz nabrała szarego odcienia, a z koronki zostały same strzępy, lecz nadal eksponowała piersi tak samo, jak za swoich najlepszych czasów. Podarta i równie poszarzała chustka nieznacznie osłaniała biust, który i tak przyciągał uwagę. Włosy zebrane w niechlujny węzeł na samym czubku głowy krył czepek, który też pamiętał dużo lepsze dni. Wielki koszyk ze słomki zwisał jej z szyi na długim rzemieniu i obijał się o biodro. Pełno w nim było świeżo upieczonego chleba, drożdżowych bułeczek i nadziewanych rogalików, których zapach doleciał rano do strychu. Pod spodem, nakryte brudną szmatą, leżały inne wypieki, równie świeże, przeznaczone do rozdania więźniom. Były tam też dwie czerstwe bułki, miała je w razie konieczności

pokazać dozorcóm jako dowód, że to, co skrywa pod szmatą, nadaje się już tylko dla ludzi, którzy nie mają nic do jedzenia. Przez chwilę przyszedł jej na myśl Londyn i niezwykła troska, z jaką Jack podjął się przeobrażenia jej z prowincjonalnej panny w lwicę salonową, idealną partnerkę pasującą do jego nienaganej aparycji. Kontrast ten wydał jej się tak absurdalny, że wybuchłaby śmiechem, gdyby się tylko tak przeraźliwie nie bała.

– Jesteś pewna? – spytał cicho Jack.

– Jak najbardziej – odparła i poszła ku więziennej bramie. Z każdym krokiem coraz słabiej czuła jego obecność za sobą, narastało w niej za to poczucie bezbronności. Serce waliło jej tak mocno i szybko, że obawiała się, iż może zasłabnąć. Szła jednak wciąż przed siebie, póki nie wmieszała się w tłum innych handlarzy i wraz z nimi nie wkroczyła na dziedziniec. Ściany więzienia okalały go z trzech stron, pełne małych, zakratowanych okienek w groźnych szarych murach. Na zatłoczonym placu panował niemalże wesoły nastrój. Mężczyźni grali w kości i w karty, a kobiety, ubrane podobnie do niej, sprzedawały różne towary wyciągane ze słomkowych koszyków. Osioł, obładowany ciężkimi jukami, stał spokojnie z pochylonym łbem na samym środku, w pełnym słońcu, a jego właściciel sprzeczał się o coś ze strażnikami ponad stosem miedzianych patelni i rondli wypełniających juki.

Arabella zatrzymała się z wahaniem. Serce przestało jej już walić, gdy zdołała wejść za bramę i znaleźć się w otoczeniu, które byłoby czymś całkiem zwyczajnym, gdyby nie jego ponure tło. Wybrała sobie grupę strażników siedzących w cieniu przed zamkniętymi drzwiami po lewej stronie więzienia i podeszła do nich, przechylając głowę w lekko kokieteryjnym geście. Gdy była już blisko, dygnęła.

– Mam tutaj świeży chleb, *citoyens*, po jednym *sou* za bochenek – rzuciła, odchylając szmatę. – Prosto z pieca.

– Z ciebie też niezły kąsek, *citoyenne* – odezwał się jeden ze strażników, kiwając na nią dłonią, w której trzymał cuchnącą fajkę. – Podejdz no tutaj, niech rzucimy okiem na ten chleb!

Chcąc pokazać zawartość kosza, musiałyby się nachylić i ukazać strażnikom cały biust. Odważnie zbliżyła się ku nim z uśmiechem, który miał być, jak uważała, rodzajem uwodzicielskiej zachęty. Odgrywała teraz rolę kobiety gotowej dać się poklepać czy uszczypnąć. Strażnik wyciągnął jeden z bochenków, zerkając na jej piersi.

– Niebrzydka para bułeczek – rzekł do swoich kompanów, szczerząc zęby. – Spróbujmy, czy aby świeże. – Wsadził brudną dłoń pod jej bluzkę, szukając chropawymi paluchami sutków.

Odskoczyła z krzykiem, udając zgorszenie.

– *Citoyens*, jakże wy traktujecie porządną, zamężną niewiastę.

– A masz ty męża? – spytał inny, głaszcząc gęstą, rudą bródkę. – Chodźno tu, pokaż ten twój chlebek.

Raz jeszcze poddała się upokarzającemu rytuałowi. Mężczyźni zamilkli po kilku sprośnych żartach i aluzjach, które na szczęście nie wymagały od niej żadnych komentarzy, opanowała się więc i wśród uśmiechów wymruczała parę nieszczerych protestów, które tylko pobudziły ich do śmiechu.

– No, to kupmy sobie parę tych bułeczek – powiedział wreszcie strażnik z rudą bródką, mrugając na swych kamratów. – Mam ci ja niezły kawał kiełbasy, co będzie do nich pasowała.

Pozostali gruchnęli na te słowa gardłowym śmiechem i Arabella uznała, że ma już tego dosyć. Sięgnęła do kosza.

– Dwie bułki za jednego *sou, citoyen*.

Rudobrody wyciągnął drobną monetę, a ona rzuciła zalotnie innym:

– Żadne nie są świeższe od nich, *citoyens*.

– W rzeczy samej, paniusiu. – Inny strażnik w uśmiechu pokazał jeden, jedyny ząb. – Ale założę się, żeś ty już nie taka świeża, jak one, *citoyenne!*

– Bochenek za *sou* – odparła, podając mu chleb.

Gdy przestali się z nią przekomarzać i kupili, co tylko miała w koszu, pozostawiając same okruchy, oznajmiła:

– Mam też wczorajszy wypiek. Może uda mi się sprzedać go tym innym? – I wskazała ruchem głowy na drzwi więzienia.

– Niektórzy z nich byłiby radzi – odezwał się strażnik o jednym zębem.

– Nie mam nic przeciw temu. Idź tylko do kobiet... strzeż ty się, dziewczyno, żeby cię tam żywcem nie zjadły! – Zarechotał i wysmarkał nos, ujmując go w dwa palce.

– Ale coś nam się za to należy. – Pierwszy ze strażników zerwał się na nogi. – Najpierw daj całusa, *citoyenne*.

Jego oddech cuchnął stęchłym winem, czosnkiem i tabaką; wargi miał zaślinione, kiedy złapał ją za pośladki i przycisnął do swoich ust. Wstrzymała oddech i zdołała to wytrzymać. Puścił ją wreszcie.

– Tędy! – Wskazał ruchem głowy na drzwi w przeciwległej ścianie. Poszła za nim przez zatłoczony dziedziniec. Powiedział coś dwóm strażnikom, którzy wspierali się o ścianę po obu stronach drzwi. Jeden z nich dłubał w zębach, drugi drapał się leniwie po zawszonej brodzie. Zgodzili się. Pierwszy z nich splunął na bruk, nim otworzył drzwi wielkim kluczem przytroczonym do jego pasa. Skinął na nią i Arabella weszła do środka.

Drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem. Usłyszała zgrzyt klucza w zamku i zapragnęła nagle uciec. Jakże się stąd wydostanie? Nikt jej tego nie powiedział. Co będzie, jeśli ją tu zostawią samą? Czemu mieliby się właściwie troszczyć o jej los? Jedna więźniarka więcej? A niechby sobie tutaj gniła! Uznała jednak, że strażnicy wzięli ją za kogoś z ich świata. Za ciężko pracującą *citoyenne*, z którą można trochę poswawolić.

Stojąc bez ruchu, rozejrzała się wokoło. W więzieniu było ciemnawo, gorąco i duszno, lecz powoli zaczęła rozróżniać w półmroku kształty osób bezwładnie leżących na ziemi lub wspartych o mur. Słaby pomruk, podobny do stłumionego brzęczenia pszczoł, wypełniał całe wnętrze. Jedyne oświetleniem były dwie smoliste pochodnie, zatknięte na ścianie w głębi, a kiedy podeszła trochę bliżej, jej saboty głośno zastukały po niewyobrażalnie brudnej posadzce. Zakwiliło jakieś niemowlę, zapłakało nieco większe dziecko. Kilka kształtów ruszyło w jej kierunku.

Były to kobiety – obdarte, rozczochrane, niektóre z niemowlętami, wszystkie patrzyły błędnym, głodnym wzrokiem.

– Mam tu chleb – powiedziała. Wyciągnęło się ku niej mnóstwo rąk, a słaby pomruk przeobraził się w głośną wrzawę, gdy zaczęto do niej podbiegać ze wszystkich stron. Zajrzała zgnębiona do koszyka. Zostało tam trochę pieczywa, którego starczyłoby co najwyżej dla małej rodziny, a nie dla tej wygłodniałej i zrozpaczonej ciżby kobiet i dzieci.

Postawiła kosz na posadzce, nie mogąc znieść myśli, że będzie musiała rozdawać jego zawartość i wybierać komu dać jeść. Oczy jej już przywykły do mroku i mogła teraz rozróżnić rysy kobiet, które rzuciły się na kosz. Cofnęła się o krok i rozejrzała wokoło. Więźniarki leżały na siennikach lub siedziały pod ścianami. Domyśliła się, że były zbyt osłabione, żeby się podnieść, nawet jeśli chodziło o zdobycie chleba. Okrążyła pomieszczenie,

sunąc wzdłuż murów, i zatrzymywała się przy każdej kupie łachmanów. Nachylała się nad nimi, pytając jedynie:

– Charlotte?

Napotykała jednak podczas obchodu tylko bezmyślne spojrzenia lub płonące od gorączki twarze. Przeszła w ten sposób wzdłuż jednej ze ścian, a potem odwróciła się ku drugiej i nagle zamarła. Zabrakło jej tchu. Na jednym z sienników drzemała kobieta z białym pasmem w siwiejących włosach nad środkiem czoła.

Arabella uklękła obok niej i położyła jej dłoń na ramieniu. Pod palcami wyczuła sterczące kości i rozpaloną skórę. Na policzkach kobiety płonęły dwa jaskrawe rumieńce. Oddychała z trudem.

– Charlotte? – wyszeptała Arabella, dotykając jej twarzy. – Charlotte, czy to pani?

Cienkie jak papier powieki uniosły się powoli, ukazując podkrążone oczy, tak samo jasnoszare jak Jacka. Zapadnięte policzki były pokryte purpurowymi plamami.

– Kim jesteś?

W oczach leżącej pojawiła się podejrzliwość i nagle czujność, gdy spojrzała na osobę pochylającą się nad nią.

– Żoną Jacka – odparła Arabella półgłosem. – A pani... pani to Charlotte?

– Jack? – Kobieta uniosła się z wysiłkiem. Arabella musiała ją podtrzymać. – Czy on jest tutaj?

– Tak, ale na zewnątrz. Myślał, że pani nie żyje.

Kobieta oparła się o jej ramię.

– Właściwie tak miało być... a przynajmniej tego chciano. Powinnam była umrzeć, ale w dziwnym zrzędzeniu losu przeżyłam.

Zamknęła na chwilę oczy, wyczerpana.

– Musi pani zebrać wszystkie siły – zaczęła Arabella. – Proszę się oprzeć o ścianę.

Charlotte usłuchała Arabelli, a potem zmierzyła ją przenikliwym spojrzeniem.

– Pani jest żoną Jacka?

Arabella przysiadła na brudnej posadzce i ujęła w obie dłonie jej rękę, suche kości obciążone skórą.

– Na imię mi Arabella. Niech mnie pani uważnie wysłucha.

Charlotte zrobiła to bez słowa, bez ruchu, nie spuszczać z niej oka. Kiedy Arabella skończyła wyjaśnienia, Charlotte znów wsparła bezwładną głowę o ścianę i zamknęła oczy.

– Mam dziwne sny – wyszeptała – ale to nie jest żaden z nich.

– Nie. Ja naprawdę jestem tutaj. – Arabella ujęła Charlotte za dłoń i uniosła ją do twarzy. – Dotknij mnie, Charlotte. Nie jestem zjawą ani chimera, tylko żoną Jacka. Mamy zamiar uwolnić cię stąd jak najszybciej.

Charlotte pogładziła ją po policzku, lecz potem pozwoliła swojej ręce opaść.

– Jestem chora – rzekła z westchnieniem. – Resztki mojego życia nie są warte narażania kogokolwiek na niebezpieczeństwo.

– Czy możesz sobie wyobrazić, co by powiedział twój brat, gdyby usłyszał te słowa? – spytała Arabella, znowu ujmując ją mocno za rękę. – Charlotte, on po prostu cierpi męczarnie. Powiedziano mu, że cię zamordowano w La Force, i nie może sobie wybaczyć, że w to uwierzył.

– Lepiej byłoby, gdybym tam umarła.

– Nie! – sprzeciwiła się Arabella. – Musisz tylko wytrzymać jeszcze trochę. A kiedy już znajdziesz się na wolności, świeże powietrze, słońce i jedzenie sprawią, że na pewno wydobrejesz.

Na bladych, bezkrwistych wargach Charlotte pojawił się słaby uśmiech, nim znów zamknęła oczy.

– Przyznaję, że wolałabym wydać ostatnie tchnienie, czując blask słońca na twarzy.

– Poczujesz go – odparła z całą mocą Arabella. – Wierz mi... i ufaj Jackowi.

– Ufam mu bezgranicznie – odparła miękko Charlotte. Znów uśmiechnęła się słabo i spojrzała na Arabelle. – Zawsze się zastanawiałam, czy jakaś kobieta okaże się dość dzielna, żeby za niego wyjść. Czy ty go kochasz?

– Całym sercem.

– Jeśli oddał ci swoje serce, to bez granic. Czasami rozmyślałam zrozpaczona, czy on kiedykolwiek trafi na właściwą kobietę. Nie jest człowiekiem łatwym w pożyciu.

– Wiem. – Arabella zgodziła się z tym bez trudu i zaśmiała się. Charlotte zdołała lekko zachichotać i zaraz zaczęła kaszleć. Arabella ze zgrozą ujrzała, że strzępek tkaniny, którym Charlotte wytarła usta, zabarwił się krwią. Wstała, wyciągnęła z pustego już kosza dwie serwetki i podała je szwagierce. Było to wszystko, co mogła dla niej zrobić.

Atak kaszlu w końcu ustąpił i wyczerpana Charlotte znów osunęła się na siennik, przymykając oczy. Rękę, w której trzymała zakrwawioną szmatkę, opuściła na podłogę.

– Jeśli ma się tak stać, musi to nastąpić szybko – wyszeptała słabym głosem.

– Wiem. – Arabella nachyliła się nad nią i ucałowała ją w policzek. – Chciałabym poznać siostrę mojego męża.

Charlotte dotknęła lekko jej twarzy, potem jej ręka znów opadła.

– Słyszałam, że więźniowie mają numery zamiast nazwisk – powiedziała pośpiesznie Arabella, czując, że Charlotte zaczyna słabnąć. – Powiedz mi, jaki jest twój.

Po długiej chwili ciszy Charlotte zaczęła nierówno oddychać. Arabella z rozpaczą patrzyła, jak drgają jej powieki.

– Więźniarka 1568 – szepnęła Charlotte.

Arabella wstała, strzepując brudną słomę i kurz ze swojej podartej spódnicy. Odgarnęła włosy z twarzy, czując rozpaczliwą bezradność. Mogła przynieść ze sobą kołdrę, trochę pożywnej zupy, laudanum. Miała je w torbie podróżnej. Uznała jednak, że zrobiła już to, po co ją tu wysłano. Uwolnienie Charlotte było zadaniem innych. A wiedziała, że będą chcieli tego dokonać.

Z pustym koszykiem podeszła do zamkniętych drzwi. Kilka rąk czepiło się jej spódnicy, lecz nie z gniewu, tylko z rozpaczy. Nie wyglądała na osobę, która zdolna byłaby wyprosić u władz uwolnienie choćby jednej z więźniarek, i większość z nich śledziła jej odejście z całkowitą obojętnością.

Zastukała pięścią w drzwi, rozpaczliwie pragnąc znaleźć się znów na zewnątrz, daleko od cuchnącego więziennego powietrza. Stukała tak jeszcze kilka razy, z coraz większym strachem, aż wreszcie klucz zgrzytnął w zamku i drzwi uchyliły się nieznacznie. Prześliznęła się przez nie i chciwie zaczerpnęła tchu.

– Mam nadzieję, że ci się opłaciło? – mruknął strażnik. – Obiecałaś, że dasz mi coś lepszego niż parę *sou* za wpuszczenie cię tam.

– Trzeba było brać, kiedy dawałam – odparła i pośpiesznie odeszła, wywijając koszykiem z niefrasobliwością. Wpadła w bramę niemal biegiem i ujrzała Jacka. Stał bez ruchu w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła. Nic nie powiedział, kiedy się z nim zrównała, ale ona doskonale wiedziała, o co chciał spytać.

– Ona tam jest.

Chciał, żeby tam była, i zarazem nie chciał. Gdyby Claude Flamand się pomylił, oznaczałoby to bowiem, że zginęła jeszcze w La Force i że on jej nie porzucił. Teraz, gdy prawda wyszła na jaw, a przerażające oczekiwanie już się skończyło, czuł tylko gwałtowne podniecenie i głęboką radość. Zdał sobie nagle sprawę, że Arabella stoi tuż przed nim, z ręką na jego ramieniu, i że jest niezwykle przybita.

– Jack, ona jest chora. Myślę, że to gruźlica.

Miejsce radości zajęła czarna rozpacz.

– Nie mamy wiele czasu – powiedziała i potrząsnęła jego ramieniem. – Każda chwila, którą ona spędzi w tej trupiarni...

– Myślisz, że ja sobie z tego nie zdaję sprawy? – spytał, odtrącając jej dłoń. Odwrócił się na pięcie i poszedł szybko ku rzece.

Stała przez jakiś czas, patrząc, jak się od niej oddala, a potem pobiegła za nim. Nie spodziewała się wcale podziękowań, ale byłaby mu wdzięczna za jakąś inną reakcję. Wiedziała jednak, co on musi teraz przeżywać, i nie próbowała nawet podnosić tego tematu.

Dopędziła go w połowie Pont Neuf. Zwolnił kroku, gdy dotknęła jego ramienia, a potem ujął jej drugą dłoń.

– Wybacz mi.

– Nie ma tu nic do wybaczenia. Co teraz robimy?

– Trzeba znaleźć jakiegoś pośrednika. – Jack znowu zaczął iść dość szybko, nic mu już więc nie powiedziała, póki nie wrócili na Rue de Bievre. Jack wszedł do domu boczną bramą, przez ogród, gdzie stały kurniki i rosło kilka łądyg fasoli. Skierował się prosto do kuchni. Nie było tam aż tylu osób co poprzedniego wieczoru, lecz Therese mieszała coś w garnku, a kilka innych kobiet obierało jarzyny. Stary mężczyzna siedział w kącie przy ogniu, obracając kawał dziczyzny na ruszcie. Arabelli przyszło na myśl, że ci ludzie nie najgorzej sobie żyją w mieście nękanym głodem. Skąd brali tyle jedzenia?

Młodzieniec, którego przedtem nie widziała, wszedł nagle do kuchni z sieni. Z uśmiechem rozpostarł ramiona, witając Jacka.

– Jack, *mon ami!*

– Michel! – Jack objął go mocno. – Jak sędzę, tobie zawdzięczamy tę dziczyznę?

– Tak, przywiozłem ją pod warstwą ziemniaków. – Nowo przybyły uśmiechnął się z satysfakcją. – Ci idioci, strażnicy, nie znaleźli tego, co mieli pod samym nosem.

Jack odwrócił się ku Arabelli:

– Pozwól, że ci przedstawię mojego starego przyjaciela, Michela de Chaumont, choć teraz jest to tylko *citoyen* Chaumont.

Elegancki ukłon nowo przybyłego nie pasował do jego nędznego kaftana, zużytych spodni i zabłoconych butów. Niegdyś zapewne brylowałby na dworze Ludwika XVI i Marii Antoniny, ale najwyraźniej całkiem nieźle się czuł w tym skromnym otoczeniu. Ilu gości tego domu miało przedtem posiadłości na wsi? Posiadłości, z których zapewne pochodziło wczorajsze prosię i dzisiejsza dziczyzna.

– *Enchante*, madame. – Zaśmiała się, gdy Michel ucałował jej dłoń, bo rozbawiła ją absurdalność tego gestu. Miała popękane paznokcie i beznadziejnie brudne ręce.

Michel również się roześmiał, jakby chodziło o jakiś niesłychanie zabawny żart, i ruszył do stołu, całując po drodze Therese w zapadnięty policzek.

– Daj nam wina, *ma chere* – zażądał. – Musimy wypić za zdrowie Jacka i jego żony.

– Zrobiliśmy to zeszłego wieczoru – odparła – ale mamy w spiżarni baryłkę dobrego burgunda. – Wytarła ręce o fartuch i spojrzała pytająco na Arabelle, a potem na Jacka.

– To jest Charlotte. – Jack nie powiedział już nic więcej, siadł jedynie na ławie.

– Jej numer więzienny to 1568 – dodała Arabella.

Therese tylko westchnęła i wzniosła oczy ku górze, jakby w modlitwie dziękczynnej, a potem zdjęła z kredensu kubki.

– *Maitre* Foret pomoże ci. Jean–Marc mówił z nim dziś rano. Zrobi to za wynagrodzeniem... znacznym, rzecz jasna. Ale on wie, komu trzeba dać łapówkę w prefekturze.

– Foret, ten prawnik?

– Ten sam. – Therese postawiła kubki na stole.

– Przebiegły łotr – mruknął Jack. Zabębnił palcami po stole. – Spotkałem go już kiedyś.

– O co chodziło? – zapytała Therese.

– Dość nieprzyjemne sprawy. Próbował mnie szantażować parę lat temu.

– A co to był za szantaż? – Arabella przysunęła się bliżej zaciekawiona.

Jack uszczypnął ją w nos i po raz pierwszy od wielu dni robił wrażenie rozbawionego.

– Ciekawość nie popłaca, moja droga.

– Powiedz mi. Czy chodziło o kobietę? Zrujnowałeś reputację jakiejś niewinnej dziewczicy?

Jack uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi tak, na drugie – nie. I to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Dodam tylko, że wyrzuciłem go z domu i posłałem w ślad za nim jego kapelusz.

– W takim razie nie możesz u niego szukać pomocy, to jasne – uznała Therese. – Nic dla ciebie nie zrobi, czy to za pieniądze, czy za darmo.

– Możliwe – zgodził się Jack, znów zasepiony. Odstawił kubek. – A gdzie go można teraz znaleźć?

– Na Rue St. Honore. – Therese wzruszyła ramionami. – Skorzystał na rewolucji – dodała z gorzką ironią.

– W jaki sposób najlepiej można się do niego zbliżyć? – spytała Arabella w zadumie. – A gdyby tak zrobiła to hrabina Dunston? W końcu to mój prawdziwy tytuł, a paryskiemu prawnikowi nie będzie się chyba kojarzył z rodem St. Jules.

– Madame ma takie maniery, że na każdym robi wrażenie – uznała Therese. – Foretowi pochlebiają względy arystokratów. Gdy przyjdzie do niego angielska dama wysokiego rodu szukająca zaginionej przyjaciółki, poczuje się bardzo ważny. Zwłaszcza jeśli go będzie o coś prosić. – Therese przyjrzała się krytycznie Arabelli. – Rzecz jasna nie w tym ubraniu.

– Och, w przebieraniu się jestem prawdziwą mistrzynią. Mam całą torbę ubrań. – Spojrzała spod oka na męża, który milczał. – Jack?

– Dlaczego? – spytał ją, zaglądając jej w oczy. – Dlaczego chcesz to zrobić, Arabello?

– Dla twojej siostry – powiedziała, wytrzymując jego spojrzenie. – I dla ciebie. Bo to jedyny rozsądny plan. – I dlatego żeby odpokutować rodzinną hańbę. Ten drobny fakt zatrzymała jedynie dla siebie.

Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał jak zwykle.

– Jakie masz jeszcze stroje prócz kostiumu do jazdy konnej?

– Batystową suknię, która nosiłam na statku. Mam jeszcze drugą. Obie są bardzo proste, ale stosowne do okoliczności. Przynajmniej moim zdaniem.

Jack się zgodził.

– Therese, potrzebny będzie również powóz. Ona nie może pójść tam pieszo, jeśli ma zamiar przynieść mu łapówkę.

– Oczyszczę powóz – zaofiarował się Michel. – Wystarczy, żeby nabrał przyzwoitego wyglądu, a nie będzie rzucać się w oczy. Pani suknia z pewnością nie ucierpi z powodu ziemniaków czy plamy po dziczyźnie.

– Ja będę powoził. – Jack podniósł się z ławy. – Przebierz się, Arabello.

– Jeszcze jedno – rzucił Jean-Marc od strony ognia. – Jeśli zdołasz wyciągnąć hrabinę z Le Chatelet dziś wieczór, nie będziesz mógł wywieźć jej z miasta, bo zamkną bramy.

– Nie zostawię jej w tym strasznym miejscu ani chwili dłużej, jeśli mogę uwolnić ją dzisiaj. – Jack zacisnął usta.

– Będziecie mogli tu bezpiecznie spędzić noc – powiedziała pośpiesznie Therese. – Ona musi nabrać siły przed podróżą. – Spojrzała na

Arabelle pytająco, a ta odpowiedziała jej ledwo dostrzegalnym ruchem głowy, co potwierdziło najgorsze obawy kobiety.

Jeśli Jack nawet zauważył ich pozbawioną słów wymianę zdań, nie dał tego po sobie poznać. Skinął niecierpliwie na Arabelle, a ona usłuchała go bez słowa.

– Przyniosę ci wody – zaproponował tylko.

Za kilka minut zjawił się na strychu z miską i dzbanem. Arabella rozebrała się do koszuli i wyszczotkowała włosy, usiłując ułożyć z nich porządną fryzurę.

– Foret jest służalczym łajdakiem – oznajmił Jack, nalewając wody do miski. – Nie pytam, co dziś musiałaś zrobić, żeby dostać się do więzienia, ale cokolwiek to było, Foret wymaga wręcz czegoś przeciwnego. Masz się wdzięczyć, schlebiać mu, odgrywać angielską damę aż do przesady. Zdradź mu tylko tyle prawdy, ile uznasz za konieczne. Usłyszałaś w Londynie od jednego z emigrantów, że twoją dobrą przyjaciółkę zamknięto w Le Chatelet. Przekaż mu numer więzienny i wymyśl jakieś fałszywe nazwisko. Na przykład wicehrabina de Samur... angielska dama z wyższych sfer, twoja przyjaciółka z dzieciństwa i...

– Jack, ja wiem, co temu człowiekowi powiedzieć – przerwała mu. – Rozumiem, że to dla ciebie prawdziwe piekło, ale czasem trzeba się posłużyć taką bronią, jaka jest akurat pod ręką. Pamiętaj, jesteś graczem! Graczem, który wie, jaka strategia będzie najlepsza, kiedy się trzeba zρέcznie wycofać, a kiedy ruszyć do ataku.

Ścisnął ją za rękę tak mocno, że niemal poczuła ból.

– Nigdy jeszcze nie pozwoliłem nikomu grać zamiast mnie.

– Rozumiem, ale tym razem to konieczność.

Jack wiedział o tym. Puścił ją więc i zajął się czym innym. Po pół godzinie Arabella miała już na sobie kremową suknię z brązową szarfą, koronkowa chusta dyskretnie przysłaniała jej dekolt, a skromna fryzura przylegała do głowy nakrytej kapelusikiem, zawiązanym brązowymi wstążkami pod brodą. Białe mitenki i giemzowe pantofelki dopełniały reszty. Nie włożyła żadnej biżuterii i czuła się niemal naga bez żadnych ozdób w uszach i na szyi. Rok temu, na głuchej prowincji w Kent, nie odczuwałaby tego braku.

Jack przyjrzał się jej uważnie, nim skinął głową z aprobatą i wyciągnął ze swego bagażu skórzany worek. Otworzył go, a wtedy na słomiany siennik wysypał się deszcz złotych monet.

Arabella ze zdumieniem patrzyła na połyskliwe liwry, suwereny i gwinee. Jak ktoś może mieć aż tyle monet? Jak je może trzymać przy sobie? Czeki bankowe to jedno, ale prawdziwe złoto, na którym przecież się opierały, było czymś całkiem innym.

Jack poukładał je w ruloniki, według wartości, zaczynając od liwrow.

– Foretowi łatwiej będzie się nimi posługiwać – stwierdził, wsypując je do mieszka. Dodał potem do nich garść gwinei i mocno zawiązał rzemykiem woreczek.

– Gdzie to mam schować? – spytała. Dawniej wsunęłaby go pod sukienkę albo umocowała na srebrnym łańcuszku przy nadgarstku. Proste w linii suknie, które teraz nosiła, nie pozostawiały miejsca na ukrycie czegokolwiek, niczego też nie pozwalały na sobie zawiesić.

Jack namyślał się przez chwilę.

– Nie będzie to zbyt wytworne – orzekł w końcu – ale myślę, że powinnaś użyć sakiewki jako wieczornej torebki zawieszanej na nadgarstku. Możesz ją nakryć dłonią. – Podał Arabelli worek. Zrobiła, jak jej radził.

Wprawdzie mieszek był za duży, by się mieścić we wnętrzu jej dłoni, ale w sumie dobrze spełniał tę rolę, jak uznała po szybkiej ocenie.

– A teraz to. – Jack wyjął z bagażu jedwabną sakiewkę, skąd wyciągnął dwa wspaniałe kolczyki z szafirami i położył na jej dłoni. Załóż ci je – powiedział, wpinając kolczyki w uszy żony. – Posłuż się nimi, jeśli uznasz, że musisz. Foret jest chciwy, ale może wystarczy mu mieszek. On też miewa własne sprawy do załatwienia i odwołuje się wtedy do łapówek.

Brzydki grymas wykrzywił mu wargi, a oczy znów nabrały nieprzeniknionego wyrazu, lecz tym razem Arabella się tym nie przejęła. To już nie miało z nią nic wspólnego. Zgodziła się bez słowa i czekała.

Po chwili Jack zaczął znowu mówić:

– Jeśli wyczujesz, że chciałby więcej, nawet gdybyś tego nie była całkiem pewna, wręcz mu kolczyki. Daj mu wówczas do zrozumienia, że...

– Jack, kochany, ja dobrze wiem, jak to rozegrać. Jeśli je zdejmę... – Dotknęła błękitnych kamieni. – On dojdzie do wniosku, że daję mu resztki swojej fortuny.

– W takim razie wszystko jest jasne – uznał, idąc ku drabinie. – Michel powinien już przygotować powóz.

Zeszła za nim na dół, uważając, żeby nie podrzeć sukni. Choć prosta, w kuchni zrobiła wrażenie czegoś niebywale wyrafinowanego. Jean–Marc aż cmoknął i oświadczył:

– Piękna niczym świeżo wybity liwr.

– Dziękuję, monsieur. – Arabella dygnęła.

– Uważaj, jak mówisz. – Therese upomniała ją ostro.

– *Citoyen!* – poprawiła się Arabella. – To był tylko żart *citoyenne* Therese. Wiem, jak mam mówić. – Zabrzmiało to nieco cierpko. Nie podobało się jej, że widziano w niej nowicjuszkę, której trzeba ciągle coś

wyjaśniać i czuwać, by nie popełniła gafy. Czyż nie dała się rankiem zamknąć w tym ohydny więzieniu?

– Therese nie chciała cię urazić, Arabello – wyjaśnił Jack.

– No pewnie, że nie – zgodziła się z nim Therese. – Ale myśmy się nauczyli lękać o własne życie, a może mu zagrozić nawet jedno niebaczne słówko. Proszę się nie obrażać za nadmierną troskę.

– Nie obraziłam się, Therese. Rozumiem to i nikogo z was nie narażę swoją nieostrożnością.

Therese uśmiechnęła się z ulgą.

– Wszyscy o tym wiemy, madame. Jesteśmy całą duszą z panią. – Poszła do komórki za kuchnią i wróciła, niosąc wełniany płaszcz z kapturem. – Niech pani go włoży. Ta suknia zanadto zwraca uwagę. Nie mówiąc już o kolczykach.

Arabella przyjęła płaszcz. Kontrast między nią a Jackiem w jego obecnym stroju stał się teraz wręcz absurdalny.

– Dziękuję. – Owinęła się płaszczem, nasunęła na głowę kaptur, starając się nie naruszyć słomkowego kapelusika, a potem wyszła razem z Jackiem.

Powóz Michela, choć niezbyt wytworny, był porządnie wypucowany, a na koźle rozłożono derkę, żeby zakryć brud. W środku nie było już żadnego śladu po ziemniakach czy dziczyźnie. Koń, solidne zwierzę pociągowe, stał spokojnie w zaprzęgu.

– Ja będę jechał w środku – wyjaśnił Michel, oddając Jackowi lejce. – W razie kłopotów. – Nie czekając na zgodę Jacka, wsiadł do powozu i usadowił się w kącie, częściowo zakryty przez płócienną budkę.

Jack pomógł Arabelli wsiąść na kozioł, gdzie ułożyła fałdy sukni z taką starannością, że mimo wszystko lekko się uśmiechnął, a potem usiadł

koło niej i chwycił za lejce. Jechali rojnymi ulicami, przebyli rzekę, minęli Luwr i Tuileries. Obydwa pałace wyglądały na zaniedbanie, a ogrody przy Tuileries były źle utrzymane. Arabella przypomniała sobie relacje o masakrze gwardzistów szwajcarskich w tymże ogrodzie i odwróciła oczy. Zrobiła to samo, widząc gilotynę na wielkim placu za ogrodem. Powóz sunął łatwo wśród ulicznego ruchu i nie zwracał większej uwagi niż jego przebrany za prostaka woźnica. Arabella patrzyła przed siebie rada, że przyjęła ofiarowany jej płaszcz. Bez przerwy czuła ciężar sakiewki na podółku.

Wjechali w Rue St. Honore i Jack zatrzymał powóz pod pięknym budynkiem z dziedzińcem, na który prowadziła dwuskrzydłowa brama. Dom ten należał kiedyś do jakiegoś wielkiego pana, teraz zaś kupił go członek nowej, republikańskiej arystokracji. Jack skrzywił się pogardliwie. Foret dobrze wiedział, komu dać łapówkę, a komu okazać względy, i zdołał zajść wysoko.

– Nie chcę wjeżdzać na dziedziniec – powiedział. – Oczekują cię tutaj, odźwierny nie powinien więc robić żadnych trudności.

Arabella osłoniła się mocniej płaszczem i wysiadła z powozu.

– Zostaniesz tu?

– Oczywiście. Jeśli nie wrócisz za pół godziny, pójdę po ciebie.

– Nie będzie potrzeby. – Arabella pokręciła głową. – Lady Dunston wie, co robi. – Uśmiechnęła się do niego, próbując podtrzymać go na duchu. Niepokój i rozpacz miał wypisane na twarzy i w oczach. Nigdy go jeszcze takim nie widziała; był człowiekiem skrywającym uczucia pod maską uprzejmości i spokoju. Nawet gdy pogrążał się w mrocznych rozmyślaniach, pozostawał wyciszony i nie dawał niczego po sobie poznać. Teraz nic nie zostało z tego opanowania.

– Nie zabawię tam długo – obiecała i poszła ku bramie.

RS

Maitre Foret był różowiutki, pulchny pompatyczny i bardzo zadowolony z siebie. Wstał zza eleganckiego biurka w stylu Ludwika XV, gdy zaanonsowano lady Dunston.

– Milady Dunston... *enchante*. – Zbliżył się i skłonił, nim wyciągnął ku niej rękę. – Powiedziano mi, że będę miał gościa, lecz nigdy sobie nie wyobrażałem, iż okaże się on taki uroczy.

Z uśmiechem zmierzył ją wzrokiem cal po calu, a małe brązowe oczka błysnęły na widok szafirowych kolczyków.

Miał na sobie tradycyjny, czarny strój prawników, lecz surdut i spodnie uszyte z najwyższej jakości aksamitu, koszula była obszyta kosztownymi koronkami z Mechelen, a kamizelka bogato haftowana w złote wzorki. Klamry u trzewików i guziki surduta zrobiono z najlepszego srebra. Szpakowate włosy, pracowicie utrefione, natarto pomadą, a gdy podszedł do Arabelli, poczuła woń piżma i gardenii.

Podąła mu dłoń w mitence, ale nie dygnęła. Hrabiny nie dygają przed prawnikami, niezależnie od tego, jak wysoko zdołali zejść w służbie nowego reżimu.

– Bardzo mi przyjemnie... – wyszeptała.

– Proszę usiąść, milady. Może kieliszek sherry? – spytał, podsuwając jej delikatne, złocone krzeselko–

– Sherry? Owszem. Dziękuję panu – powiedziała, siadając, a gdy układała fałdy sukni, ukryła w nich skórzany mieszek.

Foret zadzwonił na służbę i stał, zacierając dłonie. Obserwował swego gościa z zachwytem.

– Jaki dziś piękny dzień – zauważył. – Ale może trochę za ciepły?

– Nie uważam – odparła z uśmiechem. Wszedł lokaj, nalano sherry i pociągnęła mały łyżeczek, mając nadzieję, że alkohol doda jej odwagi. Mimo miłych, a nawet przymilnych manier tego człowieka nie ufała mu. Oczy miał zbyt głęboko osadzone i zanadto przymrużone. Chytrus, przemknęło jej przez myśl.

Maitre Foret siadł na delikatnym krzeselku naprzeciw gościa. Pulchne uda wylewały się wręcz poza siedzenie mebla. Skrzyżował nogi i z zadowoleniem skinął głową, widząc, jak błyszczą kłamry jego butów, nim powiedział:

– Czym mogę służyć, milady? Zrobię wszystko, co w mojej mocy, zapewniam panią. – Uśmiechnął się promiennie.

Arabella nie traciła czasu.

– Sprowadza mnie do Paryża fatalna pomyłka wymiaru sprawiedliwości. Moją dobrą przyjaciółkę z dzieciństwa uwięziono w Le Chatelet. To Angielka, zatrzymana podczas burzliwych wydarzeń jakiś czas temu. – Uśmiechnęła się ze zrozumieniem, jakby podobne pomyłki były czymś nieuniknionym, gdy dzieje się coś tak ważnego jak rewolucja.

– Rozumiem – przytaknął jej z poważną miną. – Szkoda, że dochodzi niekiedy do podobnych incydentów. Kilka takich przypadków zwróciło moją uwagę. Przypuszczam, że zna pani jej więzienny numer?

– 1568.

Foret zapisał go starannie na karcie pergaminu, a potem spytał, składając ręce w geście podobnym do modlitwy:

– Przypuszczam, milady, że mówimy o arystokratce? Czyni to całą sprawę trudniejszą.

– Ale nie przerasta ona pańskich możliwości; *maitre* Foret – odparła, uśmiechając się powtórnie. Nachyliła się i położyła dłoń na jego ręce. –

Błagam, niech pan zrobi, co tylko może, by naprawić ten błąd. Moja przyjaciółka, oficjalnie wicehrabina de Samur, nie jest Francuzką z urodzenia, jak już wyjaśniłam. Mąż jej, wicehrabia, został, rzecz jasna, stracony. – Arabella usiłowała wywołać wrażenie, że była to egzekucja słuszna i właściwa. – Ale jego żona... wdowa... niczemu nie jest winna. – Usiadła znów prosto, z oczami utkwionymi błagalnie w jego twarzy.

Maitre Foret przeciągnął dłonią po gładkim podbródku, a małe oczka niemalże skryły się wśród fałd pulchnej twarzy.

– Oczywiście, fatalnie się składa, gdy niewinny cudzoziemiec cierpi, zatrzymany podczas wydarzeń, które go nie dotyczą. Trudno jednak, milady Dunston, uzyskać zwolnienie takiego arystokraty.

– Trudno, ale nie jest to, jak sądzę, niemożliwe. – Arabella uniosła mieszek z podółka. Brzęk monet rozległ się w pełnym ciszy pokoju z siłą kościelnego dzwonu. – Rozumiem, że pociągnie to za sobą pewne koszty – ciągnęła, patrząc na niego ze szczerym uśmiechem.

– Bardzo duże koszty, milady. – Foret znów przesunął dłonią po podbródku. – Mam dobrego przyjaciela w prefekturze, którego może dałoby się przekonać, by podpisał nakaz uwolnienia więźniarki numer 1568 z Le Chatelet.

– Byłabym panu dozgonnie wdzięczna, monsieur. – Arabella uniosła nieco mieszek i pozwoliła mu z powrotem opaść na podółek. Prawnik nie spuszczał z niego oczu. Bez słów wyciągnął rękę, ujął woreczek i zważył go w dłoni. Było oczywiste, że liczy, ile też pieniędzy mógł zawierać. Potem wstał i mruczając przeprosiny, wyszedł z pokoju, zabierając mieszek z sobą.

Arabella nie ruszyła się z miejsca, choć serce waliło jej jak szalone. Prawnik mógł przecież przywłaszczyć sobie pieniądze i odmówić jej prośbie. Nic by mu w tym nie przeszkodziło. Gdyby jednak wieść o takim

zdarzeniu rozeszła się dokoła, straciłby możliwość dokonywania podobnych interesów w przyszłości, a jego reputacja jako pośrednika z pewnością była kluczowym źródłem bogactwa i awansu społecznego. Nie osiągnął przecież swej pozycji dzięki kradzieży i oszustwom, lecz wyłącznie za sprawą korupcji. Jeśli istniała tu, oczywiście, jakaś różnica. Dotknęła w zamyśleniu kolczyków, oczekując na jego powrót.

Wrócił po dziesięciu minutach, ale już bez woreczka. W rękę trzymał pergamin i uśmiechał się od ucha do ucha.

– Przyszła pani do właściwego człowieka, milady – oświadczył. – A oto nakaz natychmiastowego zwolnienia więźniarki numer 1568 z Le Chatelet.

Arabella wstała.

– Nie mogę wprost wyrazić mojej wdzięczności... cała rodzina tej *citoyenne* również będzie niezmiernie panu wdzięczna. Słowa nie wyrażają naszych uczuć.

Oczy prawnika zatrzymały się na kolczykach. Położył pergamin na biurku i przytrzymał go dłonią.

– Słowa nie są tu potrzebne, milady.

Zrozumiała go bez trudu.

– Chyba potrafię wyrazić moją wdzięczność w bardziej bezpośredni sposób – powiedziała, dotykając kolczyków tak, by się zakołysały i błysnęły błękitnym blaskiem. Prawnik nie mógł oderwać od nich oczu. – Lecz czy mogłabym spojrzeć na ten nakaz, *maitre* Foret? – spytała z uśmiechem, wyciągając rękę. Nie było już między nimi żadnego udawania, że chodzi o coś innego niż o łapówkę.

– Ależ oczywiście, milady. – Zdjął rękę z pergaminu, a ona wzięła go z biurka i rozłożyła. Wyglądał na autentyczny, a na dole widniała pieczęć biura *securite*. Podpis był nieczytelny, lecz chodziło wyłącznie o pieczęć.

– Dziękuję – powiedziała, składając ponownie pergamin i wsuwając go za gors, a potem odpięła kolczyki i podała je Foretowi.

– Oto moje osobiste podziękowanie, *maitre* Foret.

Natychmiast zamknął je w dłoni, jakby mogły mu z niej uciec.

– Życzę panu miłego dnia, monsieur. – Arabella podeszła do drzwi. Prawnik zerwał się, by je przed nią otworzyć.

– Jakże miło się z panią załatwia interesy, milady.

– Istotnie. – Skłoniła lekko głowę i ponownie przebyła imponujące schody, a potem po błyszczącej marmurowej posadzce przeszła do drzwi, które lokaj przed nią otworzył. Przecięła dziedziniec i wydało się jej, że mile dzieli ją od otwartej bramy. Wszystko poszło gładko. A może za gładko? Nasłuchiwała odgłosów pogoni, lecz nie było żadnych, i tylko pies wygrzewał się na słońcu w kącie dziedzińca. Odźwierny ledwo na nią spojrział, gdy wychodziła na ulicę.

Jack czekał na nią. Zobaczył, że wraca bez kolczyków, i powoli odetchnął. Zeskoczył z kozła i pomógł się jej na nim usadowić.

– Masz nakaz?

– Tak. – Wyciągnęła pergamin z za gorsu. – Co za wstrętna kreatura. Wziął kolczyki.

– Spodziewałem się tego. – Jack rozłożył kartę, przeczytał ją, a potem jej oddał i strzelił z bata. Koń ruszył powoli.

Arabella nie pytała, gdzie jada.

– Kto wejdzie do więzienia?

– Ja– odparł Jack.

– Nie wpuszczą cię do kwater kobiet.

– Nie potrzebuję tam wchodzić. To oni muszą mi przyprowadzić Charlotte – uciał.

Nie sprzeciwiała mu się. Za długo pozostawał z boku. Teraz nadeszła jego kolej.

Przy bramie więziennej zeskokczył z kozła, a jego miejsce zajął Michel, ujmując lejce.

– Poczekamy tu na ciebie – zapewnił.

Jack tylko kiwnął głową i wszedł na dziedziniec z pergaminem w ręce. Arabella wyciągnęła jak najdalej szyję, patrząc, jak zmierzał do wartowni. Zacisnęła złożone na kolanach ręce tak mocno, że paznokcie wbiły jej się w dłonie mimo rękawiczek.

Jack rozmawiał twarzą w twarz ze strażnikiem, stojącym przy wartowni, i pokazywał mu pergamin. Mężczyzna wezwał innych i wkrótce cały tłum zebrał się wokół dokumentu.

– Czy oni umieją czytać? – szepnęła Arabella bardziej do siebie niż do Michela.

– Wystarczająco. Widywali już przedtem takie papiery. Najważniejsze, żeby pieczęć była prawdziwa.

Zagryzła wargę. Grupa strażników rozproszyła się i jeden z nich podszedł ku drzwiom, przez które dostała się rankiem do środka. Jack podążył za nim, ale został na zewnątrz. Do więzienia wszedł tylko wartownik.

Charlotte klęczała na posadzce przy kobiecie, która właśnie rodziła, kiedy do więzienia wpadła smuga dziennego światła. Zwróciła głowę w kierunku jej źródła i mimo całego wyczerpania poczuła, że wstępuje w nią słaba nadzieja.

Strażnik stanął przy drzwiach i nie próbował nawet wejść nieco dalej.

– Numer 1568! – ryknął. Przez chwilę nikt się nie poruszył, więc wywołał numer po raz drugi. Charlotte spojrzała na rodzającą, która błagała ją o pomoc. Spojrzała na twarze innych kobiet asystujących przy porodzie. Strażnik wzruszył ramionami i już zamierzał zamknąć drzwi z powrotem.

– Nie, ona jest tutaj! – krzyknął ktoś. Czyjeś ręce pomogły jej wstać i pchnęły ją w stronę światła. – Jest tutaj!

Zniecierpliwiony strażnik tupnął nogą.

– Pośpiesz się, nie będę tu stał przez cały dzień.

Towarzyszki niedoli niemal zaniósły ją ku światłu. Z tyłu za nią zawodziła rozpaczliwie rodzająca. Charlotte już się odwracała w jej stronę, gdy popchnięta z tyłu niemalże padła na strażnika. Ledwie to zresztą poczuł, tak była lekka i wychudzona. Złapał Charlotte za ramię i wyszedł, ciągnąc ją za sobą, a potem zatrzasnął drzwi.

Stanęła bez ruchu, oślepiąca przez światło, czując ciepło słońca na głowie i plecach. Od jak dawna nie widziała światła, nie oddychała świeżym powietrzem?

A potem objęły ją ramiona Jacka. Uniósł ją, a gdy razem z nią opuszczał dziedziniec, łzy ciekły mu po policzkach. Wstrząsnął nim szloch, kiedy zrozumiał, jak bardzo jest słaba. Zupełnie jakby niósł małe dziecko czy nawet ducha. Przekazał ją Michelowi, a potem wsiadł do powozu, moszcząc w nim posłanie, nim znowu umieścił koło siebie siostrę. Kołysał ją w ramionach, pragnąc, żeby nie odczuła wstrząsów pojazdu, kiedy jego żelazne koła pędziły po bruku.

Arabella się odwróciła. Widziała łzy Jacka, kiedy gładził wychudzoną twarz siostry. Gdy Charlotte uśmiechnęła się do niego z wysiłkiem, serce jego żony ścisnęło się boleśnie. Patrzyła przed siebie, nie chcąc, żeby

cokolwiek naruszyło ich prywatność, a potem odetchnęła głęboko. Zrobiła, co do niej należało, ale Charlotte nie pożyje długo. Jack wiedział o tym, lecz oboje będą mieli dla siebie choćby ten krótki czas. Ona zaś usunie się w cień, udzielając im wszelkiego wsparcia. Jack będzie jej znów potrzebował później, bardziej niż kiedykolwiek... kiedy już będzie po wszystkim.

Michel zatrzymał powóz przed domem na Rue de Bievre, a Jack, wciąż z siostrą w ramionach, wysiadł. Therese otworzyła im natychmiast po pierwszym stuknięciu i krzyknęła... ze zgrozy... i z radości... Arabella nie mogła nic powiedzieć. Szła za nimi przez sień, potem przez kuchnię, zadowolona, że znalazła się z tyłu, póki Charlotte nie posadzono w bujanym fotelu i nie owinięto grubymi kocami.

– Rosół wołowy – oznajmiła Therese, krzątając się przy rondlu. Zaczerwieniona, drżącymi rękami uniosła chochlę, a gwałtowne wzruszenie odbijało się na jej ściągniętej twarzy.

Arabella domyśliła się, że wszyscy ci ludzie brali przedtem udział w staraniach Jacka, by wywieźć siostrę z Francji, i byli równie jak on wstrząśnięci, że padł ofiarą błędnej informacji, która doprowadziła do tej tragedii. Podeszła do pieca i wyjęła chochlę z rąk gospodyni. Ta wprawdzie zdumiała się przez moment, lecz potem zostawiła ją i wróciła do Charlotte.

Arabella przyniosła salaterkę do fotela, ukłękła przy Charlotte i zanurzyła łyżkę w bulionie.

– Pozwól, niech ja to zrobię – powiedział cicho Jack.

Bez słowa odsunęła się w tył, podając mu wszystko.

Charlotte zdołała zjeść jedynie parę łyżek, a potem zanosła się gwałtownym kaszlem. Arabella, wiedząc, co teraz nastąpi, włożyła w jej dłonie serwetkę. Po przeraźliwie długim ataku chora osunęła się na fotel z

krwią na wargach. Arabella wytarła jej usta, zabrała serwetkę i wypłukała ją, a potem przyniosła czystą.

Charlotte wzięła ją ze słabym uśmiechem, a za chwilę chwyciła Arabellę za rękę.

– Chciałabym... – zaczęła, lecz głos jej osłabł.

– Czego, Charlotte? – Jack uklęknął przy niej. – Czego byś chciała, kochanie?

Zamrugwała.

– Kąpieli – poprosiła.

Cały pokój nagle ożył, każdy chciał zrobić coś, żeby tylko jej ulżyć. Dorzucono do ognia całe naręczce polan, pojawiła się nagle miedziana wanna i stos ręczników. Arabella zniosła ze strychu własne mydło, przywiezione w nadziei, że się przyda, a także miękki szlafrok.

Charlotte znów wyciągnęła do niej rękę. Arabella podeszła do fotela.

– Czy mi pomożesz, Arabello... moja siostró?

– Zrobię wszystko, o co poprosisz.

Jack stanął za fotelem. Poczul dumę z żony. A także dojmujący żal, że ta wspaniała relacja siostry i żony wkrótce się skończy, choć ledwie się zaczęła.

Gdy wannę napełniono wodą, kuchnia opustoszała i zostały tylko we dwie. Charlotte podniosła się ciężko z fotela, koce spadły na ziemię.

– Jakże ja jestem brudna – powiedziała, gdy Arabella podeszła, by ją rozebrać. – Te łachmany roją się od wszy, nie dotykaj ich.

– To nie ma dla mnie znaczenia. Pozwól mi je rozciąć, tak będzie łatwiej.

Znalazła nożyczki i rozcięła nimi brudne łachy, usiłując ukryć obrzydzenie na widok wszy. Pospiesznie wrzuciła ubranie do ognia, gdy

tylko ściągnęła je z Charlotte. Z satysfakcją patrzyła, jak razem z robactwem ginie w płomieniach.

– Wstrętne bestie – mruknęła. Wątłe ciało Charlotte było całe w czerwonych plamach od ukąszeń. Insekty kryły się także w jej włosach. Arabella pomogła bratowej wejść do wanny, a potem uklękła przy niej z mydłem i myjką.

Charlotte wzięła je od niej i powiedziała mocniejszym głosem:

– Zrobię to sama. Gdybyś tylko mogła umyć mi włosy. Therese powinna mieć trochę ługu.

– Pójdę i poproszę, żeby mi go dała. – Ług był jedynym znanym wszystkim środkiem przeciw wszawicy. Therese, ze współczuciem wypisanym na twarzy, przyniosła cały słoik ze zmywalni, gdzie siedziała, obierając ziemniaki i czekając, póki kuchnia nie stanie się ponownie wolna.

Arabella w milczeniu wyczesywała wszy z włosów Charlotte, mytych ostatni raz przed przeszło rokiem. Charlotte w chwili aresztowania nie miała przy sobie nawet grzebienia, a podczas pobytu w więzieniu i tak nie byłoby z niego wielkiego pożytku.

– Lepiej byłoby je ściąć – uznała wreszcie Arabella, bliska płaczu, tak trudno było jej rozczesać skołtunione włosy Charlotte.

– W takim razie zrób to – poprosiła siostra Jacka, unosząc wilgotny gąszcz włosów nad szyją. – Zetnij wszystkie, Arabello.

– Szkoda, że nie ma tu monsieur Christophe'a. – Arabella westchnęła. – Umiejętnie by je przystrzygł. Nawet Becky poradziłaby sobie lepiej niż ja!

– Po prostu utnij je i już. – Było to polecenie i Arabella wykonała je z rezygnacją. Strzygła ją, a włosy spadały na podłogę i lądowały potem w ogniu. Próbowała ułożyć jakoś włosy na zgrabnej głowie Charlotte, ale uznała, że końcowy efekt trudno uznać za sukces.

Charlotte natomiast nie posiadała się z radości. Przejechała dłonią po ostrzyżonych jak najkrócej włosach i westchnęła z ulgą, poruszając szyją tak, jakby zdjęto z niej żelazną obręcz.

– Och, jakie to cudowne. Czuję się świeżo. Dziękuję ci, Arabello. Jack nigdy by tego dla mnie nie zrobił.

– To prawda – przytaknęła, nie wiedząc jednak, jak Jack zareaguje na widok ostrzyżonej Charlotte. – Ale nie wiem, czy mu się spodoba rezultat.

Charlotte zaśmiała się z cicha.

– A niech mu się nawet nie podoba. Nie jego sprawa, siostrzo.

– Czy chcesz już wyjść z wanny?

– Zrobię to, bo inaczej cały ten brud ponownie na mnie osiadzie. Podasz mi rękę?

Arabella pomogła jej wstać.

– Zostało tu jeszcze trochę ciepłej, czystej wody. Jeśli zdołasz utrzymać się na nogach przez minutę, opłuczę cię nią.

Stała na palcach i wylała na Charlotte cały dzbanek. Szwagierka aż zadrżała z radości. Nagle wydała się Arabelli dużo mocniejsza. Całkiem odwrotnie niż Samson, przyszło jej na myśl, gdy pomagała jej się wytrzeć, a potem wciągnęła na nią nocną koszulę przez mokrą, lecz czystą już głowę.

– Och, jak często o tym marzyłam – wyznała Charlotte, chwiejąc się lekko. – Żeby znów być czysta! Brud jest dużo gorszy niż pragnienie, głód i ciemność. – Dreszcz wstrząsnął jej wynędzniałym ciałem.

– Mogę sobie wyobrazić – powiedziała Arabella. Pomogła Charlotte usadowić się ponownie w fotelu na biegunach. – Może zjesz jeszcze trochę bulionu? Albo napijesz się wina?

– Odmowa byłaby niewdzięcznością. – Charlotte próbowała się uśmiechnąć. – Spróbuję obu rzeczy, żeby ci zrobić przyjemność.

– Czy mogę już otworzyć drzwi?

– Spytaj Jacka, czy nie wyniósłby tej wanny. Byłabym zażenowana, gdyby ktoś inny...

Lecz Arabella była już przy drzwiach i rozmawiała z Jackiem, który wszedł do kuchni. Spojrzał na siostrę ze zdumieniem.

– Co, do diabła? – Po raz pierwszy od wielu dni zaczął być podobny do dawnego siebie. – Czy ty to zrobiłaś, Arabello? – Odwrócił się gwałtownie ku żonie.

– Na moje żądanie – odparła pogodnie Charlotte.

– A raczej na rozkaz – wyjaśniła Arabella. – Uwolnij nas od tej wanny, Jack.

Nie potrzebował wyjaśnień. Uniósł ją, otworzył sobie łokciem drzwi i wybiegł do tylnego ogrodu, gdzie wylał na geranium ostatni dowód uwięzienia siostry. Kiedy wrócił, kuchnia znów zaczęła tętnić życiem, Charlotte jadła bulion wołowy, usiłując posługiwać się sama łyżką, a odrobina wina sprawiła, że policzki je nieco się zaróżowiły. Przez chwilę obudziło to w nim nadzieję. Nieuzasadnioną, płonną nadzieję. Potem jednak dostrzegł podkrążone oczy, szarawą cerę i zrozumiał, że wszystko na nic.

Żona położyła mu rękę na ramieniu. Brązowe oczy były pełne miłości i współczucia, kiedy szepnęła:

– Niech ci wystarczy, że znalazła się w domu, kochanie.

Objął ją mocno i pocałował, nim wrócił do siostry. Został przy Charlotte przez całą noc, czuwając podczas jej snu. Mówił do niej przyciszonym głosem, kiedy się zbudziła, zmieniał zakrwawioną serwetkę po atakach kaszlu.

Arabella spała sama na strychu, nasłuchując straszego pokasywania. Rozumiała, że podróż do Calais wraz z Charlotte zabierze im więcej czasu.

Bała się też, czy chora kobieta wytrzyma przeprawę przez morze. Próbowwała przekonać Jacka, że powinni pozostać w Paryżu, póki siostra nie odzyska choć trochę sił, lecz on nie chciał odkładać powrotu. Już raz nie udało mu się wywieźć Charlotte z Paryża. Nie chciał, żeby to się powtórzyło. *Securite* mogła zmienić zdanie. Wszystko było możliwe. Mogła znów najść dom przy Rue de Bievre.

Arabella wolała się z nim nie spierać. Nic by to nie pomogło, a żal i poczucie winy tak nękały Jacka, że wydawał się wręcz nimi opętany. Arabella w końcu zasnęła. Spała niespokojnym snem, nawiedzana przez koszmary i zbudziła się przed świtem, spocona i nękana mdłościami. Czuła, że ktoś położył jej dłoń na ramieniu i potrząsa nią.

– Musimy ruszać – rzucił jej gwałtownie Jack. – Za pięć minut. Michel będzie tu wkrótce z wozem. Włóż na siebie to, w czym poszłaś do więzienia. – On sam też miał już na sobie brudny strój prostaka. Usiadła na sienniku, walcząc z mdłościami.

– Co z Charlotte? W co ona ma się ubrać? Przywiozłam dla niej trochę strojów.

– Therese się tym zajęła. Wszystko, co zabrałaś ze sobą, jest zbyt wytworne, a nikt z nas nie może zwracać na siebie uwagi. Pośpiesz się – rzucił, zabierając ich bagaże, a potem zniknął.

Arabella pragnęła się choćby uczesać, ale Jack zabrał wszystko, co miała. Włożyła na siebie brudne łachy i przejechała jedynie palcami po włosach, nim okryła je czepkiem. Była głodna, tak się jej przynajmniej zdawało. Zeszła po drabinie. W kuchni zastała mnóstwo ludzi.

Jack stał tam i pił kawę, z kawałem chleba i sera w ręce.

– Jedz – powiedział, wskazując na stół.

Charlotte siedziała w bujanym fotelu, ale była już w płaszczu. Uśmiechnęła się do Arabelli, która wzięła chleb z plastrem dziczyzny i podeszła do szwagierki.

– Jak się teraz czujesz?

– Trochę silniejsza. Therese wmuszała we mnie owsiankę przez ostatnie pół godziny. – Zaśmiała się, ale z miejsca zabrakło jej tchu.

– Mam laudanum – wyznała półgłosem Arabella. – Może przyda się w podróży. Lepiej byś po nim spała.

Charlotte pokręciła głową.

– Może jak już będzie ze mną całkiem źle, moja droga. Chciałabym jak najdłużej być przytomna. Bardzo długo nie widziałam świata na zewnątrz i nie chcę być go dłużej pozbawiona.

Arabella ją rozumiała. Jack po skończonym śniadaniu, podszedł do nich ze słowami:

– No to w drogę.

Uniósł Charlotte w ramionach.

– Michel czeka już z wozem przed drzwiami. Za godzinę otworzą bramy miejskie, a ja przejadę przez nie pierwszy.

Rzucili na tył stertę kołder i poduszek, a Charlotte z wymuszonym uśmiechem usadowiła się w tym miękkim gniazdku. Jack z przygnębieniem otulił ją kocem.

– Obawiam się, że bardzo cię wytrzęsie.

– Gdzie tam. To ty przestań się nade mną trząść. Jedźmy już.

– Usiądę z tyłu koło Charlotte – oznajmiła Arabella, wdrapując się na wóz. – Ty i Michel możecie powozić.

Jack wskoczył na kozioł, strzelił z biczem i wóz potoczył się wciąż jeszcze mrocznymi, pustymi ulicami ku bramie Saint-Denis. Pierwsze

smugi światła pokazały się na niebie, a sklepikarze zdejmowali żaluzje, kiedy dotarli na miejsce. Czekał już tam rząd wozów, gotowych wyjechać z miasta. Byli to głównie chłopci, którzy poprzedniego dnia sprzedali swoje towary i spóźnili się z odjazdem.

Ich wóz nie zwrócił większej uwagi, kiedy mijali bramę w otoczeniu pozostałych pojazdów. Arabella dostrzegła, że Jack odetchnął z ulgą, gdy znaleźli się na gościńcu. Jego plecy przestały być napięte, poruszał też głową to w jedną, to w drugą stronę, żeby pokonać sztywność karku.

Charlotte z uśmiechem oddychała pełną pierśią i wystawiała twarz ku wschodzącemu słońcu. W ciągu dnia uśmiechała się jednak coraz mniej. Wóz trząsał się niemiłosiernie na porytej koleinami drodze, co bardzo chorą męczyło. Arabella obejmowała ją, chcąc oszczędzić szwagierce możliwie jak najwięcej wstrząsów. Sama też nie czuła się najlepiej: kołysanie pojazdu budziło w niej mdłości, kręgosłup bolał od nieoczekiwanych wstrząsów. Zaciskała jednak zęby, koncentrując się na Charlotte.

Jack nie chciał się zatrzymać tam, gdzie mogliby zwracać czyjąś uwagę, i pierwszą noc spędzili w stodole. Michel poszedł do najbliższej wsi i przyniósł wino, chleb, mięso oraz owoce. Charlotte próbowała jeść, lecz była zbyt wyczerpana i położyła się z powrotem na umoszczonym dla niej pościeliu.

Arabella spytała, czy nie zażyłaby laudanum, i tym razem Charlotte nie odmówiła.

– Weź je i ty – szepnęła. – Wyglądasz na dokładnie tak wyczerpaną, jak ja się czuję.

– Nie spałam dobrze w nocy – wyjaśniła Arabella. – Ale dziś usnę jak suseł.

Położyła się obok Jacka na wspólnym pościeliu ze słomy, okutana w płaszcz. Trzymał ją wprawdzie w objęciach przez całą noc, lecz czuła, że nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Nękało ją, że mąż nie szuka pociechy w ich wzajemnej bliskości, ale rozumiała, że jego zaabsorbowanie siostrą jest zbyt silne, aby coś innego mogło mieć teraz dla niego znaczenie. Dość długo już go znała i wiedziała, że kiedy w ten sposób zamyka się w sobie, nic do niego nie dociera. Miała tylko nadzieję, że gdy Charlotte znajdzie się poza granicami Francji, Jack do niej powróci. Nie pozwalała sobie myśleć o nieuchronnej śmierci szwagierki, a także o tym, jak to na niego wpłynie. A ta śmierć mogła nastąpić już wkrótce.

Dojechali do Calais szóstego dnia. Charlotte była już tak słaba, że ledwo mogła unieść głowę. Zanadto też wychudła i nic nie chroniło jej kości od wstrząsów powozu, gwałtowne ataki kaszlu tak ją zaś wyczerpywały, że z trudem oddychała.

Statek Toma Perry'ego stał jednak przycumowany do nabrzeża ze spuszczonego trapem, a marynarze krążyli między keją a pokładem z workami poczty, baryłkami wina, koniaku, skrzyniami i paczkami pełnymi towarów, które mieli przewieźć do Anglii.

Jack zostawił wóz i przeszedł przez całe nabrzeże aż do pokładu, gdzie stał Tom nadzorujący załadunek statku. Arabella zeskoczyła na ziemię i przeciągnęła się, wdychając chciwie morskie powietrze.

– O, jaki świeży zapach – rzekła słabo Charlotte. – Posłuchaj, jak mewy skrzeczą, Arabello. Nie przypuszczałam, że jeszcze je usłyszę. – Usiłowała unieść się i oprzeć o wóz, żeby spojrzeć w niebo, po którym płynęły białe obłoczki pchane lekkim wietrzykiem.

– Niczego mi więcej nie trzeba – odezwała się półgłosem, sięgając po dłoń Arabelli, która uścisnęła ją mocno. – I niczego już nie oczekuję. –

Uśmiechnęła się do żony brata, a potem rzekła z powagą: – Nie przejmuj się tym, że Jack czasem zamyka się w sobie. Zawsze taki był, od samego dzieciństwa. W jego duszy kryją się mroczne zakątki.

– Zauważyłam to. Zamierzam je w przyszłości oczyścić.

Charlotte na te słowa się uśmiechnęła.

– Życzę ci w tym powodzenia, moja droga.

RS

24

Charlotte koniecznie chciała pozostać na pokładzie, gdy odbijali. „Koń Morski” torował sobie drogę wśród statków, a potem wypłynął na pełne morze. Patrzyła na znikający w oddali port. Jack, stojąc obok niej, trzymał rękę na jej ramieniu. Obydwoje zegnali się z Francją. Arabella wołała ich w tym czasie zostawić samych i odsunęła się nieco dalej. Wreszcie, gdy mały stateczek minął redę i nabrał szybkości pchany rześkim wiatrem, a czerwone mury zamku w Calais zniknęły w oddali, Charlotte spojrzała na brata.

– A więc już po wszystkim, Jack.

– Dla nas tak – przyznał. – Pozwól, żebym cię zabrał pod pokład.

Zgodziła się. Siły, których starczyło jej jeszcze, by dokonać tego pożegnania, opuszczały ją i pragnęła już tylko opaść na posłanie. Jack zaniósł ją do kabiny.

– Arabella pomoże mi się położyć – powiedziała, gdy kładł ją na wąskiej koi.

Przyjrzał jej się z bezsilną rozpaczą. Charlotte zdawała się wręcz nikać w oczach. Do kabiny weszła Arabella.

– Przyjdę tu za chwilę. – Postawiła na podłodze torbę podróżną i dzbanek z wodą. Jack ucałował Charlotte w rozpalone od gorączki czoło, a potem wyszedł.

Arabella przyzwyczała się już pomagać Charlotte w najbardziej nawet osobistych potrzebach, a szwagierka przyjmowała tę pomoc naturalnie. Leżała bez ruchu, gdy Arabella rozbierała ją i myła gąbką jej ciało przed

przebraniem chorej w koszulę. Zażyła potem laudanum, w dawce starannie odmierzonej przez Arabelle, które łagodząc kaszel, przyniosło jej nieco ulgi.

– Zostań ze mną – poprosiła, gdy Arabella wyjmowała kilka rzeczy z torby.

– Muszę zrzucić z siebie te łachmany. – Arabella wskazała na swój brudny strój z grymasem odrazy. – Nie wiem, co kapitan Perry sobie o mnie pomyśli. Kiedy ostatni raz nas widział, byliśmy księżną i księciem St. Jules w odpowiednio wytwornym odzieniu. Mamy szczęście, że się w ogóle zgodził, żeby nas przewieźć. – Zaśmiała się, usiłując rozbawić Charlotte. – Przebiorę się tutaj.

Splukiwała właśnie brud z ramion i piersi, rozebrana do koszuli, kiedy wrócił Jack. Spojrzał na nią uważnie i dostrzegł, że wydaje się szczuplejsza niż przed podróżą do Francji. Twarz miała bledszą niż zwykle, oczy wydawały się większe. Pomyślał, że nie wygląda dobrze, lecz trudno się było temu dziwić po wydarzeniach dziesięciu ostatnich dni.

Widząc, że mąż się jej przygląda, próbowała się do niego uśmiechnąć, lecz uśmiech zamarł jej na ustach, bo Jack go nie odwzajemnił. Arabella poczuła się, jakby była rzeczą, którą ktoś ocenia z chłodną precyzją. Zmroziło ją to, ale zrozumiała, że on teraz myśli wyłącznie o siostrze.

Jack ukląkł przy koi, na której leżała. Oczy się jej kleiły, bo laudanum zaczęło działać.

– Nie cierpię tego, że odbiera mi przytomność myślenia – wyszeptała.

– Co, moja droga? – Jack nachylił się, żeby usłyszeć, co mówi Charlotte.

– Laudanum – powiedziała zza jego pleców Arabella, usiłując zapiąć suknię, w którą się przebrała. – Daję je Charlotte regularnie, ono łagodzi ten kaszel.

– Czy mądrze robisz, podając jej narkotyki? – Zmarszczył czoło.

– Tak – odparła krótko. – Zapnij mi, proszę, te guziki. – Odwróciła się tyłem do niego.

Zrobił, o co go prosiła, nadal zasepiony.

– Branie laudanum prowadzi do nałogu.

– Czy sądzisz, że to ma teraz jakieś znaczenie? – spytała, spoglądając na koję. Charlotte zasnęła, z trudem oddychając otwartymi ustami. – Jack, wiem, że to dla ciebie trudne, ale...

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – spytał, strącając rękę, którą położyła mu na ramieniu. – Moja siostra umiera, a ja nie mogę nic zrobić, żeby jej pomóc.

– Prócz tego, żeby jej jakoś uprzyjemnić ostatnie dni życia – odparła zdesperowanym szeptem. – Spróbuj się choć raz do niej uśmiechnąć. Cóż ona musi czuć, kiedy patrzysz na nią, jakby już leżała w grobie?

Jack spojrział na nią, a potem gwałtownie pokręcił głową i wyszedł z kabiny. Arabella westchnęła. Była u kresu sił. Charlotte poruszyła się nagle i wyszeptała:

– Nie kłóć się z nim o mnie, Arabello.

– Nie kłóciliśmy się – skłamała, podchodząc do koi – ale muszę przyznać, że twój brat potrafi czasem solidnie zepsuć człowiekowi humor, jeśli mu się tak podoba.

Charlotte uśmiechnęła się słabo.

– Czy nie pomogłabyś mi usiąść? Wtedy łatwiej mogę oddychać.

Arabella podeszła do koi, siadła na niej i uniosła ciało Charlotte nieco ku górze, tak by chora mogła się oprzeć jej o ramię.

– Lepiej?

– Tak, dziękuję. – Charlotte przymknęła oczy i ponownie zapadła w kilkuminutową drzemkę, podczas gdy Arabella utkwiała wzrok w przeciwległej ścianie, usiłując się dostosować do łagodnego kołysania statku.

– Och, niedobrze mi! – krzyknęła nagle i pochyliła się pośpiesznie, wyciągając spod koi nocnik, ledwie zdążywszy. Charlotte ocknęła się i spojrzała na nią z niepokojem. Ku przerażeniu Arabelli Jack wszedł ponownie do kabiny akurat w tej chwili.

– Cóż się z tobą dzieje? – spytał, odgarniając jej z twarzy włosy, gdy wciąż jeszcze klęczała pochylona nad nocnikiem. – Przecież morze jest zupełnie spokojne.

Był to głos dawnego Jacka, pełny troski, i mimo zakłopotania Arabella poczuła jedynie ulgę. To, co mu wcześniej powiedziała, odniosło widocznie skutek.

– Wybacz, chyba nie nadawałabym się na marynarza – uznała i siedząc w kucki, wytarła chustką twarz.

– Pozwól, niech ja się tym zajmę. – Jack chwycił nocnik i otworzył iluminator. – Na szczęście wiatr nie wieje w naszą stronę – stwierdził, wylewając zawartość naczynia, i odwrócił się ku niej, zostawiając okienko otwarte. – Cóż ma począć mężczyzna, skoro musi się zajmować aż dwiema chorymi kobietami naraz? – spytał, uśmiechając się łagodnie. – Miałem zamiar zaproponować wista, ale obydwie wyglądacie tak mizernie, że chyba nie zdołałybyście policzyć kart.

Charlotte zdobyła się na uśmiech.

– Zanadto mi szumi w głowie, żebym mogła liczyć cokolwiek. Czemu nie pójdziesz porozmawiać z kapitanem? Niech lepiej obie chore kobiety pocieszają się nawzajem.

Arabella, płucząc usta czystą wodą z dzbanka, nie była w stanie mówić, póki jej nie wypluła przez iluminator.

– Jeśli chodzi o mnie, wręcz umieram z głodu – oświadczyła. – A Charlotte mogłaby zjeść teraz trochę kleiku. Czemu nie pójdziesz i nie przyniesiesz nam czegoś do zjedzenia?

– Dopiero co wszystko zwróciłaś, a chcesz znowu jeść? – zdumiał się.

– Najwyraźniej tak właśnie jest – stwierdziła Arabella. – Wszystko będzie dobre. Chleb, ser, zupa, jabłko...

– Do usług, madame. – Skłonił się żartobliwie i wyszedł.

Arabella znów przysiadła na koi, raz jeszcze pomagając Charlotte unieść się do pozycji siedzącej. Znowu spojrzała na ścianę kabiny, która wciąż się kołysała, ale tym razem nie chwyciły jej mdłości. Dziwne. Czyżby to...

– Och – powiedziała nagle.

– Co? – spytała sennie Charlotte.

– Ja nie mam wcale choroby morskiej. – Arabella zrozumiała już wszystko. – Jakaż byłam głupia, że się od razu nie domyśliłam, ale tyle rzeczy się zdarzyło ostatnio, że nie zwróciłam na to uwagi. Nie krwawiłam w tym miesiącu.

– Och, moja droga! – Charlotte ścisnęła jej dłoń wychudzonymi palcami. – Cudownie. Zawsze chciałam mieć dzieci, ale nie było mi to dane. – Znowu przymknęła oczy i dodała ledwie słyszalnym szeptem: – Ale może to i dobrze. Dzieci w Chatelet nie żyły zbyt długo.

Arabella nie powiedziała nic, podtrzymywała ją tylko, póki Jack nie wrócił z tacą, którą postawił na stole. Spojrzał na siostrę i tym razem nie zdobył się na uśmiech.

Ukląkł przy niej i powiedział:

– Gdy tylko wylądujemy w Anglii, pojedziemy w góry, gdzie powietrze jest świeże i czyste. Utyjesz i zaczniesz lepiej wyglądać po dobrym mleku i śmietanie. – Głos mu się nagle załamał.

Położyła mu dłoń na rękę.

– Tak, tak, mój drogi. Wiem, że wtedy nabiorę znowu sił.

Wpadnięte oczy mówiły co innego i Jack wiedział, że jego słowa nie potrafiły przesłonić prawdy. Uniósł dłoń siostry do ust i ucałował jej palce, a potem powoli wstał i wziął z tacy miseczkę. Starając się, żeby zabrzmiało to energicznie i pogodnie, powiedział:

– Musisz coś zjeść, w przeciwnym razie nigdy się nie poczujesz lepiej.

Potem siadł na brzegu koi i uniósł ku jej ustom łyżkę przyprawionego kleiku. Spróbowała go, lecz już po pierwszej łyżce odsunęła się, przepaszając szeptem. Jack spojrzał na nią z rozpaczą.

– A może byś tak nas trochę zabawił? – powiedziała pośpiesznie Arabella. – Chciałabym usłyszeć coś o twojej niezbyt godnej szacunku młodości, bo z pewnością taka właśnie była, prawda, Charlotte?

– W każdym razie często bywała niebezpieczna. – Siostra się uśmiechnęła. – Jack nigdy nie dbał o reguły, chyba że je właśnie łamał. Powiedz mi, jak się poznaliście.

W powietrzu dało się przez chwilę wyczuć napięcie, wreszcie Jack powiedział:

– Poznałem ją, kiedy cała spocona i zabrudzona przesadzała kwiaty. Z jakiegoś dziwnego powodu wydało mi się wtedy, że tchnie nieodpartym urokiem.

– A Jack, rzecz jasna, wyglądał wtedy wręcz nieskazitelnie, co nie od razu uznałam za urocze. Słyszałam jednak, że przeciwności się przyciągają, no i w końcu okazało się to prawdą.

– A ja nie sędzę, żebyśmy się znajdowali na dwóch przeciwległych krańcach skali, jeśli chodzi o poczucie przyzwoitości i stosunek do konwenansów – oświadczył Jack, widząc, że siostra wyraźnie się ożywiła.

– No cóż, nie tylko jedno z nas można było nazwać wyłamującym się z reguł – zauważyła Arabella wesoło. – W przeciwnym razie nie byłyby to wcale szczęśliwy związek.

– Jakże chciałbym ujrzeć wasze dziecko – powiedziała Charlotte, unosząc się lekko na koi.

Jack spojrzał ze zdumieniem na żonę, która wciąż siedziała przy Charlotte, podtrzymując jej kruche ciało. Głowa szwagierki nadal spoczywała na jej ramieniu. Uśmiech Arabelli miał w sobie coś dziwnie radosnego.

– Nie jestem wcale osobą skłonną do morskiej choroby – wyjaśniła. – Przeciwnie, jestem wręcz obrzydliwie krzepka.

Charlotte zaśmiała się słabo, ale nawet tak niewielki wysiłek okazał się nadmierny. Śmiech przeszedł w przeraźliwy, rzeźący kaszel, a ręcznik, który uniosła do ust, już za chwilę zrobił się czerwony. Arabella odrzuciła go w bok i sięgnęła po miskę, którą trzymała w gotowości pod koją. Jack odwrócił się, nie mogąc patrzeć na cierpienie siostry. Wreszcie kaszel zelżał i Charlotte jeszcze raz wsparła się na ramieniu Arabelli, z twarzą bladą jak papier, z oczami zapadniętymi w głąb. Policzki jej niemal w całości pokryły się sinymi plamami, a niedawne ożywienie zniknęło niby ostatni płomień świecy.

Arabella podała Jackowi miskę, a on bez słowa opróżnił ją i zajął miejsce przy stole. Jego żona z powrotem usiadła na koi, podtrzymując ciało tak wątle, że najlżejsze dotknięcie zdawało się grozić mu unicestwieniem. Obejmowała Charlotte, podczas gdy Jack siedział sztywno przy okienku z

opuszczonymi ramionami i wyglądał przez iluminator. Czuła, że z chorej kobiety powoli ulatuje życie.

– Jack – odezwała się nagle szeptem.

Mąż odwrócił się, wstał i podszedł do koi. Ukląkł, ujął wychudłą, pergaminową dłoń siostry i przytulił ją do policzka. Trwali tak, póki po kilku minutach Charlotte nie wydała ostatniego, słabego tchnienia. Oczy Arabelli pozostały suche, bo Jack znalazł w sobie dość łez za obydwoje.

Wreszcie uniósł powoli siostrę, odbierając ją żonie, i przytulił do piersi. Arabella zrozumiała. Ześliznęła się z koi i wyszła bezszelestnie z kabiny. Jack pozostał w niej sam ze swoim bólem i czuwaniem.

Pochowali Charlotte o świcie, w spokojnych wodach kanału La Manche poróżowiałych od jutrzeńki. Tom Perry wypowiedział proste słowa:

– Powierzamy jej ciało morzu.

Marynarze stali w milczeniu dokoła, a Jack już z suchymi oczami patrzył, jak to, co zostało z Charlotte, ześlizguje się w wodę. Arabella nakryła jego zaciśniętą na balustradzie dłoń swoją, choć wiedziała, że nawet tego nie poczuł. Znów znalazł się gdzieś daleko. Nie puściła jednak jego ręki i na próżno usiłowała połykać łzy. Płakała nad Jackiem, a jednocześnie i nad sobą.

Znała Charlotte ledwie przez kilka dni, a jednak zdążyła pokochać ją jak siostrę. Bolała nie tylko nad jej utratą, ale i nad tym, że ich dziecko nigdy nie pozna ciotki, która mogłaby wzbogacić jego życie.

Szybko było po wszystkim, marynarze rozeszli się, a Jack w kilku słowach podziękował Tomowi Perry'emu i natychmiast odszedł do swej kabiny. Arabella już chciała pójść za nim, lecz ledwie dostrzegalny gest dłoni męża powiedział jej wyraźnie, że chce teraz zostać sam. Zawahała się,

ale potem bez słowa odwróciła ku morzu i patrzyła, jak świt wstaje nad brzegiem Anglii, coraz wyraźniej widocznym na horyzoncie.

Wyczuła raczej, niż usłyszała, że Jack wrócił. Podeszedł do relingu w pierwszych promieniach słońca, przechylił się przez barierkę i wpatrzył w wody kanału. Bez słowa wyciągnął ku niej ramię, a ona przeszła kilka kroków, żeby się znaleźć koło niego. Nie objął jej, lecz stali tak blisko siebie, że czuła ciepło jego ciała.

– Wybacz mi – wyszeptała.

– Co mam ci wybaczyć, Arabello? – spytał, odwracając ku niej z wolną głowę. Twarz miał spokojną, ale w głębi oczu widniał ból.

Desperacko usiłowała znaleźć właściwe słowa.

– Mojego brata.

– Od wielu miesięcy nie potrafię już myśleć o tobie jak o kimś, kto należał do tego samego świata co Frederick Lacey. – Objął ją ramieniem i przygarnął mocno do siebie. – To ja powinien prosić cię o przebaczenie. Zbyt dużo czasu zajęło mi zrozumienie, jaki skarb zyskałem w twojej osobie... i jak mało sobie na niego zasłużyłem.

Arabella poczuła, że zalewa ją fala ciepła. Nabrała głęboko tchu i wsparła mu głowę na ramieniu, a ból i niepewność wreszcie zniknęły bez śladu.

Po chwili Jack przemówił znowu:

– Czuję się tak, jakby Charlotte umarła po raz drugi. Dwukrotnie próbowałem ją ratować i obydwie razy na darmo. Nie wiem, jak ja to wytrzymam. – Głos mu się załamał. Ukrył twarz w dłoniach.

Łzy napłynęły jej do oczu. Objęła go mocno. Dzielili teraz ze sobą i żal, i miłość. W tej chwili wydawało się, że rozpacz będzie trwała wiecznie.

Nie znalazła w sobie słów pocieszenia dla męża. Mogła jedynie obejmować go i czekać, póki sam się nie podźwignie.

RS

Epilog

W przeraźliwie zimny, styczniowy ranek Meg stała u stóp schodów na Cavendish Square i zegnała oficera kawalerii, mężczyznę o imponujących wąsach, który składał jej wyszukany ukłon, uchylając ozdobioną pióropuszem czapkę.

– Do widzenia, droga lady. Moje serce będzie tęsknić za panią aż do naszego następnego spotkania.

– Och, zawracanie głowy – prychnęła. – Z pewnością mówi pan to każdej kobiecie, która ma mniej niż sześćdziesiąt lat, lordzie Thomas.

– Dotknęła mnie pani do żywego – oznajmił, uśmiechając się jednak równie szeroko, jak ona.

Meg pokręciła głową, weszła na schody i zderzyła się z Jackiem, który z niezwykłym u niego pośpiechem wybiegł z gołą głową przez otwarte frontowe drzwi.

– Meg, gdzie się podziewałaś?! – zawołał, odsuwając ją jednocześnie na bok.

– Byłam w parku – odparła, patrząc na niego ze zdumieniem.

– Arabella... biegnę po doktora... – wyjąkał, wymachując przy tym dłonią, jakby chciał bez słów wyjaśnić, dlaczego tak się zachowuje.

– Zaraz, zaraz! – Schwyciła go za ramię. – Czy chodzi może o dziecko? – Było to doprawdy czysto retoryczne pytanie. – Dlaczego biegiesz sam po doktora, Jack? Wyślij lokaja!

– Arabella nie chce, bym tam przy niej był. Mówi, że nie może na mnie patrzeć, więc muszę biec po doktora, bo nic innego mi nie pozostaje. Nie mogę zostać w domu.

Meg nie próbowała go dłużej zatrzymać. Wpadła do domu, gdzie niewzruszony zazwyczaj Tidmouth krążył niespokojnie po holu.

– Och, jest pani wreszcie, panno Barratt! Jej wysokość...

– Tak, księżę już mi powiedział! – zawołała, śpiesząc po schodach. Gdy biegła do apartamentów Arabelli, Borys i Oskar, które kręciły się pod drzwiami buduaru, zaczęły na jej widok głośno szczekać.

– Cicho – uspokoiła psy. – Wszystko w porządku. Nie ma się czym martwić.

Odpędziła je od drzwi, które otworzyła i zaraz zamknęła z powrotem przed samym ich nosem.

Drzwi do sypialni były otwarte. Arabella chodziła w kółko po pokoju z bladą, wystraszoną twarzą. Lady Barratt i Becky były zajęte bielizną i kociołkami z wodą, wiszącymi nad paleniskiem kominka.

– Och, Meg, dzięki Bogu, że wróciłaś. – Arabella powitała przyjaciółkę bez żadnych wstępów. – To zaczęło się tak nagle.

– Już o tym wiem. – Meg zdjęła płaszcz i kapelusz. – Wpadłam po drodze na twego biednego męża. Pędził po lekarza i był w strasznym stanie.

– Och, ten Jack. – Arabella machnęła ręką. – On się do niczego nie nadaje w krytycznych chwilach, zupełnie traci wtedy zimną krew.

Meg z trudem opanowała rozbawienie, słysząc taką charakterystykę chłodnego, powściągliwego, krańcowo eleganckiego księcia St. Jules.

– Wyjaśniłam już jego wysokości, że kobiety w połogu bywają niekiedy w złym humorze – powiedziała lady Barratt – i że czasami zdarza się im się powiedzieć coś przykrego, choć wcale tak nie uważają.

– Och, ale ja naprawdę tak uważam – stwierdziła Arabella, po czym jęknęła i wyciągnęła dłoń ku Meg, która ujęła ją i skrzywiła się z bólu. Przyjaciółka ścisnęła ją tak mocno, że aż łzy jej nabiegły do oczu.

– Myślę, że powinnaś położyć się na łóżku, droga Bello – powiedziała spokojnie lady Barratt. – Coś mi się zdaje, że to niedługo potrwa.

– Myślałam, że rodzenie pierwszego dziecka ciągnie się w nieskończoność – mruknęła Arabella, ale wdrapała się na łóżko.

– Nie ma czego żałować – zauważyła trzeźwo Meg. – Wcale mi się to nie wydaje takie zabawne, a więc myślę, że im prędzej, tym lepiej.

Arabella uśmiechnęła się blado.

– Chciałabym, żeby mój mąż wygłaszał takie komentarze, zamiast załamywać ręce i jęczeć.

– Arabello, przecież on nic takiego nie zrobił – sprostowała lady Barratt. – Był najzupełniej spokojny, póki nie zaczęłaś na niego krzyczeć.

Becky wbiegła z chłodnym okładem i położyła go Arabelli na czole, gdy kolejny bolesny skurcz sprawił, że ta mimowolnie głośno jęknęła. Meg znowu podała jej rękę.

– Powiedziałam Jackowi, że wcale nie potrzeba mi doktora – oznajmiła Arabella, gdy znów mogła oddychać – bo lady Barratt i Becky doskonale sobie dadzą same radę.

– Ja jednak myślę, że dobrze zrobił, moja droga – pochwaliła Jacka lady Barratt.

– Lekarz już jest – oznajmiła Meg, wyglądając przez okno. – Jack dosłownie wyciągnął go z dorożki.

Lekarz wkroczył do pokoju przed Jackiem, który stanął w drzwiach.

– Jeśli wciąż jeszcze nie możesz znieść mojego widoku, kochanie, to sobie pójdę.

Ale Arabella nie dbała już w tej chwili o nikogo z obecnych w sypialni. A Jack nie potrafił ani zostać, ani odejść, gdy ranek dawno już zmienił się w popołudnie. Bał się przeraźliwie. Po śmierci Charlotte smutek

pozostał, ale powrócił spokój. Ten spokój przyniosła mu Arabella. A teraz mógł stracić także i ją.

Po takiej stracie równie dobrze mógłby już wcale nie żyć.

Stał bezradnie przy łóżku, patrząc na jej pobladłą, wykrzywioną twarz. Wytarł jej czoło chustką podaną przez Becky. Próbował się pocieszać spokojem lekarza, rzeczowymi staraniami lady Barratt i jawną beztróską Becky, ale czas dłużył się bez końca. Żałował, że nie może się zachowywać jak Meg, która żartowała sobie pogodnie z Arabellą, ta zaś odpowiadała jej słabym uśmiechem.

Nagła krzątanina koło łóżka zaniepokoiła go, gwałtowny krzyk Arabelli przeraził, a po chwili ze zdumieniem usłyszał kwilenie noworodka. Spojrzał bezmyślnie na zakrwawione maleństwo w rękach lady Barratt.

– Syn – powiedziała. – Ma pan syna, wasza wysokość... Bello, kochanie, jest taki śliczny. – Położyła dziecko na piersi matki.

Arabella uśmiechnęła się z trudem i ucałowała małą główkę. Spojrzała na Jacka. W jego szarych oczach zobaczyła łzy.

– Spójrz, jakie cudo zdołaliśmy razem powołać do życia, mój kochany

– Nie jestem pewien, czy naprawdę się do tego przyłożyłem – odparł z bladym uśmiechem. Ucałował żonę, a potem synka. – On sprawił, że czuję się teraz kimś całkiem bez znaczenia.

– Charles – powiedział Arabella. – Powinniśmy dać mu na imię Charles.

– Dobrze – zgodził się, ostrożnie biorąc drobne ciało na rękę.

– Lepiej niech mi go pan teraz da, wasza wysokość – odezwała się lady Barratt. Zazwyczaj książę budził w niej podszyty lękiem szacunek, lecz rola położnej zapewniła jej wystarczająco wiele autorytetu, by mogła nim komenderować. – Nie chcemy, żeby się przeziębził.

Jack niechętnie oddał syna.

– Jeśli chce pan zrobić coś pożytecznego – poradziła życzliwie Meg, widząc jego wahanie – to proszę pójść z psami na spacer. Płaczą się bez celu po korytarzu.

– Zauważyłem – odparł sucho.

– Idź, mój drogi. – Arabella zachęciła go słabym głosem. – Daj im się porządnie wybiegać. Nie pójda z nikim innym, tylko z tobą, dobrze o tym wiesz.

Jack spojrzał sceptycznie na otaczający go krąg kobiecych twarzy i ustąpił.

– Doskonale. Wyjdę na godzinę. – Nachylił się, całując wilgotne czoło Arabelli, i odsunął z niego pojedynczy kosmyk.

– Nie na dłużej, pamiętaj.

Arabella się uśmiechnęła.

– Wróć szybko.

Jack wyszedł i gwizdnął na psy, które popędziły za nim. W holu Tidmouth wciąż jeszcze krążył w kółko.

– No i, wasza wysokość?

– Mam syna – powiedział Jack, usiłując powściągnąć swoją radość, co mu się zresztą wcale nie udało. – Ładny chłopiec. A z jej wysokością wszystko w porządku.

– Moje gratulacje, wasza wysokość. – Na surowej zazwyczaj twarzy Tidmoutha zakwitł nieoczekiwanie szeroki uśmiech.

– Czy mogę, złożyć panu życzenia w imieniu służby?

– Możesz. – Jack również uśmiechnął się szeroko. – A w kuchni otwórz beczułkę paździenikowego piwa, żeby uczcić to wydarzenie.

– Tak jest, wasza wysokość. Z przyjemnością, wasza wysokość. – Tidmouth uklonił mu się i pośpieszył spełnić polecenie swego pana jeszcze bardziej niż zwykle sprężystym krokiem.

Jack wrócił godzinę później do domu pełnego niesłychanego ożywienia. Tidmouth oznajmił mu, że doktor wyszedł kwadrans wcześniej. Jack wbiegł pędem na schody, przeskakując po dwa stopnie, poprzedzany przez psy, i wpadł do sypialni

Arabelli, wnosząc ze sobą chłód i świeżość do przegrzanego pokoju.

Borys i Oskar wspięły się na łóżko, lecz Meg złapała je szybko za obroże.

– Nie, nie teraz – przemówiła do nich. – Zabiorę je do kuchni!

Jack nie dostrzegał jednak nikogo poza żoną. Wsparta o śnieżnobiałe poduszki, wciąż jeszcze bardzo blada, ale pogodna, tuliła do piersi synka.

– Ma nos całkiem jak Charlotte – oznajmiła.

Jack ukląkł przy łóżku. Lady Barratt dyskretnie wycofała się ku drzwiom, popychając przed sobą Becky.

– Nie uważasz, że to wręcz miniatura Charlotte? – spytała Arabella, dotykając czubkiem palca małego noska.

Jack się uśmiechnął. Nie dostrzegał wprawdzie tego podobieństwa, lecz bardzo chciał w nie uwierzyć.

– Charles – mruknął, całując delikatnie maleństwo w policzek. Spojrzał na żonę. – Kocham cię tak mocno, że nie znajduję wręcz słów zdolnych to wyrazić. Nie wiem, czy jakikolwiek mężczyzna może być aż tak szczęśliwy.

Dotknęła jego twarzy.

– Albo kobieta.

Charles, markiz Haversham, ziewnął.

– Wcale się tym nie przejął – stwierdził z uśmiechem Jack. Położył się obok żony i syna, obejmując ramieniem Arabelle, która zapadała właśnie w sen, znużona i wyczerpana. Pomyślał, że po raz pierwszy w życiu rozumie, czym jest prawdziwe szczęście.

RS